



Ewa Wilczyńska

**DZIEWCZYNA
W CZARNEJ
SUKIENCIE**

Historia zbrodni miłoszyckiej

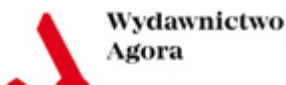


Ewa Wilczyńska

**DZIEWCZYNA
W CZARNEJ
SUKIENCIE**

Historia zbrodni miłoszyckiej

Redakcja: Paweł Goźliński
Korekta: Hanna Jagodzińska
Projekt okładki: Michał Pawłowski
Zdjęcie na okładce:
Kadr z policyjnego nagrania wizji lokalnej wykonanej 1 stycznia 1997 r.
Opracowanie graficzne, skład: Elżbieta Wastkowska, ProDesGraf
Redaktor prowadząca: Katarzyna Kubicka



ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa

Copyright © by Ewa Wilczyńska, 2023
Copyright © by Agora SA, 2023

Wszelkie prawa zastrzeżone
Warszawa 2023

ISBN: 978-83-268-4322-8 (EPUB); 978-83-268-4322-8 (MOBI)



Książka, którą nabyłeś, jest dziełem twórcy i wydawcy. Prosimy, abyś przestrzegał praw, jakie im przysługują. Jej zawartość możesz udostępnić nieodpłatnie osobom bliskim lub osobiście znanym. Ale nie publikuj jej w internecie. Jeśli cytujesz jej fragmenty, nie zmieniaj ich treści i koniecznie zaznacz, czyje to dzieło. A kopiując ją, rób to jedynie na użytek osobisty.

Szanujmy cudzą własność i prawo!
Polska Izba Książki

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej



SPIS TREŚCI

Dedykacja

CZĘŚĆ 1. ONA

Rozdział 1. ALCATRAZ

Rozdział 2. OBOK STODOŁY

Rozdział 3. SEKCJA

Rozdział 4. MILCZENIE

Rozdział 5. ŚLEDZTWO

Rozdział 6. PODEJRZANI

Rozdział 7. KRZYSIEK

Rozdział 8. NA GRZYBKA

Rozdział 9. ŚLADY

Rozdział 10. Ł.

Rozdział 11. NORBERT

Rozdział 12. PROKURATORZY

Rozdział 13. WODA

CZĘŚĆ 2. ON

Rozdział 1. WOLNY

Rozdział 2. MASAŻYSTKA

Rozdział 3. PRAWO I POLITYKA

Rozdział 4. PROCES

Rozdział 5. WYROK

Rozdział 6. SPÓŹNIENIE

Rozdział 7. ZNAK

Rozdział 8. SPOKÓJ
Rozdział 9. NA NOWO
Rozdział 10. BOJĘ SIĘ
Rozdział 11. UDAR

CZEŚĆ 3. ONI

Rozdział 1. PAMIĘTNIK
Rozdział. CHCESZ MIŁOSZYCE?
Rozdział 3. IREK
Rozdział 4. ZARZUTY
Rozdział 5. KOBIETY
Rozdział 6. EKSHUMACJA
Rozdział 7. DNA
Rozdział 8. OSOBA NIEWINNA
Rozdział 9. WIZJA LOKALNA
Rozdział 10. NORBERT
Rozdział 11. RENATA
Rozdział 12. PAWEŁ
Rozdział 13. AKT OSKARŻENIA
Rozdział 14. PROCES
Rozdział 15. MILIONY
Rozdział 16. ŚWIADKOWIE
Rozdział 17. EPIDEMIA
Rozdział 18. FILM
Rozdział 19. WYROK
Rozdział 20. TATA
Rozdział 21. ARTUR
Rozdział 22. BĘDZIEMY WALCZYĆ

CZEŚĆ 4. MY

Rozdział 1. WIĘZIENIE
Rozdział 2. KASACJA

Rozdział 3. ZADOŚĆUCZYNIENIE

Rozdział 4. HIPOTEZY

Rozdział 5. KONIEC, KROPKA

POST SCRIPTUM

PODZIĘKOWANIA

Rodzicom

Kto ci to zrobił, dziewczyno?

CZĘŚĆ 1

ONA

Rozdział 1

ALCATRAZ

O każde wyjście na dyskotekę musi się naprosić. Rodzice marudzą, że starsze chłopaki się tam kręcą. Dlatego nie chcą, żeby wracała po nocy. Wystarczy jedna zła ocena, i szlaban.

Małgosia się zastanawia, jak ich namówić na andrzejki. Wszyscy z Jelcza-Laskowic tam będą, więc pewnie i Heniek. Już od jakiegoś czasu się jej podoba. Spotykają się czasem w pociągu z Wrocławia. Może na dyskotece porozmawiają?

To niedaleko, pójdzie ze znajomymi, a imprezy pilnują ochroniarze, nic się nie stanie, ma już przecież piętnaście lat.

Rodzice w końcu się zgadzają. Małgosia wkłada dzinsy, nie sukienkę. Żeby nie drażnić ojca. Włosy związuje gumką, rozpuści je, kiedy wyjdzie z domu. Zakłada czarny zegarek, w uszach ma małe kółka i niewielki kolczyk w kształcie ust. Na palec wkłada sygnet, srebrny z wygrawerowanymi roślinami, trochę podniszczony. Dostała go kilka lat temu od mamy, na urodziny. Był za duży, ale ścisnęła go zębami.

Trzech łańcuszków nie zdejmuje nawet do kąpieli. Jeden ma serduszko z napisem „I love you”. Dodawali go do gazety dla nastolatek. Kupuje je specjalnie dla dodatków.

Wkłada zapinane na zamek bordowe botki na grubym obcasie z ozdobnymi brązowymi sznurówkami. Są trochę za luźne, ma je po kuzynce. Bluzkę zresztą też. Dużo ubrań po niej donasza, ale nie narzeka. Ładne są, a u nich w domu się nie przelewa. Kieszonkowe ledwo starcza na kosmetyki i dyskoteki.

Wychodzi zawsze z Iwoną, to jej najlepsza przyjaciółka. Znają się od zerówki, ale zbliżyły dopiero w połowie ósmej klasy. Teraz już nie chodzą razem do szkoły, Iwona wybrała gastronomik we Wrocławiu, Małgosia handlówkę, ale czasem razem dojeżdżają pociągiem z Jelcza. Często do siebie dzwonią, chodzą na spacerzy z psami, zdarza się, że jedna drugą odwiedza w domu. Ale ostatnio rodzice są źli na Iwonę, że wyciąga Małgosię na imprezy, więc rzadko się u nich pojawia.

Teraz też spotykają się dopiero przed dyskoteką w gminnym ośrodku kultury. Iwona stoi obok swojego chłopaka i jego znajomych. Wchodzą do środka. W tłumie wyłapują znajome twarze. Chłopak Iwony kupuje im piwo. Małgosia wypija pół, to wystarcza, żeby zaszumiało jej w głowie. Tańczy na środku parkietu. Kątem oka widzi Heńka. Uśmiecha się do niej i podchodzi. Miała nadzieję, że to zrobi.

Dobrze im się razem tańczy. Może coś z tego wyjdzie?

Powinna być w domu przed pierwszą, ale nie chce jeszcze wracać.

*

W pół do drugiej.

Druga.

Jadwiga, matka Małgosi, nie może spać. Chodzi od okna do okna.

Już prawie trzecia.

Może powinna zadzwonić na policję?

Siedzi w kuchni nad wystygłą herbatą i wpatruje się w zegar. Małgosi zdarzały się spóźnienia, ale nigdy tak duże.

„Trzeba było jej nie puszczać na dyskotekę” – myśli. Da Małgosi jeszcze piętnaście minut, a potem...

Jadwiga coś słyszy.

To kroki.

*

Z Alcatraz nie ma ucieczki. Tak mówiono, ale trzech uciekło i nigdy ich nie znaleziono – ani żywych, ani martwych. Więzienie na wyspie zamknięto i zamieniono w muzeum, nazwa jednak nadal inspirowa, nawet właściciele tancbudki w Miłoszycach, którą urządzono w dawnej świetlicy.

Wejściówki kosztują sześć złotych, najtaniej w okolicy, dlatego do Alcatraz ciągnie młodzież ze wszystkich pobliskich miejscowości – Łęgu, Piekar, Dziupliny, Ratowic, ale też większego Jelcza-Laskowic. Jest sylwester, więc w środku tłum, ze dwieście osób, może więcej. Małgosia też jest, chociaż po powrocie z andrzejek nad ranem miała przechłapanie. Matka zrobiła jej awanturę, przez parę tygodni musiała wracać po szkole prosto do domu, żadnych wyjątków. Jadwiga nagadała też Iwonie: – Nie życzę sobie, żebyś zabierała Małgosię na dyskoteki ze starszymi chłopakami.

Tak jakby Gośka sama nie chciała.

Jak w tej sytuacji namówić rodziców na sylwestra?

Dziewczyny chciały koniecznie spędzić go w Alcatraz, pierwszy raz Małgosia wspomniała o tym w święta. Tłumaczyła, że pojedzie pociągiem z koleżankami, impreza będzie chroniona, nic się jej nie stanie. Rodzice się nie zgodzili, więc krzyki, płacz.

Jadwiga i Krzysztof do końca zwlekali z ostateczną odpowiedzią. Widzieli, że Małgosia chodzi smutna, bo coraz to wracała do tematu, a oni odmawiali. W końcu Jadwidze żal się jej zrobiło. Przecież to sylwester. – Powinniśmy ją puścić – powiedziała mężowi dzień przed imprezą, ale włosów pofarbować już nie pozwoliła. Ładne ma, ciemne, po co je farbami niszczyć?

– I załóż spodnie – przestrzegął córkę Krzysztof.

Małgosia przymierza džinsy, ale tuż przed wyjściem przebiera się w sukienkę. Z cienkiego czarnego materiału, przed kolano, zapinaną na guziki, po kuzynce. Botki ostatnio jej latały, więc pod czarne rajstopy wkłada grube skarpetki. Białe z czerwonym i zielonym paskiem.

Na szyi ma trzy łańcuszki, te, co zwykle, również ten z serduszkiem i napisem „I love you”. W uszach – małe kółka i ten sam niewielki kolczyk w kształcie ust. Zakłada też swój srebrny sygnet i czarny zegarek.

Usta pociąga brązową pomadką, paznokcie maluje fioletowym lakierem z białym brokatem. Fioletowa jest także gumka, którą naciągnęła na nadgarstek. Na wszelki wypadek, gdyby włosy przeszkadzały jej w tańcu.

Tuż przed wyjściem Iwona robi jej zdjęcie.

*

Zima jest bardzo mroźna, nocą temperatura spada do minus kilkunastu stopni. Małgosia wkłada granatową kurtkę, białą czapkę z pomponem, do kieszeni wciska czarne wełniane rękawiczki. Pociągiem z Jelcza do Miłoszyc jedzie z koleżankami Iwony, w sumie jest ich szóstka, ale widzą w wagonie wielu znajomych. Na miejscu są przed dwudziestą. Jeszcze nie wpuszczają do Alcatraz.

Nazwę dyskoteki wymalowano sprejem, pogrubioną czcionką w przenikających się kolorach, od niebieskiego, przez fioletowy, do zielonego. Pomiędzy literami pręży się nienaturalnie długonoga kobieta w kusych szortach i krótkim topie odsłaniającym wąską talię. Kreskówkową twarz okalają różowe rozwiane włosy.

Do środka prowadzą tylko jedne drzwi, w oknie są kraty.

Zaraz przy wejściu, po prawej stronie, jest szatnia. Naprzeciwko drzwi do magazynu i kuchni. Z przedsionka wchodzi się do głównej sali. W środku panuje półmrok, który rozświetlają kolorowe światła odbijające się w wiszącej na środku sufitu dyskotekowej kuli. Na wprost wejścia jest podest ze stanowiskiem didżeja. Obok niego przy stoliku siedzą właściciele dyskoteki. Stoliki dla gości są poupychane po kątach. Po lewej stronie bar. Chipsy, napoje, piwo.

Gośka i Iwona kupują po jednym. Siedzą całą grupą, z którą przyjechały pociągiem, dosiadły się do nich jeszcze koleżanki z Jelcza, zaraz jakiś kolega podchodzi, dwa stoliki zajęli, żeby się pomieścić. Ktoś zaczyna tańczyć, ktoś wychodzi się przewietrzyć, ktoś się z kimś przytula, ktoś kogoś zagaduje na parkiecie, ktoś butelkę wina podaje, jak to na dyskotece.

Jeszcze cztery godziny i zacznie się 1997 rok.

*

Siedemnastoletni Krzysiek od urodzenia mieszkał w Miłoszycach. Na imprezy jeździł zwykle z kolegami do Łęgu, tam mieszkały ich koleżanki. Ale skoro otworzyli dyskotekę po sąsiedzku, chcieli zobaczyć. One wolały zostać u siebie, więc umówili się, że w paru chłopaków pójdą na sylwestra do Alcatraz.

Krzysiek pojawia się tam o dwudziestej trzydziści, jego najlepszy kumpel Andrzej już jest. Rozglądają się, ale same nieznajome twarze. W końcu spotykają kilku kolegów z Miłoszyc.

– Nic się tutaj nie dzieje, chodźmy do Pandy – proponuje jeden z nich.

Idą do pobliskiego pubu. Tam zawsze można spotkać kogoś znajomego, piwa się w spokoju napić, pograć w bilard. Krzysiek zamawia colę, z alkoholem nie miał dotąd zbyt wielu doświadczeń, nie chce zaraz na początku się upić.

Piwo kupuje dopiero w Alcatraz, dokąd wracają może po godzinie. Impreza już się rozkręciła, na parkiecie tłum. Wyłapują znajomych z Miłoszyc, rozmawiają to z jednym, to z drugim. Krzysiek nawet tańczy w kółku.

Odpooczywa przy podeście, kiedy zaczepia go dziewczyna.

Nigdy wcześniej jej nie widział, ale bardzo mu się podoba. Widzi, że jest pijana. Nie ona jedna. Na dyskotecę chyba wszyscy piją, niektórzy przynieśli ze sobą wino albo wódkę, ochroniarze nie zwracają na to większej uwagi. Ta dziewczyna nie ma ze sobą kubka ani butelki z alkoholem, ale chwieje się i trochę bełkocze. Mówi, że ma na imię Gośka, pyta go, jak się nazywa. Podaje mu nazwę ulicy i numer swojego mieszkania w Jelczu. – Jeżeli zapamiętasz, to masz szczęście – rzuca.

Krzyśka rozpiera duma. Pierwszy raz się zdarzyło, żeby na dyskotecę zagadnęła go dziewczyna, i to jeszcze taka ładna. Przysuwa się do niego. Zaczynają tańczyć.

*

Rodzice Małgosi spędzają sylwestra w remizie strażackiej w Brzozowcu. Wybrali się tam razem ze znajomym małżeństwem z osiedla. Pojechali ich autem. To ledwo dwadzieścia kilometrów, ale już Opolszczyzna. W Brzozowcu mieszkają rodzice Krzysztofa; młodszą córkę, Ewelinę, zostawiają im pod opiekę.

Z domu wyjechali około siedemnastej. Małgosia wciąż jeszcze szykowała się wtedy do wyjścia.

Udały im się córki, chociaż łatwo w życiu nie mieli. Zaraz po ślubie Jadwiga i Krzysztof tułali się po hotelach robotniczych. Oboje skończyli zawodówki, praca raz była, raz jej nie było, pieniędzy wciąż za mało, człowiek niczego swojego nie miał. Naczekali się na mieszkanie, na samochód długo ich nie było stać, rowerem dzieci się woziło.

Kiedy urodziła się Małgosia, Jadwiga została z nią w domu. Teraz zajmowała się Ewelina i znowu nie pracowała zawodowo. Ale za to Krzysztof miał stabilną robotę. Był frezerem w Jelczańskich Zakładach Samochodowych, to największy pracodawca w okolicy. Doświadczenie miał, przyuczał chłopaków do zawodu.

Może im się nie przelewało, ale starczało na życie. Mieli mieszkanie na czwartym piętrze na Hirszfelda, w największym blokowisku w Jelczu, niedaleko stacji kolejowej. Budynki ustawiono falami, między nimi drzewa, alejki, niedaleko sklepy, szkoła.

Z Małgosią żadnych problemów wychowawczych nie mieli. Tylko o te dyskoteki się kłócili. W końcu ulegali, córka potrafiła ich urobić. Ale dobra z niej dziewczyna, rodziców szanuje, w domu pomaga i rozumie, że nie na wszystko ich stać. Ale jak coś większego potrzebuje, to jej w końcu kupują, muszą tylko wcześniej zaplanować wydatek.

Lubiła się ładnie ubrać, na szczęście sporo ciuchów miała po kuzynce, tę czarną sukienkę ze zdjęcia zrobionego chwilę przed wyjściem na sylwestra też. Małgosia, młoda zgrabna dziewczyna z długimi brązowymi włosami odgarniętymi za uszy i grzywką opadającą na czoło, uśmiecha się nieśmiało.

*

Gośka mówi, że źle się czuje. Krzysiek wyprowadza ją przed Alcatraz, żeby pooddychała świeżym powietrzem. I tak ze trzy albo cztery razy. Raz Goškę tak już bierze, że idzie pod płót zwymiotować. Krzysiek słyszy, jak po konwulsjach spluwa, ale zaraz ciągnie go do Alcatraz. Nie bardzo rozumie dlaczego, przecież jak ktoś się źle czuje, to lepiej, żeby na powietrzu powstał.

Gośka powtarza, że jej niedobrze, widać zresztą, że jest w coraz gorszym stanie. Ledwo stoi na nogach, potyka się o podest, z którego didżej puszcza muzykę, przewraca się. Chociaż to wychodzenie na zewnątrz pomaga, bo znowu go zagaduje. Podaje imiona i nazwiska swoich kolegów, pyta, czy ich zna. Krzysiek nikogo nie kojarzy.

Idą do stolika, przy którym siedzą koleżanki Małgosi. Dziewczyna siada mu na kolanach, Krzysiek ją przytula. Któraś z dziewczyn rzuca, że Gośka jest strasznie pijana, jakby zła na nią była. Nigdy nie widziały, żeby była taka nachalna wobec chłopaków.

Niedługo północ. Krzysiek zostawia Małgosię z jej znajomymi i biegnie do domu po szampana. Po drodze wpada na zakrwawionego kolegę. Ktoś go przed chwilą uderzył. Nie znał typu. Potem będą go razem szukać na dyskotecie, ale nie znajdą. Na razie Krzysiek zaprasza kumpla, żeby poszedł z nim do domu się ogarnąć.

W świetlicy zapalają światło. Zaczyna się odliczanie.

– Witamy nowy rok – krzyczy do mikrofonu didżej Irek.

Przed dyskoteką wybuchają petardy, niektórzy wychodzą na zewnątrz pooglądać fajerwerki.

Ktoś puszcza butelkę, Iwona pije, zaraz po niej Gośka. Kręcą się po sali, składają życzenia znajomym.

Gośka przytula się do Krzyśka, który już wrócił na dyskotekę z winem musującym.

*

Oficjalnie parą byli z Małgosią może przez tydzień, wszystko zaczęło się i skończyło w grudniu. Ale osiemnastoletni Daniel znał ją znacznie dłużej, z osiedla. Najczęściej spotykali się na dyskotekach. Do domu nigdy go nie zaprosiła, on zresztą nie nalegał.

Rozstali się po kłótni. Daniel chciał z nią spędzić trochę czasu, ale wymigała się, że jest zajęta. Zaraz potem usłyszał, jak umawia się z Iwoną na spacer. Zaczął krzyczeć, że Gośka go okłamuje, ona, płacząc, powiedziała, że już nie mogą być razem. Chyba ktoś inny bardziej jej się podobał. Kiedyś, zanim zaczęli ze sobą chodzić, zwierzyła się Danielowi, że wpadł jej w oko taki jeden Heniek.

Poza tym Daniel miał poczucie, że Gośce było wstyd, kiedy chodził po osiedlu pijany. Zdarzało mu się wypić z kolegami kilka piwek na ławeczkach, czasem wódkę. A Gośka była z tych porządných, jasne, że nie chciała, by rodzice widzieli ją z zalanym chłopakiem.

Po tej kłótni przeprosił ją, proponował nawet, żeby znowu byli parą. Odmówiła. Ale wciąż się kolegowali.

Daniel namawiał Gośkę, żeby spędzili sylwestra na domówce u jego kolegi w Jelczu. I ona, i Iwona odpowiedziały, że wolą potańczyć. Spotkali się więc w pięciu, same chłopaki. Pili wódkę, może ćwiartkę na głowę. Jak skończyli, uznali, że jednak fajnie byłoby się pobawić na dyskotecę. Przebiegli cztery kilometry dzielące ich od Miłoszyc. Na miejscu byli niedługo po północy.

Daniel od razu dostrzega dziewczyny. Iwona i Małgosia siedziały przy barze, obydwie pijane, Gośka bardziej niż Iwona.

Rzucają mu się w ramiona.

– Wszystkiego najlepszego – mówi Gośka i głośno się śmieje. Daniel jeszcze nigdy nie widział jej w takim stanie.

O której godzinie Gośka znowu wychodzi na zewnątrz? Nikt nie jest tego pewny. Po północy na pewno, ale też przed pierwszą. Iwona stoi z nią chwilę, ale ziąb taki, że zaraz chowa się do środka. Na posterunku zostawia Grześka, ich dobrego kolegę z Jelcza, który na dyskotekę przyszedł razem z Danielem.

Co się wydarzyło później?

Grzesiek zapamiętał, że podszedł do niego Krzysiek. Powiedział, że teraz on zajmie się Goską.

Krzysiek twierdzi, że było inaczej: spotkał Małgosię w środku i to jej znajomi poprosili go, żeby wyprowadził ją na zewnątrz jeszcze raz. Gośka już wtedy ledwo trzymała się na nogach, sprawiała wrażenie, jakby nie wiedziała, co się wokół niej dzieje. Krzysiek miał poczucie, że już go nie poznawała.

Odchodzą kawałek od wejścia. Przystają z boku budynku. Krzysiek podtrzymuje Goškę, inaczej się przewróci. Przed salą kręci się jeszcze parę osób, kilka zapamięta pijaną dziewczynę w czarnej sukience.

To nie był widok budzący specjalne zainteresowanie. Chwilę później w tym samym miejscu zatacza się inna nastolatka. – Wsadź sobie palca do gardła, zwymiotujesz i będzie ci lepiej – radzi jej chłopak, z którym bawi się na dyskotecę.

Ledwo kończy i zaraz zaczynają się całować. – Uważaj, bo jeszcze zwymiotuje ci do ust – śmieje się jego koleżanka, która czeka w kolejce do ustawionych na zewnątrz toalet.

Ośmielone alkoholem pary całują się to tu, to tam. Kogoś zawiąło tak, że aż się przewraca. Kolejne dziewczyny mówią swoim znajomym, że źle się czują, chociaż prawie nic nie wypity.

*

Do Gośki i Krzyśka podchodzi jakiś chłopak. Krzysiek go nie zna – tak utrzymuje potem.

Nieznajomy obejmuje dziewczynę ramieniem.

– Ale się, kurwa, napiłaś – rzuca.

Gośka nie odpowiada.

– To ja, Irek, twój brat, nie poznajesz mnie? – ciągnie tamten.

Ona patrzy mu w twarz, ale wciąż nic nie mówi, jakby go nie słyszała.

„Irek” powtarza, że zabierze ją do domu.

Dziewczyna nie protestuje, gdy chwyta ją pod ramię.

Krzysiek podtrzymuje Gośkę z drugiej strony, idą kilka metrów w milczeniu. Przechodzą na drugą stronę ulicy Kościelnej, w pobliże furtki do pierwszej posesji za Alcatraz.

– Jesteś jej chłopakiem? – pyta Irek.

– Nie – odpowiada Krzysiek. – Może godzinę temu ją poznałem.

– To wracaj się bawić.

On nie z takich, co będą się wyklócać. Zresztą brat ma rację, Gośka jest już w takim stanie, że powinna się położyć. Może jeszcze się spotkają? Zna jej adres.

Irek coś jeszcze mówił, Krzysiek nie pamiętał później, czy że odprowadzi dziewczynę do domu, czy do ciotki.

Zanim wrócił do dyskoteki, w świetle latarni zauważył, jak do Gośki i Irka podszedł drugi chłopak.

*

Urszula po północy wychodzi przed dom pooglądać fajerwerki. Mieszka w Miłoszycach od lat z mężem i trójką synów. Ich dom stoi kilkaset metrów od Alcatraz, przy tej samej ulicy, Głównej. To

centralna część miejscowości. Na południu Główna zmienia się w Kolejową i prowadzi do dworca Jelcz-Miłoszyce. Za torami ciągną się pola i domy ustawione wzdłuż równoległych drózek, na niektórych nie ma nawet asfaltu.

Z drugiej strony Główna przechodzi w ulicę Dziuplińską. Krzyżuje się z Wrocławską, która ciągnie się przez kilka miejscowości w kierunku stolicy Dolnego Śląska – z Miłoszyc do Wrocławia jest niecałe trzydzieści kilometrów.

Dom Urszuli stoi zaraz obok tego skrzyżowania.

Tej nocy odwiedziło ich znajome małżeństwo. Gdy wychodzą przed dom, z dyskoteki akurat wraca najmłodszy syn Urszuli, Andrzej, kolega Krzyśka. Składają sobie życzenia.

Urszula ogląda jeszcze fajerwerki, kiedy widzi dwóch chłopaków prowadzących przez wieś dziewczynę. Nie zna jej. Chłopaków też widzi pierwszy raz. Z Miłoszyc by kojarzyła, zresztą Andrzej też ich nie zna.

Dziwi ją tylko, że taki mróz, prawie minus dwadzieścia stopni, a dziewczyna idzie w samej sukience.

– Coś by na nią narzucili – mówi Urszula, a jej koleżanka potakuje. Może zapamiętałyby więcej, ale jest ciemno, a ich uwagę odwraca biały „maluch” pędzący ulicą. Jego kierowca wprowadza go w drift, dwa razy obraca się wokół własnej osi i rusza z piskiem opon w stronę skrzyżowania.

Urszula wraca do mieszkania, żeby się ogrzać.

Rozdział 2

OBOK STODOŁY

Rodzice Małgosi są w domu około czwartej. Śpiącą Ewelinę kładą do łóżka, Krzysztof zasypia razem z nią.

Jadwiga znów czeka na starszą córkę.

Kręci się po kuchni, ale nie ma już nawet co posprzątać. Liczy, że tym razem Małgosia będzie na czas.

Proponowali, że ją odbiorą, ale wolała jechać pociągiem z koleżankami. Obiecała wrócić o piątej rano.

Jadwiga słyszy hamujący pociąg. Wygląda przez okno, żeby wypatrzeć Małgosię. Nie ma jej. Może jeszcze zagadała się z koleżankami na peronie? Albo z jakimś chłopcem, z którym wstydziła się pokazać przed domem?

Jadwiga chodzi od okna do okna, na balkon, ale Małgosi wciąż nie widać.

Około szóstej dzwoni do domu Iwony. Wcześniej, ale nie jest w stanie już dłużej czekać. Numer ma od Małgosi, wzięła na wszelki wypadek. Odbiera mama Iwony. Jej córka wróciła, śpi już od godziny.

Jadwigę ogarnia przerażenie.

Rodzice budzą Iwonę. Nie wie, gdzie jest Małgosia. Straciła ją z oczu jeszcze na imprezie, szukali jej nawet ze znajomymi, ale bez skutku. Myśleli, że może wcześniej wróciła do domu, źle się przecież czuła. W świetlicy została tylko jej kurtka. Iwona zabrała ją ze sobą, kiedy całą grupą wychodzili na pociąg.

*

– Nikogo już nie ma – mówią właściciele Alcatraz, gdy przed dyskoteką zjawiają się rodzice Małgosi razem z Iwoną i jej ojcem. Nie, nigdzie nie widzieli dziewczyny w czarnej sukience. Ale Jadwiga i tak wchodzi do środka, żeby się rozejrzeć. Pusto.

Zbliża się siódma rano.

Chodzą po domach. Rozpytują. Ktoś widział Małgosię koło posesji na tyłach dyskoteki. Mieszkają tam R., tak im powiedziano.

Główna brama zamknięta, za to otwarta jest mała drewniana furtka. Krzysztof od razu idzie zapukać do drzwi, a Jadwiga rozgląda się po podwórku, które kończy się dużą stodołą. Cały trawnik jest przyprószone śniegiem, wydeptane ślady dwóch osób prowadzą tylko od bocznej furtki do studni i z powrotem.

Otwiera im kobieta w średnim wieku.

– Nie widziałam żadnej dziewczyny, ale sprawdzę po pokojach, czy może córki kogoś nie przyprowadziły – mówi, gdy rodzice pytają ją o Małgosię. Ale w łózkach śpią tylko domownicy.

Rodzice pukają też do domu Urszuli. Otwiera im zaskoczona. Zna Jadwigę, kiedyś razem pracowały, ale jej córki nigdy nie widziała. Budzi Andrzeja, syn był przecież na dyskotecę, może coś wie. Tak, pamięta Małgosię, wymiotowała przed świetlicą, mówi, że Krzysiek się nią zajmował, a potem przyszedł jej brat Irek i zabrał ją

do domu. Urszula faktycznie widziała, jak jakichś dwóch chłopaków prowadziło dziewczynę przez wioskę.

Tylko że Małgosia nie miała brata. A żadnego Irka nie znała.

Rodzice pytają więc o Irka. Ktoś powiedział, że didżej miał tak na imię. Mieszka po drugiej stronie Miłoszyc, za torami. Podjeżdżają autem, bo to kawałek. Ale on nic nie wie. Chociaż faktycznie widział dziewczynę w czarnej sukience. Siedziała na podeście koło miejsca, skąd puszczał muzykę. Była pijana.

Sprawdzają każdy ślad na śniegu, pukają od domu do domu. Nikt nic nie widział, nikt nic nie wie.

Przemarznięci i zrezygnowani wracają do Jelcza, ale nie są w stanie beczynnie siedzieć i czekać. Dzwonią na policję. Nie po raz pierwszy. Wcześniej we Wrocławiu odprawiono ich z kwitkiem i skierowano na komisariat w Jelczu. A tam nawet nie przyjęli zgłoszenia o zaginięciu, bo jeszcze za wcześnie. Tym razem do Miłoszyc wysyłają posterunkowego. Rodzice mają się z nim spotkać na miejscu.

Kazali im zabrać ze sobą zdjęcie Małgosi.

Jadą ze znajomą, z którą spędzili sylwestra.

Odwiedzają domy, w których byli już wcześniej, pukają też do sąsiednich. Ktoś kojarzy dziewczynę w czarnej sukience, ktoś sobie przypomina, że odchodziła z dyskoteki z jakimiś mężczyznami, ale nikt nie potrafi powiedzieć nic więcej.

Rodzice są coraz bardziej zdenerwowani. Kiedy kolejny raz pyta o córkę, Jadwidze załamuje się głos. Znowu odchodzą z kwitkiem.

– Spokojnie, znajdziemy ją – próbuje pocieszać policjant.

– Pan nic nie rozumie – krzyczy na niego Jadwiga. – To nie jest normalne, że Małgosia nie wróciła na noc! Może inne dziewczyny przychodzą do domu po imprezach następnego dnia wieczorem, ale

nie ona. Wiem, że coś się musiało stać. Porwali ją, może gdzieś przetrzymują. Czuję, że córka tu jest, w Miłoszycach.

Policjant już się nie odzywa.

Ruszają do lasu. Na ścieżce są wydeptane ślady. Krzysztof się schyla, ogląda z każdej strony, ale są za duże, nie mogły ich zostawić buty Małgosi.

Sprawdzają bunkry, które stoją przy drodze. Nic.

Jadą razem na komisariat, żeby Jadwiga i Krzysztof mogli złożyć oficjalne zawiadomienie o zaginięciu córki.

O godzinie trzynastej dyżurny na komendzie w Jelczu – Laskowicach wypełnia formularz. W rubrykę okoliczności zaginięcia Małgorzaty K. wpisuje: „W dniu 31.12.1996 r. około godz. 19 udała się na dyskotekę do Miłoszyc. W dniu 1.01.1997 r. około godz. 0.15 była widziana po raz ostatni w towarzystwie dwóch mężczyzn”

Dodaje jeszcze rysopis dziewczyny: 150 centymetrów wzrostu, sylwetka smukła, twarz owalna, cera blada, młodzieńczy trądzik, nos mały i prosty, uszy średnie, oczy ciemnobrązowe, włosy długie, ciemne i proste, czarna sukienka przed kolano.

*

Nie ma powodu, żeby się spieszyć, przecież to Nowy Rok. W domu rodziny R. wszyscy jeszcze śpią, chociaż to już południe. Tej nocy są w komplecie – babcia Maria, jej syn Józek z żoną Danutą, trzy córki. U Kamili, najstarszej, jest jeszcze Zygmunt, jej chłopak. Odwiedził R. razem ze swoim młodszym bratem Marcinem.

Od listopada pomieszkiwał też z nimi kolega Józka z pracy w Niemczech, Karol.

Rano budziła ich po kolei matka, Danuta. Dopytywała, czy nie śpi u nich jakaś dziewczyna, której szukają rodzice, ale zaraz potem wszyscy wrócili do łóżek.

Jest już dobrze po dwunastej, kiedy wynurzają się z pokoi. Danuta kręci się po kuchni, gotuje obiad, jej mąż Józek pije kawę.

– Napal w piecu, zimno się już zrobiło – prosi go.

– Tylko najpierw muszę go naprawić. Sadza się osadziła i strasznie dymi.

Józef wychodzi do szopy po zapasowe kolanko. To po drugiej stronie podwórka. Przez noc przysypało je delikatnie śniegiem. Rozgląda się. Na lewo jest stodoła, przy niej budę ma pies Roki, może jeszcze do niego zajrzy.

Nagle dostrzega coś niepokojącego.

Leży tuż obok stodoły, przy jej szczytowej ścianie.

„Jakąś lalkę albo manekina psy przytargały” – myśli Józef.

„A może kozuch, ostatnio Roki wyciągnął jeden ze stodoły”

Józef podchodzi bliżej.

*

Ma na sobie jedynie skarpetki. Poza tym jest zupełnie naga. Leży na plecach, jej nogi są nienaturalnie podkurczone, a całe ciało brudne i poranione. Długie, potargane ciemne włosy rozrzucone wokół głowy. Obok leżą ubrania.

Kilka metrów dalej Józef widzi plamę krwi. Biegnie do domu.

*

Urszula przez okno widzi radiowóz, który jedzie na sygnale, a zaraz za nim karetkę. Pyta sąsiadki, co się stało. Sąsiadka słyszała, że znaleźli jakąś dziewczynę z osiedla w Laskowicach. Urszula szybko się ubiera. Biegnie drogą w stronę świetlicy. Przy posesji R. stoi już tłum.

Gapie powtarzali sobie później, że radiowóz wjechał na podwórko tak szybko, że wpadł w poślizg i na pewno zatarł wszystkie ślady. A prokuratorka z Oławy, która akurat miała dyżur, wyglądała, jakby kompletnie nie była przygotowana do prowadzenia śledztwa, bo taki mróz, a ona włożyła baletki.

– Jakby prosto z imprezy przyjechała – komentowali.

*

Jest czternasta, może piętnasta. Rodzice Małgosi po złożeniu zawiadomienia o zaginięciu córki znów jadą do Miłoszyc. W jednym z domów słyszą, że znaleziono zgwałconą dziewczynę. Ledwo stamtąd wychodzą, mija ich karetka. Jadwiga macha ręką. „Jak jest karetka – myśli – to Małgosia żyje. Żyje, żyje” – kurczowo trzyma się tej nadziei. Macha drugi raz, karetka się zatrzymuje. Tak, dostali wezwanie, ale na razie nic więcej nie mogą powiedzieć.

Koło domu R., tego samego, który odwiedzili rano, rodzice widzą tłum ludzi.

– Żyje? – Krzysztof dopytuje gapiów.

– Czy ona żyje? – powtarza Jadwiga.

Ludzie nawet na nich nie patrzą, oczy mają skierowane w głąb podwórka. Ktoś rzuca: – Nie żyje.

Przepychają się, ale zatrzymuje ich policja. Proszą, żeby ich przepuścić. – To może być nasze dziecko.

Przebiegają przez podwórko, jeszcze kawałek i widzą swoją córkę. Obok leży czarna sukienka.

Prokuratorka pyta, czy to ich dziecko.

Chcą ją dotknąć, przytulić, ale im nie pozwalają.

*

Lekarka z pogotowia wypisuje akt zgonu. Notuje ochłodzenie zwłok, obecność plam opadowych na plecach, udach i pośladkach, obrażenia na ciele. Jako domniemaną przyczynę śmierci wpisuje: zgwałcenie, wykrwawienie, zamarznięcie. Ze znakiem zapytania.

Miejsce zgonu: ogród, Miłoszyce.

Ściągnięty z Wrocławia pies kilka razy próbuje podjąć trop, ale nic z tego. Jego przewodnik tłumaczy, że jest za zimno.

– Po co ten pies, jak Małgosię już znaleziono – denerwuje się Krzysztof. Płacze. Do końca oględzin stoi obok Jadwigi przy płocie posesji. Nie wiedzą, co innego mogliby robić.

Krzysztof dostrzega koleżanki Małgosi. Iwona wygląda, jakby się śmiała.

– Co wam tak wesoło – krzyczy do nich. – Ona nie żyje!

Po latach, gdy pytam go o tamten dzień, mówi tylko: – Trzeba to przeżyć, żeby zrozumieć.

Rozdział 3

SEKCJA

Jest już ciemno, gdy śledczy kończą oględziny miejsca zbrodni. Uczestniczą w nich policjanci z Jelcza, funkcjonariusz techniki kryminalistycznej, biegły medycyny sądowej i przedstawicielka Prokuratury Rejonowej w Oławie. Filmują je kamerą, robią też zdjęcia podwórka i zwłok. Po latach oglądam je w aktach, są czarno-białe, niewiele na nich widać, zarysy budynków, czarne kikuty drzew.

Film jest lepszej jakości, ale też niewyraźny.

Najwięcej zdjęć zrobiono Małgosi. Biel ciała odcina się od ciemnej ziemi. Leży nogami w kierunku ściany stodoły. Jest naga, na stopach ma jedynie białe skarpetki. Twarz ma odwróconą w kierunku otwartej bramy.

Cały teren jest delikatnie przyprószone śniegiem, ale czarne plamy wskazują, gdzie leżało ciało dziewczyny. Najpierw za stodołą. Stamtąd ciągnie się ślad aż do jej ściany szczytowej. Tam Małgosia umarła. Na zamarzniętej ziemi.

W protokole z oględzin odnotowano liczne otarcia. I ślady ugryzień na piersi.

Jako dowody zabezpieczono rajstopy i sukienkę, która częściowa znajdowała się jeszcze pod plecami dziewczyny.

Obok ciała leżały dwa guziki.

Do kolejnego woreczka trafiły ubrudzone brunatnoczerwoną substancją figi.

Pod nimi znaleziono kolejne trzy guziki.

Biustonosz był równie brudny jak majtki.

Zabezpieczono także sznurówki, zegarek i fragment łańcuszka.

Pod ciałem Małgorzaty odkryto jeszcze metalową linkę, a kawałek dalej czarną koronkową chusteczkę i wełnianą czarną czapkę.

Nie znaleziono jej butów ani biżuterii.

Następnego dnia zebrane dowody zostają opisane w obecności policjanta, prokuratora i biegłego. Czapka zostaje przekazana do badań, być może zostały na niej jakieś ślady sprawcy.

Ciało Małgorzaty trafia do prosektorium Instytutu Medycyny Sądowej Uniwersytetu Medycznego we Wrocławiu. Sekcję zwłok ma zrobić dr Jerzy Kawecki. Wcześniej uczestniczył w oględzinach miejsca zbrodni. W prokuraturze dobrze go znają. Jest uznanym patologiem i biegłym sądowym, przeprowadza sekcje w najważniejszych śledztwach w regionie.

Wcześniej musi jednak zrobić zaległe badania, w kolejce ma jeszcze zwłoki z grudnia. Dziewczyną z Miłoszyc może się zająć dopiero 3 stycznia.

W sekcji Małgosi biorą też udział dwaj policjanci oddelegowani z Komendy Wojewódzkiej Policji we Wrocławiu razem z ekspertem z laboratorium kryminalistycznego. Nagrywają i fotografują całą procedurę.

Doktor Kawecki najpierw notuje ogólne informacje: wzrost 155 cm, waga 56 kg, dobrze odżywiona. Sprawdza, w jakim stanie są poszczególne części ciała i przygląda się kolejnym obrażeniom. Dużo ich. Wynotowuje blisko czterdzieści. Każde mierzy i opisuje.

Całe ciało jest pokryte siniakami, naskórek w wielu miejscach otarty. „Pochwa wykazuje – notuje Kawecki – pionowe rozdarcie ściany po stronie tylnej o długości 9 cm, brzegi rozdarcia dość równe, obficie podbiegnięte krwią”

Krwawe rany stwierdza też na przedniej ścianie pochwy, w dolnej części śluzówka jest rozerwana, podobnie zmasakrowano odbytu.

Pobiera wymazy z ust, pochwy i odbytu, a także krew i mocz. Zabezpiecza próbki materiału spod paznokci i włosy, w tym kilka łonowych.

Mierzy ślady zębów po ugryzieniu. Ten bardziej widoczny znajduje się na prawej piersi, ale fragment uzębienia sprawca odbił też na prawym ramieniu. Wygląda, jakby dziewczyna próbowała się mu wyrwać, kiedy ją gryzł.

Skarpetki przecina, bo tak mocno trzymają się stóp. Sprawdza, czy nie ma na nich mikrośladow. Nic nie stwierdza. Skarpetki zostają wyrzucone.

Próbki krwi i moczu Małgorzaty zostają wysłane do Instytutu Ekspertyz Sądowych w Krakowie. Wykonane przez tamtejszych specjalistów badania toksykologiczne nie wykazują obecności opiatów, pochodnych kwasu barbiturowego ani benzodiazepinów działających uspokajająco i nasennie.

Dziewczyna miała we krwi 0,9 promila alkoholu, ale w moczu było go 1,7 promila. „Co świadczy, że w chwili śmierci była pod jego wpływem”

Jako ostateczną przyczynę śmierci dr Kawecki wpisuje zamarznięcie. Dodaje jednak, że mogło się do niej przyczynić także obfite krwawienie z narządów płciowych. Dziewczyna najprawdopodobniej żyła jeszcze przez dwie, trzy godziny po tym, jak została zgwałcona. Doktor Kawecki nie potrafi stwierdzić, czy była przytomna. Jej zwłoki znaleziono jednak jakieś pięć metrów od miejsca, w którym się wykrwawiła. Mogła sama się tam doczołgać, ale bardziej prawdopodobne, że już po śmierci została przeniesiona za szczytową ścianę stodoły.

Tam gdzie leżało ciało, prawie nie stwierdził już krwi, a tak obfite krwawienie nie mogło się zatrzymać samoistnie, dopiero po zamarznięciu. Domyśla się, dlaczego ją przeniesiono. Miejsca za stodołą nie widać z żadnego domu.

Doktor Kawecki miał już do czynienia z agresywnymi sprawcami. Z jego doświadczenia wynika, że zwykle zachowywali się tak, gdy nie byli w stanie uprawiać seksu z ofiarą. Kawecki podejrzewa, że w ten sposób karali kobietę za swoją niemoc, często spowodowaną alkoholem lub innymi używkami.

„Rozmieszczenie i charakter obrażeń oraz zabrudzeń świadczą o tym – pisze Kawecki – że przełamywano jej opór poprzez przytrzymywanie za ramiona, przewracano na ziemię, włączono po niej, być może jednocześnie zdzierając z niej odzież i obuwie. Niewykluczone, że odbyto z nią stosunek lub stosunki płciowe, a następnie spowodowano rozległe obrażenia pochwy, odbytu i krocza poprzez wkładanie z dużą siłą narzędzi tępych, tępokrawędzistych. Narzędziem takim mogła być ręka i palce. Charakter tych ostatnich obrażeń świadczy o działaniu sprawcy ze szczególnym okrucieństwem”.

Do raportu dołączono jeszcze trzydzieści sześć zdjęć wykonanych w czasie sekcji.

Ślady przemocy są widoczne na każdym fragmencie ciała dziewczyny.

*

Już w domu Jadwidze przychodzi do głowy, że może to jednak nie Małgosię widziała pod stodołą. Krzysztof też już nie jest pewien. Jedzie do Zakładu Medycyny Sądowej we Wrocławiu. Wchodzi do poniemieckiego budynku z czerwonej cegły, spotyka policjanta.

– Przyjechałem zidentyfikować zwłoki – mówi, chociaż nikt go w tej sprawie nie wzywał. Ale właśnie skończyła się sekcja, ciało wyjeżdża z sali. Krzysztof patrzy na niebieskie prześcieradło. Nagle wysuwają się spod niego ciemne włosy i fragment twarzy.

– To ona – mówi do siebie. Odwraca się, znowu płacze.

Nie wie, co powie Jadwidze. Ona cały czas wierzy, że córka zaraz wróci. Krzysztof zresztą też wpatrywał się w drzwi, jakby miała się w nich pojawić. Ból, gdy dociera do nich, że tak się nie stanie, jest nie do zniesienia.

*

Długie, ciemne włosy Małgosi znów są uczesane. Odświętna sukienka, kremowe buty na niewielkim obcasie, Jadwiga wiesza na jej szyi perełki. Do trumny wkłada jeszcze książeczkę z Pierwszej Komunii i plastikowe kwiaty.

Kościół jest pełen, wokół grobu też tłum. Rodzina, koledzy ze szkoły, sąsiedzi, mieszkańcy Jelcza, zwykli ciekawscy. O śmierci dziewczyny napisano w lokalnej gazecie. Niby anonimowo, ale niektórzy kojarzyli ją albo jej rodziców. Plotki krążą zresztą po Jelczu i Miłoszycach, nie ma chyba nikogo, kto nie słyszałby o brutalnej zbrodni. Coraz to pojawiają się kolejne wstrząsające

szczegóły, w których prawdziwość nie wnukano. Chętnie jednak powtarzano, że została zgwałcona butelką albo petardą.

Usypany z ziemi grób szczelnie zasłaniają kwiaty. Po pogrzebie koledzy Małgosi ze szkoły robią sobie przed nim zdjęcie.

Wszyscy się rozchodzą, kiedy do Jadwigi podchodzi nieznajoma.

– Niech się pani przejdzie po Miłoszycach – mówi. – Matce ludzie powiedzą, kto jest mordercą.

Rozdział 4

MILCZENIE

Nie rozumieją, jak to możliwe, że tyle osób bawiło się w Miłoszycach, ale nikt nie zareagował. Przecież widzieli ją z tymi chłopakami, musieli słyszeć krzyki Małgosi. Do tego jej koleżanki wróciły jakby nigdy nic do domu. Zabrały tylko kurtkę.

Rodzice pojąć tego nie mogą. Iwona taka niby przyjaciółka, a spać sobie poszła.

I czy naprawdę nikt nic nie słyszał? Kilka godzin im córkę maltretowali, a przecież tam wokół mieszkali ludzie. A ile domów jeszcze minęli, zanim tam doszli? Rodzice odwiedzają każdy. Pukają też do drzwi tych, o których słyszeli, że mogą coś wiedzieć. Ale wypierają się jedni po drugich.

Dlaczego nikt nie chce powiedzieć, kto zabił im córkę? Rodzice Małgosi czują, że mieszkańcy Miłoszyc coś przed nimi ukrywają. Może kogoś chronią?

Jadwiga niemal błaga, by powiedzieli prawdę, przecież muszą mieć jakieś informacje. Tak jej się ręce trzęsą, że nie potrafi nawet posłodzić herbaty, którą jej podają.

Ludziom żal jest rodziców, ale z każdymi odwiedzinami mają ich coraz bardziej dosyć. Bo ile można się tłumaczyć, że nic się nie wie? Nie wszyscy już nawet otwierają drzwi.

Jadwiga i Krzysztof są coraz bardziej przekonani, że w Miłoszycach panuje zмова milczenia.

*

Funkcjonariusze z Jelcza tak zmasakrowanych zwłok wcześniej nie widzieli. Gwałty im się zdarzały, jednak nic równie okrutnego. Nie są zaskoczeni, gdy prokuratura przekazuje sprawę Komendzie Wojewódzkiej Policji we Wrocławiu. Dostaje ją nadkomisarz Zbigniew P. Rosły, z zaciętą twarzą, budzi strach samym wyglądem. Ma opinię doświadczonego śledczego. Z wykształcenia prawnik, od lat zajmuje się morderstwami. Do Wrocławia przeszedł z Jeleniej Góry, gdzie też pracował w wydziale dochodzeniowym. A do tego jest kawalerem, więc nie spieszy mu się, żeby wracać do domu.

Do pomocy przydzielono mu Bogusława R. Zaczynał karierę w wywiadowcach jako nieumundurowany funkcjonariusz, jeden z tych, którzy patrolują miasto. Później przeszedł do dochodzeniówki, był tam kierowcą. Na kryminalnego ściągnął go nowy naczelnik wydziału. Obydwaj zaczęli pracę w marcu 1996 roku. Dziwiono się nawet, że Miłoszyc nie dano komuś bardziej doświadczonemu.

Ale wszystkim i tak kierował Zbigniew P.

– Pracujemy nad tym, żeby jak najszybciej znaleźć sprawców – mówi rodzicom Małgosi. Dzwonią co kilka dni. Nie słyszą żadnych konkretów. Pytają jeszcze na komisariacie w Jelczu, ale dowiadują się tylko, że tamtejsi policjanci nie są na bieżąco, bo sprawą kieruje Wrocław.

Na jeliczańską komendę i tak chodzą regularnie, żeby powiedzieć, czego sami się dowiedzieli.

Że ten, co prowadził Małgosię, był przyjezdny i odwiedzał kogoś w Miłoszycach. Jak zapytali o niego kobietę, która o nim wspominała, spuściła wzrok, może wiedzieć coś więcej.

Ludzie gadali też o takim jednym, że tańczył z Małgością. Wprawdzie zaprzeczył, jak do niego zadzwonili, ale może boi się przyznać.

A dziewczyna z osiedla słyszała w Miłoszycach krzyk dziewczyny.

Jeszcze tego samego dnia, kiedy składają to ostatnie zawiadomienie, Jadwiga dzwoni w panice do nadkomisarza Zbigniewa P.

– Ojciec tej dziewczyny jeździ za mną samochodem i ma zamiar mnie zamordować – mówi. Nadkomisarz P. uspokaja ją, że policjanci jeszcze nawet nie rozmawiali z tą rodziną. Zaraz każe ich przesłuchać.

Okazuje się, że dziewczyna nigdy nie była na dyskotecę w Miłoszycach. Nie ma pojęcia, skąd wzięła się taka pogłoska.

Ale rodzice Małgosi wiedzą swoje. Są przekonani, że ktoś chce ich zastraszyć, że inni kłamią.

Sąsiad R. na przykład nie otworzył im drzwi, kiedy pukali do niego w noworoczny poranek. Myśleli, że go nie ma. A potem w gazecie przeczytali, że widział ich rano na swoim podwórku. To dlaczego z nimi nie porozmawiał?

Albo skąd Iwona wiedziała, żeby iść na podwórko R. Bo to ona im je pokazała.

No i te ślady na śniegu. Jadwiga jest pewna, że żadne nie prowadziły do furtki, którą wychodzi się z posesji. A to oznacza, że i sprawca z niej nie wyszedł. Przecież rano nie padał już śnieg, więc nie mógł niczego zasypać.

Rodzice Małgosi są pewni: ludzie wiedzą znacznie więcej, niż mówią.

Rozdział 5

ŚLEDZTWO

Renata Procyk, prokurator z Oławy, która 2 stycznia przejęła dochodzenie, początkowo nie udzielała dziennikarzom żadnych informacji. Milczenie tłumaczyła „dobrem śledztwa i szczególnym charakterem sprawy”. Szybko jednak zmieniła taktykę, bo „rozgłos może pomóc dotrzeć do świadków”. O pomoc poprosiła nie tylko dziennikarzy. Także proboszczów okolicznych parafii. W połowie stycznia z ambon zaapelowali, by każdy, kto ma jakiegokolwiek informacje, zgłaszał się do organów ścigania.

– W przypadku zawężenia grona podejrzanych wytypowanie spośród nich sprawcy czy sprawców będzie tylko kwestią czasu, albowiem na miejscu przestępstwa znaleźliśmy ślady, które pozwolą na udowodnienie w sposób bezsporny sprawstwa tego czynu – przekonywała Procyk.

Pod koniec stycznia 1997 roku w jej wypowiedziach czuć już coraz więcej rezygnacji.

„Czekamy na każdy sygnał, który pozwoli zidentyfikować sprawcę. Może być także anonimowy telefon lub list – apelowała

w „Wiadomościach Oławskich” – Dowiedziałam się, że rodzice zabronili mówić dzieciom, co się wydarzyło w Miłoszycach”.

Media podłapały tę wypowiedź. *Zmowa milczenia trwa, Przeciw murowi milczenia, Grzech milczenia, W Miłoszycach cisza trwa.*

Już na początku stycznia do Miłoszyc przyjechali Marcin Rybak z „Wyborczej”, Jerzy Kamiński z „Wiadomości Oławskich” i Jolanta Krysowata z Radia Wrocław. W pierwszych publikacjach powtarzali informację, że tuż przed śmiercią Małgosia odeszła z Alcatraz w towarzystwie dwóch chłopaków, z których jeden miał na imię Irek.

Innych newsów nie było.

Może więc faktycznie mieszkańcy Miłoszyc coś ukrywają?

Dziennikarze w kolejnych publikacjach przypominali, że świadkowie zapamiętali chłopaka ściętego na grzybka i drugiego w okularach, przedrukowywali rysunki zaginionych butów Małgosi i biżuterii, a od czerwca także udostępnione przez prokuraturę portrety pamięciowe. Łącznie powstały cztery, ale dwa przedstawiały tę samą twarz, tylko z inną fryzurą.

– Wtedy to nie była unikatowa historia. W latach 90. gwałty i morderstwa zdarzały się częściej niż teraz. Na dyskotekach pobicia były normą – mówi mi Jurek Kamiński, gdy po latach poznajemy się w gmachu wrocławskiego sądu. – O tej sprawie na początku było głośno głównie lokalnie.

*

Na ogólnopolskich łamach historia Małgosi z Miłoszyc konkurowała o szpalty z innymi zbrodniami. Niektóre szczegółowo opisywali sami sprawcy i sprawczynie, często bardzo młodzi.

„Bieżący rok zapowiada się rekordowo pod względem zabójstw dokonanych przez dzieci i nieletnich – rekord z 1994 roku – 51 –

w większości bez żadnych motywów i ze szczególnym okrucieństwem. Co się z nami stało?” – pytał Bronisław Maj w styczniowej kronice „Wyborczej”, po tym jak przytoczył kilkanaście przykładów okrutnych przestępstw z ostatnich tygodni.

We Wrocławiu dwie czternastolatki zadźgały nożem koleżankę z klasy. Gdy jedna ją przytrzymała, druga raz za razem wbijała w nią finkę, później już obydwie zadawały ciosy. Ciało porzuciły w krzakach nad brzegiem Ślęzy. Po zbrodni – żeby zapewnić sobie alibi – poszły do mieszkania zabitej Agnieszki. Jej mamie, która poczęstowała je herbatą, powiedziały, że potrzebują rzeczy do szkoły. Nie wytrzymały i kilka dni później same zgłosiły się na policję. Podczas wizji lokalnej dokładnie wszystko opisały. Miały zaplanowane nawet to, która z nich pierwsza zada cios. Tłumaczyły, że postanowiły zabić Agnieszkę, bo nie pasowała do ich klasy, lubiła opowiadać niestworzone historie i zachowywała się, jakby była od nich lepsza.

W Pabianicach dwóch szesnastolatków założyło się o to, który z nich jest w stanie zabić człowieka. O przekonanie. Wyszli z meliny, w której popijali alkohol, i „tulipanem” z rozbitej butelki po winie najpierw zaatakowali jednego, a potem drugiego przechodnia. Pierwszego uratowało to, że stracił przytomność, w szpitalu udało się go odratować. Drugi zmarł na miejscu. Po powrocie na imprezę Arek i Adam pokłócili się o to, kto wygrał zakład. Wpadli, bo jednego z nich rozpoznał świadek.

W Ostrowie Wielkopolskim siedemnastoletni skin w biały dzień w centrum miasta skopał na śmierć dziewczętnastolatka, a w Legionowie skini „patrolujący miasto” ciężko pobili ponad trzydzieści osób, dwie ofiary zmarły.

W Radomiu uczeń technikum i ochroniarz skopali na śmierć siedemnastoletniego Jacka, który w sylwestrowy wieczór wyszedł

na chwilę z dyskoteki.

W Krakowie zatrzymano trzynastoletniego Tomasza G. pseudonim Bandzior, któremu udowodniono kilkadziesiąt wymuszeń rozbójniczych. Ofiarom groził nożem i łańcuchami, czasami kaleczył je rozbitym szkłem, a zdobyte pieniądze wydawał na wódkę.

W tym czasie na porządku dziennym były też „dorosłe” historie gangsterskie. W styczniu media relacjonowały śmierć Apoloniusza D. z mafii wołomińskiej. Został zabity czterema strzałami w głowę, a jego zwłoki znaleziono w bagażniku samochodu. Gangi pruszkowski i wołomiński konkurowały o palmę pierwszeństwa, ale mniejszych i większych grup przestępczych było w Polsce więcej.

Gangsterzy zabijali, bo walczyli o kontrolę nad szlakami przemytu papierosów i alkoholu, rynkiem narkotyków. Czasem jednak strzelali do siebie, bo pokłócili się o dziewczynę albo w odwecie, gdy ktoś kogoś zaatakował lub upokorzył. Były porwania i wybuchające bomby. Trwała też walka o nowe strefy wpływów.

We Wrocławiu zarabiano się na ochronie dyskotek, kasyn i agencji towarzyskich. Na „bramkach” stawali bokserzy, zapaśnicy, dżudocy, karatecy. Ich liderem był Leszek C., były mistrz Polski w boksie. Najwięcej chłopaków wywodziło się z Gwardii Wrocław, wcześniej milicyjnego, a w tamtym czasie już policyjnego klubu sportowego. Wysoko w gangu bokserów byli też mistrz świata w taekwondo Piotr S. i Wiesław B. pseudonim Cygan.

Do stania na „bramkach” szybko doszły inne źródła zarobku. Zabójstwa na zlecenie, wymuszanie haraczy, handel narkotykami i kradzieże samochodów. Nie wszyscy jednak zarabiali tyle, ile zarabiała gangsterska góra. Dlatego grupa przestępców postanowiła się odłączyć i działać na własną rękę. Zaczęło się podkładanie bomb

i strzelaniny. W końcu gangsterzy stali się w swoich rozgrywkach tak bezczelni i nieostrożni, że wyłapała ich policja.

Niejeden przedstawiciel służb utrzymywał wtedy kontakty z półświatkiem. Prokuratorzy i policjanci pijali z gangsterami, czasem się dogadywali, prezenty i pieniądze pozwalały dobijać targów. Przestępcy i stróże prawa mijali się na siłowniach i dyskotekach.

Głośna w 1996 roku była historia z wrocławskiego klubu nocnego Reduta na Wzgórzu Partyzantów, który szybko stał się ulubionym miejscem spotkań lokalnego półświatka. Kierowało nim trzech gangsterów wywodzących się z policyjnej Gwardii. Funkcjonariusze od początku prowadzili tam obserwacje, ale niektórzy przychodzili się także zabawić.

Na początku marca doszło do spięcia między stałą klientelą a antyterrorystami, którzy wpadli na imprezę. Jeden z nich miał proponować „wyjście na solo”, został rozpoznany i wybuchła bijatyka. Zaczął się wtedy ponoć odgrażać, że „zrobi wjazd do lokalu w trzydzieści osób i wszystko zdemoluje”.

Kilka dni później do klubu faktycznie wpadła zamaskowana grupa. Zaczęła się regularna bójka. Czterem napastnikom ściągnięto kominiarki. W jednym rozpoznano policjanta, który groził zemstą. Zdemaskowani funkcjonariusze zaczęli uciekać. Gonili ich goście klubu, ale w pewnym momencie drogę odcięli im uzbrojeni policjanci, którzy wysiedli z zaparkowanego w pobliżu nieoznakowanego radiowożu.

Nigdy do końca nie wyjaśniono tej sprawy. Policjanci najpierw zeznawali, że działali w odwecie. Później powiedzieli, że taki był rozkaz. Właśnie dlatego w pierwszym procesie zostali uniewinnieni. W drugim skazano ich, bo uznano, że rozkaz był bezprawny

i powinni odmówić jego wykonania. Ostatecznie jednak sąd warunkowo umorzył postępowanie.

Kiedy doszło do strzelaniny, w „Wyborczej” dyżur miał Marcin Rybak. Gangsterskie porachunki opisywał później jeszcze wielokrotnie. Dopiero po latach zaczął się zastanawiać, czy wrocławski półświatek dyskotekowy nie mógł przeniknąć również do Miłoszyc, do Alcatraz.

Wtedy jednak nikt tych spraw nie łączył.

*

Najwięcej czasu zbrodni miłoszyckiej poświęca Jolanta Krysowata, dziennikarka Radia Wrocław. Najpierw przepytuje mieszkańców. Jednak wciąż opowiadają te same historie o Irku, z którym odeszła dziewczyna, i że oni nic nie widzieli. Wtedy zaczyna współpracować z prywatnym detektywem. Ale i tak wszystkie tropy prowadzą donikąd, dziennikarka czuje, że chodzi po własnych śladach.

Żal jej rodziców Małgosi. Ma poczucie, że i prokuratura, i policja nimi pomiatają. Niczego nie mogą się dowiedzieć, ich wnioski są ignorowane. Dziennikarka też jest w stanie wydusić ze śledczych tylko lakoniczne wypowiedzi.

Krysowata robi kolejne materiały, żeby o sprawie nie zapomniano. Nie tylko dla radia, lecz także gazet i telewizji. Ale chce pomóc skuteczniej, dlatego zagaduje znajomą adwokatkę. To mecenas Ewa Szymecka. Po sześciu miesiącach śledztwa, w którym niewiele się już dzieje, reporterka opowiada jej historię rodziców Małgosi. Prawniczka jest oburzona. Nie dość, że stracili córkę, to jeszcze system traktuje ich jak intruzów.

Proponuje, że nieodpłatnie zostanie ich pełnomocniczką.

Tak, rodzice Małgosi się zgadzają, przyda im się każda pomoc.

Szymecka słyszała sporo o sprawie miłoszyckiej, ale potrzebuje szczegółów. Jak tylko rodzice dali jej upoważnienie, prosi o dostęp do akt. Prokuratura przeciąga odpowiedź tak długo, jak się tylko da.

W tym czasie dziennikarze coraz rzadziej wracają do niewyjaśnionej zbrodni. Są inne tematy. Niedługo wybory.

W końcu prokurator informuje Szymecką, że może się zapoznać z aktami. Jednak nie daje jej całości.

– Czytałam je i byłam coraz bardziej wściekła – mówi mi, kiedy spotykamy się dwadzieścia jeden lat później. Rozmawiałyśmy już kilka razy przez telefon, teraz odwiedzam ją w kancelarii. Biuro urządziła na piętrze swojego domu rodzinnego w willowej dzielnicy na południu Wrocławia. Nadal pracuje jako adwokatka.

Siedzimy w sporym gabinecie z balkonem. Mecenas Ewa Szymecka, blondynka w średnim wieku, zajmuje fotel za dużym drewnianym biurkiem zawałonym papierami.

– Pali pani? – pyta i, nie czekając na odpowiedź, zapala papierosa.

– Nigdy nie widziałam, żeby prokuratura miała tak mało empatii dla poszkodowanych. Na jedną z kolejnych próśb ojca Małgosi prokurator odpowiedział, że trzeba było córki nie wypuszczać na dyskotekę. Jakby piętnastoletnią dziewczynę można było zamknąć w klatce. Wszystkie dzieciaki tam pojechały i wszystkie wróciły, tylko nie Małgosia – opowiada, a w jej głosie słyszę złość. Mimo upływu czasu ta sprawa dalej w niej siedzi. Rzuca nazwiskami, przywołuje wątpliwości, jakby ledwo skończyła czytać akta.

– Nie wiem, czy ktoś w tej sprawie mataczył, ale nie wyglądało to dobrze. Mogę tylko stawiać hipotezy, że miały z tym coś wspólnego osoby powiązane ze światem przestępczym. A może ktoś z kontaktami w prokuraturze czy policji. To były lata 90., takie rzeczy się zdarzały – mówi.

– A może sprawców nie udało się znaleźć przez bałaganiarstwo, brak kompetencji?

– Musielibyśmy mówić o zaniedbaniach policji, prokuratury i biegłych jednocześnie. Czy to możliwe, że nikt nie wykonywał dobrze swojej pracy? Oczywiście tak, ale czy jest to prawdopodobne? Faktem jest jednak, że od początku nikt w tej sprawie nie zachowywał się tak, jakby mu zależało na jej wyjaśnieniu.

*

Śledztwo zaczęło się od przesłuchania mieszkańców domów w pobliżu miejsca zbrodni.

Nikt się nie przyznał, że widział, jak zgwałcono Małgosię. Członkowie rodzin R. i C. zarzekali się, że nie słyszeli żadnych podejrzanych dźwięków. Nawet Roki, uwiązany do stodoły pies, który zwykle ujada na obcych, tej nocy nie szczekał.

Dwóch chłopaków prowadzących jakąś dziewczynę widziała za to ich najbliższa sąsiadka, Kazimiera Ł. Wypatrywała swojego syna Irka (nawet go sprawdzano, ale szybko wykluczono z grona podejrzanych), kiedy szli z nią w stronę posesji R. Po chwili zasłoniły ich budynki. Nie była pewna, czy to ta ze zdjęcia, tak dobrze jej się nie przyjrzała. Wydaje jej się jednak, że tych chłopaków widziała już chwilę wcześniej, jak szli od strony podwórka R. do świetlicy. Nieśli jakieś butelki.

Jeden był ubrany w charakterystyczną cytrynową kurtkę, dlatego sądzi, że to ten sam.

Krystyna, z której działki widać podwórko pomiędzy domami rodzin R. i C., po północy patrzyła za córką. Właśnie wyjeżdżała z chłopakiem do kolegi do Jelcza. Wtedy zobaczyła, że ulicą Ogrodową idą trzy osoby. Dwóch chłopaków prowadziło

dziewczynę. Zapamiętała, że była ubrana w czarną sukienkę, a ręce miała skrzyżowane na piersiach tak, jakby jej było zimno. Jeden chłopak był jej wzrostu, drugi wyższy. Dokąd poszli? Tego już nie widziała. Odeszła od okna.

Jej córka Agnieszka przed drugą wróciła do domu. Zauważyła, że na podwórku R. kręcą się jacyś ludzie. Przy płocie mignęły jej sylwetki dwóch chłopaków. Żadnej dziewczyny nie widziała, ale słyszała jej krzyk.

„Bawią się” – pomyślała i weszła do domu.

Krzyki dochodzące z podwórka słyszał też Marek mieszkający naprzeciwko miejsca zbrodni, po drugiej stronie ulicy. Jakaś młoda dziewczyna wrzeszczała: „Mamo, mamo”. Pomyślał, że to Józek wymierza sprawiedliwość córce. Co się dziwić, przecież miała piętnaście lat, a już była w ciąży.

Nikt nie zareagował.

Nikt – tak wszyscy tłumaczyli policjantom – nie zdawał sobie sprawy, że dzieje się coś złego.

*

Mieszkańcy mają już dosyć, że są wiązani z tą historią, więc zamiast nazwisk stawiam litery.

Ł. N. C.

Patrzę na mapę, rekonstruuje trasę, którą przeszli z Małgosią sprawcy.

Z dyskoteki musieli najpierw iść Kościelną (to równoległa do Głównej) aż do Wrocławskiej. Potem skręcili w Ogrodową. Zanim dotarli do miejsca zbrodni, przeszli jeszcze obok podwórka C. To krewni i sąsiedzi R., podzielili się jedną działką budowlaną. Samego miejsca zbrodni, znajdującego się za stojącą w samym

środku działki stodołą, nie widać z okien domu C. Z okien domu R. też nie.

C. tłumaczyli, że im widok zasłaniały drzewa. I faktycznie rosną gęsto. Jak wyglądały przed laty – nie wiem. C. powtarzali zresztą, że w nocy, gdy zamordowano Małgosię, głównie oglądali telewizję albo zajmowali się wnuczką, bo jej rodzice pojechali na sylwestra do Kędzierzyna-Koźła. Młodsza córka urządziła akurat urodziny, potem poszła spać. Gdy pukam do nich teraz, słyszę to samo: – Naprawdę nic nie widzieliśmy.

Posesja rodziny R. sąsiaduje również z podwórką rodziny Ł. To tam mieszkał Irek, ten wykluczony z grona podejrzanych, z mamą Ireną.

Kiedy po latach odwiedzam dom Ł., wita mnie na progu starsza niedosłyszająca kobieta. Od razu pokazuje towarzyszącemu mi fotoreporterowi, gdzie najlepiej zrobić zdjęcia. Tylko niech na psa uważa, gryzie. U niej wiele telewizji już było, bo R. nikogo nie wpuszczają. Ona pokazać może, ale do powiedzenia nic nie ma. Moich pytań nawet nie słyszy.

W domu N. – to z tego domu matka patrząca na odjazd córki dostrzegła chłopaków idących z dziewczyną – działa teraz firma. Można z niego zobaczyć kawałek podwórka, gdzie doszło do zbrodni. Ale nie nocą, w ciemności.

R. i C. podpowiadali, że wśród sprawców musiał być ktoś miejscowy. Ktoś, kto znał przejście przez posesję R. Mieszkańcy Miłoszyc skracali sobie tamtędy drogę z Kościelnej na Ogrodową. Szczególnie ci, co się znali z R. Dużo ich było, bo babcia Maria sprzedawała miejscowym biber, który sama pędziła. Miała wielu stałych klientów. Ale tamtego sylwestra ponoć szybko zamknęła interes.

*

W tamtą sylwestrową noc dom R. był pełen ludzi. Na podstawie zeznań próbuję odtworzyć, co robili. Notuję imiona i powiązania.

Na co dzień przy Kościelnej mieszkała nestorka rodu Maria, jej syn Józef z żoną Danutą i ich trzy córki – trzyletnia Iza, piętnastoletnia Kamila i szesnastoletnia Kasia.

Od listopada był też u nich Karol, kolega Józka z pracy w Niemczech. Razem przyjechali do Polski na przerwę świąteczną.

Na noc został również Zygmunt, chłopak Kamili. Ojciec jej dziecka. Wpadli ledwo po kilku miesiącach znajomości, on wynajął pokój u babci Kamili od strony matki, która mieszkała w Jelczu, tak się poznali. Był osiem lat starszy, miał dwadzieścia cztery lata. Ona właśnie zaczynała chodzić do zawodówki.

Rodzice nie byli zachwyceni, kiedy się dowiedzieli o ciąży, wstyd na całą wieś. Szczególnie matka Kamili nie lubiła Zygmunta. Wcześniej siedział w więzieniu za pobicie, a jeszcze córkę od nauki odciągał. Ale co mieli zrobić? Stało się.

Kamila wiedziała, że jak będzie trzeba, matka jej pomoże z dzieckiem, może nawet uda jej się szkołę skończyć. A ojca i tak prawie nie było w domu. Wydawało się zresztą, że przyzwyczajają się do Zygmunta, tata szczególnie, jak razem opróżniali flaszkę. Rodzice tylko wciąż krzywo patrzyli, że śpią w jednym łóżku.

Na sylwestra Zygmunt przyjechał do Miłoszyc ze swoim młodszym bratem Marcinem.

Tej nocy był u nich jeszcze Paweł, chłopak Kaśki, którego poznała w szkole z internatem. Nad ranem w Nowy Rok wrócił do siebie.

Rodzice sylwestra spędzili w domu. Rozmawiali, pili wódkę, nic szczególnego. Babcia była w swoim pokoju. Dziewczyny poszły na osiemnastkę do kuzynki i sąsiadki, Moniki C. Mieszkała

z rodzicami, starszą siostrą, jej mężem oraz dziećmi. Zaraz za stodołą jest furтка, zawsze otwarta, przechodzi się przez nią i już się jest u C. Ale mimo to rodziny nie utrzymują bliskich kontaktów. Tylko dziewczyny spotykają się od czasu do czasu.

Kaśka umówiła się z Pawłem, że pójdą na urodziny razem. Mieli wyjść o dwudziestej, ale Paweł się spóźnił. Dzwonił, że coś mu wypadło, więc na niego nie czekała, poszła z Kamilą.

Kamila początkowo wcale nie chciała iść. Nie przepadała za Moniką, ale w końcu to kuzynka.

Zygmunt został w domu, z rodzicami. Źle by się czuł w towarzystwie nastoletnich dziewczyn. Kilka ich tam było, popijały malibu z mlekiem i rozmawiały. Żadnych szaleństw, rodzice oglądali telewizję na dole, w domu były jeszcze dzieci siostry, która razem z mężem pojechała na zabawę do Kędzierzyna.

Paweł dotarł na imprezę po godzinie albo dwóch. Dzwonił wcześniej od R., żeby ktoś po niego przyszedł, bo sam nie trafi.

O północy wszyscy wyszli na podwórko, żeby odpalić petardy. Spotkali dwie znajome dziewczyny z Miłoszyc, które odprowadzały koleżankę do domu. Wisiała im na szyjach i tylko przebierała nogami. Wyglądała, jakby była nieprzytomna. Złożyli im życzenia i tamte zaraz poszły. Zimno było, ale nawet kurtek nie miały na sobie.

Kaśka, Kamila i Paweł zaraz też poszli z powrotem do domu, żeby złożyć życzenia rodzicom.

Danuta z Józefem, Zygmuntem i Marcinem stali na ganku, oglądając fajerwerki. Karol został w domu, żeby pilnować małej Izy. Babcia szykowała się już do snu w swoim pokoju.

Zauważyli, że przy płocie kręci się dwóch chłopaków. Zbyszka z Miłoszyc – „Gruby” go nazywali – kojarzyli. Ale kim był ten drugi? R. nie wiedzieli.

Wszedł na ich podwórko jak do siebie. Zabrał schowaną wcześniej za ich płotem butelkę wódki, może nawet dwie. Chyba sok jeszcze był. „Co to jest, przechowalnia?” – burknął pod nosem Józek, a Kaśka krzyknęła: „Dawno chyba kopa nie dostałeś, co ty tu robisz?”

*

Paweł, chłopak Kaśki, się nie odezwał, chociaż wiedział, kim jest nieznajomy. Dopiero później przyznał, że sam mu powiedział, że może zostawić rower na podwórku R.

Ale znał go tylko z widzenia. Tego wieczora spotkali się przypadkowo przed monopolowym w Jelczu.

Miał na imię Irek.

Irek był już wtedy pijany, ale kupił jeszcze trzy butelki wódki i sok pomarańczowy na zapitkę. Paweł powiedział mu, że w Miłoszycach jest dyskoteka. Irek nie miał żadnych konkretnych planów, wcześniej pokłócił się z żoną, z którą miał spędzać sylwestra, więc się z nim zabrał. Jechali rowerami. Na koniec kawałek je prowadzili, bo Irek był już tak pijany, że się przewracał. Na miejscu każdy poszedł w swoją stronę. Paweł na urodziny do Moniki, Irek, kiedy już zostawił rower, na dyskotekę.

*

Kaśka z Pawłem złożyli życzenia rodzicom i poszli do Alcatraz. Na bramce nikt już nie stał, więc można było wejść bez płacenia. I kurtek do szatni też nie przyjmowali, bo wszystkie wieszaki były zajęte. Paweł poszedł odnieść je do domu. Kiedy tam dotarł, powiedział, że wyskoczy jeszcze po wódkę do meliny, ale wrócił

z pustymi rękami i poszedł na dyskotekę. Potem do domu R. wracał jeszcze kilka razy. Tłumaczył Kaśce, że boli go ząb i musi go płuścić.

Około pierwszej na dyskotekę wyszli także Kamila, Zygmunt i Marcin. Kamila z Zygmuntem długo jednak nie zabawili, wrócili po godzinie.

– Nie ma co tam robić, wszyscy są już pijani – powiedziała rodzicom po powrocie.

Kamila nie piła alkoholu, była przecież w ciąży. Poza tym źle znosiła imprezy. Miała poczucie, że ludzie gapią się na jej brzuch, że gadają za jej plecami.

Poszła spać. Zapamiętała, że Zygmunt położył się obok niej, w ubraniu.

Kaśka, Paweł i Marcin do domu przyszedli dopiero po czwartej, gdy zabawa już się kończyła.

Za nimi szedł Irek, ten od roweru. Kaśka najpierw się przestraszyła, że ktoś się za nimi skrada, ale Paweł ją uspokoił. Zaraz weszli do domu, nie widzieli już, jak odjeżdża.

Paweł posiedział jeszcze chwilę, herbaty się napił i wyruszył do domu. Reszta położyła się spać.

Wszyscy zeznali później, że nie znali zamordowanej dziewczyny ani nie widzieli jej tamtej nocy.

*

Dopiero 7 stycznia policjanci przeszukali budynki gospodarcze na podwórku R.

W kuchni letniej, która znajdowała się tuż obok stodoły, zabezpieczyli szufladę komody z ciemnobrunatnymi plamami na dnie i kawałek wykładziny, który był tak samo zabarwiony. Wzięli narzutę na wersalkę, wycięli fragment obicia. Zabrali też srebrną biżuterię, którą znaleźli w szufladzie.

– Te wisiorki zaraz oddano R., chociaż Małgosia miała podobne – przypomina sobie mecenas Szymecka.

Matka Małgosi najpierw powiedziała, że to nie te, że jej córka nosiła inne, ale potem chciała je drugi raz zobaczyć, żeby się upewnić.

Kiedy policja poprosiła R. o ich zwrot, powiedzieli, że się zgubiły.

– Tam zresztą było więcej takich kwiatków – opowiada Szymecka.

I wylicza, że goście R. zeznali, że poszli po bimber na drugi koniec wioski. Ale to przecież u nich w domu była melina.

Na ich podwórku znaleziono puste butelki po wódce, ale nikt ich nie zbadał.

Mówiło się też, że zaraz po sylwestrze odmalowali letnią kuchnię.

W aktach znajduję anonimowy list, który 8 marca 1997 roku dostała prowadząca sprawę prokuratorka Procyk.

„Powracam do morderstwa dziewczyny w noc sylwestrową w Miłoszycach – napisał ktoś ręcznym pismem na białej kartce. – Może jakiś wątek będzie przydatny dla Pani w prowadzonym śledztwie. Otóż z początkiem stycznia spotkałem na ulicy starego dobrego znajomego mieszkającego w Miłoszycach. I w spontanicznej rozmowie o wydarzeniu morderstwa, określił to tak, że ta posesja, na której znaleziono ciało zamordowanej, była szeroko znana z działalności meliniarskiej i sutenerstwa. O każdej porze doby można było tam kupić i wypić gorzałkę, także była dostępna zakąska w postaci wyrobów mięsnych. Dziewczyny uczestniczyły miejscowe, jak i wywożone przez znanych tam amatorów. Miejscem tych rozkoszy była niby tzw. kuchnia letnia z piecem i tapczanem mieszcząca się w budynku gospodarczym stojącym obok właściwego domu. I po tej tragedii pomieszczenie to było generalnie wysprzątane i wymyte, co daje podejrzenie, że tragedia stała się właśnie tam. Gospodarz lubiał uczestniczyć

w libacjach i wraz ze swoimi synami mogli być świadkami lub nawet uczestnikami przebiegu wydarzenia. Z racji bezpieczeństwa nie ujawniam danych personalnych. Życzę powodzenia”

R. zaprzeczali, że odmalowali letnią kuchnię. Skarżyli się za to na głuchoe telefony, które nie przestawały dzwonić nawet w nocy.

*

Rodzice Małgosi obok stodoły R., tam gdzie znaleziono jej zwłoki, postawili krzyż. Chcieli, żeby paliły się przy nim znicze. Józek na nich krzyczał, że mu chcą stodołę spalić. Następnym razem ustawili je trochę dalej od ściany.

Józka denerwowały te pojawiające się znicze, mówił, że jego córki źle je znosiły. Zima, ciemno i tylko te płomienie widać. Człowiek się czuł jak na cmentarzu. A przecież świeżo miał w głowie obraz dziewczyny, która tam leżała. Dlatego jak znowu zobaczył rodziców, to nerwy mu puściły i ich zwyzywał.

Oni poskarżyli się policji.

Sąd zajął się sprawą i w uproszczonym postępowaniu, bez wzywania świadków, skazał Józefa na 300 złotych grzywny. R. odwołał się od wyroku, ale na rozprawę już nie przyszedł, bo wyjechał do pracy do Niemiec.

– Od kiedy nam wygrażał, już tam nie chodzimy – mówił po decyzji sądu Krzysztof. – Mieszkańcy Miłoszyc ciągle ostrzegali nas, żeby tam nie chodzić. Coś w tym musiało być.

*

Szymecka raz po raz wraca w swojej historii do rodziny R. Czy naprawdę nikt nic nie widział? Albo u spokrewnionych z nimi C. To

pomiędzy ich domami doszło do zbrodni. R. widok zasłaniała stodoła, ale C. mogli coś widzieć. Albo słyszeć.

Siedzimy w gabinecie prawniczki kolejną godzinę, Szymecka ciągnie wyliczankę osób, które mogły coś ukrywać.

Pamięta wątpliwości dotyczące Sławomira B. To zięć C., mąż ich starszej córki. Zeznali, że nie było go tamtej nocy, bo razem z żoną pojechał na imprezę do Kędzierzyna-Koźła. Do dowodów dołączono zdjęcia z imprezy.

– Krysowata się doszukała, że takie dekoracje były w Kędzierzynie w sylwestra rok wcześniej, a w 1996 mieli już inne – opowiada Szymecka.

Znajomi potwierdzili jednak alibi Sławomira B., a on sam poddał się dobrowolnie badaniom DNA, które go wykluczyły z grona podejrzanych.

Ale nie wszyscy dali wiarę, że rzetelnie go sprawdzono. Bo Sławomir B. był policjantem, pracował we Wrocławiu. Później został szefem wrocławskiego oddziału Centralnego Biura Śledczego.

Szczególnie jego zachowanie w pierwszych dniach po śmierci Małgosi budziło wątpliwości. Kilka dni po sylwestrze mówił ludziom, żeby nie interesowali się już tą sprawą, bo zatrzymano dwóch sprawców. Ale to nie była prawda. Sławomir B. tłumaczył potem, że mówił tak, żeby zniechęcić natrętów, był zmęczony ciągłymi pytaniami.

Ludzie zapamiętali jeszcze, że po sylwestrze miał ranę na rękę. B. tłumaczył się, że to był wypadek w pracy, ślad po zatrzymaniu agresywnego przestępcy.

Śledczym takie wytłumaczenie wystarczyło. Niczego więcej nie sprawdzano.

– W tej sprawie wszystko robiło się właśnie tak, na odwal – pointuje mecenas Szymecka.

Rozdział 6

PODEJRZANI

W zeznaniach najczęściej powtarzało się jedno imię – Irek. Szybko się rozniosło, że tak się przedstawił sprawca, szeptali o nim już uczestnicy zbiegowiska wokół miejsca znalezienia zwłok.

Policjanci też zaraz zaczęli szukać Irka.

Najszybciej znaleźli Ireneusza P. Nie było to skomplikowane, był didżejem w Alcatraz, także tamtej nocy, kiedy zamordowano Małgosię. Mieszkał w Miłoszycach.

Na co dzień – jak zeznał policji – pracował jako akwizytor we Wrocławiu. Pewnego razu szef zapytał go, czy nie mógłby czasem puszczać muzyki na dyskotecę, bo wynajął właśnie świetlicę w Miłoszycach i chce urządzać tam imprezy. Ireneusz pracował już wcześniej jako didżej. Zgodził się, to przecież dodatkowe pieniądze.

Sylwester w Alcatraz? To była dyskoteka jak zwykle, tyle że przyszło więcej ludzi.

Czy coś zwróciło jego szczególną uwagę?

Nie, chociaż zdarzyła się jedna dziwna sytuacja. Około pierwszej podszedł do niego nieznajomy chłopak, blondyn obcięty

na grzybka. Uderzył go w twarz.

Dlaczego?

Ireneusz nie wiedział.

Szukali go potem z ochroniarzem, bez skutku.

Policjanci szybko porzucili wątek didżeja. Najpierw puszczał muzykę, potem się trochę upił i zastąpił go kolega, Mariusz. Przerwy spędzał z żoną i bratem. Siedzieli na scenie razem z rodziną szefa. Ze świetlicy nie wychodził. Kiedy skończyła się impreza, szef odwiózł go razem z żoną do domu. Nie mógłby niezauważony zniknąć na dłużej.

Ale był jeszcze jeden Irek.

*

Sierżant sztabowy Wiesław Wiśniewski z komisariatu w Jelczu zanotował, że Ireneusz M. urodził się 24 czerwca 1975 roku, że pracuje jako ślusarz w Jelczu i mieszka w Piekarach z żoną i dwójką dzieci w wieku półtora i dwa i pół roku. Przesłuchiwał Ireneusza 4 stycznia, wyrecytował mu formułkę o odpowiedzialności karnej za składanie fałszywych zeznań i zatajanie prawdy, a potem przeszedł do pytań o sylwestra w Alcatraz.

Ireneusz M. zeznał, że tamtego dnia dostał wypłatę, więc zaraz po pracy poszedł się napić ze znajomymi. Odwiedził jeszcze żonę, która pracowała w sklepie w Jelczu. Była zła, że się upił. Kiedy wrócili do domu w Piekarach, mocno się o to posprzeczali. Mieli spędzić wieczór razem ze znajomymi, ale Ireneusz wyszedł zdenerwowany i na rowerze pojechał z powrotem do Jelcza.

Chciał iść na dyskotekę do gminnego ośrodka kultury, ale tego wieczora odbywała się tam impreza zamknięta. Podjechał pod monopolowy, żeby kupić więcej wódki. Wziął trzy butelki

Gangstera, z groźnym profilem na etykiecie, 0,7 litra każda. Do tego dwa pomarańczowe soki w plastikach.

Przed sklepem spotkał znajomego, Romana.

Rozmawiali, kiedy podszedł do nich jakiś chłopak. Roman go znał, Irek nie bardzo, ale potem się okazało, że nieznajomy koleguje się z jego młodszym bratem Mirkiem.

Też już go poznaliśmy. To Paweł, chłopak Katarzyny R.

Irka M. też znamy – to on pojawił się niespodziewanie na podwórku R. po rower i butelki wódki.

Paweł powiedział mu, że w Alcatraz w Miłoszycach jest dyskoteka. Irek zabrał się z nim, była gdzieś dwudziesta druga trzydzieści, gdy dojechali na miejsce. Irek zostawił rower na podwórku R. Zapytał Pawła, czy nie trzymają tam psa, ale usłyszał, żeby wchodził. Rower postawił koło ganku, a wódkę i soki wzdłuż płotu.

Ruszył na dyskotekę. Bramkarzowi powiedział, że chce się tylko rozejrzeć, dlatego nie musiał kupować biletu. Na parkiecie spotkał znajomego, z którym kilka lat wcześniej dojeżdżał pociągiem do Wrocławia. Nie pamiętał, jak się nazywał, tylko że wołali na niego „Gruby”. Zapytał go, czy nie chce się z nim napić wódki. Razem poszli po butelkę, później na podwórko R. wracali jeszcze ze dwa razy. Wódkę pili ze znajomymi w Alcatraz, rozlewali ją do plastikowych kubków.

Ireneusz nie pamiętał nazwisk wszystkich osób, z którymi się bawił tamtej nocy. Tańczył z dziewczyną z Miłoszyc albo Dziupliny, potem znowu poszedł się napić z kolegami, kręcił się to tu, to tam. Kiedy usiadł na podeście, zobaczył, że obok leży młoda dziewczyna, a na niej chłopak. Obmacywali się i całowali, a potem zaczęli się kochać. Dziewczyna – tak zapamiętał Irek – miała czarne rajstopy

albo getry spuszczone do połowy uda i wiązane botki, z których wystawały białe skarpetki.

Chyba były w jakiś czerwony wzorek.

– Klepnałem ją w kolano, żeby sprawdzić, czy zareaguje, ale nic – opowiadał Irek. – Później siadłem na krześle i trochę odpłynąłem.

Zeznał, że na dyskotecę był do końca. Zabrał rower, do domu dojechał około piątej. Żona już spała.

Twierdził, że o śmierci Małgosi dowiedział się 2 stycznia od kolegi z pracy.

– Nie znałem tej dziewczyny – mówił.

Prokuratura zleciła przeszukanie jego domu. Nie znaleziono nic, co mogłoby być związane ze sprawą.

Później przesłuchano także „Grubego”, o którym mówił M. Pamiętał, że chodził z nim po wódkę, na pewno jeszcze ją pili, a co było dalej, to nie wie. Zasnął na stole. Potwierdziła to jego dziewczyna i znajomi.

Kiedy Szymecka przeczytała zeznania Irka, pobiegła do prokuratora.

– Tylko sprawca mógł widzieć skarpetki Małgosi. Przecież miała je schowane pod rajstopami – przekonywała mecenaska. Bardzo była z siebie dumna, gdy to odkryła.

Prokurator powiedział, że już sprawdzili Ireneusza M.

To nie on.

*

Kiedy czytam akta, czuję coraz głębszą frustrację. – Czego się spodziewałaś, to polska policja lat 90. – mówi mi znajomy prawnik.

Podpytuję starszych kolegów, szperam w archiwalnych artykułach, Google podrzuca mi stronę Mafia.pl (mafia-online.pl),

która pyta, dlaczego polska policja w latach 90. była tak nieskuteczna.

Czy policja jest bezradna – to nagłówek w jednej z gazet. Artykuł informował o kolejnych porażkach funkcjonariuszy w walce z gangami.

W listopadzie 1996 roku w „Expressie Wieczornym” można było przeczytać tekst *Policyjna bieda*.

Funkcjonariusze alarmowali, że boją się nawet brać udział w pościgach, bo niewiele samochodów ma wykupione autocasco, a w razie wypadku szef mógłby ich obciążyć kosztami. Pieniądzy nie było też na sprzęt. Zamiast 130 tys. pałek udało się kupić 5 tys., brakowało blisko 60 tys. kamizelek kuloodpornych, a zamówiono 1,6 tys., amunicji ani kajdanek nie kupiono w ogóle.

Pensje funkcjonariuszy także były marne. Część policyjnych rodzin łąpała się na dofinansowanie z funduszu socjalnego dla najuboższych. Innym niewiele brakowało.

Kolejne nagłówki były jeszcze bardziej dramatyczne: *Czy policjanci będą żebrać?*

Funkcjonariusze protestowali, przyjechali nawet pod Sejm, media obiegł potem transparent: „720 zł za służbę społeczeństwu. Czy wrócę do rodziny?”. Ale policjanci nie byli jedyni. Kolejne grupy – od pielęgniarek po nauczycieli – żądały podwyżek.

Plan Balcerowicza, który miał wprowadzić gospodarkę rynkową i pozwolić podnieść się państwu po latach komunizmu, dla wielu okazał się terapią szokową. Wolna Polska zaczęła się od szalejącej inflacji i wysokiego bezrobocia, które dopiero w kolejnych latach udało się zbić do kilkunastu procent.

Bieda sprzyjała przestępczości. Od drobnych oszustów po prowadzące szeroką działalność gangi. Plagą były napady, rozboje i kradzieże samochodów. Niedofinansowana policja nie

miała szans poradzić sobie z przestępcami, a byli i tacy, którzy dorabiali, współpracując z nimi.

W 2000 roku powstało Centralne Biuro Śledcze, które miało odmienić wizerunek policji naznaczony kolejnymi aferami. Wymiar sprawiedliwości stał się ważnym punktem politycznych sporów.

Tylko że my jesteśmy wciąż w 1997 roku.

*

Na podstawie przeczytanych zeznań próbuję rozrysować, kto z kim się bawił tamtej nocy, kto mógł wyjść niepostrzeżenie z Alcatraz. Ale w relacjach świadków znajduję wiele nieścisłości. Ten mówi, że był z tamtym, a tamten wcale o nim nie wspomina. Policja jednak nie pyta dalej, nie próbuje wyjaśnić sprzeczności, odpuszcza.

Czytam o kolejnych flaszkach wódki, winie, które krążyło po sali, i piwach wypitych w barze Panda. Lista nazwisk przesłuchiwanym uczestników dyskoteki się wydłuża. Mogłoby się wydawać, że policja prowadziła śledztwo na szeroką skalę. Ale to tylko pozory. Tak naprawdę skupiła się na sprawdzeniu dwóch chłopaków.

Jeszcze w dniu odnalezienia zwłok policjanci się dowiedzieli, że dziewczynę ostatni widzieli Andrzej i Krzysztof. Poznali ją dopiero tego wieczoru, wiele osób widziało, jak Krzysiek wyprowadza Małgosię z Alcatraz, Andrzej kręcił się wokół nich. Był też z nimi wtedy, kiedy Krzysiek po raz ostatni ją wyprowadził, tylko że ich zostawił, bo pobiegł złożyć życzenia rodzicom.

Andrzeja policjanci znaleźli od razu. Stał z matką w zbiegowisku obok domu R. Zawołał Krzysztofa. Obydwaj opowiadali o „Iрку” i tym drugim chłopaku, to oni zabrali ze sobą Małgosię.

– Uwierzyłem, że ten Irek jest jej bratem – zeznawał Krzysiek. – Wróciłem do świetlicy i do końca dyskoteki już nie wychodziłem.

Policja wzięła ich na bok. Wszyscy widzieli, że ich przepytują. A może nie? Wgapieni byli w miejsce zbrodni. Do Krzyśka i Andrzeja jeszcze nie dociera, co się właściwie stało i że są pierwszymi na liście podejrzanych. Tłumaczą policjantowi, że zamordowaną dziewczynę poznali dopiero na dyskotecce, że nic o niej nie wiedzą.

Nie mają też za wiele do powiedzenia o wyglądzie Irka i tego drugiego. Tylko tyle, że Irek był wysoki i miał jasne włosy ścięte na grzybkę. Ten drugi był niższy. Obaj młodzi. Policjant zresztą o szczegóły nie pyta, i tak zaraz ich mają przewieźć na komisariat i tam przesłuchać.

Tylko jeszcze trzeba ich poddać oględzinom lekarskim. Doktor Jerzy Kawecki, ten sam, który przeprowadzał sekcję Małgosi, zanotował otarcia naskórka na rękach i udzie Krzysztofa. Były jednak na tyle zagojone, że nie mogły według niego powstać w noc morderstwa. Nie stwierdził żadnych śladów krwi. Na ciele Andrzeja też nie znalazł niczego szczególnego. Badania ich ubrań również nic nie wykazały. Jednak w czasie przeszukania domu Krzyśka śledczy znajdą ręcznik umazany krwią.

Rozdział 7

KRZYSIEK

Jest godzina piętnasta 1 stycznia 1997 roku. Miał być na noworocznym obiedzie rodzinnym, ale Krzysiek siedzi na komisariacie w Jelczu-Laskowicach.

Przesłuchuje go sierżant sztabowy Wiesław Wiśniewski. Krzysiek opowiada, jak poznał Małgosię, jak wyprowadzał ją na zewnątrz, gdy źle się czuła, a potem oddał pod opiekę brata, który przedstawił się jako Irek. Teraz dodaje do opisu, że miał czarną ortalionową kurtkę, 170 centymetrów wzrostu i siedemnaście lat oraz ciemne włosy – wcześniej mówił, że jasne. Krzysiek nie zauważył żadnych szczególnych cech w jego wyglądzie.

Podaje jeszcze nazwiska kolegów, z którymi spędzał wieczór, i jest wolny.

Ale następnego dnia znowu zabierają go na przesłuchanie.

2 stycznia sprawą kieruje już Zbigniew P. z komendy we Wrocławiu. Dla niego Krzysiek jest postacią kluczową dla śledztwa. To przecież on ostatni widział Małgosię.

Z ich pierwszego przesłuchania nie ma protokołu. Nadkomisarz P. zrobił jedynie notatkę, w której zapisał informacje, jakie miał uzyskać od Krzysztofa. To zupełnie inna wersja zdarzeń: „Razem z Małgorzatą przeszedł ulicami Kościelną, Wrocławską i Ogrodową, cały czas ją całując. Po dojściu do bramy posesji R. i po uzyskaniu

zgody Małgorzaty na odbycie stosunku płciowego weszli na teren posesji. W pewnym momencie Krzysztof zaczął rozbierać Małgorzatę. W trakcie rozbierania Małgorzata zaczęła krzyczeć, aby ją zostawił, i wzywała matkę. Po odbyciu stosunku płciowego Krzysztof przeniósł Małgorzatę w inne miejsce obok stodoły”.

W trakcie tego przesłuchania P. kazał także narysować Krzyśkowi całą trasę i miejsce znalezienia zwłok. Krzysiek nie był dobry z rysunków, ale nakreślił przebieg ulic, rozmieszczenie budynków na posesji R. i w jej sąsiedztwie.

Potem mówił, że chciał, żeby ten policjant był zadowolony. Bał się go.

Nadkomisarz Zbigniew P. powiedział mu, że jak się przyzna, to posiedzi piętnaście lat, jeśli nie – dwadzieścia pięć. Krzyczał na niego, ciągle pytając, co zrobił z Małgošką. Mówił, żeby się przyznał. Kiedy Krzysiek milczał, bił. Dlatego odpowiadał mu cokolwiek, byle P. przestał go męczyć. Krzysiek chciał tylko wrócić do domu.

Na koniec przesłuchania jednak zaprzeczył temu, co powiedział wcześniej. Zapewniał, że wszystko przebiegało tak, jak mówił na początku: Małgosia odeszła spod Alcatraz z chłopakiem, który nazywał się Irek.

Ale notatka, że wcześniej przyznał się do seksu z Małgorzatą, wystarczyła, by zatrzymać Krzyśka na dwadzieścia cztery godziny. W areszcie niejeden mięknie. Zawsze takiemu można coś obiecać. Wolą się więc przyznać, byle kara była mniejsza.

Ale Krzysiek trzyma się pierwotnej wersji swoich zeznań. Nic nowego na niego nie znajdują. Do tego krew z ręcznika znalezionej w jego domu należała do kolegi. Ktoś go pobił, więc się w niego wytarł. Muszą wypuścić chłopaka. Ale wciąż wzywają go na przesłuchania.

Krzysiek czuje na sobie spojrzenia kolegów, kiedy radiowóz przyjeżdża po niego do szkoły. Co oni sobie pomyślą? Będą go mieli za mordercę. Krzyśka ściska w brzuchu. Coraz bardziej się boi, że tym razem zamkną go na dobre.

*

Kiedy ojciec Krzysztofa po raz pierwszy przyjechał po niego na komisariat, chłopak był w takim stanie, że upadł i stracił przytomność. Kiedy ją odzyskał, opowiadał, jak nadkomisarz P. rzucił go z krzesła i bił. Ojciec zawiózł go do szpitala, lekarze stwierdzili uraz głowy.

Ojciec Krzysztofa poszedł na skargę do prokuratury w Oławie. Ale tam tylko się śmiali. Powiedzieli, żeby wracał do domu. Tylko syn miał zostać, żeby mogli spisać jego zeznania. I tak je spisali, że wszystko, co powiedział przy ojcu, kazali mu wycofać, bo „z policją się nie wygra”

Ojciec Krzyśka poszedł też złożyć skargę do wrocławskiej komendy. Usłyszał: „P. był zdenerwowany, to bił”

*

Krzysiek w kolejnych zeznaniach powtarzał historię spotkania z Małgosią. Ale dodawał coraz to nowe szczegóły. Co mówiła, kto się wokół nich kręcił. Coraz dokładniej opisywał wygląd chłopaków, z którymi miała opuścić dyskotekę. Na początku twierdził, że nie potrafi sobie przypomnieć twarzy Irka. Następnym razem podawał dokładny opis jego oczu, nosa i uszu.

Kiedy policjanci go dopytywali, czemu ciągle zmienia zeznania, odpowiadał, że już sam nic nie wie. Przyznał jednak, że podawał

różne godziny, kiedy ostatni raz widział Małgosię, żeby pasowały do tego, co mówili inni świadkowie.

– Bałem się, że mnie wrobią – tłumaczył. Ale kto miałby go wrobić, nie mówił. Powtarzał tylko, że jest niewinny.

– W Miłoszycach mnie znają i gdybym szedł z Goską, to byłbym rozpoznany – przekonywał prokuratorkę Renatę Procyk.

Jego koledzy pamiętali, że bawił się z jakąś dziewczyną, chwalił się nawet później, jaka fajna była. I na chwilę gdzieś zniknął. Ale już o pierwszej byli razem w barze Panda.

Małgosi wcześniej nie znał żaden z nich.

– W pierwszym odruchu myślałem, że to Krzysztof K. zgwałcił tę dziewczynę, bo chodził z nią po dyskotecę, ale jego charakter temu przeczy. Jest cichym chłopakiem i z tego, co wiem, nie pije alkoholu. Nigdy nie widziałem go pijanego – mówił śledczym jeden ze świadków.

*

Wokół Krzyśka kręci się też Jolanta Krysowata. Pomaga jej prywatny detektyw. Zresztą Krzysiek sam chce z nimi rozmawiać, wytłumaczyć, żeby nie mieli go za winnego. Mówi dziennikarce, że wielokrotnie wychodził z Gosią z dyskoteki. Nigdy nie miał powodzenia, więc chciał się pochwalić, że taka dziewczyna się nim zainteresowała.

Nazywa ją „wyjściową”

Wstępowali na prywatki, przechodzili także przez podwórko, gdzie później ją odnaleziono. Małgosia była coraz bardziej pijana, zapaliła papierosa, chociaż nie umiała palić. Wtedy Krzysztof chciał się jej już pozbyć.

– Nie protestowałem, jak zainteresowało się nią tych dwóch z Wrocławia – mówił Krzysiek dziennikarce i dodawał, że widział,

co się działo na podwórku, bo z inną dziewczyną schował się w stodole.

„Miało być fajnie, a takie coś wyszło” – wydusił z siebie na jednym ze spotkań z dziennikarką. Nie wytłumaczył, o co mu chodzi.

Nigdy tych opowieści nie powtórzył przed policją.

*

Po dwóch tygodniach przesłuchań, w których pojawiało się coraz więcej sprzecznych informacji, Procyk powołała biegłego psychologa, żeby ocenił wiarygodność Krzyśka.

Psycholożka zauważyła, że chłopak cały czas jest spięty. Ciało jakby mu się skurczyło, a w ubrania zapadał się tak, jakby chciał się w nich schować. Strach malował mu się na twarzy. Kiedy mówił, zmieniał mu się głos, a oczy błędziły po ziemi, kontaktu wzrokowego unikał jak mógł. Ręce mu drżały, zresztą całe ciało wpadało w drgawki, gdy tylko się odzywał.

„Ze świadkiem trudno jest nawiązać korzystny dla sprawy emocjonalny kontakt” – zanotowała psycholożka. Z badań wynikało, że jest introwertykiem, ma niską samoocenę, obniżony poziom możliwości intelektualnych, trudności z utrzymaniem koncentracji uwagi, silnie reaguje na stres, jest niedojrzały emocjonalnie i uczuciowo, a do tego ma „słabo wykształcony system wartości”.

Zaznaczyła, że Krzysztof źle funkcjonuje pod presją, a odpowiadając na pytania, stara się przede wszystkim zadowolić tego, kto je zadaje. W związku z tym jego zeznań raczej nie można uznać za wiarygodne.

Prokuratura zleciła jeszcze badanie wariografem.

Jest 9 kwietnia 1997 roku.

Biegły Jacek Bieńkuński – tak robi się zawsze – przeplata pytania dotyczące sprawy kwestiami bardziej oczywistymi. Czy jest rok 1997? Czy jest środa? Czy znajdują się we Wrocławiu? To one wskazywały, jakie parametry się pojawiają, kiedy Krzysztof mówi prawdę.

Pozostałe pytania kazali zadać mu śledczy.

Czy wiesz, kto brał udział w zgwałceniu Małgorzaty?

Czy w jakikolwiek sposób brałeś udział w zgwałceniu Małgorzaty?

Czy w noc sylwestrową odbyłeś stosunek z Małgorzatą?

Czy starasz się osłonić jakąś osobę, która brała udział w tej zbrodni?

Czy ukrywasz jakiegokolwiek fakty, które mogą doprowadzić do wykrycia sprawcy zgwałcenia?

Były też bardziej szczegółowe – gdzie doszło do gwałtu, czym zadano obrażenia, co wkładano jej do pochwy, gdzie została ugryziona, a gdzie znaleziono czapkę.

Krzysiek bardzo się denerwował. Jego ciało drżało, a oddech stawał się coraz szybszy. Gdy skończył odpowiadać, miał uczucie, jakby się dusił. Ale kiedy biegły zapytał go, czy jakieś pytania go niepokoją, zaprzeczył. – Dziwnie się czuję – powiedział tylko.

Maszyna wiedziała swoje. Przy pytaniach dotyczących zbrodni Krzysztofowi skakało tętno i ciśnienie, a także zmieniał się opór elektryczny skóry związany z jej nawilżeniem. To wszystko wskazywało, że doszło u niego do dużych zmian emocjonalnych. Największa była po pytaniu, czy brał udział w gwałcie, i utrzymywała się przy kolejnych dotyczących tego, co zrobiono Małgorzacie.

Biegły pokazał Krzysztofowi te wyniki, ale on nie potrafił wytłumaczyć, skąd się wzięło jego pobudzenie.

Po przeanalizowaniu wszystkich parametrów Jacek Bieńkuński napisał później w opinii: „Przeprowadzone badania poligraficzne wobec Krzysztofa K. należy określić jako prawdopodobną identyfikację pozytywną, co oznacza, iż może on mieć bezpośredni i rzeczywisty związek ze zgwałceniem Małgorzaty K.”

*

Andrzej był badany wariografem tego samego dnia co Krzysztof.

Wcześniej zeznawał kilkakrotnie. Tak, pamiętał Małgosię z dyskoteki. Tak, była pijana, bawiła się z Krzyśkiem, kilka razy wychodzili razem. Tak, widział, jak odchodzi z dwoma mężczyznami. Nie, nie znał ich ani nie kojarzył z dyskoteki. Jeden miał chyba okulary, bo coś błysnęło w świetle latarni, drugi jasną kurtkę. Ale nie przyglądał im się, odpalał wtedy petardy, a obok ich domu właśnie driftował „maluch”. Andrzej zarzekał się przy tym, że ze zbrodnią nie ma nic wspólnego.

– Osoba, która zrobiła krzywdę Goście, powinna być ukarana – mówił śledczym.

Biegła psycholożka, która przysłuchiwała się zeznaniom Andrzeja, stwierdziła, że charakteryzuje się dużą wrażliwością emocjonalną i otwartością w okazywaniu uczuć, ma dobry poziom koncentracji uwagi i odpowiednio rozwinięte zdolności percepcyjno-poznawcze, dzięki którym może spostrzec, zapamiętać i odtworzyć zdarzenia. Biorąc to wszystko pod uwagę, uznała jego zeznania za wiarygodne.

W czasie badania wariografem Andrzej musiał odpowiedzieć na te same pytania co Krzysztof. Najsilniej zareagował na to dotyczące osób, które brały udział w gwałcie.

Już po badaniu ojciec Andrzeja, który był tam razem z nim, zaznaczył, że te silne emocje mogą być efektem wizyty policjantów w ich domu. Przyszli bez zapowiedzi dzień wcześniej, wieczorem.

Pokazywali zdjęcia jakichś chłopaków, dopytywali, czy Andrzej kogoś rozpoznaje, a na koniec zabronili mu o tym komukolwiek opowiadać.

Biegły swoją opinię stworzył jednak na podstawie parametrów, a te wskazywały, że Andrzej może wiedzieć lub domyślać się, kto brał udział w zbrodni, a także ukrywać jakieś fakty z nią związane.

Tylko że wyniki badania wariografem nie są w sądzie uznawane za dowód, a jego skuteczność nigdy nie jest stuprocentowa.

*

Dla Szymeckiej ważne są konkrety. Stuka długopisem w stos kartek na biurku, jakby tam była odpowiedź, i przez chwilę się zastanawiam, czy aby na pewno nie są to akta miłoszyckie. Ale nie. Szymecka mówi z pamięci, czasem przekręca nazwisko, raz mówi tak, zaraz inaczej, umykają jej daty, ale te najbardziej bulwersujące fragmenty śledztwa opisuje z niesłabnącymi emocjami.

– Do dziś nie wiem, jaką rolę w tej sprawie odegrał Krzysztof. Raz się przyznawał, nawet narysował miejsce zbrodni, a potem przekonywał, że był zastraszony – mówi, sięgając po zapalniczkę.

Kiedy pytała go o tamtą sylwestrową noc, za każdym razem odpowiadał inaczej. Co chwilę wycofywał się z jakichś słów, zasłaniał niepamięcią. Działał jej na nerwy, rodzicom Małgosi zresztą też. A śledczy najpierw zajmowali się tylko nim, a potem odpuścili. Tego Szymecka nie może zrozumieć. Przecież wariograf pokazał, że mógł coś widzieć.

*

– Wie pani, co jeszcze było dla mnie niepojęte? Zachowanie znajomych Małgosi – mówi mecenas Szymecka. – Że jak gdyby

nigdy nic wrócili do domu i poszli spać. Jeszcze wzięli jej kurtkę.

Rodzice dziewczyny twierdzili, że to Iwona wskazała im podwórko R. i właśnie dlatego poszli tam rano. Tylko skąd mogła wiedzieć, gdzie jej szukać?

Ale Iwona zaprzeczała, by wskazała im to miejsce, i przekonywała śledczych, że sama długo szukała Goški.

O żadnym Irku przyjaciółka nigdy jej nie opowiadała. Ostatnio mówiła tylko o takim jednym z Wrocławia, co jej wpadł w oko. Rysiek miał na imię, dał jej nawet swoje zdjęcie, ale gdzie Goška go poznała, tego Iwona nie wiedziała. Może w Domu Towarowym „Centrum” we Wrocławiu, gdzie Małgosia miała praktyki?

Jeszcze Heniek z Jelcza jej się podobał, raz nawet z nim tańczyła na dyskotecie.

Wcześniej chodziła z Danielem, potem już tylko się kolegowali.

– Miała łatwość nawiązywania znajomości, chłopakom się podobała. Z żadnym nie uprawiała jednak nigdy seksu – zapewniała śledczych Iwona.

Do Ryśka policjanci nigdy nie dotarli.

Heńka w noc morderstwa nikt w Miłoszycach nie widział.

A Daniel? Jego koledzy pamiętali, że cały czas bawił się z nimi na dyskotecie. Nigdzie nie wychodził.

Rozdział 8

NA GRZYBKĄ

Zbigniew P. skreślał z listy potencjalnych podejrzanych kolejne nazwiska. Jednak zaraz pojawiały się nowe. Interesowali go wszyscy, którzy tamtego wieczoru bawili się z Małgosią, znajdowali w okolicach miejsca, gdzie odkryto jej zwłoki, a do listy świadków dodawano jeszcze nazwiska pojawiające się w czasie przesłuchań.

Kluczowi byli młodzi mężczyźni. Na przykład ci, którzy wyjeżdżali z Miłoszyc białym „maluchem” w tym samym czasie, kiedy po raz ostatni widziano Małgosię żywą. Nie było łatwo do nich dotrzeć, w 1997 roku fiat 126 to wciąż bardzo popularny samochód.

Para jadąca w odwiedziny do znajomych w Jelczu nie pasowała do opisu szaleńczej jazdy po ulicach. Ale do Miłoszyc przyjechało się zabawić białym „maluchem” również dwóch kumpli, którzy o imprezie w Alcatraz dowiedzieli się miesiąc wcześniej z ogłoszeń na słupach. Jednak na przyjazd zdecydowali się w ostatniej chwili. Było tak sobie, więc po północy wyruszyli na dyskotekę do kolejnej wioski. Nic szczególnego po drodze nie zauważyli.

A może to ten, kombinują śledczy, którego widziano zakrwawionego? Ale to z bójkki krew mu z nosa poszła. Kilka takich przepychanek zdarzyło się tamtej nocy. A to z jakimiś nieznajomymi, a to z chłopakami z Jelcza. Była grupa takich, co często się wdawała w bijatyki. Weekendami odwiedzali dyskoteki, a w tygodniu spotykali się na osiedlu w Laskowicach, zwykle pili w bramie, wielu ich kojarzyło.

Na przykład „Żaba”. Jego kolega pobił chłopaka z Miłoszyc. Najpierw szarpali się przed Alcatraz, a potem już na sali rozwalił mu nos. „Żaba” też szukał wtedy kogoś do bójkki.

Albo taki „Jaszczur”, który wyszedł z poprawczaka.

Śledczy pytali więc kolejnych świadków, czy znają „Żabę” albo „Jaszczura”.

Nawet jak znali, to nie potrafili podać ich nazwisk. A policjanci w końcu odpuszczali. Czasem wydaje mi się, że zapominali o własnych tropach, bo już więcej o nie nie pytali.

Również sprawdzenie alibi każdego pojawiającego się w śledztwie mężczyzny wymagało czasu. Jak ktoś doniósł, że jeden chłopak chwalił się kolegom: „Ale kurwa się darła”, i miało to dotyczyć Małgosi, przesłuchiwali całą jego rodzinę. Wszyscy potwierdzili, że był w Świnoujściu.

Sporo zachodu mieli z informacjami od Katarzyny R. Zresztą niemal wszyscy R. regularnie skarżyli się na groźby. Na przykład kilka dni po sylwestrze Katarzynę zaczepili chłopaki w srebrnym audi i dopytywali o dyskotekę, czemu jest zamknięta.

– Wzbudzili mój niepokój, bo byli natarczywi i chcieli wiedzieć, czy to dlatego, że dziewczynę „zajebano” – tłumaczyła policjantom.

Na szczęście ktoś zapamiętał wrocławskie numery rejestracyjne. Bez jednej literki.

Znaleziono prawdopodobnego właściciela. Przesłuchano go i wszystkich jego kolegów. Tak, dopytywali o dyskotekę w Miłoszycach, ale nie o dziewczynę. Chcieli tylko wiedzieć, czy można się będzie zabawić. Byli we wsi obok, ale jak zobaczyli przed dyskoteką chłopaków ze sztchetami, to pomyśleli, że zaraz będzie zadyma, i szukali innej miejscówki. A w Miłoszycach już kiedyś byli na imprezie, w Jelczu zresztą też, ale nie na sylwestra. Nowy rok witali na domówce we Wrocławiu.

No to trzeba było przesłuchać uczestników domówki. Ci potwierdzali, że bawili się całą paczką, jeden tylko wyszedł po wódkę, jak się skończyła, ale może piętnaście minut go nie było.

Temat audi porzucono.

Śledczy trzymają się za to tropu „Irka”. Dwie dziewczyny opowiedziały, że chłopak, który tak się przedstawiał, za wszelką cenę chciał z nimi tańczyć. Zapamiętały, że miał ciemne włosy ścięte na krótko i około 180 centymetrów wzrostu. Był z kolegą – blondynem ściętym na grzybka. Jednak na żadnym ze zdjęć przedstawiających wcześniej przesłuchiwanym chłopaków nie rozpoznały go.

O dziwnym spotkaniu z chłopakiem obcięty na grzybka mówiła jeszcze inna dziewczyna, która bawiła się tego wieczoru na dyskotecę. Spotkała go, kiedy wyszła po północy przed Alcatraz. Chciała się przewietrzyć. Wypiła trochę szampana, a potem pół piwa, które ktoś jej podał. Źle się poczuła. Zawołał ją jakiś nieznajomy. Podeszedł do niej i wziął pod pachy, ale kiedy powiedziała, że jej niedobrze, puścił ją. Nic więcej nie zapamiętała, tylko tę fryzurę.

Policja sprawdziła wszystkich Irków z okolicy. Przesłuchali też Mirosławów, na wszelki wypadek, łatwo pomylić Irka z Mirkiem, zwłaszcza w sylwestra, po północy.

Żaden ze znanych policji Irków ani Mirków do winy się nie przyznawał. Wszyscy kategorycznie zaprzeczali, że mają coś wspólnego z zabójstwem. Opowiadali za to długie, szczegółowe historie, co robili w sylwestra. Dość powtarzalne: zwykle całą noc pili alkohol ze znajomymi. W domu albo na dyskotecie. Potem policjanci rozpytywali ich znajomych, którzy potwierdzali: tak, bawiliśmy się razem.

Ale przecież „Irek” nie musiał się przedstawić prawdziwym imieniem.

*

Wszystkie tropy nagle się urywają. Denerwuję się, że tu można było jeszcze sprawdzić billingi. A tu zapytać znajomych, czy potwierdzają wersję podejrzanego. Nie rozumiem, dlaczego zdjęcia niektórych uczestników dyskoteki policjanci okazywali świadkom, a innych nie.

Po przeczytaniu kilkuset stron zeznań mam mętlik w głowie. Trudno ustalić nawet dokładny rysopis sprawcy. Kilka osób widziało chłopaków, z którymi odchodziła Małgosia, ale większość podawała tylko pojedyncze szczegóły: czarną czapkę, okulary, włosy w kolorze ciemny blond ścięte na grzybka. Niektóre opisy się wykluczały.

Na podstawie zeznań przed laty stworzono jednak najbardziej prawdopodobny rysopis i przekazano do mediów: „Prokuratura poszukuje mężczyzny o imieniu Irek, w wieku 15-20 lat, 170-180 centymetrów wzrostu, szczupłej budowy ciała, o włosach ciemny blond ściętych na grzybka, ubranego w czarną ortalionową kurtkę typu »flek«, do pasa, zapinaną na zamek, w ciemnych spodniach. Prokuratura szuka też drugiego mężczyzny w okularach, włosy

blond, wzrost 170-175 centymetrów, ubranego w jasną kurtkę, prawdopodobnie z zielonymi wstawkami, w ciemnych spodniach”

Zadania nie ułatwiało, że wielu chłopaków nosiło wtedy ciemne ortalionowe kurtki, o dżinsach już nie wspominając. A i fryzura „na grzybka” była bardzo popularna.

Czarną czapkę nosił Ireneusz M., który na podwórku, gdzie doszło do zbrodni, trzymał wódkę. Ale powiedział, że wrócił w niej do domu.

Śledczy już więcej o nią nie pytali.

Rozdział 9

ŚLADY

Prokuratura największe nadzieje pokładała w badaniach genetycznych. Na ubraniach Małgosi nie znaleziono żadnych śladów, ale zabezpieczono włosy z czapki, która leżała obok zwłok. Było ich piętnaście. Miały kolor blond oraz ciemny blond, kształt łukowaty i lekko łukowaty, długości od 2,5 do 5,5 centymetra. Ale część z nich nie miała cebulek, nie nadawała się więc do badań.

Zlecenie na ich przeprowadzenie dostała pracownia hemogenetyki Akademii Medycznej we Wrocławiu, wtedy jeden z nielicznych ośrodków w Polsce, który zajmował się analizami DNA wykorzystywanymi w sprawach sądowych. Na początku robiono je jeszcze tylko w Lublinie i Gdańsku, później dołączyły inne akademie. A badania genetyczno-sądowe zlecano już wtedy rutynowo. We Wrocławiu rocznie wykonywano ich kilkaset.

Kierownikiem zakładu był prof. Tadeusz Dobosz, wtedy jeszcze doktor, ale już uznany specjalista. Razem z nim badania w sprawie miłoszyckiej przeprowadzała Grażyna Dmochowska.

- Podążaliśmy za instrukcją producenta. Próbki mieszałyśmy z odczynnikami, zalewaliśmy test i odczytywaliśmy wyniki – mówi prof. Dobosz. Najpierw przebadano w ten sposób cebulki włosów, później wymazy policzkowe od potencjalnych podejrzanych, które biegłym dostarczali policjanci.

Sprawdzano je za pomocą testu Polymarker. Profesor Dobosz nie pamięta teraz, czy Polymarker był pierwszym testem, z którego korzystał do oznaczania markerów, czyli charakterystycznych fragmentów kodu DNA, które można było porównywać z tymi znalezionymi na miejscu zbrodni. Ale na pewno był jednym z pierwszych. Wcześniej też badało się krew, lecz porównywano co najwyżej jej grupę, polimorficzne białka surowicy i enzymy.

Na świecie markery DNA po raz pierwszy oznaczono w połowie lat 80. i szybko zaczęto je wykorzystywać w kryminalistyce. W Polsce trochę później – od 1991 roku.

Polymarker był testem paskowym: wynik ukazywał się w postaci czarnych kresek, które eksperci spisywali jak kod. W sumie test określał ledwie sześć markerów. Samo badanie trwało kilka godzin, w akademii zawsze były jednak kolejki. Przecież sprawa zbrodni miłoszyckiej była ważna, ale nie jedyna. Dlatego pierwsze wyniki zaczęły spływać do prokuratury dopiero po czterech miesiącach od rozpoczęcia śledztwa. Wszystkie negatywne – próbki DNA pobrane od przesłuchiwanym nie zgadzały się z tymi znalezionymi na miejscu zbrodni.

Niedługo później pojawiły się nowe rodzaje testów, dokładniejsze. Pozwalały określić szesnaście markerów. Poza tym wyniki podawała maszyna, nie było mowy o ludzkiej pomyłce przy odczytywaniu niewielkich kresek. Specjalistyczne urządzenie przeprowadzało elektroforezę, która pozwala rozdzielić DNA,

a później opisać jego części. Polymarker przeszedł do historii, w Polsce zresztą i tak z opóźnieniem.

W czasie wykonywania opinii do zbrodni miłoszyckiej były już jednak dostępne badania mitochondrialnego DNA. Precyzyjniejsze, bo pozwalały określić geny dziedziczone od matki. Prokuratury rzadko je jednak zlecały. Badanie próbki Polymarkerem kosztowało kilkaset złotych, mtDNA – kilka tysięcy.

*

Dopiero rok po zbrodni wykonano ekspertyzę śladów odcisku szczęki na ciele Małgosi. Doktor Jerzy Kawecki miał już wtedy do dyspozycji jedynie fotografie z sekcji zwłok. Niestety, zostały zrobione źle. Linijkę pomiarową położono zbyt daleko od ukąszeń na piersiach dziewczyny. A zdjęcia nie wykonano prostopadle do powierzchni śladów, lecz pod kątem ostrym, od strony linijki.

Tego typu skróty perspektywy uniemożliwiały podanie bezwzględnych wielkości szczęki sprawcy. Pozwalały jednak określić proporcje. Kawecki poprosił o pomoc w ich zbadaniu Wiesława Semiczka, biegłego z zakresu mechanoskopii, techniki badania śladów.

Kawecki zbadał ślady na podstawie zdjęć. Stwierdził, że sprawca najprawdopodobniej gryzł pierś, znajdując się nad dziewczyną. Ślad na ramieniu powstał prawdopodobnie, gdy próbowała się bronić. Albo sprawca gryzł ją, znajdując się z boku. Kolejności nie dało się ustalić. Doktor Kawecki zaznaczył jeszcze, że ugryzienia miały „lubieżny charakter”. To najbardziej wyraźne znajdowało się koło sutka.

Uznał, że sprawca może nie mieć wszystkich zębów, nie są one także ustawione w jednym rzędzie. Najważniejszą cechą był jednak wystający kieł przysieczny i siekacz dolny.

Kieł był prawdopodobnie przechylony do przodu.

We wnioskach opinii dr Kawecki napisał: „Cechy morfologiczne na ciele denatki mogą do pewnego stopnia być przydatne dla typowania osoby sprawcy”

Do porównań potrzebne były gipsowe odlewy szczęk podejrzanych. Prokurator w pierwszej kolejności zlecił sprawdzenie Krzysztofa K. Potem dodawał następne nazwiska, które pojawiały się w śledztwie. Po negatywnych wynikach, w szczególności gdy brak zgodności dotyczył także DNA, chłopakami przestawano się interesować.

Rozdział 10

Ł.

– Na Laskowicach chodzą plotki, że każdy wie, kto to zrobił, ale nikt nie chce powiedzieć, bo mają dzieci, córki i też to może im się przydarzyć – mówił jeden ze świadków. Podobne sformułowania pojawiały się w innych zeznaniach.

Mieszkańcy Jelcza i Miłoszyc najczęściej wskazywali młodego Ł., syna lokalnego biznesmena. Komuś tak powiedziała koleżanka, ktoś inny dowiedział się, że właśnie o nim gadają w Miłoszycach.

– Słyszałem, że to on – mówili świadkowie, na poparcie swoich słów nie mieli jednak żadnych dowodów. Ale – szeptali między sobą – to musi być ktoś ważny, skoro jeszcze nie został zatrzymany.

W lutym na komisariat w Jelczu zadzwoniła kobieta. Twierdziła, że sprawcą gwałtów jest syn właściciela firmy oświetleniowej. Mówiła, że takie pogłoski krążą po wsi, nawet wczoraj na targu słyszała, jak ludzie gadali. Zadzwoniła, bo boi się o córkę. A inni zgłosić nie chcieli z obawy przed ojcem tego chłopaka. Wszyscy wiedzieli, że to szycha. Ma pieniądze, syna i tak by wykupił.

Ł. był dobrze znany w okolicy. Firmę założył w 1978 roku, niedługo po studiach, skończył Akademię Rolniczą we Wrocławiu jako inżynier mechanik. Roman Ł., rocznik 1950, produkował nie tylko wszelkiego rodzaju lampy, lecz także metalowe części do masztów, bram czy barierek, klamki, haki i klucze.

Biznes dobrze się kręcił, firmę prowadził razem ze współnikiem. Była zarejestrowana w Minkowicach Oławskich, dwanaście kilometrów od Miłoszyc. Mieszkał z żoną i dwoma synami, dopóki ci nie dorosli i nie wyprowadzili się z domu.

Jego prawdziwą pasją był jednak inny metal niż ten, na którym zarabiał dobre pieniądze. Roman był zapalonym myśliwym i członkiem honorowym bractw kurkowych we Wrocławiu i Jelczu-Laskowicach. Jeździł na zjazdy strzelców historycznych, nie tylko w Polsce. Występował tam w pełnym rynsztunku – oberżynowym mundurze i czarnym kapeluszu. Nosił pseudonim Łaskawy.

We wsi zazdrościli mu pieniędzy, dlatego szybko podłapano, że skoro dotąd nie wykryto sprawców, oznacza to, że ktoś sprawę zatuszował. A tylko Ł. był na tyle bogaty, by uciszyć świadków i śledczych.

Na możliwość, że Ł. był tamtej nocy z Małgosią, wskazała też mieszkająca w Miłoszycach Anna. W marcu powiadomiła prokuraturę, że ma informacje na temat sprawcy zabójstwa, ale będzie zeznawać tylko wtedy, gdy zostanie potraktowana jako świadek incognito. Tłumaczyła to „panującą w Miłoszycach psychozą strachu” i „obawą o swoje życie”.

Notatka z tego spotkania trafiła do akt, kobietę przesłuchano dopiero 30 kwietnia.

Anna opowiadała wtedy, że poszła w noc zabójstwa pod dyskotekę Alcatraz, bo dowiedziała się, że jej syn Ireneusz ma nową dziewczynę. Chciała zobaczyć, jak wygląda. Pod świetlicą była zaraz

po północy, może piętnaście, może dwadzieścia minut. Dużo osób stało wtedy przed salą, pili alkohol, odpalali petardy. Stała obok. Wypatrywała syna, kiedy zobaczyła Krzysztofa z jakąś dziewczyną. Jego znała z Miłoszyc, jej nie kojarzyła. Widziała, że była bardzo pijana, wymiotowała koło płotu.

– Po chwili do Krzysztofa i dziewczyny podszedł nieznany chłopak. Był średniego wzrostu, przeciętnie zbudowany. Miał blond włosy ścięte na grzybkę. Ubrany był w ciemną kurtkę bez napisów – zeznawała. Wydawało jej się, że chłopak zna się z Krzysztofem, ale stała zbyt daleko, by cokolwiek usłyszeć.

– Po kilku minutach rozmowy blondyn wziął dziewczynę pod rękę. Coś jej tłumaczył. Ona jakby się opierała, ale w końcu obydwójce skierowali się w boczną ulicę obok dyskoteki – mówiła prokuratorowi Anna. I przyznała, że tak ją ta sytuacja zaciekała, że poszła za nimi. – Chciałam zobaczyć, co będzie dalej z tą dziewczyną – tłumaczyła.

Zeznała, że widziała, jak podszedł do nich mężczyzna w długim płaszczu, a potem – od strony przystanku PKS – jeszcze jeden.

– Cała czwórka weszła przez bramę na posesję R. Pomyślałam, że poszli kupić wódkę.

Syna i jego nowej dziewczyny nie udało jej się wypatrzeć. Wróciła do domu.

Jej problemy miały się zacząć pod koniec kwietnia. To wtedy – jak zeznała – przyszedł do niej do domu mężczyzna, który przedstawił się jako funkcjonariusz Komendy Wojewódzkiej Policji we Wrocławiu.

– Pokazał nawet legitymację, ale szybko ją schował. Zdążyłam tylko zobaczyć logo policji, ale nazwiska już nie. Zapytał, co wiem na temat śmierci Małgorzaty K. Powiedziałam, że nic, a on na to odparł, że ja wiem bardzo dużo. Zapytał, czy zdaję sobie sprawę, ile

wynosi nagroda za pomoc w zatrzymaniu sprawcy zabójstwa. To było 10 tysięcy złotych. On zaproponował trzy razy tyle, jeżeli powiem, co widziałam. Mówił, że wie, że mam trudną sytuację materialną. Nie chciałam mu nic mówić. Kazał mi przemyśleć propozycję, bo inaczej źle się to dla mnie skończy – relacjonowała prokuratorowi.

Kilka dni później w Jelczu miała spotkać blondyna, z którym widziała Małgorzatę.

– Zapytał, czy zastanowiłam się nad propozycją kolegi. Powiedziałam, że o niczym nie wiem, żeby się odczepił, i odeszłam. Coś za mną jeszcze krzyczał, ale nie wiem co.

Później miała widzieć tego mężczyznę jeszcze dwa razy. Zeznała, że jechał za nią samochodem i wykrzykiwał: „Zamknij mordę, suko, bo zdechniesz jak tamta”, „Wyrzuć pluskwy” i jeszcze: „Zastanów się, co ci mówiłem”.

– Jestem pewna, że ten blondyn to ta sama osoba, która odprowadzała Małgorzatę z dyskoteki na podwórko R. – zarzekała się Anna.

Po tych zeznaniach dostała ochronę.

Dwa tygodnie później znów była u prokuratora. Przerażona.

Na początku maja pod wieczór pod jej dom miało podjechać dwóch mężczyzn, mieli może po trzydzieści lat. Powiedzieli: – Koledzy proszą, aby pojechała pani z nami.

Ci, którzy ją ochraniaли, instruowali wprawdzie, żeby nie wychodziła po zmroku, ale była przekonana, że to policjanci przysłali kolegów.

Dopiero kiedy zobaczyła w samochodzie butelkę wódki, pomyślała, że to nie mogą być funkcjonariusze. Poprosiła, żeby się zatrzymali i ją wypuścili. Wtedy skuli ją kajdankami i wywieźli na łąkę. Jeden z nich kazał jej się rozebrać, a gdy odmówiła,

rozerwał jej biustonosz, przewrócił ją, położył się na niej i zaczął ją gryźć. Próbowwała go odepchnąć, ale był zbyt silny. Przerwał dopiero, gdy drugi z mężczyzn powiedział: – Zostaw ją, bo Krzysiek cię zabije.

Z łąki zabrali ją na wiadukt. Dołem przejeżdżał pociąg.

– Jak nie będziesz nas słuchać, to cię zabijemy – mieli ją straszyć.

Do domu wróciła sama.

Tydzień później przyszedł do niej ten sam mężczyzna, który przedstawiał się jako funkcjonariusz komendy wojewódzkiej i proponował pieniądze. Chciał, by z nim poszła. Gdy się wzbraniała, zagroził, że zrobi krzywdę jej rodzinie. Poszła do auta, w którym czekało jeszcze dwóch mężczyzn. Nigdy wcześniej ich nie widziała. Po drodze pili wódkę, jej też kazali. Ze strachu trochę wypła.

Anna opowiadała, że zawieźli ją do Wrocławia, do kamienicy przy ulicy Chrobrego. Zapamiętała ją, bo na dole był sklep zoologiczny. Mieszkanie, do którego ją zaprowadzili, otworzył mniej więcej pięćdziesięcioletni mężczyzna. Na ramieniu miał wytatuowaną głowę jakiegoś zwierzęcia, Anna nie była pewna jakiego.

– Co wiesz na ten temat? – spytał.

– Jaki temat? – zapytała, a on uderzył ją w twarz. Uderzał później jeszcze kilkakrotnie, bo nie chciała nic mówić.

Pokazał jej zdjęcie Małgosi, podobne do tego, które widziała w czasie przesłuchania w prokuraturze. Miał także zdjęcia, na których widać, jak Anna wchodzi do nieoznakowanego policyjnego samochodu.

Trzymając ją za włosy, krzyczał: – Powiedz nam to samo, co mówiłaś im.

Gdy nadal milczała, otworzył przed nią walizkę wypełnioną gotówką. Miała ją dostać, gdy powie, co wie. Milczała, więc włąli w nią więcej wódki i kompletnie pijaną odwieźli do domu.

Po jej zeznaniach prokuratura zleciła wizję lokalną. Anna rozpoznała nie tylko klatkę, lecz także piętro, na które została zaprowadzona. Mieszkania przeszukano, lokatorów przesłuchano, ale nie znaleziono nic, co potwierdzałoby historię o napaści. Porzucono więc i ten wątek. Nie powstały nawet portrety pamięciowe prześladowców Anny, chociaż kobieta zapewniała, że jest w stanie odtworzyć wygląd niektórych z nich. Nie pokazano jej także zdjęć funkcjonariuszy KWP.

Obecni mieszkańcy kamienicy mówią teraz, że pokój przed laty wynajmowała tam prostytutka, która spotykała się z policjantem. Wyszła za niego za mąż i wtedy się wyprowadziła. Nikt już jednak nie pamięta, jak policjant miał na nazwisko.

*

Po anonimie i zeznaniach Anny prokuratura zaczęła sprawdzać wątek młodego Ł. Biznesmen synów miał dwóch, ale nie było wiadomo, czy chodzi o starszego Marcina (rocznik 1973), czy młodszego Michała (1977). Ostatecznie przesłuchano obydwu.

Starszy zeznał, że sylwestra spędzał w swoim mieszkaniu w Jelczu-Laskowicach z żoną i znajomymi. Wszyscy potwierdzili, że cały wieczór Marcin był w domu, wyszli tylko wspólnie pooglądać fajerwerki. Do północy bawił się też z nimi Michał ze swoją dziewczyną. Zaraz po toaście pojechał jednak do Wrocławia na domówkę u wujka dziewczyny. Było tam w sumie jedenaście osób, z nimi trzynaście. Zostali do rana, dziewczyna Michała miała mieszkanie w pobliżu, więc tam nocowali.

Policja przepytwała wszystkich uczestników obydwu imprez. Potwierdzili wersje braci. Zarzekali, że nie ma możliwości, by któryś zniknął niepostrzeżenie i pojechał w środku nocy do Miłoszyc.

Tych, którzy wierzyli w winę Ł., to jednak nie przekonało. Szczególnie że alibi Michałowi dawali policjanci. Wujek jego dziewczyny pracował w komendzie wojewódzkiej, zaprosił na sylwestra kolegów z pracy.

Potem mówiono jeszcze, że Michał tuż po zabójstwie Małgosi wyjechał za granicę i tam zrobił operację szczęki, żeby nie dało się porównać śladu jego zębów do tego, który sprawca zostawił na ciele dziewczyny. „Ojciec zapłacił, żeby synka uratować” – powtarzano.

Ale on po prostu wyjechał na Wielkanoc do Paryża, bo studiowała tam jego dziewczyna. Po powrocie nie rozumiał, dlaczego ludzie wytykają go palcami. Na Marcina też się zresztą gapili.

W końcu bracia sami poprosili o badania DNA. Sprawdzono tylko Michała i trop porzucono.

Śledztwa w sprawie prześladowania Anny też nie podjęto.

– Nawet nie byłam zła, że je umorzono – opowiada po latach. – Po prostu chciałam, żeby to wszystko się skończyło, żeby przestano mnie nękać. I faktycznie potem już nikt mnie nie nachodził. Teraz już niewiele pamiętam, to było tyle lat temu. Zresztą przesłam udar, mam problem z przypominaniem sobie szczegółów. I chyba lepiej nawet nie pamiętać, bo to był przecież koszmar. Jak szłam pod tę dyskotekę, mąż mi mówił, że po co się tam pcham. I miał rację, niepotrzebne mi to wszystko było.

Odwiedzam ją w niewielkim domu na obrzeżach Miłoszyc. Wita mnie na progu i szybko kończy rozmowę, tłumacząc się złym stanem zdrowia.

Od sąsiadów słyszę, że Anna zawsze się pchała na świecznik, po wsi też różne rzeczy wygadawała. I sama miała syna Irka, mogła go w ten sposób chronić. Przesłuchiwano go nawet przez to imię, ale cały czas był z kolegami. Poza tym Anna była skłócona ze starym Ł. Sprzątała w jego firmie, ale ją wyrzucił.

Rozdział 11

NORBERT

W gabinecie Szymeckiej mimo uchylonego okna jest już siwo od dymu. Jej zdaniem trop prowadzący do braci Ł. był fałszywy. Ale i tak nie daje jej spokoju to, że młodszemu z nich alibi zapewnili policjanci.

– I to do tego ci, którzy pracowali przy tej sprawie – denerwuje się Szymecka. – Przecież z zasady świadkowie, nawet jeśli są funkcjonariuszami, nie powinni mieć jednocześnie wglądu w akta śledztwa.

Ma jeszcze jeden przykład na podejrzone praktyki policji. Chodzi o Norberta. Mieszkał w Jelczu, na tym samym osiedlu co Małgosia. Tamtej sylwestrowej nocy był w Alcatraz ochroniarzem. Szymecka myślała, że popchnie sprawę do przodu. W pewnym momencie wskazał nawet kilku potencjalnych gwałcicieli. Wtedy zaczęły się jego problemy.

– Przecież nawet prokuratura przyznała, że funkcjonariusze rzeczywiście zaatakowali Norberta na przystanku autobusowym – opowiada Szymecka. – Ale nigdy nie wyjaśniono dlaczego.

*

Norbert pojawił się w śledztwie dopiero w kwietniu 1997 roku. Po tym, jak ojciec Małgosi się dowiedział, że syn jego kolegi z pracy był ochroniarzem w Alcatraz. Poszedł do ich mieszkania, żeby zapytać chłopaka, czy wie cokolwiek o tym, co się wydarzyło w noc zabójstwa. W końcu miał pilnować porządku na imprezie, mieszka na osiedlu, Małgosię mógł kojarzyć. I wie, kto jeszcze był na dyskotecce. Ale Norberta nie było w domu. Jego ojciec obiecał przekazać synowi prośbę Krzysztofa.

Wcześniej jednak Norbert sam skontaktował się z dziennikarką Radia Wrocław Jolantą Krysovata. Wiedział, że zajmowała się sprawą, wszyscy mówili, że prowadzi własne śledztwo.

Dziennikarkę zaskoczył jego telefon, nie wiedziała wcześniej o istnieniu Norberta. Był roztrzęsiony. Mówił, że złe rzeczy się wokół niego dzieją.

Umówili się na spotkanie. Krysovata zaprosiła jeszcze Jerzego Kamińskiego z „Wiadomości Oławskich”. Dziennikarz pamięta, że Norbert całą historię miał spisaną na kartce. Jakby się bał, że o czymś zapomni. Dziwne mu się wydawało, że młody chłopak tak się przygotował do spotkania. Wręczył im potem te kartki. Ale kiedy usłyszał jego historię, uznał, że miał prawo się denerwować.

Norbert opowiadał, że w kwietniu odwoził koleżankę z Miłoszyc do Chrząstawy. Na przystanku siedziało dwóch znajomych. Zatrzymał się. Chciał im powiedzieć, że kiedy będzie wracał, może ich zabrać do Jelcza. Wtedy podeszło do nich dwóch mężczyzn, mogli mieć po trzydzieści lat. Powiedzieli, żeby zawiózł ich do Opola. Norbert odmówił. Chciał odjechać, gdy tamci otworzyli tylne drzwi i wsiedli do samochodu. Odepchnęli kolegów Norberta, zaczęli go dusić, potem próbowali wyrzucić z auta, ale zaparł się

o kierownicę. Gdy trwały przepychanki, znajomym udało się zadzwonić po policję. Funkcjonariusze wylegitymowali napastników i puścili wolno. Norbert z kolegami pojechali na komisariat w Jelczu złożyć zawiadomienie o popełnieniu przestępstwa.

Czuli jednak, że policja się ich sprawą nie interesuje. Dlatego spotkali się z Kamińskim i Krysowatą. Jego znajomi byli równie przejęci jak Norbert. – To był napad – mówili.

Norbert opowiedział, jak wyglądało ich przesłuchanie. Cały komisariat się zleciał, nikt im nie dowierzał. Norbert chciał zadzwonić po tatę, ale oni powiedzieli, że za chwilę, i przepytывali ich dalej. Spisali dane, malutką notatkę zrobili i do widzenia. Nie dali im nawet nic do podpisania.

Kiedy Norbert dotarł do domu, opowiedział ojcu, co się wydarzyło. Ojciec natychmiast zadzwonił na policję. Jednak była już noc, kazali im przyjść o dziewiątej. Rano Norbert musiał wszystko opowiadać od początku. Ojcu kazali czekać na dole.

Pojawili się na komisariacie jeszcze następnego dnia. Zawyły wtedy syreny, a Norbert jest strażakiem. Zapytał, czy może iść, podpisać notatkę i pobiegł do pożaru. Kilka dni później chciał sprawdzić, czy czegoś mu nie dopisali. Ale komendant, o wiele miłszy niż dotychczas, powiedział, że jego zeznania zostały już przesłane do prokuratury we Wrocławiu.

Ojciec Norberta tam wydzwaniał. Ale usłyszał, że nie stwierdzono pobicia, oznak duszenia, więc nic poważnego się nie stało i nie będzie sprawy o zastraszanie.

Jolanta Krysowata zapytała Marka Chmiela, komendanta komisariatu w Jelczu, dlaczego to młodzi ludzie musieli jechać na przesłuchanie, a nie ci, którzy ich napadli. – Nie było podstaw do zatrzymania, postawienia zarzutu i odbierania od nich wyjaśnień

– powiedział dziennikarce. I jeszcze, że na „tamten moment wyjaśnienia młodych ludzi nie były wystarczające”.

Komendant mówił, że będzie mógł stwierdzić, że doszło do przestępstwa, kiedy znajdzie „wystarczający materiał dowodowy”. Jaki? Nie powiedział. Żadnych zaniechań się nie dopatrzył.

*

– Jeden z tych, którzy ich wtedy napadali, mógł być zamieszany w śmierć Goški – powiedział Krysowatej Norbert.

Może wrócił na miejsce przestępstwa?

– Nie wiesz tego na pewno – przerwała mu Krysowata.

– Pewny nie jestem, ale to mógł być on.

Dziennikarka zapytała komendanta, czy nie warto byłoby się przyjrzeć tym mężczyznom w związku ze sprawą zabójstwa Małgosi.

Odpowiedział, że nie jemu to oceniać.

Niedługo później Prokuratura Rejonowa w Oławie poinformowała, że napastnicy byli policjantami z Komendy Wojewódzkiej Policji we Wrocławiu. Prowadzili w Miłoszycach czynności związane ze sprawą i najwidoczniej zostali źle zrozumiani.

Nigdy ich oficjalnie nie przesłuchano. Na podkładkę mieli podpis Norberta, że wycofuje zarzuty.

Potem jeszcze raz miał zostać napadnięty i pobity. Podał nawet prokuraturze nazwisko rzekomego sprawcy. Nikt się nim nie zajął. Twierdził też, że regularnie dzwoniono do niego z pogrózkami. Bo za dużo rozmawia z policją. Jak nie przestanie – słyszał w słuchawce – to jemu albo jego dziewczynie stanie się krzywda. A telefony nie ustały nawet wtedy, gdy zaczął obowiązkową służbę

wojskową i zamieszkał w jednostce we Wrocławiu. Zeznawał, że było ich ponad czterdzieści, od kwietnia 1997 do maja 1998 roku.

Nikt nie sprawdził, kto do niego dzwonił.

*

O tym, jak jest zastraszany, Norbert opowiadał także rodzicom Małgosi. Przychodził do nich razem z Krysowatą. Jedno z tych spotkań, w lipcu 1997 roku, było szczególne.

Norbert zadzwonił do dziennikarki późnym wieczorem. Powiedział, że nie mógł czekać do rana, stało się coś strasznego i muszą się zobaczyć. Krysowata postawiła mu dwa warunki. Po pierwsze, że rozmowa zostanie nagrana, po drugie, że spotkają się w mieszkaniu rodziców Małgosi. Zgodził się.

Wywiad przeciągnął się do północy.

– Dlaczego zadzwoniłeś do mnie właśnie teraz? – pytała Krysowata.

– Od dwóch tygodni dostaję telefony z pogrózkami. I dwa razy zostałem pobity. Kopniaki mi sprzedali. Miałem jeszcze telefony, że jak będę gadał z policją, to powolutku mnie wykończą. Mówili, że stracę dziewczynę, stracę życie – opowiadał Norbert, a rodzice Małgosi dopytywali, kto go pobił i kto mu groził.

Norbert podał trzy nazwiska.

Syna biznesmena i myśliwego Ł.

Byłego policjanta Mirosława D. z Miłoszyc, który teraz pracował na kolei. Miał problemy z alkoholem.

I Pawła D., chłopaka z Jelcza, którego znał z widzenia.

Wszyscy w sylwestrową noc mieli być na dyskotecę w Miłoszycach. Wprawdzie Norbert nie wiedział, jak wyglądają synowie Ł., ale ktoś wypowiedział przy nim jego nazwisko, imienia

już nie. Norbert zapamiętał, bo stary Ł. sponsorował mecze piłkarskie, w których on grywał.

Mówił, że pewnie Ł. razem z Mirosławem D. opłacają ludzi i to oni go zastraszają. Tak przypuszcza bo, jak tłumaczył rodzicom Małgosi, widział ich na tej dyskotece.

Według niego to oni są winni śmierci Małgosi.

– Jeżeli ktoś mnie zabije, to jestem pewien, że to oni popełnili to przestępstwo – mówił Norbert.

To nagranie miało być jego zabezpieczeniem. Bał się tak bardzo, że przyjechał do mieszkania rodziców Małgosi, zamiast wracać do jednostki wojskowej. Chociaż za niestawienie się na czas groziła mu kara. W końcu przedstawił w wojsku zwolnienie lekarskie.

Krysowata dopytywała, kto jeszcze może być odpowiedzialny za śmierć Małgosi.

– Może Paweł D. – powiedział Norbert. – On jest zboczony na punkcie seksu.

I dziennikarka, i rodzice kilkakrotnie dopytywali go, czy jest pewien, że widział tych trzech mężczyzn na dyskotece.

– Tak – powtarzał raz za razem.

Jak opowiadała później dziennikarka, wyłączyła wtedy nagranie i powiedziała do niego: – Stary, jeżeli skłamałeś, błagam cię, odwołaj to w tej chwili. Ja to teraz skasuję i nie było tego spotkania.

– Nigdy tego nie odwołam – miała usłyszeć od Norberta.

Kiedy włączyła z powrotem nagranie, zapewnił jeszcze rodziców Małgosi, że powtórzy wszystko w prokuraturze jako świadek incognito.

Nie powtórzył.

Norbert chętnie opowiadał za to śledczym, jak bardzo jest szykanowany. Dopiero po wielu miesiącach, gdy po interwencji

rodziców i dziennikarki zapytano go o potencjalnych sprawców, stwierdził: – Pani Krysowata podała mi chyba dwa nazwiska mężczyzn, których podejrzewała o dokonanie tego zabójstwa. Teraz tych nazwisk nie pamiętam. Ja potwierdziłem, że na dyskotece był jeden i drugi, ale mówiłem jej, że nie jestem tego stuprocentowo pewny.

W czerwcu 1999 roku, dwa lata po tym jak Norbert zgłosił się do rodziców Małgosi, zbadano jego DNA.

Rozdział 12

PROKURATORZY

– Jeszcze nigdy nie widziałam, żeby prokurator nie miał żadnego nadzoru nad policją. Zbigniew P. robił więc, co chciał. Ale ta sprawa od początku nie miała szczęścia do śledczych – opowiada mecenas Szymecka i wylicza:

- pierwsza prokurator, Renata Procyk, bez doświadczenia;
- drugi, Jacek Klimowicz, może i kompetentny, ale chory na raka, zmarł kilka miesięcy po przejęciu śledztwa;
- kolejny, Marek Janczyński, nigdy wcześniej nie prowadził sprawy o zabójstwo.

Z Oławy śledztwo zabrano już po czterech miesiącach, tłumacząc, że sprawa jest wyjątkowo skomplikowana. Tylko dlaczego w takim razie dostał ją umierający prokurator? Wszyscy wiedzieli, w jakim jest stanie.

– A najgorsze było to, że każdy kolejny prokurator szedł już torami wytyczonymi przez poprzednika. Kiedy tam trzeba było wrócić do początku, sprawdzić wszystko jeszcze raz – uważa Szymecka.

To ona razem z rodzicami walczyła, żeby przeprowadzano kolejne badania, ponownie przesłuchiowano świadków, organizowano konfrontacje. W jej pismach pojawiały się ciągle te same, znajome nazwiska: rodzina R., Krzysztof K., bracia Ł.

Większość wniosków dowodowych prokurator odrzucał.

– Miałam poczucie, że im w ogóle nie zależy na rozwiązaniu tej sprawy.

*

Władze Jelcza miały ze zbrodnią miłoszycką problem. Zwłaszcza że pod koniec maja doszło do kolejnego morderstwa na dyskotecę. Zaczęło się od bójki, w ruch poszedł nóż, ciało siedemnastoletniego Adama znaleziono nazajutrz w krzakach koło cmentarza. Ale tym razem zabójcę zatrzymano jeszcze tego samego dnia.

„Motywem zbrodni mogły być porachunki grup subkulturowych, z którymi sympatyzowali ofiara i sprawca. Adam H. był tzw. depešowcem, czyli zwolennikiem zespołu muzycznego Depeche Mode, a Jacek P. należał do grupy jelczańskich skinów” – donosiły „Wiadomości Oławskie”

Wielu rodziców nastoletnich dzieci zakazywało im chodzenia na dyskoteki. Alcatraz w Miłoszycach po sylwestrze już nie otwarto, ale wciąż działało kilka podobnych przybytków w Jelczu i okolicznych miejscowościach.

Jeszcze na początku lutego z oświadczenia prokuratury mieszkańcy dowiedzieli się, że nie był to jedyny gwałt w okolicy w ostatnim czasie. Renata Procyk przyznała, że w sierpniu w Jelczu-Laskowicach na dyskotecę koło stawu doszło do dwóch takich sytuacji.

Anetę próbowano zgwałcić, kiedy wyszła z imprezy. Na szczęście sprawcę odstraszyli przechodnie. Innej dziewczyny nikt już nie

uratował – jednego wieczoru zgwałciło ją dwóch różnych sprawców.

Miała na imię Barbara i siedemnaście lat. Ktoś wciągnął ją w zarośla, kiedy wracała samotnie z dyskoteki. Nieznany mężczyzna rozebrał ją i, zatykając usta dłonią, gwałcił. W końcu udało jej się krzyknąć. Usłyszał to inny mężczyzna, który przestraszył sprawcę. Tyle że kiedy został sam na sam z nagą kobietą, postanowił to wykorzystać.

W obu przypadkach świadkowie widzieli blondyna i zaparkowanego koło cmentarza w pobliżu dyskoteki białego fiata 126p.

*

Od uczniów podstawówki, do której chodziła Małgosia, wyszedł pomysł, żeby zorganizować w Jelczu marsz milczenia. 21 lutego na ulice wyszło trzy tysiące osób. Z młodymi szli ich nauczyciele i rodzice. Tłum poprzetykany był transparentami: „STOP przemocy”, „Nie chcemy młodo umierać”, „Świat będzie lepszy bez przemocy”, „Nie chcemy być następnymi”, „Żyj i daj żyć innym”.

Jerzemu Kamińskiemu z „Wiadomości Oławskich” uczestnicy manifestacji tłumaczyli:

– Chcemy jako pełnoprawni mieszkańcy tego miasta, aby władze zaczęły się interesować naszym bezpieczeństwem.

– Nie powinno być tak, że policja boi się nastoletniej młodzieży, a niekiedy używa przemocy wobec niewinnych. Takich przypadków niestety jest wiele. To się zdarza nie tylko u nas. W każdym innym mieście dzieje się tak samo.

– Znałyśmy Goškę. To, co się z nią wydarzyło, jest jakiegoś niemożliwe. Poszła na dyskotekę i nie wróciła. Czujemy, że każdą

z nas mogłoby to spotkać. Każda z nas mogła tam być na miejscu Gośki.

– Może kogoś taki marsz ruszy, bo sprawa przycichła. Wszyscy mówią, że wiadomo, kto to zrobił, ale tak naprawdę nikt nic nie mówi. Chyba ludzie się boją. Wygląda na to, że policja jest bezradna – mówiła dziennikarzowi jedna z matek, która na manifestację przyszła razem z córką.

Uczniowie apelowali, by w mieście w końcu zaczęto rozwijać jakieś życie kulturalne, żeby dotowano zajęcia pozalekcyjne i budowano nowe obiekty sportowe. Bo z braku takich miejsc chętniej się sięga po alkohol i narkotyki.

Burmistrz Jelcza do tego apelu się nie odniósł. Poinformował za to o wyznaczeniu 5 tysięcy złotych nagrody dla osoby, która udzieli jednoznacznej informacji przyczyniającej się do wykrycia sprawcy lub sprawców mordu w Miłoszycach.

– W ostatnim czasie wszyscy staliśmy się anonimowymi świadkami tragicznej zbrodni, która daje wyraz naszej niemocy. Została brutalnie zamordowana wasza koleżanka, wasza rówieśniczka. To bestialstwo kładzie się cieniem na społeczności Jelcza-Laskowic – przemawiał na manifestacji.

Relacja z marszu milczenia pojawiła się w „Wiadomościach Oławskich” sześć dni później obok informacji, że zatrzymano prawdopodobnego sprawcę gwałtu nad stawem. Prokuratura poinformowała jednak, że nie jest to osoba odpowiedzialna za zbrodnię miłoszycką. Zatrzymany był tym chłopakiem, który zgwałcił Barbarę drugi. Wpadł, bo pochwalił się koledze, jak uratował dziewczynę od gwałtu. Barbara rozpoznała w nim sprawcę, a wezwany na przesłuchanie Piotr K. od razu przyznał się do winy. Zeznał, że jeszcze nigdy nie uprawiał seksu, więc kiedy

zobaczył nagą kobietę, był tak podniecony, że nie wiedział nawet, co się z nim dzieje.

Ani Piotr, ani Barbara nie pamiętali, jak wyglądał pierwszy gwałciciel, ten, który wcześniej najprawdopodobniej próbował zgwałcić Anetę G.

Jego badany Polymarkerem profil genetyczny okazał się taki sam jak w sprawie miłoszyckiej.

Rozdział 13

WODA

Na początku lipca 1997 roku po ulewnych deszczach na Dolnym Śląsku zaczęła się powódź. Szybko zyskała miano powodzi tysiąclecia. Woda zalała starą część Jelcza i sąsiadującą z nim wioskę Łęg. Ale w porównaniu z Kłodzkiem jelczanie i tak nie mieli najgorzej. Dlatego pomagali powodzianom z innych części regionu. Udostępniali im szkoły na noclegi, do Oławy wozili chleb, do Wrocławia wysyłali beczkowsy. Kiedy przez ich odcinek Odry przeszła fala powodziowa, oddali też swoje worki z piaskiem. Burmistrz Jelcza chwalił się potem, że to dzięki nim udało się uratować wrocławskie zoo.

Powódź spowodowała straty w wysokości 3,5 miliarda dolarów. Łącznie zalała blisko 666 tysięcy hektarów, zginęło pięćdziesiąt sześć osób. Na powodzi popłynął też rząd Włodzimierza Cimoszewicza. Nie wybaczone mu słynnego „Trzeba było się ubezpieczać”

Opisy skutków powodzi wypełniły wydania lokalnych gazet. O zbrodni miłoszyckiej trudno znaleźć w tamtym czasie

jakiegokolwiek informacji.

Przeglądam numer po numerze. W pierwszą rocznicę śmierci dziewczyny „Wiadomości Oławskie” publikują podsumowanie działań śledczych. Pod nagłówkiem: *Rodzice Małgosi wciąż czekają na sprawiedliwość*, Jerzy Kamiński napisał: „Mimo dużej liczby potencjalnych świadków, mimo zabezpieczonych śladów organicznych, mimo rocznej pracy dziesiątków policjantów i już czterech prokuratorów nadal nie udało się ustalić sprawców zbrodni. Dopiero po kilku tygodniach od odnalezienia ciała Małgosi policja opublikowała rysunek butów, które sprawca zabrał ofierze. Dopiero po kilku miesiącach przesłuchań udało się wykonać rysopisy domniemanych sprawców. W wyniku dochodzenia wyszły na jaw inne gwałty, które miały miejsce nad jelczańskim stawem. Jeden ze śladów mówi, że sprawcą przynajmniej jednego z nich jest ten sam osobnik, który winien jest śmierci Małgosi”

W lutym 1998 roku burmistrz Jelcza zaczął publicznie rozważać podwyższenie nagrody dla osoby, która wskaże sprawców.

– Tylko czy to pomoże – pytał komendanta policji w obecności dziennikarzy – skoro dotychczasowa dosyć wysoka nagroda nie pomogła.

Komendant wojewódzki Jerzy Bielicki w odpowiedzi przyznał, że sprawa zabójstwa Małgosi jest plamą na honorze policji.

*

31 marca 1999 roku po odrzuceniu ostatnich wniosków Ewy Szymeckiej prokurator Marek Jancyński wydał decyzję o umorzeniu śledztwa. Zmieścił wszystkie ustalenia na dziewiętnastu stronach, które przekazał rodzicom Małgosi. Na koniec zapewnił: „Pomimo umorzenia śledztwa nadal będą

prowadzone czynności wykrywcze i w razie ustalenia sprawców opisanych przestępstw śledztwo zostanie podjęte na nowo”

*

Rodzice Małgosi nie mogli zrozumieć, jak można było umorzyć śledztwo, chociaż wciąż nie ustalono, kto zabił ich dziecko.

Ewa Szymecka decyzję prokuratury nazwała „co najmniej przedwczesną” i wysyłała kolejne zażalenia.

„Sprawa ta nie została wyjaśniona w sposób wyczerpujący, a jest to tym bardziej bulwersujące, jeśli zważyć na jej ciężar oraz ból i cierpienie pokrzywdzonych – rodziców Małgosi K.”

Udało się. W lipcu śledztwo zostało wznowione. Prokuratura Krajowa przedłużyła je do 31 grudnia 1999 roku i nakazała wykonać czynności wskazane przez pełnomocniczkę.

Ale prokuratora nie zmieniono.

Jancyński pokazywał więc świadkom czarną koronkową chusteczkę znaną na miejscu zbrodni. Nikt jej nie rozpoznał. Ponowne przesłuchania przyniosły powtórki tego, co już słyszeli. Jancyński zlecił jeszcze kilka badań DNA, ale każdy kolejny wynik był negatywny.

Nie zrobił jednak wszystkiego, czego domagała się Szymecka. Nie mógł okazać rodzicom jeszcze raz biżuterii znalezionej u R., bo ją zgubili. Do tego ekspert z Warszawy odpowiedział Jancyńskiemu, że nie da się zrobić sylwetki psychologicznej sprawcy.

Nie uznał, że warto szukać innego biegłego.

Rodzice słyszeli od niego:

– Ta sprawa kwalifikuje się na proces poszlakowy i może się nie udać w sądzie.

– Nikt tu mi nie będzie ręcznie sterował śledztwem.

– To i tak się nie uda.

Szymecka napisała wniosek o odwołanie prokuratora. Zarzuciła mu brak obiektywizmu.

Wniosek nie został uwzględniony.

W uzasadnieniu napisano: „Analiza akt sprawy pozwala na ocenę, iż postępowanie przygotowawcze w sprawie śmierci Małgorzaty K. było prowadzone w sposób obiektywny, zaś pokrzywdzeni i ich pełnomocnik w szerokim zakresie byli dopuszczani do udziału w sprawie, a ich uprawnienia respektowane”

*

Krzysztof, ojciec Małgosi, w listopadzie 1999 roku wysłał listy do prezydenta Aleksandra Kwaśniewskiego i prokuratury apelacyjnej.

„Zastanawiam się, na kogo mam napisać skargę. Na prokurator Renatę Procyk z Oławy czy prokuratora Marka Janczyńskiego z Wrocławia. Czy może jeszcze na innego prokuratora. A może najrozsądniej będzie napisać skargę na samego siebie. (...) Tylko nie ma takiej siły, żeby skarga zmieniła cokolwiek, a nade wszystko nie zmieni ona mentalności ludzi, ich zadufania w sobie, że zrobimy tak, jak chcemy, i nic nam nie zrobisz. Dochodzę do wniosku, że nie ma takiej siły, abym ja, zwykły szary człowiek, doczekał się wyjaśnienia zbrodni, jaka spotkała moją córkę Małgosię. (...) Dlaczego jestem traktowany jak natręt? Ani ja, ani mecenas Szymecka, ani redaktor Krysowata nigdy nie byliśmy uprzedzeni do prokuratora Janczyńskiego, nadkomisarza P. czy kogokolwiek z prowadzących śledztwo. To jest kwestia szacunku do prawa obowiązującego w naszym kraju, to jest szczerą chęć udzielenia pomocy policji i prokuraturze, aby morderców Małgosi dosięgła w końcu sprawiedliwość. (...) Niech Prokuratura Apelacyjna

zastanowi się przez chwilę, co jest takiego w tej zbrodni, że dokładnie przez trzy lata śledztwa nic nie wyszło”

*

Kiedy Krzysztof i Ewa Szymecka pisali kolejne wnioski, w śledztwie niewiele się działo. Do prokuratury spływały ostatnie wyniki badań DNA, ale wszystkie były negatywne.

Kiedy znowu przyszli do Janczyńskiego, żeby przegadać możliwe tropy, rzucił im na stół paczkę z czarną sukienką Małgosi.

– Nic na niej nie ma, mogą sobie państwo zabrać na pamiątkę – powiedział.

– Co pan robi?! – zdenerwował się Krzysztof. – Niech pan ją zabiera. Przecież to jest dowód. Może kiedyś ta sukienka pomoże skazać mordercę naszej córki.

Prokurator bez słowa ją schował.

Rewelacje Krzysztofa i Szymeckiej nie wzbudzały w nim większego zainteresowania. Ile to już razy ktoś powiedział, że słyszał od kogoś, że ktoś jeszcze inny zna sprawcę. Nie widział sensu, by ponownie przesłuchiwać te same osoby.

Za to pewna służbowa notatka wrocławskiego policjanta przyniosła coś nowego.

6 listopada 1999 roku podinspektor Edward Długoszek napisał: „W dniu dzisiejszym uzyskałem informację operacyjną, z treści której wynika, że zabójstwa Małgorzaty w noc sylwestrową 1996/1997 mógł dokonać młody mężczyzna o imieniu TOMEK. Z uzyskanej informacji wynika, że był przez jakiś czas chłopakiem Małgosi. Ponadto ma skłonności sadystyczne”

CZĘŚĆ 2



ON

Rozdział 1

WOLNY

Tomka widzę po raz pierwszy 15 marca 2018 roku w Sądzie Okręgowym we Wrocławiu. Zza szyby oddzielającej widownię patrzę, jak wchodzi na salę ze spuszczoną głową. Z obcięzonymi na krótko włosami, w czarnych dresowych spodniach i szerokiej białej bluzie z napisami, zakrywającej szczupłą sylwetkę, wygląda jak chłopak z osiedla, a nie czterdziestodwuletni mężczyzna.

Eskortuje go dwóch policjantów, ale nie założono mu kajdanek. Siada na drewnianej ławce, takiej samej, na jakiej słucał wyroku skazującego. Widziałam na zdjęciu, jak chował wtedy w dłoniach zapłakaną twarz.

Zakłada na głowę kaptur, by ukryć się przed wycelowanymi w niego obiektywami. Szybko go ściąga, gdy na salę wchodzi sędzia Jerzy Nowiński.

Tomek patrzy na niego z nadzieją. Ta nadzieja na chwilę gaśnie, gdy słyszy, że nie ma podstaw prawnych, by sąd mógł się przychylić do wniosku prokuratury o przerwę w karze.

– To rozwiązanie – tłumaczy Nowiński – jest stosowane, gdy skazany z jakichś powodów, na przykład zdrowotnych, nie może przebywać w więzieniu. A to nie taka sytuacja.

Tomek nie rozumie, co się dzieje. Rodzina wpatruje się w sędziego. Na widowni szmer.

Nowiński czuje powagę tej chwili, nie chce trzymać nikogo w napięciu. Łamiącym się głosem kontynuuje: – Dlatego Tomasz Komenda zostaje warunkowo przedterminowo zwolniony z okresem próby na dziesięć lat. Rozumiem państwa emocje, mnie też się udzielają.

Tomek płacze. Chowa twarz w dłonie. Niby jest jak przed laty, ale jednak zupełnie inaczej.

Ledwo do niego dociera, co jeszcze mówi sędzia. „O ile tylko Tomasz Komenda będzie przestrzegał zasad prawa, do więzienia już nie wróci” – notuję wciśnięta między szybę a operatorów kamer. „Niezależnie, czy sąd zdecyduje się go uniewinnić”

Sędzia przestrzega jednak przed myśleniem, że jego skazanie było serią pomyłek.

– Mamy teraz zupełnie inne metody dowodowe. Zastanówmy się, co by było, gdyby sąd go wtedy uniewinnił. Wylałaby się na oskarżonego fala nienawiści. Całe szczęście, że nie mamy kary śmierci – mówi Nowiński. – Sąd nie ma wątpliwości, że Tomasz Komenda powinien zostać zwolniony. Życzę mu wszystkiego najlepszego.

Gdy sędzia kończy posiedzenie, rodzina podbiega uściskać Tomka. Stoją przytuleni, a obok kłębią się dziennikarze, fotoreporterzy i operatorzy. Każdy szuka dobrego ujęcia.

– Od początku wiedzieliśmy, że jest niewinny. Tylko że nikt nie chciał nam wierzyć – mówi jego mama, Teresa Klemańska. Tomek dziękuje prokuraturze i prosi: – Dajcie mi teraz normalnie żyć.

*

Przed powrotem do domu Tomek musi jeszcze po raz ostatni wrócić do aresztu, odebrać rzeczy, wypisać papiery. Trwa to może cztery kwadransy, a wydaje mu się, jakby ciągnęło się godzinami.

Stoję wtedy przed wyjściem z aresztu śledczego przy ulicy Świebodzkiej we Wrocławiu, zaraz za sądem.

Razem ze mną dziennikarze, fotoreporterzy i operatorzy z większości lokalnych i krajowych mediów. Ustawiamy się, żeby każdy miał kawałek przestrzeni na wetknięcie mikrofonu, zrobienie zdjęcia czy nagranie ujęcia. Wszyscy chcą pokazać, jak niewinny Tomasz Komenda po osiemnastu latach wychodzi z więzienia.

Ręce mi marzną, ale trzymam telefon gotowy do nagrywania. Każdy dźwięk wywołuje poruszenie. Nagle drzwi się otwierają. Staje w nich młody mężczyzna. Patrzy z przerażeniem na tłum ludzi z kamerami i aparatami, nakłada na głowę kaptur i zaczyna biec przed siebie.

My, niewiele myśląc, biegniemy za nim. Dopiero za zakrętem orientujemy się, że to nie Tomek. I że to dziwne biegać za przypadkowymi ludźmi. Trochę zawstydzeni wracamy przed areszt.

Rodzina śmieje się z naszego pościgu. Czekają na Tomka w samochodzie zaparkowanym zaraz przed wejściem. Oni też się niecierpliwiają. Co raz wychodzą zapalić papierosa. Teresa staje z dala od tłumy dziennikarzy. Trzęsie się w biało-błękitnej krótkiej pikowanej kurtce, trochę z emocji, a trochę z zimna. Szybko się zaciąga.

Muszę wracać do redakcji, żeby zdążyć wysłać tekst do druku. Przyszła koleżanka, żeby mnie zastąpić. Przechodząc obok Teresy, mówię „dzień dobry”. Odpowiada i się uśmiecha.

– Szczęśliwy dzień – zagaduję.

– Będę szczęśliwa, jak przytulę go na wolności.

Pytam, czy za jakiś czas zgodziłaby się porozmawiać. – Teraz tylko myślę o tym, żeby Tomek był już w domu. Ugotowałam jego ulubione gołąbki – mówi, ale chowa wizytówkę, którą jej podaję.

Wracamy razem przed wejście. Wysyłka tekstu może jeszcze chwilę poczekać. Mijają kolejne minuty. Teresa podchodzi do drzwi, kręci się w jedną i drugą stronę. Kogoś chyba słyszy. Jeszcze chwila i klamka opada, a w otwartych drzwiach pojawia się Tomek. Ręką zasłania się przed skierowanymi na niego obiektywami i wpada w objęcia mamy. Policjanci torują im drogę do samochodu. Dziennikarze pytają, jak się czuje. Któryś prosi: – Panie Tomaszu, niech pan z nami jeszcze chwilę zostanie.

On marzy jednak tylko o tym, by wrócić do domu.

W mieszkaniu, tym samym, z którego zabrano go w 2000 roku, czeka na niego cała rodzina. Przygotowali transparent: „Witaj w domu Tomek po 6540 dniach”

Jeszcze do końca do niego nie dociera, że jest wolny.

*

Tydzień wcześniej o jego historii zaczyna mówić cała Polska. Prokuratura oficjalnie przyznała, że ma jednoznaczne dowody potwierdzające, że mężczyzna skazany na dwadzieścia pięć lat więzienia za zabójstwo Małgosi jest niewinny.

– Mamy pełne przekonanie, że Tomasz K. nie ma żadnego związku z tą zbrodnią. Podjęliśmy decyzję o skierowaniu do Sądu Najwyższego wniosku o wznowienie postępowania. Wnosimy o jego uniewinnienie – mówi Robert Tomankiewicz, naczelnik dolnośląskiego wydziału Prokuratury Krajowej, gdy proszę go o komentarz. Dowodów nie chce jeszcze zdradzać. – Na początku

musimy przedstawić je w sądzie. To do niego należy ostateczna decyzja.

Piszę swój pierwszy artykuł: „Jeżeli sąd przychyli się do wniosku prokuratury, to Tomasz K. będzie mógł się ubiegać o rekordowe odszkodowanie. Sytuacji, że niewinna osoba spędziła w więzieniu tyle czasu, jeszcze w Polsce nie było”

Po komentarz dzwonię do pełnomocniczki rodziców Małgosi Ewy Szymeckiej.

– Jesteśmy w tym samym punkcie, co osiemnaście lat temu. Znowu mamy jednego oskarżonego – mówi. – To bardzo trudna sytuacja dla rodziców Małgosi, którzy będą musieli ponownie zeznawać. Jej tata Krzysztof dopiero wyszedł ze szpitala. Obydwoje zresztą wciąż ciężko znoszą tę sprawę. Pani Jadwiga mówiła mi, że czują się oszukani.

*

Media prześcigają się w informacjach o Tomaszu Komendzie. Tabloidy donoszą, że ma pierwszą komórkę. I kupił sobie nowe buty sportowe w galerii handlowej koło wrocławskiego dworca.

Dzień po wyjściu Tomka z więzienia oglądam reportaż Grzegorza Głuszaka w TVN *25 lat za niewinność*.

Archiwalne ujęcia: matka Małgosi rzuca się w jego kierunku, ojciec dziewczyny mówi: – W naszym kodeksie nie ma kary śmierci, więc tylko dożywocie. Nie może wyjść na wolność i jeszcze komuś krzywdę zrobić. Przecież on zabił mi dziecko.

Grzegorz Głuszak przepytuje jeszcze policjanta, który pomógł doprowadzić do uwolnienia Tomka, a głos z offu mówi, że dowody przeciwko niemu były niewiele warte. Rozmawia też z Teresą, jego matką: – Teraz to jest wrak, a nie dziecko.

Razem jadą na cmentarz w Jelczu-Laskowicach, na którym pochowano Małgosię.

Teresa do końca nie wie, gdzie wiezie ją TVN.

– Jakaś ty młoda była, dziewczyno – mówi, stając przed grobem. Pod krzyżem napis: „Boże tak żal...”, na płycie biały aniołek, obok palą się znicze. Teresa zalewa się łzami i odchodzi na bok.

– Nie mogę – powtarza, ciągle płacząc. A gdy się trochę uspokoi, tłumaczy: – Współczuję tym rodzicom serdecznie, ale ja też cierpię.

*

Gdy tylko sprawa Tomasza Komendy wychodzi na jaw, wnioskuje o dostęp do akt. Będą dostępne tylko przez dwa dni, potem zostaną odesłane do Sądu Najwyższego. Dostaje swój termin, ale muszę się liczyć z tym, że wejdę, dopiero gdy dziennikarz przede mną skończy je czytać. Nie możemy przebywać na sali jednocześnie.

Na stole czeka ze dwadzieścia grubych teczek. W sumie blisko cztery tysiące stron. Kolejne godziny robię zdjęcia kartom, skanując tylko wzrokiem treść zeznań Tomka i zebrane przeciwko niemu dowody. Kończę dopiero po kolejnym ponagleniu przez pracowniczkę biura prasowego. Teraz muszą spakować akta i odesłać do Warszawy.

– Dam ci zdjęcia – mówię Tomkowi Kozłowskiemu z „Faktu”, zanim mi nagada, że przeze mnie nie zdążył obejrzeć akt.

Razem szukamy zeznań, od których wszystko się zaczęło. Mamy je. Sąsiadka babci Tomka powiedziała, że rozpoznała go na portrecie pamięciowym sprawcy zbrodni miłoszyckiej wyświetlanym w *Magazynie 997*.

Miała zobaczyć te zdjęcia jesienią 1999 roku w trakcie imprezy, na której był także pewien policjant. To jego notatka służbowa uruchomiła na nowo stojące w martwym punkcie śledztwo. Jej

przesłuchania dostarczyły śledczym argumentów, że sprawcą może być Tomasz Komenda.

W aktach znajdujemy adres, pod którym mieszkała, gdy poznała Tomka. Jedziemy sprawdzić, kim jest Dorota P.

Rozdział 2

MASAŻYSTKA

Ulica w centrum Wrocławia, niewielki blok schowany za kamienicami. Do klatki wchodzi się od podwórka. Mimo że obok przebiegają ruchliwe ulice, tam jest spokojnie. Zadbane trawniki, odmalowane fasady, widok psują tylko poupychane wszędzie auta.

Łapiemy drzwi otwarte przez wychodzącego mężczyznę i idziemy na piętro, gdzie mieszkała zmarła już babcia Tomasza Komendy. Nas interesują jednak drzwi obok. Ten adres w czasie pierwszego przesłuchania podała Dorota P. Pukamy, ale nikt nie otwiera. Z naprzeciwka wychyla się sąsiadka: – Bogdan wyszedł, powinien zaraz wrócić.

Pytamy, czy pamięta Dorotę. – Trudno zapomnieć, zwracała na siebie uwagę wyglądem i zachowaniem – mówi, a po jej minie widać, że nie wspomina jej dobrze. – Gdy Bogdana nie było w domu, organizowała huczne imprezy. Pod blok podjeżdżały drogie samochody, zdarzało się także, że radiowozy. Mówiła o sobie „masażystka”, ale my zawsze podejrzewaliśmy, że panowie przychodzą do niej nie tylko na masaż. O, wraca Bogdan.

Sąsiadka mówi, że ma gości, a elegancki starszy pan szarmancko się kłania i zaprasza nas do siebie.

– Nie wy pierwsi pytacie mnie o Dorotę. Kilka dni temu byli u mnie śledczy. Razem z panią psycholog mnie przesłuchiwali – opowiada, prowadząc nas wąskim korytarzem do pokoju gościnnego z drewnianą meblościanką wypełnioną książkami i bibelotami.

– Jestem niewidomy – wskazuje na łaskę w dłoni – ale sobie radzę. Usiądźcie. Kawy, herbaty?

Gdy dziękujemy, Bogdan zajmuje krzesło przy stole i uśmiecha się do siebie.

– To była piękna kobieta, zawsze elegancko ubrana i pomalowana, nosiła się w futrach i na wysokich obcasach. Była moją kochanką, ale wiem, że nie byłem jedyny. Nie przeszkadzało mi to, sam miałem żonę i dużo jeździłem w związku z pracą. To też było moje służbowe mieszkanie. I cieszyłem się w nim z jej towarzystwa.

Ale potem zaczęły się problemy.

– Na szafie powinny być dokumenty, zdejmijcie je sobie i popatrzcie – mówi. – Niestety już nie wszystko mam, jak przyszła powódź, to zalało piwnicę, a tam trzymałem część rzeczy po Dorocie. Jej futra popłynęły, drogie były, potem miała do mnie pretensje. Ale najważniejsze papiery są tutaj.

Czytam doniesienie Doroty z 1994 roku, że Bogdan znęca się nad nią fizycznie i moralnie. Miał ją nawet dotkliwie pobić. Na świadków wezwała sąsiadów, m.in. Mariannę S., babcię Tomasza Komendy. Ani ona, ani inni sąsiedzi nie potwierdzili jednak, że Bogdan zachowywał się wobec niej agresywnie. Prokuratura sprawę umorzyła, bo oskarżony miał niepodważalne alibi. Wtedy, gdy miał dotkliwie pobić Dorotę, nie było go nawet we Wrocławiu.

Kolejne dokumenty dotyczą przepychanek o mieszkanie. Dorota, wykorzystując podpis Bogdana złożony na innych dokumentach, zameldowała się u niego. Próbowła także bez jego zgody zostać członkinią spółdzielni, co w przyszłości umożliwiłoby jej wykupienie mieszkania. Sprawa trafiła do sądu i w marcu 1997 roku zapadł wyrok, w którym Sąd Rejonowy we Wrocławiu zarządził jej eksmisję.

To nie przeszkodziło Dorocie złożyć kolejnego doniesienia: w związku z prowadzonym przez Bogdana remontem odłączona jest energia elektryczna w mieszkaniu, co „utrudnia jej egzystencję” i „nosi znamiona przestępstwa”. Sąd apelacyjny podtrzymał jednak wyrok sądu pierwszej instancji i Dorota P. musiała się wyprowadzić.

– Dorocie nie można odmówić sprytu, ale to była prosta kobieta – opowiada Bogdan. – Skończyła podstawówkę, nigdy nie widziałem, żeby cokolwiek czytała, a jednak świetnie radziła sobie z zagadnieniami prawnymi. Moim zdaniem ktoś nią sterował i jej pomagał. Oficjalnie przedstawiała się jako masażystka, ale chwaliła mi się często, że ma ogromne kontakty. Gdy wytaczała przeciwko mnie kolejne sprawy albo kiedy z domu znikwały mi przedmioty i podejrzewałem ją o kradzież, śmiała się, że i tak nic jej nie zrobią, bo policjanci, prokuratorzy i sędziowie to jej dobrzy znajomi. Nigdy nie mówiła jednak, jak się nazywają.

Gdy żegnamy się z Bogdanem, rzuca jeszcze: – Jak ją spotkacie, to pozdrówcie ją ode mnie. Nie mam do niej żalu.

*

Mamy jeszcze drugi adres do sprawdzenia, nieco na zachód od centrum Wrocławia. To tam Dorota składała zeznania w czasie procesu. Blok z lat 90. W labiryncie korytarzy, poprzedzielanych

dodatkowymi drzwiami, można się pogubić. Idziemy schodami, żeby nie przegapić naszego numeru.

Otwiera młoda kobieta, wynajęli z mężem to mieszkanie przez pośrednika. Doroty P. nie zna, ale może przekazać prośbę o kontakt. Z ksiąg wieczystych wiemy, że nadal jest właścicielką.

Pukamy do sąsiadów. Naprzeciwko są nowi lokatorzy, nic nie wiedzą, ale starsza pani z mieszkania obok pamięta kobietę, która mieszkała tam w latach 90. Chodziła wyzywająco ubrana, często widzieli ją pijaną z tym jej prokuratorem, mówi, a my dopytujemy zaskoczeni: – Z prokuratorem?

– Mieszkał tam, ale jak się nazywa, to nie pamiętam. Mąż może wie? Też nie. On potem nie pracował, bo miał wypadek na motorze po pijaku. No jak mu było, nie przypomnę sobie. Wysoki mężczyzna. Lata minęły, jak ich nie widziałam.

Pokazujemy jej zdjęcia prokuratorów, którzy pracowali przy śledztwie miłoszyckim, ale żadnego nie rozpoznaje. Fotografii policjantów nie mamy.

Pukamy do ostatniego mieszkania na tym piętrze. Mężczyzna w średnim wieku potwierdza, że zna Dorotę. – Nic im nie mów – krzyczy żona i wciąga go do środka.

Jedziemy jeszcze do mieszkania, w którym Dorota miała powiedzieć policjantowi Sławomirowi D., że rozpoznaje na portrecie pamięciowym Tomka, a on przekazał informację dalej.

– Nie wiem, gdzie jest i nie chcę wiedzieć – mówi jego była już żona, otwierając drzwi i z pogardą rzuca: – Pijaczyna.

Pytamy ją o Dorotę, pamięta tamto spotkanie.

– To tak naprawdę była kolacja. Dorota przyszła z moim kolegą ze studiów i siedzieliśmy w cztery osoby. To był pierwszy i ostatni raz, kiedy była u nas w domu. Nie oglądaliśmy żadnego *Magazynu 997*, Dorota nie mówiła też, że kogokolwiek rozpoznaje, bo takiego

tematu w ogóle nie było. W domu była zasada, że o pracy się nie rozmawia.

Udaje nam się ustalić nowy adres Sławomira D., ale nie otwiera drzwi. Dowiadujemy się, że pracuje jako stróż, mamy numer jego telefonu.

– Nie będę rozmawiał – mówi i się rozłącza.

*

Dorotę pamięta Michał Kelm. To była jego pierwsza duża sprawa, adwokatem został w maju 2001 roku. Kancelarię jego teściowej wyznaczono do reprezentowania Tomasza Komendy z urzędu. Wcześniej kilku adwokatów odmówiło. On zawsze lubił wyzwania, nie bał się trudnych spraw.

Kiedy z nim rozmawiam, jest już znanym adwokatem. Reprezentował m.in. siostrę Bernadette, która maltretowała dzieci i przyzwalała na gwałty; Jacka Skrzypczaka, byłego wikarego parafii w Legionowie, oskarżanego o gwałt, molestowanie, nielegalne posiadanie broni oraz nakłanianie czternastolatki do aborcji; czy Krzysztofa K., proboszcza parafii w Wojnowicach w Opolskiem, którego oskarżono o trzy gwałty na niepełnosprawnej szesnastolatce. Te sprawy przegrał, ale nieraz udawało mu się zmniejszyć odszkodowania, które musiał zapłacić Kościół. Na brak roboty nie narzeka. Media nazywają go „adwokatem diabła”.

– Wierzyłem w niewinność Tomasza Komendy – przekonuje mnie. – Do teraz trzymam dokumenty z tej sprawy. Najważniejszy był dowód ze szczęki, próbowałem go podważyć. Pracownik Akademii Medycznej znalazł mi pięć odlewów, które też pasowały do tego śladu. A przecież to, że pasujących odcisków szczęki jest więcej, mogłoby doprowadzić do obalenia aktu oskarżenia. Wnioskowałem, by sąd przeprowadził taki eksperyment

procesowy, ale mój wniosek przepadł. Liczyło się tylko, że biegły uznał dowód za kategoriyczny. Sąd nie chciał już nic sprawdzać.

Podważyć zeznań Doroty P. Michał Kelm nie próbował, bo nie były według niego istotne.

– Ta kobieta nie przyszła nawet do sądu. Przesłuchiwałam ją w mieszkaniu. Trudno było się skupić, bo między nogami biegał pies. W pewnym momencie wysikał się na dywan.

*

– Obawiam się oskarżonego. Zmieniłam swój wygląd, jestem nie do poznania, przytyłam po porodzie dwadzieścia kilogramów, ścięłam włosy na krótko, a miałam do kolan. Nie chcę, by ktokolwiek z nich mnie widział, nie chcę mieć problemów – prokurator i obrońca siedzą w dużym pokoju, przesłuchiwana przez nich kobieta zachowuje się coraz bardziej nerwowo. – Boję się o życie swojego małego dziecka i swoje. To są barbarzyńcy nienormalni.

Dorota prychnęła, że to patologia i wyrzuciła oskarżenia jak z karabinu. Objadali babcię, a do jej domu sprowadzali panienki. I ciągle wyłudzały pieniądze. – Matka oskarżonego na kolanach do mnie przychodziła, taką pokazówkę robiła. Zawsze była pijana. Nigdy żadnych pieniędzy mi nie oddała. Ja wolałam dać, żeby się ich pozbyć – przekonuje.

A Tomek jest nienormalny, Dorota nie ma wątpliwości. – Jemu wszystko trzeba było kazać zrobić, a on dokładnie wykonywał to, co mu kazano. Na przykład jak miał iść po bułki do sklepu, a bułek nie było, to już chleba nie kupił, bo się nie domyślił, że można to zastąpić.

Dziwi ją, że taki ma dziewczynę. Ale przecież się chwalił, że do Małgośki do Jelcza albo Miłoszyc jeździ.

*

Zeznania Doroty czytam po kilka razy. Te pierwsze, które złożyła jeszcze w czasie śledztwa, w kwietniu 2000 roku, są krótsze. Przyznała, że rozpoznała na portrecie pamięciowym Tomasza, jego starszego brata Gerarda i ojczyma. Znała ich, bo przyjaźniła się z Marianną, ich babcią.

– Ja robiłam zakupy, a ona gotowała. Pomagałam jej. Była schorowana i biedna. Często brakowało jej na utrzymanie – mówiła Dorota, a kolejne linijki protokołu zajęły jej utyskiwania na całą rodzinę babci.

Teresa, mama Tomka, to jej córka. Gerard i Tomek byli synami z pierwszego związku, z Mirosławem miała Krzyśka i Grześka, on jeszcze dzieckiem był, w wózku go do babci woziła.

– Pamiętam taką sytuację, że z jej lodówki zniknęło pięć kilogramów mięsa mielonego, które były przeznaczone dla mnie. Na moje pytanie, co się z tym mięsem stało, Marianna się rozplakała i powiedziała, że była Teresa z dziećmi. Zrozumiałam, że oni to mięso zabrali albo zjedli – zeznawała. Mówiła też, że rodzina wyłudzała od babci pieniądze. A jak Tomek z Gerardem przyprawdzali dziewczyny, Marianna musiała wychodzić z mieszkania. – Nieraz ich spotkałam. Byli pod wpływem alkoholu, zachowywali się wulgarnie, mówili o nich „kurwy”, „szmaty” – opowiadała prokuratorowi.

Tomek miał też wyciągać od niej pieniądze. – Zawsze mówił, że są mu potrzebne na kwiaty dla narzeczonej. Opowiadał, że chodzi do szkoły średniej we Wrocławiu. Spotykał się z nią na Dworcu Głównym we Wrocławiu. Raz pożyczał pieniądze na bilet do Jelcza albo jakiejś miejscowości w jego okolicach.

Gdy w trakcie procesu przesłuchano ją po raz drugi, już w obecności obrony, jej zeznania stały się bardziej szczegółowe. I idealnie korespondowały z innymi informacjami, które pojawiły się w śledztwie. Wertuję akta, szukając pasujących do siebie elementów.

O nowej dziewczynie Tomek miał jej mówić w listopadzie albo grudniu 1996 roku. Zapamiętała, że miała na imię Małgosia i chodziła do pierwszej bądź drugiej klasy zawodówki, zupełnie jak ofiara. Tak jak i ona, dziewczyna była z Jelcza-Laskowic.

Dorota pożyczała mu pieniądze na pociąg, a przed świętami chciał jeszcze na prezent dla tej dziewczyny. W śledztwie pojawił się wątek, że Małgosia kupiła dezodorant dla chłopaka, a policji nigdy nie udało się ustalić, kto dostał ten prezent.

Dorota zeznała też, że sylwestra w 1996 roku Tomasz zamierza spędzić właśnie w Miłoszycach. Miał pożyczać od niej pieniądze na benzynę, by tam dojechać. Chociaż nie miał ani auta, ani nawet prawa jazdy. Dorota i na to miała jednak wytłumaczenie. – Powiedziałam mu, że to jest bezczelne, że nie masz samochodu, a chcesz pożyczać pieniądze na benzynę. On powiedział, że pod domem stoi audi ciotki i ona mu je pożyczy. Nie wierzyłam mu, więc wyglądnęłam przez balkon i mi je pokazał – zeznała.

Dorota określiła kolor samochodu jako „jasny”. W śledztwie także pojawiło się srebrne audi, które kręciło się po Miłoszycach.

W jej zeznaniach był jeszcze jeden kluczowy punkt: po Nowym Roku Tomek przestał już pożyczać od niej pieniądze.

Dzwonię do prokuratora Stanisława Oziminy, który przed laty prowadził jej przesłuchanie, czy nie uważa, że zeznania głównego świadka powinny zostać sprawdzone. Z akt wynika, że nie zainteresował się, kim jest tak naprawdę Dorota i jakie były jej relacje z rodziną Komendów.

– Zeznania oczywiście się weryfikuje, o ile podane są fakty, które można sprawdzić, albo osoby, na które świadek się powołuje. Ale ja teraz nie potrafię przypomnieć sobie w ogóle zeznań tej pani. To już było tyle lat temu – mówi.

*

Nie udaje mi się znaleźć Doroty, ale sama dzwoni po drugim artykule, który o niej publikuję. – W szpitalu byłam, teraz się dowiedziałam i znowu chora będę. Co to za głupoty! „Fakt” napisał, że jestem prostytutką?! Ja ich do sądu pozwę – krzyczy do słuchawki.

Tłumaczę, że nie mogę komentować artykułów kolegi. Ale do moich Dorota też ma pretensje. – Co ci ludzie wygadują, że ja masażystką nie byłam. Lata ciężko przepracowałam, kręgosłup sobie zniszczyłam. Mam gdzieś schowane papiery z nazwiskami wszystkich klientów – wykrzykuje, nie dając mi dojść do słowa. Zaraz jednak zmienia ton i już spokojnie mówi: – Jeszcze siły nie mam, ale jak tylko wyzdrowieję, to poszukam i pani pokażę.

Przypominam jej zeznania sprzed lat, Dorota nie ma sobie nic do zarzucenia.

– Ja tylko rozpoznałam go na portrecie pamięciowym, ale na portretach rozpoznałam też jego ojca i brata. Od początku uważałam, że jeżeli Tomek mógłby to zrobić, to tylko w ich towarzystwie. Był od nich bardzo zależny, sam na pewno nie zdecydowałby się na coś takiego. Mówiłam nawet śledczym, że jak ojciec i brat są niewinni, to on też, ale nikt mnie nie słuchał – jeszcze bardziej podnosi głos. – Rozpoznałam go w czasie towarzyskiego spotkania, ale nie chciałam zeznawać. Zmusił mnie policjant, który prowadził śledztwo. Po tym, jak rozpoznałam Tomasza, przychodził do mnie codziennie. Czułam się zastraszana.

Był wielki, bałam się go. Gdy nie chciałam zeznawać, groził, że sama skończę w więzieniu. Mówił, że mogą mnie oskarżyć o chronienie mordercy. Byłam już wykończona nerwowo i dlatego w końcu się zgodziłam.

Pytam, czy ktoś ingerował w jej zeznania, ale Dorota zaprzecza. – Ja tylko opowiadałam, co wiedziałam o nich jako rodzinie. Tomek naprawdę pożyczał ode mnie pieniądze. Zresztą cała jego rodzina pożyczała, a potem nie oddawała. Miałam już tego dość.

Gdy zaczynam mówić o Bogdanie B., znowu się denerwuje. – On pani powiedział, że nie ma do mnie pretensji? To jakieś żarty. Nie chcę nawet słyszeć o tym człowieku. Byłam w tym związku ofiarą. Ja to udowodnię, pokażę dokumenty!

Próbuję się dowiedzieć, jakie to dokumenty. Dorota zmienia ton. Jest teraz spokojna i miła. – Na szafie są, w pudłach, nie jestem teraz w stanie ich ściągnąć. To za wysoko, pani rozumie, nie dam rady – mówi. – Możemy się spotkać, jak tylko będę silniejsza. Chorobę autoimmunologiczną mam, już mi słabo. I szparagi gotuję. Nie mam czasu rozmawiać. Zaraz mąż na obiad wróci. Ale ja te dokumenty pokażę. Odezwę się – opowiada chaotycznie i się rozłącza, nie czekając nawet na moje „do widzenia”

*

Może dwa tygodnie później, 12 czerwca 2018 roku, lekarz w jednym z wrocławskich szpitali wypisuje akt zgonu Doroty P. Przyjęto ją z powodu problemów z oddychaniem, już nic nie dało się zrobić, stanęło jej serce. Śmierć bada prokuratura we Wrocławiu. Sekcja zwłok ani analiza krwi nie wskazują, że ktoś się do tej śmierci przyczynił.

*

Rola Doroty w tej sprawie nie daje mi spokoju. Docierają do mnie kolejne plotki, że sypiała z policjantami i prokuratorami. Miała szerokie kontakty, słyszę. Pracowała zresztą jako masażystka w policyjnym klubie Gwardia. A w PRL bez problemu wyrobiono jej paszport. Ze zdjęcia uśmiecha się długowłosa dziewczyna, mogła się podobać.

Dlaczego kłamała? I dlaczego jej kłamstwa tak dobrze pasowały do innych informacji ze śledztwa. Sama się tego dowiedziała czy ktoś jej podpowiedział?

Już w tej historii z rozpoznaniem nic się nie zgadzało. Dorota mówiła, że zobaczyła portrety pamięciowe podejrzanych o śmierć Małgosi w telewizyjnym *Magazynie 997*. Przeglądam archiwalne gazety telewizyjne z czasu, kiedy miało dojść do spotkania, na którym go oglądali. Ani tego programu, ani żadnego innego o śmierci Małgosi nie znajduję.

Po Dorocie zostało jeszcze nagranie z prokuratury. Śledczy przesłuchali ją rok przed śmiercią, 28 lipca 2017 roku.

Nie przypomina dziewczyny ze zdjęcia paszportowego. Włosy ma krótkie, figurę obfitą, twarz stała się okrąglejsza. I zamiast uśmiechu przecina ją grymas. Ciężko siada na krześle, wzdychając ostentacyjnie.

– A to nie będzie żadnych pytań? – burczy, gdy prokurator prosi ją, by powiedziała, co pamięta.

– Najpierw chciałbym swobodnej wypowiedzi.

Dorota, chcąc nie chcąc, zaczyna opowiadać, jak to było z tym rozpoznaniem Komendy. – Powiedziałam: durna policja, przestępcy latają im po zapleczu, bo oni mieszkali zaraz za komendą, a ci udają ślepych i tego nie widzą.

Dorota co chwilę podnosi głos. – Policja mnie nachodziła. Ten wysoki był najgorszy – denerwuje się. Nazwiska nie pamięta, ale musi chodzić o kierującego śledztwem Zbigniewa P. I jeszcze prokurator Ozimina.

– Jest albo idiotą, albo jest niedorozwinięty umysłowo, albo coś z nim jest nie tak, bo ile razy można powtarzać to samo. Straciłam cały szacunek do prokuratorów. Uważam, że to sami durnie – złorzeczy, ale o przesłuchaniu nie mówi nic konkretnego. Dopiero po kolejnych pytaniach tłumaczy, że Ozimina ciągle jej zaprzeczał. – Próbował mi wmówić, że ja ich w ogóle w tym dniu nie widziałam – mówi Dorota. – I jeszcze miał wątpliwości, czy faktycznie im te pieniądze pożyczałam. A przecież pożyczałam, i to nieraz.

Gdy mówi o rodzinie Tomka, w jej głosie słychać pogardę, bo tylko babcię nachodzili i wyciągali od niej pieniądze.

– Dlaczego w takim razie dała pani takim ludziom dziecko pod opiekę? – chce wiedzieć prokurator.

– Teresa ciągle nie miała pracy, pieniędzy, a ja miałam problem z niańką. A po dziecku widziałam, że dobrze się nim zajmowała, zadowolone było.

Zrezygnowała z jej usług, bo chociaż miała płacić raz na miesiąc, codziennie prosili ją o pieniądze. – W twarz im powiedziałam, że mnie na nich nie stać, nie mogę ich wszystkich utrzymywać – Dorota znów się obrusza. I jeszcze kolejny raz, kiedy mówi, że za wskazanie sprawców miała być nagroda 10 tysięcy złotych, a nic jej nie dali. Chociaż się upominała.

„Ta kobieta chce jeszcze pieniędzy” – nie może uwierzyć prokurator. Dorota denerwuje go swoją bezczelnością. Jeszcze nigdy nie przesłuchiwał takiego świadka.

Mimo upomnień co chwilę zwraca się do nich na „ty”. A i wyciągnięcie z niej jakichkolwiek informacji nie jest łatwe,

bo zaraz zmienia temat. Najchętniej opowiada o swoim dawnym kochanku. Że chciał ją zniszczyć, maltretował psychicznie, gaz w domu odciął. Prokuratorę na nią nasłał. O niej Dorota też ma wiele do powiedzenia. Okropna kobieta. Ale po drodze obrywa się także lekarzowi, który zdiagnozował u niej mięśniaki i straszył ją, że umrze.

Wykrzykuje to na jednego, to na drugiego, czasem płacze, podkreślając swoją niedolę, ignorując przy tym pytania prokuratora.

Najbardziej złości się, gdy zagaduje ją o pracę masażystki.

– Przecież już mówiłam – odburkuje, chociaż nie mówiła wcześniej nic na ten temat.

Prokurator gotuje się w środku, ale spokojnie dopytuje, na czym dokładnie ta praca polegała.

– Mogę panu za chwilę nawet zademonstrować.

– Nie chcę, żeby pani mi demonstrowała, tylko powiedziała.

– Na nastawianiu kręgosłupów, naciąganiu mięśni...

– A jakie ma pani wykształcenie w tym zakresie?

– A co to pana obchodzi?!

– Zadałem pani pytanie, więc proszę odpowiedzieć albo uznać, że zachodzi tutaj przypadek z art. 183 § 1 – świadek może uchylić się od odpowiedzi na pytanie, jeżeli udzielenie odpowiedzi mogłoby narazić jego lub osobę dla niego najbliższą na odpowiedzialność za przestępstwo lub przestępstwo skarbowe.

– Uznaję ten paragraf. Nie chcę o tym rozmawiać i już. To nie pana sprawa.

Po kolejnych pytaniach opowiada, że anatomii uczyła się w prosektorium. A gdy prokurator drażni jeszcze kwestię jej braku wykształcenia, bo jak sama wcześniej przyznała, skończyła tylko szkołę średnią, znów proponuje, że „pokaże swoje umiejętności” i jeszcze, że może ich wszystkich „w dziesięć minut zdiagnozować”.

Nagle zaczyna krzyżeć: – Mam wyjść?! Powiedziałam, że nie będę o tym rozmawiać, bo wyjdę. Co mają Miłoszyce do mnie? Ja tego nie rozumiem.

Prokurator ma dość. Gdy kończy przesłuchanie, Dorota wzdycha demonstracyjnie: – No nareszcie.

*

„Zeznania złożone przez Dorotę P. nie spełniają kryteriów wiarygodności” – pisze w opinii biegła psycholożka Justyna Poznańska. „Świadek niechętnie współpracuje, przejawia symptomy napięcia emocjonalnego. Zdarzenia będące przedmiotem sprawy relacjonowała w sposób lakoniczny, zdawkowy, mało spontanicznie, sztywno i wybiórczo. Z kolei wątki niebędące istotne w toczącym się postępowaniu relacjonowała w sposób spontaniczny, naturalny. Była wówczas nadmiarowa, zagadując właściwy wątek przesłuchania. Gdy główny wątek rozmowy dotyczył jej roli, dążyła do zmiany tematu rozmowy i zaczynała relacjonować zdarzenia niemające jakiegokolwiek obiektywnego związku ze sprawą”.

Prokuratura zleca też sprawdzenie Doroty P. wariografem.

Czy wprowadziła pani w błąd organy ścigania w sprawie zabójstwa Małgorzaty K.?

Czy świadomie wprowadziła pani w błąd?

Czy oszukała pani w sprawie zabójstwa Małgorzaty K.?

– Nie, nie i jeszcze raz nie – powtarza Dorota. A po badaniu pyta biegłego: – I co tam wyszło?

Biegły nic nie odpowiada, ale już wie. Takie pytanie zadają ci, którzy kłamią. Analiza wyników potwierdza jego przypuszczenia.

Rozdział 3

PRAWO I POLITYKA

– Teresa Klemańska – słyszę w słuchawce. Czekałam na ten telefon. Chciałam ją zapytać, jak to jest odzyskać syna po osiemnastu latach. Ale w jej głosie nie ma radości. Ledwo się przedstawia i zaczyna krzyczeć: – Piszecie o nim „Komenda”, a on ma imię. Tak mówiono do niego w więzieniu.

Przepraszam ją. I tłumaczę się, że to nie zła wola. Tytuł musiał być krótszy: – Niech pani popatrzy, w artykule imię już jest.

Uspokaja się równie szybko, jak się zdenerwowała. – Prawdę pani napisała o Dorocie. Zawsze wiedziałam, że to oszustka – mówi.

Poznała ją przez mamę. Widywała jednak rzadko. Wiecznie jej nie było w domu, tyle co wpadła do mamy po obiad. Dorota płaciła za to gotowanie parę złotych. A gdy urodziła syna Krystiana, zapytała Teresę, czy się nim zaopiekuje.

– Chciałam sobie dorobić, a i tak siedziałam ze swoim Grzesiem w domu. To dziecko miało wtedy kilka miesięcy. Dorota pracowała jako masażystka, miała go odbierać o szesnastej, ale nigdy nie wracała na czas. Krystian był u nas do godziny dwudziestej drugiej,

czasem nawet do dwudziestej trzeciej. Nieraz wieczorami jej szukaliśmy, żeby oddać chłopca. Kiedyś przyszłam do niej do pracy, gdy zachorował, ale powiedziała, że nie umiera, więc żebym jej nie zawracała głowy. Miałam tego dość. Nieważne już te pieniądze, co mi dawała. Kilka miesięcy już go pilnowałam i coraz więcej było problemów. A tak porządnie pokłóciłyśmy się przed moimi imiennikami. Powiedziałam, że robię imprezę i nie mogę się opiekować Krystianem. No jak, alkohol i dzieciak mały. A Dorota się wściekła. No to powiedziałam, że już więcej się nim nie będę zajmowała – Teresie na samo wspomnienie podnosi się głos. I zaraz załamuje. – Powiedziała mi wtedy, że jeszcze ją popamiętam i że będę przez nią płakała. No i płakałam przez osiemnaście lat.

*

Jest rok 2000. Po tym jak Dorota przekazała znajomemu policjantowi informację, że Tomasz Komenda, jego brat i ojciec mogą być sprawcami zabójstwa Małgosi, prokurator Janczyński zarządza przeszukanie ich mieszkania i pobranie od wszystkich próbek DNA oraz odcisków szczęk. Zleca też badania śladu zapachowego z czapki Tomka.

Tomek nie bardzo się tym nawet przejmuje, badaniom poddaje się dobrowolnie. „Niech sobie sprawdzają” – myśli, on nic złego nie zrobił. Cała rodzina uważa zresztą, że to pomyłka, jakieś rutynowe badania. O zabójstwie Małgosi słyszeli w telewizji, ale sami nigdy nie byli nawet w Miłoszycach.

Brata Gerarda i ojczyma Mirosława wyniki wykluczają z grona podejrzanych. W przypadku Tomasza biegli stwierdzają zgodność markerów DNA. Gdy tylko spływają opinie, prokurator każe go zatrzymać.

*

Tomek urodził się jako wcześniak. Teresa wie dlaczego. Jego ojciec ją tłukł. Zaczął zaraz po ślubie. Była wtedy bardzo młoda, miała dziewiętnaście lat. Poznała go w pracy, wszystkie dziewczyny się za nim oglądały, bardzo jej się podobał. Szybko zaszła w ciążę, urodziła Gerarda i niedługo później druga ciąża. To mu nie przeszkadzało, tak samo ją bił. W ósmym miesiącu zrzucił ją ze schodów.

– Uciekaj, bo kiedyś cię zabije – usłyszała od jego ojca. No i uciekła, a zaraz po tym urodziła Tomka. Przez to bicie i schody od małego miał problemy. Teresa chodziła z nim po lekarzach. Wszystkiego uczył się później niż inne dzieci. Jeść, chodzić, mówić. Trzeba było poświęcać mu więcej czasu. To Mirek, jej drugi mąż, nauczył go stawiać pierwsze kroki. I to jego Tomek nazywa tatą. Ale to z matką był najbardziej związany. Zresztą ona wszystkie dzieciaki z podwórka zabawiała. Organizowała im zawody, gry, konkursy. Nazywali ją podwórkową mamą. Gdy zaczęli próbować pierwszy alkohol, to też z nią. – Już lepiej w domu, niż mielibyście gdzieś po bramach wystawać – mówiła im. Wszyscy ją szanowali.

Wiedzieli, że jej oczkiem w głowie jest Tomek. Wychuchany synek. Miał problemy w szkole, czytanie, pisanie, liczenie, wszystko mu sprawiało trudność. Długie godziny trzeba było mu poświęcić, ale w końcu rozumiał. I dobry chłopak był.

– Mamusiu, ja dla ciebie wszystko zrobię – mówił i ją przytulał. Bała się o niego, te schody jeszcze w niej siedziały, że go wtedy nie ochroniła.

Pilnowała go bardzo, zawsze musiała wiedzieć, gdzie jest. Sam się zresztą nie wypuszczał, zawsze był z braćmi. Chodził z nimi na dyskoteki, ale nie był pierwszy do dziewczyn. Nieśmiały raczej.

Ale z koleżankami się dogadywał. I znalazł sobie zajęcie – mył auta. Spodobało mu się. I pieniądze jakieś z tego były.

Tamtego dnia, 17 kwietnia 2000 roku, Tomek maluje okna, stare już są, farba się złuszczyła. W domu cisza, rodzice na czas remontu przenieśli się do mieszkania ciotki, która wyjechała do pracy w Niemczech. Zaraz ma iść do sklepu po mleko dla młodszego brata i zanieść je rodzicom. Nie zdążył.

Do mieszkania wpadają policjanci. Przyciskają Tomka do podłogi i skuwają kajdankami. Ciągną do auta.

Sąsiedzi widzą, jak prowadzą go skulonego.

Tego malowania nikt już potem nie kończy. Okna na kolejne osiemnaście lat są oklejone taśmą malarską, tak jak je zostawił Tomek. Matka nie pozwoliła ich ruszać.

*

Tomka wiozą do Komendy Głównej Policji we Wrocławiu. Przesłuchują go we dwóch. Nadkomisarz Zbigniew P., który od początku kierował śledztwem, i współpracujący z nim starszy sierżant Bogusław R. Grają role dobrego i złego policjanta. Do czasu, kiedy obydwaj stają się tymi złymi.

Widzi, że im bardziej zaprzecza, tym bardziej oni są zdenerwowani. Rzucają mu przed oczy zdjęcie zmasakrowanej Małgosi. „Zobacz, co jej zrobiłeś. Przyznaj się. Bo matki już więcej nie zobaczysz”

Biją go po głowie. Tomek słyszy: „No, skurwysynu, powiedz prawdę”

A zaraz się uspokajają, chwilę można odetchnąć. „Może byłeś tam kiedyś w okolicy? W Gajkowie na meczu. Kolegę tam masz?” „Pracowaliśmy razem”

Ale jak zaprzecza, że widział kiedykolwiek Gośkę, znowu zaczynają go wyzywać. Zrzucają go z krzesła. Kopią i biją. Krew z nosa zalewa mu twarz. Jeden bierze krzesło i go uderza. I jeszcze raz. Ból jest nie do wytrzymania.

Wrzucają go na dołek. Przychodzą z gotowymi zeznaniami. Obiecują, że jak je podpisze, zobaczy matkę.

*

Teresa najpierw myśli, że Tomek pojechał na lotnisko. Lubi samoloty oglądać. Ale kolegę, z którym zawsze jeździł, spotyka przed domem. Teresa kręci się po podwórku, może ktoś coś wie. Sąsiadka się wychyla: – Syna pani szuka? Policja zabrała go z rana. W kajdankach go wyprowadzili.

Teresa idzie do komendy, to zaraz za rogiem.

– Macie mojego syna? – pyta.

Mają, ale nic więcej nie chcą powiedzieć. Chociaż płacze i krzyczy. Nie mogą i już. Prosi jeszcze tylko, żeby podali mu paczkę papierosów.

Pisze na niej odręcznie „Tomasz Komenda”. Będzie wiedział, że ona tu jest.

*

Tomek już się cieszy, że zaraz wyjdzie. Mamę zobaczy. Ale nawet zadzwonić mu nie pozwalają. Skutego wsadzają do suki i przewożą do aresztu. Klawisz na bramie wita go: – Wchodzisz do piekła.

Tomek trafia do morderców. Jak wchodzi do celi, reszta od razu pyta, za co siedzi. Nie odpowiada, ale wyrywają mu biało, znaczy papiery, które się dostaje po przyjęciu. Takich jak on, z kulawym paragrafem za zgwałcenie nieletniej, tutaj się gnębi.

*

Teresa przekonuje prokuratora Stanisława Oziminę, żeby pozwolił jej zobaczyć się z synem. Niewinny jest, tłumaczy, w domu był wtedy ze mną. Od Oziminy słyszy, że Tomek jest za głupi, żeby to zrobić. Ale z aresztu go nie wypuści. Kilka miesięcy do niego chodzi, zanim prokurator w końcu zgadza się na widzenie.

Tomek i Teresa wyją do słuchawek, nawet słowo im przez gardło nie przechodzi. Obydwoje z rękami na szybie. Jeden wielki krzyk.

Z aresztu Teresa od razu biegnie do prokuratora, żeby zgodził się na widzenia przy stoliku. Kłamie, że słuchawki są chyba zepsute.

Jeszcze długo nie potrafią rozmawiać. Płaczą, tuląc się do siebie.

Teresa załatwia adwokata. W. zapewnia ich, że sprawa jest łatwa do wygrania, bo żaden z dowodów nie jest kategoriyczny. Poza tym Tomek ma alibi. Nie mógł jednocześnie być we Wrocławiu i w Miłoszycach. Ale W. chce za obronę kilkanaście tysięcy złotych. Nie mają z czego mu zapłacić. Pocieszają się, że przecież Tomek jest niewinny, więc sąd i tak musi go wypuścić.

On też cały czas myśli, że zaraz wyjdzie. W końcu rozumieją, że to pomyłka. Ale mija miesiąc, trzy, znów przedłużają mu areszt, pół roku i wciąż to samo. Prokuratura twierdzi, że zgwałcił Małgosię ze szczególnym okrucieństwem.

Zapach, DNA, odcisk szczęki, wszystkie dowody o tym świadczą.

Ani Tomek, ani jego matka nic z tego nie rozumieją.

*

Czytam zeznania Tomka. Według protokołu złożył je w obecności prokuratora Stanisława Oziminy.

Początek zgadza się z tym, co mówił. Że w domu była impreza. Zaczęli zabawę około dwudziestej, może dwudziestej pierwszej. Pili

alkohol, z czasem wszyscy byli pijani.

Tomek upił się pierwszy i poszedł spać. Według protokołu jednak nadal „czuł się na siłach”.

Około drugiej w nocy miał pojechać autobusem do Gajkowa. Tam mieszkał jego kolega, trzydziestoletni Tomek, z którym pracował na myjni. Albo poznali się jeszcze wcześniej, jak grali razem mecz. W sumie Tomek miał być w Gajkowie dwa razy.

Trzeci raz miał być w sylwestra. W protokole przesłuchania napisano, że był tam o trzeciej w nocy, chwilę pogadał z kolegą i zdecydowali, żeby iść do Miłoszyc na dyskotekę. Droga miała im zająć pół godziny. Kolega na dyskotecę miał być krótko, on został sam. Pił piwo.

Potem w zeznaniach robi się jeszcze ciekawiej: „Na dyskotecę poznałem dziewczynę, która miała na imię Kaśka. Nie wiem, ile miała lat. Była ubrana w jasne dżinsy, białą koszulę, włosy miała czarne, do ramion. Tańczyłem z nią. Na dyskotecę byliśmy do końca. Gdy już zamykali, poszliśmy do pobliskiego lasu i tam się kochaliśmy. Stosunek odbył się bez żadnego przymusu. Po prostu ja chciałem i ona chciała”.

W protokole jest informacja, że później każde poszło w swoją stronę. Tomek do Gajkowa, a stamtąd autobusem do Wrocławia. W domu miał być około szóstej, może szóstej trzydzieści.

Nikt nie dociekał, jak miałyby zdążyć to wszystko zrobić. Z samego Gajkowa do Miłoszyc jest dziesięć kilometrów. I miał je dwukrotnie przejść pijany w środku nocy, a w międzyczasie jeszcze poznać dziewczynę i uprawiać z nią seks. A do tego dojechać do Wrocławia. I to wszystko w cztery, może pięć godzin.

Ale prokuratorowi wystarczyło, że w zeznaniach pojawiły się Miłoszyce. Miał zresztą wyniki badań biologicznych.

Wreszcie można było kogoś aresztować. Ta sprawa ciągnęła się już zdecydowanie za długo.

*

Stanisław Ozimina, który aresztował Komendę, był już czwartym prokuratorem prowadzącym śledztwo.

Rodzicom Małgosi i mecenas Ewie Szymeckiej udało się w końcu doprowadzić do odwołania Janczyńskiego za opieszałość i na początku 2000 roku śledztwo przejął Ozimina. Kiedy aresztowano Tomasza Komendę, wróciła im wiara, że wreszcie uda się zatrzymać wszystkich sprawców. Ale mijały kolejne miesiące i nadal nic się nie działo. Komenda siedział wprawdzie w areszcie, wciąż jednak nie został oskarżony. A przecież dowody wydawały się jednoznacznie wskazywać, że to on. Wciąż nie było także wiadomo, kto jeszcze uczestniczył w zbrodni, a śledczy nie sprawdzali żadnego z tropów, które podsuwali im rodzice Małgosi. Zależało im, żeby dokładniej przesłuchać mieszkańców Miłoszyc, m.in. Krzyśka, który ostatni widział ich córkę, i ludzi, którzy mieszkali w sąsiedztwie.

A Stanisław Ozimina skupiał się tylko na Komendzie. Powołał biegłych psychologów i psychiatrów, najpierw zlecił im badania, potem jeszcze obserwację w szpitalu.

„Uwaga skupiana dość dobrze, pamięć mniej sprawna, zwłaszcza w zakresie bezpośredniego zapamiętywania. Intellect niski. Bez urojeń i innych zaburzeń treści myślenia, bez zaburzeń spostrzegania. Uczuciowość płytka, egocentryczna” – czytamy w opinii.

Biegli zanotowali, że Tomek „prezentował się jako osobnik bierny, nieco onieśmielony. Kontakt słowny zachowywał, reakcje emocjonalne dostosowane do treści, nastrój wyrównany,

sytuacyjnie nieco obniżony. W zachowaniu spokojny, poprawny”, a także: „Z usposobienia jest spokojny, denerwuje się jedynie, gdy ktoś ubliża jego rodzinie, jednak nigdy nie reaguje agresją fizyczną”.

Stwierdzono u niego brak zaburzeń psychicznych, ale z drugiej strony zdolności intelektualne na granicy upośledzenia oraz niedojrzałość emocjonalno-poznawczą.

Uznano, że Tomek jest poczytalny. To był główny wniosek, na którym zależało prokuraturze. O to, czy ktoś z taką osobowością mógł popełnić okrutną zbrodnię, prokurator biegłych nie pytał.

Przesłuchano kolegę, do którego Tomek miał wtedy pojechać. Okazało się, że w tamtym czasie jeszcze się nie znali. Sprawdzone również rozkład jazdy autobusów, ale do Gajkowa w nocy żadne nie jeździły.

Śledczy przesłuchali także dwanaście osób, z którymi Tomek bawił się we Wrocławiu. Mówili, że zawsze miał słabą głowę, zasnął pierwszy w niewielkim pokoju, z którego wyjście prowadzi przez kuchnię i drugi pokój, w którym imprezowali. Mieszkanie w sumie ma trochę ponad trzydzieści metrów kwadratowych, trudno zniknąć niezauważonym. A nikt nie widział, żeby gdzieś wychodził.

Mijały kolejne miesiące, Tomaszowi Komendzie przedłużano areszt, ale prokurator nadal nie decydował się go oskarżyć.

Rodzice Małgosi i mecenas Szymecka mieli dość.

*

W Polsce od 31 października 1997 roku rządy sprawuje prawicowa koalicja Akcji Wyborczej Solidarność i Unii Wolności. Po Włodzimierzu Cimoszewiczu fotel premiera przejął Jerzy Buzek, pierwszy w III RP, który stanowisko utrzymał przez całą kadencję. To jednak Sojusz Lewicy Demokratycznej miał prezydenta.

Aleksander Kwaśniewski wygrał w 1995 roku wybory z Lechem Wałęsą. Nowy prezydent z rządem zwykle współpracował, ale kilka ustaw – np. tę dotyczącą reformy emerytur mundurowych – zawetował.

W 2000 roku koalicja się jednak rozpadła. To była historia bez precedensu, że ugrupowanie współrządzące postanowiło dobrowolnie z władzy zrezygnować, a dymisje dotyczyły nie tylko ministrów, lecz i wszystkich wyższych urzędników, również wicewojewodów.

Kroplą, która przelała czarę, było powołanie przez premiera komisarycznego burmistrza bogatej gminy Warszawa Centrum. Najpierw AWS straciła tam władzę na rzecz koalicji Unii Wolności i SLD. Wojewoda z AWS podważył jednak głosowanie na nowego burmistrza. Buzek tłumaczył, że zarząd komisaryczny uspokoi sytuację. Szef UW Leszek Balcerowicz uznał, że jest to naginanie prawa. Posłowie głośno mówili o zamachu na demokrację.

Prowadzone po aferze warszawskiej rozmowy nie pomogły i w czerwcu 2000 roku władzę przejął rząd mniejszościowy.

Komentatorzy polityczni nominacje na stanowiska ministerialne ocenili jako próbę wybicia się Buzka na niezależność. „Konstytucyjnie i politycznie jest to rząd dość stabilny, gdyż w swym obecnym kształcie dobrze zabezpiecza interesy poszczególnych członów AWS” – pisał Aleksander Chećko w „Polityce”.

Pstryczkiem w nos dla Unii Wolności i ostatecznym dowodem, że powrotu do koalicji nie będzie, był wybór na ministra sprawiedliwości Lecha Kaczyńskiego z Porozumienia Centrum.

Lech Kaczyński opowiadał się za ostrzejszym karaniem przestępców. Sam wprawdzie był specjalistą od prawa pracy, ale rad udzielał mu brat bliźniak, Jarosław, szef PC.

Lech uważał nawet, że robi państwową karierę niejako w zastępstwie brata, któremu przypięto etykietę prawicowego radykała. Jak mówił „Polityce”, to Jarosław „powinien teraz siedzieć w ministerialnym fotelu pod godłem, ponieważ już dawno przygotował całą koncepcję zmiany prawa i innej, twardszej filozofii jego stosowania”.

Nawet pisał czasem bratu publiczne wystąpienia.

Lechowi Kaczyńskiemu nie można było jednak odmówić pracowitości. Nie było niemal dnia, by nie pokazywały go media. Także dlatego, że wydawało się, iż był poza politycznymi podziałami, a jego decyzje miały zapewnić obywatelom, którzy narzekali na wysoką przestępczość i niskie kary, bezpieczeństwo.

Popularności dodały mu dymisje wręczane prokuratorom, którzy zbyt łagodnie traktowali bandytów. Głośno było o sprawie bydgoskiej, gdzie nie zawnioskowano o areszt dla dwóch przestępców, którzy dopuścili się rozboju. Przy użyciu noża wyłudzili wódkę i złotówkę – prokurator uznał, że suma była niewielka. Na wolności sprawcy znów dokonali napadu, tylko że tym razem stawiającego opór mężczyznę pobili na śmierć. Kaczyński szybko zrobił tam porządki kadrowe, a społeczeństwo mu przyklasnęło.

Wydał także nowe wytyczne dla prokuratorów – dotyczyły zaostrzenia polityki karnej. „Nowy prokurator generalny próbuje rozprawić się z narastającą przestępczością przy użyciu ręcznego sterowania ludźmi, którzy mu służbowo podlegają – pisał w tym czasie publicysta „Polityki” – Prokuratura zna podobny mechanizm z peerelowskiej przeszłości. Być może nawet wstrzemięźliwość w stosowaniu represji, literalne stosowanie liberalniejszych wobec przestępców procedur w latach 90. – to właśnie próba odreagowania tamtych czasów, gdy dyspozycyjność i nadgorliwość

niektórych reprezentantów tego zawodu przyniosła ujmę całej tej prawniczej korporacji”

*

Rodzice Małgosi z nadzieją słuchali zapowiedzi Lecha Kaczyńskiego o wyższych karach dla przestępców. W ich sprawie wciąż niewiele się jednak działo. Dlatego mecenas napisała do ministra sprawiedliwości i prokuratora generalnego list. Skarżyła się, że śledczy porzucają istotne w sprawie miłoszyckiej wątki, a dowody giną.

Kaczyński zaprosił ją na spotkanie. Dokładnej daty już teraz nie pamięta, ale musiał to być początek drugiej połowy 2000 roku.

– Gdy powiedziałam mu, co się działo, złapał się za głowę i stwierdził, że jeżeli chociaż połowa z tego, co mówię, jest prawdą, to musi zająć się tą sprawą. Po tej rozmowie ściągnął akta do Warszawy – opowiada Szymecka.

W październiku minister sprawiedliwości stwierdził publicznie, że we wrocławskiej prokuraturze potrzebne są zmiany personalne. Jako powód podał m.in. opieszałość w śledztwie dotyczącym zbrodni miłoszyckiej.

„To skandal, że sprawę umorzono, a później tylko dzięki apelacji okazało się, że sprawa nie była beznadziejna i jedną osobę można było aresztować. Prokuratorzy muszą się nauczyć, że skandalem są nie tylko afery, ale jeszcze w dużo większym stopniu zabójstwa. Skoro w okręgu wrocławskim różne osoby nie stosują się do moich wytycznych, być może trzeba znaleźć inne osoby. Nie ukrywam, że pewne decyzje, które planowałem, będą teraz przyspieszone” – powiedział Grzegorzowi Piechocie, dziennikarzowi „Wyborczej”

Zaczęły się spekulacje na temat odwołania Marka Gabryjelskiego, szefa wrocławskiej prokuratury.

On sam w wywiadzie z 27 października 2000 roku powiedział: „Takie zastrzeżenia się zdarzają. Znana mi jest dość krytyczna ocena ministra sprawy w Miłoszycach. Ja również oceniam ją krytycznie. Bez wątpienia prokurator generalny, kiedy uzna, że potrzebne są pewne zmiany, może takie decyzje podjąć. Trudno mi komentować pogląd mojego najwyższego przełożonego”.

Lech Kaczyński trzymał się rządów silnej ręki i ręcznego sterowania prokuraturą. Pół roku od objęcia przez niego stanowiska Jarosław Kurski przeprowadził z nim wywiad, który ukazał się w „Wyborczej” w listopadzie 2000 roku. Dziennikarz wytknął w nim ministrowi, że czterdziestu dwóch profesorów prawa i adwokatów w liście otwartym zarzuciło mu niekompetencję i niszczenie autorytetu prawa karnego. Stwierdzili, że tworzy atmosferę hysterii, co może prowadzić do tęsknoty za niedemokratycznymi rządami. Kaczyński nic sobie jednak z tych zarzutów nie robił, zaznaczając, że surowsze kary dla bandytów nie zaprzeczają wolności. I zapowiadał, że będzie kontynuował swoją politykę.

„Wykorzystujemy instytucję nadzoru do wywierania nieustannego nacisku na zaostrenie działań prokuratury. Ster został przestawiony, choć oczywiście przed okrętem jeszcze długa droga” – mówił. Oburzał się na „liberalne podejście” oskarżycieli i sądów do przestępców. A jako koronny przykład „patologii” podał właśnie sprawę gwałtu i morderstwa w Miłoszycach.

„Brutalnie zgwałcono, a później zamordowano piętnastoletnią dziewczynkę, właściwie jeszcze dziecko. Znalaziono jej ciało z rozerwanymi narządami rodnymi. I prokurator powiada pełnomocnikowi rodziny, że co najwyżej może jednemu ze sprawców postawić zarzut gwałtu. Są ślady zębów tego zbira, ślady DNA, wszelkie możliwe znaki – i nie można postawić zarzutu.

Taki sposób interpretacji praw człowieka, które czynią przestępców bezkarnymi, a ofiary bezbronniymi, stanowi zagrożenie dla porządku społecznego” – mówił, nawiązując rzecz jasna do Tomka Komendy.

A zaraz potem zaczął robić porządki we Wrocławiu.

Gabryjelski zdążył jeszcze w styczniu 2001 roku odsunąć od sprawy Stanisława Oziminę, który – po wniosku Szymeckiej – został ukarany za opieszałość, i przekazać nadzór nad śledztwem Tomaszowi F. Był wtedy także rzecznikiem prasowym prokuratury, więc uznano, że poradzi sobie z głośną medialnie sprawą.

W lutym 2001 roku Lech Kaczyński podpisał dekret o odwołaniu Gabryjelskiego ze stanowiska z dniem 1 marca. Rzeczniczka ministra Anna Kamińska tłumaczyła wtedy: – To próba poprawienia efektywności pracy wrocławskiej prokuratury. Minister nie ma żadnych zarzutów do pracy Marka Gabryjelskiego i podziękował mu za współpracę.

Miesiąc później, w kwietniu 2001 roku, prokurator Tomasz F. kieruje do sądu okręgowego akt oskarżenia przeciwko Tomaszowi Komendzie.

*

Kiedy w 2018 roku razem z Wojtkiem Czuchnowskim opisuję działania Kaczyńskiego w tej sprawie, podnosi się raban. U władzy od 2015 roku jest Prawo i Sprawiedliwość z kolejnymi pravicowymi przybudówkami. Partia powstała w 2001 roku na fali popularności Lecha Kaczyńskiego jako ministra sprawiedliwości. W rankingach poparcia wyprzedzał nawet premiera. Zamiast iść pod rękę z AWS, stał się twarzą założonej przez brata nowej partii. Wprowadzili wtedy do sejmu 44 posłów, a cztery lata później PiS wygrało zarówno wybory parlamentarne, jak i prezydenckie. Jarosław nadal kieruje partią. Lech, który najpierw został

prezydentem Warszawy, a później całego kraju, zginął w 2010 roku w katastrofie smoleńskiej.

Stanowiska prokuratora generalnego i ministra sprawiedliwości znów znajdują się w rękach jednego człowieka. Na sześć lat udało się je rozdzielić, ale PiS po wygranych wyborach wróciło do dawnego porządku. Funkcję objął Zbigniew Ziobro, który pierwsze kroki w Ministerstwie Sprawiedliwości stawiał przy Lechu Kaczyńskim.

Teraz chętnie przypisuje kierowanej przez siebie prokuraturze sukces uwolnienia Komendy.

– W tej sprawie doszło do poważnych błędów, braku staranności i profesjonalizmu ze strony prowadzących postępowanie organów ścigania i prokuratury – mówi podczas konferencji prasowej. Twierdzi także, że powrót do śledztwa, a także uwolnienie Tomasza Komendy nie byłyby możliwe, gdyby nie zmiana władzy.

Gdy pojawia się artykuł o Lechu Kaczyńskim, Ziobro też pierwszy zabiera głos.

– „Gazeta Wyborcza” rodem z esbeckich instrukcji manipuluje faktami i pomija podstawową informację, że gdy prokurator stawiał panu Komendzie zarzuty popełnienia przestępstwa zgwałcenia ze szczególnym okrucieństwem, kiedy występował z wnioskiem o tymczasowe aresztowanie i kiedy niezawisły sąd go tymczasowo aresztował, Lech Kaczyński nie był jeszcze prokuratorem generalnym. I nawet nie myślał, że nim zostanie – mówi w rozmowie z PAP.

Tyle że dopiero po interwencji Kaczyńskiego śledztwo nabrało tempa, a zaraz powstał akt oskarżenia. Do tych zarzutów Ziobro już się jednak nie odnosi.

W wywiadzie przypomina swoje zasługi w tej sprawie. Mówi: – W 2010 roku, w okresie rządów Platformy Obywatelskiej,

prokurator Bartosz Biernat, co „GW” przemilcza, zwrócił uwagę na nieprawidłowości w tym postępowaniu i ocenił, że pan Komenda nie jest sprawcą tego przestępstwa. Bezskutecznie alarmował o tym przełożonych. Sprawa została zamieciona pod dywan. (...) Trzeba było czekać latami na ostatnie wybory do parlamentu i zwycięstwo koalicji PiS oraz reformę prokuratury i zmianę jej kierownictwa. Ja sam i prokurator krajowy natychmiast zareagowaliśmy na wątpliwości zgłaszane przez prokuratora Biernata. Podjęliśmy decyzję, że trzeba je wnikliwie zbadać.

Tyle że prokurator Biernat sprawą miał się zainteresować w 2010 roku. Jak opowiadał, znalazł na swoim biurku akta sprawy. Nie wiedział, skąd się tam wzięły, ale zaczął je czytać. Ponoć chciał się tym zająć, poszedł nawet do przełożonych, ale miał usłyszeć, że śledztwo może prowadzić, jednak po godzinach. Przesłuchał jednego świadka, od którego dostał kilka zdjęć z tamtego sylwestra. I akta trafiły z powrotem do archiwum.

O zasługach prokuratora Biernata Ziobro powtarza jeszcze kilkakrotnie, występuje z nim nawet na konferencji prasowej. Promuje go tak bardzo, że „Gazeta Prawna” wręcza mu nagrodę Złoty Paragraf dla prokuratora roku. W uzasadnieniu doceniono „jego konsekwencję i upór w dążeniu do prawdy”. Napisano także, że „swoją postawą udowodnił, że zadaniem prokuratora nie jest tylko stawianie zarzutów, ale przede wszystkim ochrona interesu społecznego i dążenie do prawdy”. W kapitule zasiada m.in. Zbigniew Ziobro.

Prokuratorzy, którzy doprowadzili do wznowienia śledztwa w sprawie zbrodni miłoszyckiej i od początku do końca je prowadzili, żadnych nagród od szefostwa nigdy nie dostali.

Tomasz Komenda złości się, słuchając kolejnych wystąpień Ziobry. Nie rozumie, jak może nazywać bohaterem człowieka, który

od ośmiu lat miał wiedzieć o jego niewinności, ale nic nie zrobił, żeby wyciągnąć go z więzienia.

– Denerwuje mnie, że władza traktuje mnie jak maskotkę i z mojego uwolnienia robi swój sukces – mówi, kiedy dzwonię do niego po komentarz do wystąpień Ziobry. – Niech się lepiej zastanowią, co wtedy spieprzyli.

Rozdział 4

PROCES

Rok 2001.

„Jesteśmy już u kresu wytrzymałości. Chcemy tego procesu, chcemy sprawiedliwości, chociaż córki i tak nic już nam nie zwróci” – gazety cytują ojca Małgosi.

Śledztwo – pisze Marcin Rybak – nie ma szczęścia. Bo nawet jak już powstał akt oskarżenia, rodziców frustrowało, że prokuratura chce sądzić Komendę tylko za gwałt, nie morderstwo. Ojciec dziewczyny się skarży: – Nasza córka została zgwałcona, pogryziona, skatowana, tak kopana buciorami, że ślady odcisnęły się na jej ciele, rozebrana do naga i w stanie nieprzytomności pozostawiona na śniegu w minusowej temperaturze, gdzie zamarzła. To jest przecież zabójstwo.

Wszyscy czekają na proces, bo informacje, które przedzierają się do prasy, są lakoniczne. A mecenas Szymecka już od roku nie widziała akt.

Termin pierwszej rozprawy wyznaczono na 9 października.

Pierwsze posiedzenie Sądu Okręgowego we Wrocławiu jest krótkie. Sędzia Mariusz Wiązek stwierdza, że możliwa jest zmiana kwalifikacji na zabójstwo.

– Od początku tak wnioskowaliśmy. Zniszczyli nam dziecko. Człowiek nie żyje. A jak człowiek nie żyje, to jest morderca – mówi ojciec Małgosi, który zostaje oskarżycielem posiłkowym. Razem z żoną siedzą w ławce z mecenas Szymecką. Jadwiga co raz się rozkleja, Krzysztof ściska w dłoni notatki. Nie może pozwolić sobie na emocje, musi doprowadzić do skazania mordercy Małgosi. Tylko o tym potrafi teraz myśleć.

Zeznaje jako jeden z pierwszych.

– Nie mamy córki. Zabili nam dziecko w środku wioski obok świetlicy, w której bawiło się pół tysiąca ludzi. Małgosia ginęła kilka godzin, a nikt jej nie pomógł. Nie wierzę, że nikt tam nie zaglądał. To był sylwester, a nie ciemna listopadowa noc – denerwuje się.

Liczbę uczestników Krzysztof zawsze zawyża, w Alcatraz prawdopodobnie było ich mniej, 200-300 osób.

Przed sądem Krzysztof przypomina porzucone przez śledczych tropy. Mówi o Krzysztofie K., który najpierw przyznał się do gwałtu i narysował szkic miejsca zbrodni, a potem ze wszystkiego się wycofał. – Dziwi nas, że prokuratura nie wyciągnęła konsekwencji.

I o rodzinie R., na której podwórku doszło do morderstwa. Że kiedy przyjechali tam rano z żoną, żadne ślady nie prowadziły do furtki, a te od stodoły urywały się na ich posesji. Przypomina też, że Józef przeganiał ich z podwórka, gdy przychodzili palić tam znicze, chociaż wcześniej rodzina zgodziła się, by postawili tam krzyż.

– Powiedział do mojej żony, że ją zapierdoli – mówi Krzysztof.

Przywołuje także nazwiska Ł. i D., których na dyskotece widział Norbert, ochroniarz. Nie rozumie, czemu chłopak nie powtórzył tych zeznań w prokuraturze, za to przekonywał śledczych, że to ojciec Małgosi go do nich przymusił. – Myślę, że w sądzie powie, dlaczego się tak zachowywał.

O Tomaszu Komendzie Krzysztof nie mówi nic. Bo nic o nim nie wie.

*

Na początku procesu Tomek odczytuje krótkie oświadczenie. Nie przyznaje się do popełnienia przestępstwa.

– Zeznania o seksie z dziewczyną w Miłoszycach podpisałem, bo policjant zmusił mnie do tego groźbami i biciem – mówi.

Odmawia odpowiadania na pytania. Adwokat mu tak poradził. Tłumaczył, że jeszcze poniosą go emocje.

Milczy. I tylko czasem nie wytrzymuje. Na przykład wtedy, gdy odczytują protokół przesłuchania Doroty P. Wprawdzie zmieniła nazwisko, ale Tomek wie, o kogo chodzi. W życiu z nią nie rozmawiał, a ona zeznała, że pożyczał od niej pieniądze i opowiadał o „Goście”, do której chciał jechać w sylwestra. I jeszcze te bzdury, że są patologią i babcię okradają.

– Kłamstwo! – krzyczy, ale Kelm uspokaja go wzrokiem.

Teresa też tych głupot nie potrafi słuchać spokojnie. Ale i jej Kelm doradził, by odmówiła składania zeznań. Gotuje się w środku, lecz milczy, żeby nie zaszkodzić Tomkowi. Adwokat ostrzegwał, że mogą zabronić jej widzeń.

*

Czytam protokoły z rozpraw. Kluczowe są przesłuchania biegłych. Opisują procedury i wyniki, starając się używać języka zrozumiałego dla laika.

Ireneusz Wesołowski, ekspert z zakresu badań śladów zapachowych, opowiada, że materiał zapachowy pobierano z dłoni oskarżonego przez piętnaście minut. W ten sam sposób pobierają materiał porównawczy od osób niezwiązanych ze sprawą.

Jak wygląda samo badanie?

Najpierw specjalnie wytresowany pies dostaje do powąchania materiał dowodowy. Potem podchodzi kolejno do pięciu stanowisk, w których umieszczone są ślady zapachowe. Jeden z nich pochodzi od oskarżonego. Na wszelki wypadek przewodnik psa nie wie, która to próbka.

Teraz pies musi wskazać, który z pięciu tamponów ma taki sam zapach jak materiał dowodowy.

Jest pięć stanowisk, w każdym umieszcza się jeden ślad zapachowy.

Biegły przeprowadza przynajmniej trzy takie próby. Z dwoma psami. Jedną z nich jest tzw. próba pusta, wtedy wśród śladów nie ma materiału porównawczego od oskarżonego.

Wesołowski zapewnił, że w przypadku obydwu psów przeprowadzono pełny zestaw prób.

Przebieg ekspertyzy nie był jednak rejestrowany kamerą wideo.

Dlaczego?

Bo prokuratura o to nie wniosowała.

Biegły nie wiedział też, w jaki sposób został zabezpieczony materiał dowodowy, bo „te czynności wykonywał ktoś z innej jednostki”. Oni otrzymali dowód w słoiku, czyli tzw. konserwie zapachowej.

A protokół z pobierania?

Nie ma, bo zwyczajowo się go nie robi.

– Materiał dowodowy zabezpieczono z czapki, która była wykonana z materiału chłonnego, więc zadziałała jak tampon – tłumaczył biegły. – Taki materiał przy prawidłowym zabezpieczeniu może leżeć kilka lat, zanim posłuży za dowód.

Dodał, że psy radzą sobie z rozpoznaniem śladów zapachowych także wtedy, gdy zostały wymieszane z innymi.

Obrońca Michał Kelm próbował podważyć wynik. Przede wszystkim ze względu na brak nagrania ekspertyzy. Zresztą ślad zapachowy to według niego zbyt mało, by kogoś skazać.

Prokuratura miała jednak jeszcze DNA z włosów znalezionych na miejscu zbrodni.

– Zbieżność nie oznacza jednak stuprocentowej pewności – tłumaczyła biegła Grażyna Dmochowska z Zakładu Medycyny Sądowej Akademii Medycznej we Wrocławiu, gdzie przeprowadzono badanie testem Polymarker.

– Na podstawie wyniku możemy stwierdzić, jak często występuje taki zestaw cech. Nasz zespół stwierdził, że w tym przypadku to średnio raz na siedemdziesiąt jeden osób. Nie do mnie należy ocena, czy są to rzadko, czy często występujące cechy – mówiła.

Zaznaczała także, że w ciągu pięciu lat, które minęły od przeprowadzenia badań, dokonał się ogromny postęp, w roku 2001 z DNA daje się wyczytać znacznie więcej.

– Byłoby wyższe prawdopodobieństwo identyfikacji, gdyby testy zostały wykonane teraz – tłumaczyła.

Włosów zabezpieczonych na początku śledztwa ponownie przebadac już się jednak nie dało – zostały w całości zużyte.

Ale oprócz badań Polymarkerem, które powiązały Tomasza Komendę ze sprawą, przeprowadzono jeszcze jedną analizę. Dotyczyła mitochondrialnego DNA (mtDNA). Na czym polega

różnica? Po pierwsze na tym, że DNA znajdujące się w mitochondriach komórek dziedziczy się w całości po matce. Po drugie jest bardzo specyficzne – dzięki czemu z większą pewnością można było orzec, czy materiał genetyczny oskarżonego jest zgodny z tym znalezionym na miejscu zbrodni.

Ale w sprawie Tomasza Komendy sąd nie wziął tego pod uwagę.

Akademia Medyczna w Bydgoszczy na początku śledztwa otrzymała do badań dziesięć włosów z czapki znalezionej w pobliżu ciała Małgosi. Później wynik porównano z próbkami pobranymi od trzech mężczyzn – Krzysztofa K. i Andrzeja W., którzy ostatni widzieli Małgosię, oraz ich kolegi. Teraz zarówno oskarżyciele, jak i obrona zażyczyli sobie, by sprawdzono w ten sam sposób także Komendę. Wynik okazał się negatywny.

Chciano powtórzyć badanie, ale nie było już włosów do ponownej analizy.

W trakcie procesu biegły z Bydgoszczy utrzymywał, że badanie mitochondrialne jest bardziej dokładne. Dokładniejsze niż Polymarkerem?

Biegły nie mógł rozstrzygnąć, z testów typu Polymarker nigdy nie korzystał.

Sąd nie pociągnął tematu.

Ale DNA nie było głównym śladem. Miało świadczyć co najwyżej o tym, że Tomasz był na miejscu zbrodni. Koronnym dowodem był odcisk zębów.

*

„Obrażenia prawej piersi pochodzą od zębów zuchwy Tomasza Komendy lub od zębów innej osoby posiadającej takie same szerokości oraz zbieżny układ i zniekształcenia jak zęby Tomasz Komendy” – pisał dr Jerzy Kawecki w opinii z 2000 roku.

Obrońca Tomasza kładł nacisk na drugą część tej opinii: „...lub od zębów innej osoby”.

Ale przed sądem dr Kawecki tłumaczył, że to tylko teoretyczna uwaga. Ani w wieloletniej praktyce, ani w literaturze fachowej z przypadkiem identycznego uzębienia u dwóch różnych osób się nie spotkał.

Razem z Wiesławem Semiczkiem, ekspertem od mechanoskopii, który wykonał pomiary śladów, zeznawali przed sądem kilkakrotnie. Tłumaczyli, że badania były bardzo dokładne.

Mecenas Kelm wciąż próbował je jednak podważyć. Przedstawił prywatną opinię kierownika Zakładu i Katedry Ortodoncji Akademii Medycznej we Wrocławiu, który stwierdził, że dowodem pozwalającym na dokonanie pełnej identyfikacji sprawcy jest wyłącznie odcisk górnej szczęki, nie zaś żuchwy, jak było w sprawie miłoszyckiej.

Kelm przedstawił też wyciski sześciu innych żuchw, do których pasował odcisk uzębienia sprawcy. Złożył jeszcze wniosek, by sprawdzić, jaki odcisk zostawiają odlewy szczęk znajdujące się w zasobach akademii medycznej i należące do osób o układzie zębów zbliżonym do Tomasza Komendy.

Sąd wniosek odrzucił.

Doktor Kawecki stwierdził przecież, że jest to kategoriyczny dowód.

*

– Bydlak – krzyczy Jadwiga, kiedy Tomasza wyprowadzają z sali. A gdy on nie odpowiada, zaczyna okładać go rękami. – Córkę mi zabiłeś, skurwysynu.

Krzyczała już na niego wcześniej, czasem nawet w sądzie. Nie może patrzeć na tego człowieka. Zabił jej dziecko, a zachowuje się

tak, jakby go to wcale nie obeszło. Siedzi z obojętną miną, nie odzywa się. Jak można coś takiego zrobić i nie mieć w sobie wstydu, żalu, to dla niej niepojęte. Krzysztof też nie rozumie. Przeprosiny nic by nie zmieniły, ale to jego milczenie, ten jego bezwład są jeszcze gorsze. Tak, jest winny, nie mają co do tego wątpliwości, a i wszystkie dowody na to wskazują. Mają już dość, że proces się ciągnie, kolejni świadkowie powtarzają to samo.

Oni już dawno by mu wymierzili sprawiedliwość. Krążyły plotki, że Krzysztof na jedną z rozpraw chciał wnieść nóż. Znalazła go ochrona.

Ale wciąż jest nerwowo, Jadwiga z tym „skurwysynem” i biciem to już musiała, nie była w stanie tylko siedzieć, patrzeć, słuchać, płakać.

Policja ją odciągnęła. Mocniej powinien był oberwać, należało mu się. Nie tylko Jadwiga tak myśli.

Ale Tomek ma już dosyć, że ciągle go oskarżają i wyzywają. A teraz jeszcze Jadwiga go bije. Kiedy sprowadzają go schodami, Tomek krzyczy do niej: – I co, zajebiesz mnie, kurwo?

*

Ten proces dużo rodziców Małgosi kosztuje. Jadwiga nie ma nawet siły, żeby po raz kolejny zeznawać. Nie wyobraża sobie, że mogłaby opowiadać o córce przy oskarżonym i jego matce. Już i tak z trudem słuchała zeznań znajomych Małgosi, którzy mówili przed sądem o ostatnich godzinach jej życia. Zniknęła im z oczu, ale nawet jej nie szukali. Zachowali się tak, jakby nie mieli sobie nic do zarzucenia.

Uczestnicy dyskoteki w Miłoszycach w sądzie powtarzają te same historie, które opowiadali już w prokuraturze. Trudniej im jednak przypomnieć sobie szczegóły, więc sędzia i tak posiłkuje się

protokołami z wcześniejszych przesłuchań. Dopytuje, czy rozpoznają Tomasza Komendę, ale nikt go nie pamięta. Oprócz Krzysztofa K.

– Koło dyskoteki podszedł do mnie oskarżony – mówi.

– Bzdura – krzyczy Tomek.

Krzysiek ma już dosyć tej całej sprawy. Do tego bardzo się boi przesłuchania przed sądem, nie potrafi kontrolować emocji. Zaczyna płakać. Potem ociera łzy. Ze złością odwraca się do Komendy i krzyczy: – Zniszczyłeś mi życie, chamie jeden. Podszedłeś do niej od tyłu i powiedziałeś, że jesteś jej bratem.

Sąd zaczyna ich uspokajać. A potem dopytuje, czy Krzysztof jest pewien, że to Komenda odszedł z ofiarą. – Nie jestem pewien, czy to on. Krzyczałem do niego, bo jest w tej sprawie podejrzany – odpowiada.

– Co świadek miał na myśli, mówiąc do oskarżonego, że ten zniszczył mu życie? – pyta jeszcze mecenas Ewa Szymecka.

Krzysztof znów zaczyna płakać. – Ja już nie chcę żyć, dziewczyna w ciąży, nie mam pracy, nie mam domu.

Na rodzicach Małgosi w ogóle nie robi wrażenia jego płacz. Tylko jeszcze bardziej utwierdza ich w przekonaniu, że chłopak coś ukrywa.

*

W sądzie zeznają także znajomi Tomasza Komendy. Wszyscy powtarzają to, co mówili przed prokuraturą: Tomek spędził tamtą noc sylwestrową z nimi, upił się, poszedł spać do małego pokoju obok kuchni, nie miał jak wyjść niezauważony. A poza tym był spokojnym chłopakiem, on nie byłby w stanie zgwałcić ani zabić.

Prokurator przekonuje, że kłamią, bo przecież są niepodważalne dowody na obecność Tomasza Komendy w Miłoszycach, więc nie mógł jednocześnie być w domu. Tomasz F. straszy świadków,

że oskarży ich o składanie fałszywych zeznań. Ale i sąd sprawy alibi nie draży, uznając, że bliscy nie są wiarygodni. A poza tym minęło już tyle czasu, że mogli najzwyczajniej zapomnieć, co działo się w pierwszych godzinach 1997 roku. Dla rodziców Małgosi ich intencje też są oczywiste: chcą uchronić zwyrodnialca przed karą.

Szczególnie że podczas przesłuchań wyszło, że dziewczyna jednego z braci Tomasza chodziła we Wrocławiu do tej samej szkoły co Małgosia.

Szymecka w trakcie procesu ciągle szuka nowych dowodów. Dopytuje świadków, składa wnioski dowodowe, chce kolejnych badań. Próbuje udowodnić, że Małgosia i Tomek się znali, ale nikt tego nie potwierdza. Koleżanki z klasy Małgosi nie wiedzą, czy widywała się z kimś po lekcjach, Gośka nie zdradzała im szczegółów swojego życia. Zapamiętały tylko, że przed Bożym Narodzeniem kupiła męski dezodorant na prezent. Ale nie powiedziała, komu chce go dać.

*

Liczba świadków do przesłuchania była tak długa, że sąd oddalał kolejne wnioski. Proces i tak ciągnął się dwa lata. Presja na jak najszybszy wyrok rosła.

– Nigdy nie zrozumiem, nigdy nie zapomnę, nigdy nie wybaczę tej zbrodni. Od siedmiu lat nie możemy sobie poradzić. Brakuje nam tego dziecka. Mamy przed oczami to miejsce – mówi ojciec Małgosi w mowie końcowej.

W listopadzie 2003 roku zakończono przesłuchania. Prokurator wnioskuje o dwanaście lat więzienia za gwałt ze szczególnym okrucieństwem. Rodzice i Szymecka żądają dożywocia. Przekonują, że Tomasza Komendę należy skazać za zabójstwo.

Obrońca Komendy zaznacza, że nie ma żadnych dowodów obciążających jego klienta, bo te, które przedstawiła prokuratura, są niewystarczające. Kelm przypomina, że tylko w samym Wrocławiu może być dziesięć tysięcy osób z taką samą sekwencją genów co Tomek, więc trudno orzekać na tej podstawie o winie.

Przytacza też wyniki badań, z których wynika, że jeśli chodzi o ślady zapachowe, psy bardzo często się mylą. Cytuje fragment z uzasadnienia wyroku jednego z sądów w Warszawie: „Nie może być dowodu z machania ogonem”.

Zaznacza też, że w przypadku odcisku szczęki można mówić jedynie o takim samym układzie sześciu zębów. To za mało, by obwinić jego klienta.

– Na korytarzu sądu plotkowano, że prokuratura jest zbyt łagodna, mówiąc jedynie o gwałcie – wspomina mecenas Szymecka. – Sama słyszałam, jak jedna z dziennikarek mówiła, że Komenda powinien dostać dożywocie za morderstwo. Takie głosy były zresztą powszechne.

*

„Wszyscy żądają kary” – pisze Marcin Rybak przed wyrokiem. Artykuł pod takim tytułem znajduję w archiwum „Wyborczej”: „Oskarżenie nie ma wątpliwości co do winy, choć bezpośrednich dowodów obciążających Tomasza nie ma. Ale poszlaki wydają się nie do obalenia. Na miejscu zbrodni znaleziono włos. Kod genetyczny pasuje do kodu genetycznego Tomasza K. Znaleziono też wełnianą czapkę. Schowana do szczelnie zakręconego słoika czekała przeszło trzy lata. Wreszcie, kiedy zatrzymano Tomasza K., policjanci przeprowadzili eksperyment z psami. Dwa psy wskazały, że zapach z czapki to jego zapach. Ale najważniejszy według prokuratora jest ostatni ślad – odcisk zębów jednego z oprawców na ciele ofiary.

Na podstawie tego śladu powstał gipsowy odlew szczęki. Lekarze porównali go z odciskiem szczęki Tomasza K. Opinia jest kategoriowa – to on!”

Marcin Rybak nie pamięta, ile artykułów napisał o zbrodni miłoszyckiej. Wie, że pierwszy opublikowano już kilka dni po tamtym sylwestrze.

– To nie był jeszcze czas internetu, komórek, ale w końcu takie informacje wypływały od służb. Wtedy łatwiej było o bezpośredni kontakt z prowadzącymi śledztwo – opowiada Marcin. Rozmawiamy dwadzieścia sześć lat po zbrodni miłoszyckiej. Pracujemy w jednej redakcji. Marcin wrócił do „Wyborczej” w 2021 roku, po siedemnastoletniej przerwie, ja jestem tu od 2016 roku.

Ale poznałam go jeszcze w „Gazecie Wrocławskiej”. Zaczęłam tam pracę zaraz po studiach. Po telewizji studenckiej i stażu w Money.pl cieszył mnie pierwszy dziennikarski etat. Marcin był już wtedy doświadczonym dziennikarzem śledczym. W redakcji nazywano go „Rybcia”.

We Wrocławiu jest znany. Ma dobre informacje i jest pracowity. Kiedy zostaję jego szefową, muszę dbać, by nie brał na siebie za dużo.

– Renata Grochał nazwała mnie kiedyś etosiarzem – mówi.

W 1997 roku dopiero zaczynał się zajmować sprawami kryminalnymi. Do „Wyborczej” przyszedł kilka lat wcześniej z doświadczeniem z prasy podziemnej. Rocznik, 69, student historii, chciał zarobić na rodzinę. Przez pierwsze lata pisał głównie o ekonomii i biznesie, ale i w tej dziedzinie najbardziej interesowały go przestępstwa.

– Zbrodnia miłoszycka to miała być prosta sprawa. Prokuratura powtarzała, że sprawcy się podpisali. Ale ciągle ich nie było, za to pojawiały się dziwne informacje o policjantach, którzy mieli

zastraszać świadków. Pamiętam, jak pisałem tekst na rocznicę śmierci Małgosi. Pojechałem wtedy w nocy do Miłoszyc. Chciałem poczuć tamtego sylwestra. Było spokojnie, żadnej głośnej imprezy, widziałem może trzy osoby. Nie wysiadłem nawet z auta. Może się bałem? Nie pamiętam.

Ta sprawa cały czas mu ciąży. Wiele razy słyszałam od niego, że jest w niej czarnym charakterem, tym złym.

Kiedy zbieram biogramy autorów na nową stronę „Wyborczej”, Marcin wysyła mi zestawienie redakcji, w których pracował i nagród. Historię kariery poprzedza dopisek:

„»Ten człowiek pomylił zawody« – powiedział o nim Tomasz Komenda na konferencji prasowej zaraz po swoim uniewinnieniu, po osiemnastu latach pobytu w więzieniu za zbrodnię, której nie popełnił. Rozżalony za jego publikacje w »Gazecie Wyborczej« w latach 2000-2004”

„Wycinam fragment o Tomku, reszta jest w porządku” – odpisuję mu.

„Jak ominiesz kawałek o Komendzie, to napiszą, że ukrywam tę sprawę. I że jestem łajdakiem. Inna rzecz, że jestem...” – pisze i jeszcze długo próbuje mnie przekonać, że to ważna część jego biografii.

– O co masz do siebie pretensje? – pytam, kiedy się spotykamy, żeby porozmawiać o tej sprawie. Przynoszę mu obiecane ciastka z kremem.

– Na pewno mogłem więcej pisać o argumentach obrony. Tomek Komenda i jego matka mają do mnie pretensje, rozumiem, mają prawo być źli. Po wyroku pani Teresa przyszła do mnie do redakcji, pamiętam, że siedzieliśmy razem w salce do spotkań, ale co mówiła już nie. Tyle lat minęło. Ponoć chciała, żebym zajął się tą sprawą, udowodnił niewinność jej syna. Tylko że wtedy skazani

powszechnie bronili się, mówiąc, że to policjanci biciem wymusili na nich przyznanie się do winy, więc nikt do tego nie przywiązywał wagi. Ja też zobojeźniałem na takie historie, to mój błąd. Już po wyjściu Tomka z więzienia widziałem się z panią Teresą, Grzesiek Głuszak zaaranżował nam spotkanie. Nie powiedziałem „przepraszam”, uznałem, że to byłyby puste słowa, chciałem inaczej to rozwiązać. Nie zgodziła się na rozmowę. Powiedziała, że wybaczyć można, ale nie zapomnieć.

Ale tak naprawdę właściwie nikt nie bronił wtedy Tomasza Komendy. Dziennikarze co najwyżej podkreślali jego milczenie, do tego przypominali dowody i detale zbrodni, którą miał popełnić.

W „Wiadomościach Oławskich” pół kolumny zajęła wypowiedź mecenas Szymeckiej: „Według mojej oceny jest to zabójstwo popełnione ze szczególnym okrucieństwem połączone z dręczeniem i poniżeniem ofiary – opowiadała Jerzemu Kamińskiemu. – Najpierw doszło do rozerwania narządów ofiary, gdy jeszcze była ubrana. Następnie to dziecko czołgało się po podwórku, próbując uciec. Miejsce na przestrzeni kilku metrów było całe zakrwawione. A śladom towarzyszyły ślady męskiego obuwia, co świadczy o tym, że oni ją cały czas atakowali. Następnie jest druga faza – dręczenie tego dziecka. Zerwali z niej ubranie, a następnie wlekli ciało po podwórku, a wreszcie porzucili, gdy była już w totalnej agonii. I wreszcie pozostawienie ofiary na mrozie”

Według niej to nie była przypadkowa śmierć. Sprawcy chcieli pozbawić ją życia.

Dziennikarz przypomniał, że na miejscu znaleziono ślady DNA, których na razie nie udało się jeszcze do nikogo przypisać. „Ponieważ zajście miało miejsce siedem lat temu, być może należałoby spytać biegłych, czy na podstawie obecnych technik nie udałoby się uzyskać więcej informacji z materiałów

zabezpieczonych na miejscu zbrodni” – napisał Kamiński, ale prokuratura takich pomysłów nie miała.

Szymecka uważała, że takie ślady dałoby się znaleźć. I przypomniała o wątpliwościach w tej sprawie. Między innymi roli Krzysztofa K.: „Czego nie chce powiedzieć? Biegli wyraźnie wskazali, że on z całą pewnością coś ukrywa” – mówiła.

Obrona komentować sprawę nie chciała. Artykuł *Między dożywociem a uniewinnieniem* zilustrowano zdjęciem mamy Małgosi przed grobem córki.

Jadwiga mówiła Kamińskiemu: „Siedem lat mija, a wyrok ma zapaść dopiero teraz, i to tylko dla jednego. Ale wierzę, że będzie sprawiedliwy. Nie było nic gorszego, jak tyle lat chodzić po świecie ze świadomością, że sprawcy tak okrutnego czynu są na wolności. Przez te siedem lat nie było dnia, abym nie myślała o tamtym sylwestrze”

Rozdział 5

WYROK

Kiedy trwał proces, Jadwiga nie jeździła do Miłoszyc. Odwiedzała Małgosię na cmentarzu, nie musiała już pod tę stodołę chodzić. Najchętniej zapomniałaby o tym miejscu.

Teresa, mama Tomka, widziała krzyż tam, gdzie zabito tę dziewczynę. Teraz to ona przyjeżdża do Miłoszyc. Chce znaleźć tego, kto zgwałcił i zabił. Ale kiedy się przedstawia, nikt nie chce z nią rozmawiać. Zaraz drzwi zamykają. „Nic nie wiemy, proszę dać nam spokój”

Ale Teresa wie, że jej syn jest niewinny, tylko nie potrafi tego udowodnić. Jest na każdej rozprawie, notuje, co się nie zgadza. A potem prosi mecenasa, żeby zapytał o to czy o tamto, a on nic.

Teresa denerwuje się, że Kelm po każdym zeznaniach powtarza tylko „nie mam pytań” i „nie mam pytań”. Widzi, że rysuje w notesie wzorki, jakby był znudzony. A gdy po raz kolejny zwraca mu uwagę, słyszy: – Jak chciała pani zostać adwokatem, to trzeba było się uczyć.

Mimo to cała rodzina do końca ma nadzieję, że sąd uniewinni Tomka. Nie potrafią zrozumieć, jak to w ogóle możliwe, że chłopak został wplątany w tę sprawę. On, który nigdy nie wyjechał sam z Wrocławia, miał wymknąć się w nocy, żeby zgwałcić dziewczynę

w wiosce, o której istnieniu nawet nie wiedział? To nie ma przecież sensu.

Tomek w końcu musi wrócić do domu.

*

14 listopada 2003 roku.

– Żadna ze stron nie ma wątpliwości, co do przebiegu zająć w Miłoszycach – mówi sędzia Mariusz Wiązek. – Sprawcy wykazali zuchwałość i brak jakiegokolwiek szacunku dla życia ludzkiego. Lekceważyli to, że niedaleko miejsca, gdzie popełniono zbrodnię, znajduje się kilkaset osób. Wykazali bezwzględność i całkowitą demoralizację. Kwestią sporną jest, czy w tych zdarzeniach wziął udział Tomasz Komenda.

Sąd uznał jednak, że tak.

Tomek słyszy jeszcze, że skazuje go na piętnaście lat więzienia. Chowa twarz w dłoniach i zanosi się płaczem.

Sędzia nie zwraca na niego uwagi i ciągnie dalej, że zmienił kwalifikację czynu na zabójstwo, bo sprawcy, zadając Małgosi liczne rany i pozostawiając ją krwawiącą na mrozie, musieli się liczyć ze skutkiem śmiertelnym. Podkreśla przy tym „wybitnie obciążające okoliczności zbrodni” – młody wiek ofiary i jej brutalne potraktowanie.

– Tomasza Komendę zdradziły przede wszystkim ślady ugryzień – mówi sędzia. – To jest zasadniczy dowód. Pozostałe potwierdzają tę opinię, a przynajmniej nie stoją z nią w sprzeczności.

W pisemnym uzasadnieniu rozwinął tę myśl: badania DNA i osmologiczne mogą wskazywać, że oskarżony był na miejscu przestępstwa, a traseologiczne, że jest sprawcą. Zaznaczył też, że ustne wyjaśnienia biegłych rozwiały pojawiające się wątpliwości.

Przywołał również zeznania Doroty P. Uznał je za tym bardziej wiarygodne, bo „świadek już od ponad dwóch lat nie widywała oskarżonego, przeprowadziła się i tym samym zapamiętała, jak wyglądał w krytycznym czasie”

Sąd nie przejął się tym, że Komendy nikt w Miłoszycach nie kojarzył. Powołał się na media, które od początku pisały o zмовie milczenia. Sam sędzia uznał, że prawdopodobnie nikt Tomasza nie zapamiętał, bo „to, że jakiś chłopak podszedł do dziewczyny, wtedy mogło wydawać się błałym zdarzeniem”

Wydając wyrok, sędzia wziął pod uwagę garść okoliczności łagodzących: dobrą opinię Komendy w miejscu zamieszkania, niekaralność, niedojrzałość emocjonalną i podatność na sugestię. To dlatego nie zdecydował się na jeszcze bardziej surową karę.

*

– Sprawiedliwa byłaby tylko kara śmierci, której w Polsce nie ma – mówi Krzysztof po wyroku.

– Kara jest zbyt łagodna – przyznaje mecenas Szymecka i zapowiada apelację.

Kelm odmawia komentarza, ale od wyroku też się odwołuje.

Tomek ciągle ma nadzieję, że wkrótce wyjdzie z więzienia. Pobili go już tam nieraz. Mydła w łaźni zawijają w skarpety i tłuką go po nagim ciele. Boli bardziej niż uderzenie pięścią.

Klawisze udają, że nic nie widzą. Tylko się śmieją.

*

Wyrok w Sądzie Apelacyjnym we Wrocławiu zapada 16 czerwca 2004 roku.

– Nie trzeba mieć wiadomości specjalnych, żeby wiedzieć, że uzębienie każdego człowieka jest cechą niepowtarzalną i indywidualną. A biegli zwrócili uwagę na wybitnie indywidualne cechy uzębienia oskarżonego – mówi sędzia Tadeusz Wieczorek, podtrzymując wyrok skazujący.

I zgadza się z oskarżeniem, że kara jest nadmiernie łagodna.

– O tym, że oskarżony jest sprawcą wyjątkowo zdemoralizowanym, świadczy jego sposób działania *tempore criminis* (w czasie zbrodni). Tylko bowiem osoba bez żadnych zahamowań, całkowicie zdeprawowana, mogła uczestniczyć w tak okrutnym czynie, popełnionym na całkowicie bezbronnej małoletniej ofierze. To właśnie zachowanie oskarżonego w krytycznym czasie, a nie schematyczny w istocie wywiad środowiskowy, rysuje jego prawdziwy obraz jako osobnika bezwzględnego, pozbawionego skrupułów i dogłębnie zdemoralizowanego – mówi i ogłasza, że Sąd Apelacyjny podwyższył karę do dwudziestu pięciu lat więzienia. – Tylko wtedy będzie ona współmierna do stopnia zawinienia oskarżonego, jego osobowości i konieczności oddziaływania społecznego.

*

Tomka przed ogłoszeniem wyroku drugiej instancji odwożą do aresztu. O tym, że dostał dwadzieścia pięć lat, dowiadyuje się od strażnika.

W nocy przerzuca przez okno prześcieradło i obwiązuje szyję. Już wisi, traci przytomność, ale jeden ze współosadzonych uwalnia go z więzów.

Dyrektor więzienia wzywa go na dywanik.

– Czemu to zrobiłeś? – pyta.

– Jestem niewinny, a skazano mnie na dwadzieścia pięć lat – odpowiada Tomek.

Dyrektor się śmieje, że nie miałby prawomocnego wyroku, gdyby był niewinny.

– Masz to, na co zasłużyłeś – rzuca mu na odchodne. Tomek przestaje mówić, że nic nie zrobił.

Tylko rodzina w niego wierzy. I to dla nich stara się być silny.

– Jak się zabijesz, to ja pójdę za tobą. Będą dwie trumny, a nie jedna – krzyczy Teresa, kiedy dowiaduje się, że chciał się powiesić. Już się jej nie skarży. – Głowa do góry i maszerujemy. Nie możemy się poddać – mówi, gdy matka znów zaczyna płakać.

Ona też myśli o śmierci. Staje nawet przy oknie, ale synowie zaraz ją odciągają. – Masz jeszcze nas, nie zapominaj o tym – mówią. A ona myśli, że i Tomka w tym więzieniu nie może samego zostawić.

Rozdział 6

SPÓŹNIENIE

Mecenas Michał Kelm składa jeszcze kasację od wyroku, ale w 2005 roku Sąd Najwyższy ją odrzuca. Mimo braków sukcesów w obronie rodzina prosi adwokata, by reprezentował Tomka także w drugiej sprawie.

Oskarżono go o zgwałcenie Barbary K. koło dyskoteki w Jelczu, do którego doszło pół roku przed zabójstwem Małgosi. Śledczy od początku uważali, że winny obydwu zbrodni jest jeden sprawca. Kiedy więc pojawiły się zarzuty w sprawie miłoszyckiej, prokuratura w Oławie odkurzyła też tamtą sprawę.

Wnioskuję o dostęp do akt. Tomów jest zdecydowanie mniej niż w sprawie Małgosi, ale pojawiają się znajome nazwiska. Akt oskarżenia napisała Renata Procyk, która pierwsza prowadziła śledztwo miłoszyckie. Dowodziła, że ślad spermy znaleziony na majtkach zgwałconej siedemnastoletniej Barbary K. miał te same markery, co włosy odkryte na miejscu zbrodni w Miłoszycach. Do tego dochodziła bliskość geograficzna obydwu przestępstw i niewielki odstęp czasu między nimi.

W 2004 roku w Sądzie Rejonowym w Oławie rozpoczął się proces, który zakończył się rok później wyrokiem czterech lat więzienia dla Tomasza Komendy. Sąd uzasadnił go przede wszystkim wynikiem badań DNA. Biegła zeznała wprawdzie, że test Polymarker, który był stosowany w latach 1997-1998, został już wycofany z użycia, bo był „mało infomatywny”, ale sąd uznał, że „nie przesądza to o nieprzydatności dowodu ani nie stanowi o nierzetelności opinii”. Przypominał także, że o jego winie świadczą również zeznania świadków. Powołał się m.in. na przesłuchanie Doroty P. w sprawie miłoszyckiej, która mówiła, że Tomek pożyczał pieniądze na pociąg do Jelcza.

Poza tym Barbara K. rozpoznała w Komendzie sprawcę. Pamiętała, że szedł za nią, miała widzieć też jego twarz, zanim straciła przytomność. Zanim to się stało, pogryzła go w rękę, którą wpychał jej do gardła.

*

Pierwszy raz pokazali jej go w więzieniu w Strzelinie, ale – jak zeznawała – wtedy widziała go tylko przez chwilę. Dłużej mogła mu się przyjrzeć dopiero w sądzie. Rozmawiała wtedy z mamą Małgosi, która także przyjechała na proces w Oławie. Usłyszała od niej, że oskarżony zabił jej córkę, a wcześniej ją zgwałcił. Jadwiga mówiła: – Wiem, że ciebie spotkało to samo. Tylko ty żyjesz, a ona nie.

Sąd odrzucił sugestie obrońcy, że to rozpoznanie było mało wiarygodne. Uznał, że jest wystarczająco dowodów, by skazać Komendę za gwałt. „Trudno liczyć na poprawę zachowania u takiego sprawcy” – napisał w uzasadnieniu.

Mecenas Kelm odwołał się i od tego wyroku. Punktował, że sprawa miała charakter poszlakowy, a rozpoznanie i badania

DNA były wątpliwe. Szczególnie że oprócz testów Polymarker, które wykonała Akademia Medyczna we Wrocławiu, były także drugie, przeprowadzone w Warszawie inną metodą, jak mówili biegli, bardziej czułą. Badany był inny wycinek majtek i tym razem nie stwierdzono zgodności.

Do Sądu Okręgowego we Wrocławiu trafiła ta argumentacja. Dlatego cofnął sprawę do ponownego rozpatrzenia. Zajęła się nią wrocławska rejonówka.

Po raz kolejny przesłuchano Barbarę K., sąd zlecił też badania psychologiczne. Biegła uznała, że nie ma ona skłonności do fantazjowania i potrafi realnie ocenić rzeczywistość, a jej zeznania należy uznać za „wysoce wiarygodne”. Na koniec dodała jednak: „Aby przekonać pokrzywdzoną do przyjęcia konkretnych poglądów drugiej osoby, koniecznym byłoby, aby ta osoba cieszyła się prestiżem, specjalnym znaczeniem z punktu widzenia pokrzywdzonej i konieczny byłby ciąg pewnych zdarzeń”.

Ostatecznie sąd uznał, że Barbara K. była nieprzekonywająca, bo przed laty nie rozpoznała Komendy, dopiero teraz, i to po rozmowie z mamą Małgosi.

A i badania DNA były tym razem dla sądu niewiele warte, bo taki sam kod miała jedna na siedemdziesiąt jeden osób, a ze względu na zużycie próbki nie można ich było przeprowadzić ponownie bardziej nowoczesną metodą. Biegła Grażyna Dmochowska, ta sama, która zeznawała w sprawie zbrodni miłoszyckiej, stwierdziła w czasie procesu, że badanie Polymarkerem jest traktowane jako „metoda o charakterze historycznym”. Nie wykorzystuje się go już przy analizie DNA, a jedynie uczy się o niej studentów.

Z tego powodu sąd pod koniec 2007 roku zdecydował się uniewinnić Tomasza Komendę. Prokuratura złożyła jeszcze apelację,

ale zmienić wyroku jej się nie udało. Rok później sąd odwoławczy uznał, że Tomasz Komenda nie zgwałcił Barbary K.

Nikt się przy tym nie przejmował, że uniewinniono go na podstawie tych samych badań, które wcześniej doprowadziły do jego skazania.

*

Teresa o Tomka chciała jeszcze walczyć w Strasburgu. Po wyroku Sądu Najwyższego prosi Kelma, żeby napisał do Trybunału Praw Człowieka.

Prawnik obiecuje, że to zrobi, ale pisma nie wysyła. Teresa sama wypełnia wnioski. Nic nie rozumie z tych formularzy, pisze po prostu, jak było.

Kiedy dostaje informację, że go rozpatrzą, biegnie do Tomka do więzienia.

– Strasburg cię uwolni – mówi mu i cieszą się oboje. Ale zaraz przychodzi pismo, że termin na skargę minął. Spóźniła się o kilka miesięcy.

Rozdział 7

ZNAK

W więzieniu rządzą szamaki, czyli ci, którzy grypsują. To zazwyczaj mordercy i złodzieje. Nazywają się ludźmi, reszta to frajerzy. Tomek czuje, że nie jest nawet frajerem. Zajmuje sam dół hierarchii. Albo jest i poza nią. Każdy może go dojeżdżać. Pobić, skopać, opluć, wyzwać, okraść. Szybko przestaje wychodzić na spaceriak, bo tam najłatwiej oberwać. Rzucają go na ziemię i kopią z każdej strony. Strażnicy odwracają głowy, udają, że nie widzą.

W łaźni też go dopadają. Pokazują żyłki i każą uderzać w nie pięścią, w ostatniej chwili je zabierają. Tłuką Tomka mydłami. Z liścia może dostać w każdej chwili. Na całym ciele ma siniaki. Rozbijają mu nowy telewizor, który dostał od rodziców. Krzyczą za nim: „szmaciarz”, „majciarz”, „pedofil”. Jak robi się niebezpiecznie, pisze wnioski z prośbą o przeniesienie. Średnio zmienia celę co trzy miesiące.

Mówi, że zabił sąsiada, ale zawsze w końcu go rozkminiają.

Wcześniej nie lubił kawy, w więzieniu pije po pięć dziennie. Zasypia ostatni i budzi się pierwszy. Cały czas musi być czujny. Wie,

że wystarczyłaby chwila, żeby przejechali mu żyletką po gardle. W przydziale dostaje się dwie miesięcznie.

Próbują go zgwałcić. Ale Tomek łapie fikoł, znaczy taboret, i zaczyna walić z całych sił w furtę.

To dzieje się tuż po wieczornym apelu, na oddziale jest wtedy jeden klawisz i do rana drzwi może otworzyć tylko dowódca, który siedzi na bramie. Gad musi uznać, że sytuacja jest naprawdę niebezpieczna. Ale jedynie podchodzi do drzwi i każe się uspokoić. Na szczęście więźniowie odpuszczają.

*

Klawisze nie są zresztą lepsi od osadzonych, tylko mają inne metody. W zakładzie jest pokój bez kamer, w którym robią przeszukania po widzeniach. Zostawiają otwarte drzwi i każą Tomkowi rozbierać się do naga, tak że każdy więzień, który przechodzi, może go zobaczyć. Czasem go biją. Mają rękawiczki jak na rower, żeby nie zostawiać śladów pięści. Plują mu do jedzenia, a Tomek jest tak głodny, że i tak je. Co dwa dni przysługuje mu pięć minut rozmowy telefonicznej, ale gady rozłączają go po dwóch, trzech.

Tomek ucieka w muzykę. Zakłada słuchawki i stara się wyłączyć. Żeby zabić czas, szyje skórzane piłki i poduszki dla dzieciaków z domów dziecka. Ma satysfakcję, że może komuś sprawić przyjemność. Gra w fife na konsoli, nie ma na niego kozaka. Ogląda telewizję, tu mówią na nią szkiełko. Lubi programy rozrywkowe, ale jak przełączają na *Trudne sprawy* i inne ludzkie dramaty, to nie ma wyboru, też ogląda.

Szarość, monotonia, nuda, Tomek tak myśli o więzieniu. Czas wyznaczają mu kolejne papierosy. Tylko tytoń w kantynie drogi,

więc jednego skręta dzieli żyletką na trzy, żeby starczyło na dłużej. Czasem mama przemyci mu jeszcze marihuanę – prosi ją o „czosnek”.

Ma taki okres, że chce wejść w więzienne środowisko. Opowiada, czego to on nie zrobił, dużo przeklina. Nie czuje się jednak dobrze, zgrywając cwaniaka, ale to lepsze niż bycie dojeżdżanym.

Robi sobie tatuaże, jeden, drugi, piąty.

Wszystko się psuje, gdy w kolejną rocznicę śmierci Małgosi dziennikarz Marcin Rybak przypomina, że wciąż siedzi tylko jeden sprawca. Wtedy już z każdej celi wydobywają się pod jego adresem głośne obelgi.

Znowu go biją. Ma duże problemy z Krystianem Bałą, tym od *Amoku*. Został skazany za zabójstwo mężczyzny, którego podejrzewał o romans z żoną. Napisał książkę o tym morderstwie, niby fikcję, co rozgrzało wyobraźnię opinii publicznej. Jest sławny, bo na podstawie jego historii Kasia Adamik wyreżyserowała film. Jeszcze więc zarobił, co oburzyło rodzinę ofiary.

W więzieniu Krystian ma poważanie. To całkiem inna liga niż Tomek. Boi się go bardzo, unika jak może. Słyszał, że Bala rzuca na stół wagon papierosów i mówi: ten ma zostać pobity na łaźni. I tak się dzieje.

Tomek myśli, że ci z Miłoszyc też na niego polują. W więzieniu na spacerniaku raz zaczepił go osadzony, który mu powiedział, że zapłacono prokuraturze i sądowi duże pieniądze, żeby go wsadzić. Bo potrzebny był kozioł ofiarny.

Jeszcze inny mówi mu, że prawdziwymi sprawcami są Krzysztof K., syn biznesmana Ł. oraz R., na którego podwórku doszło do morderstwa. Tomek zgłosił się nawet z tymi informacjami do prokuratury, ale gdy informator się dowiedział, pobił Tomka. Nie chciał zeznawać, tłumaczył, że boi się o rodzinę. Ostatecznie

stwierdził, że nic takiego mówił. Niedługo później zmarł. Ledwo wyszedł z więzienia, a tu wypadek samochodowy.

Tomka raz to już prawie załatwili. Sądzi, że to było zlecenie. Na szczęście dyżurny był na oddziale, kazał wszystkim wyjść z cel, a jego wziął do ochronki. Nieraz zresztą musieli go przenosić, jak się robiło zbyt gorąco.

Nocami Tomek wyje w poduszkę. To jego wentyl, daje mu siłę na kolejny dzień. Oprócz Wrocławia siedzi jeszcze w Strzelinie i Rawiczu. Wszędzie jest tak samo.

Jedyną prawdziwą radością są widzenia z rodziną. Zawsze jest mama, któryś z braci albo ojciec.

Nie mówi im, jak go traktują. Tylko by się martwili, a i tak nie mogą mu pomóc. Woli słuchać, co u nich, na wolności.

Widzą się dwa razy w miesiącu po godzinie, czasem Teresie udaje się wyprosić u dyrektora dodatkowe spotkanie.

Nawet po tym, jak potrącił ją samochód i ma złamane biodro, kuśtyka do Tomka o kulach.

– Gdzie mama? – pyta od razu, gdy witają go sami bracia. Teresa specjalnie się schowała, wychyla się zza ich pleców. – No przecież mama musi być.

*

Przez to więzienie Teresa uczy się kombinowania. Pieniądze dla Tomka chowa w kotletach. Zawija je w folię i wkłada pod panierkę. Tomek dzwoni potem: „Pyszne te kotlety mamusiu, a ten trzeci był najlepszy”, a ona już wie, że kasa dotarła. Albo ten czosnek, o który prosił.

Jak potrzebuje ubrania, żeby nie marznąć w celi, to zakłada dodatkową kurtkę i wiesza na krześle, na którym on potem siada. Tomek wkłada ją na koniec widzenia.

Jak bolą go zęby, przemyca ketonal. Wrzuca tabletki do napoju, a on musi go od razu wypić. Albo wkłada mu je do kieszeni, kiedy się przytulają.

Pomiędzy widzeniami umawiają się, że o konkretnej godzinie będzie pod więzieniem.

– O siedemnastej idę do lekarza – mówi Tomkowi Teresa przez telefon, a on wie, że ma wtedy stanąć w oknie i pomachać. Są pod murami z lornetką. – Kochamy cię i tęsknimy – krzyczą na kilka gardeł, bo zawsze któryś z braci z Teresą przychodzi. Strażnicy ich przeganiają, ale oni wcale się tym nie przejmują. Za jakiś czas znów razem przyjdą.

Piszą też do siebie listy. Pierwszą kartkę z więzienia Teresa dostała na Dzień Matki. Tomek narysował siebie za kratami z bukietem kwiatów. Napisał: „Przepraszam, że nie pachną, ale na razie mogą być tylko takie”.

Teresa każdy list od Tomka wkłada do pudełka, ciągle je przekłada. Nie ma dnia, żeby o nim w domu nie rozmawiali. Co mu zanieść, co napisał, co powiedział. I że to takie niesprawiedliwe, że go nie ma z nimi. Ona wtedy płacze, Mirosław milczy.

Przestają obchodzić święta. Teresa coś tam gotuje, jakiś bigos czy rybę, ale to tyle. Opłatkiem się nie dzielą, choinki nie ma, puste miejsce przy stole zostawiają dla Tomka, a nie wędrowca.

Dla sąsiadów są rodziną mordercy. „Dzień dobry” już nie słyszą, co raz ktoś im pod nogi napluje, na drzwiach znajdują zepsute mięso. W sklepie sprzedawczyni mówi, że nie ma towaru. – Jak to nie ma? – pyta Teresa, bo widzi go na półce. A ona, że dla niej nie ma. Zdjęcia Teresy z procesu publikowały gazety, więc ludzie ją rozpoznają.

Rodzina namawia, żeby wyjechali do Anglii, lepsza praca, większe pieniądze. Przecież są samoloty i mama mogłaby do Tomka

przylatywać na widzenia. Ale ona nie wyobraża sobie zostawić go samego. Chce, żeby Tomek mógł wrócić do domu, który zna i z którego tamtego dnia został wyciągnięty przez policjantów.

Zresztą to nie szykany są najgorsze. „Niech sobie gadają” – myśli Teresa i podnosi głowę, gdy szepczą za jej plecami. Wie, że nie ma się czego wstydić. To ten ból, że jej dziecko tak cierpi, jest nie do zniesienia.

Widzi siniaki. Tomek tłumaczy, że się przewrócił, ale ile można się przewracać?

*

Tomek próbuje się powiesić jeszcze dwa razy. Zawsze tak samo: prześcieradło i krata. Drugi raz w 2010 roku. To wtedy, kiedy sobie uświadomił, że siedzi już dziesięć lat, a jeszcze piętnaście przed nim.

Trzeci raz wisi po śmierci babci. Umiera w 2012 roku. Zawsze byli blisko, ale nie widzieli się, od kiedy znalazł się w więzieniu. Nie była w stanie oglądać go za kratami. Dobrze to rozumie. Pamięta, jak była załamana w sądzie, kiedy wprowadzali go w łańcuchach na rękach i nogach. Nie chciał dokładać jej cierpienia.

Zależy mu, żeby być na jej pogrzebie, móc się chociaż pożegnać. Dostaje zgodę od dyrektora, jedzie skuty ze strażnikami, a oni robią wszystko, żeby się spóźnili. Kiedy wchodzą na cmentarz, nie ma już nikogo z rodziny, a grabarze kończą zakopywać trumnę. W nocy współosadzeni po raz kolejny uwalniają go z prześcieradła zawieszzonego na oknie. Znowu zdążyli.

Tomek na ścianie ma kalendarz, w którym zaznacza każdy dzień w więzieniu. Liczy je już w tysiącach.

Zaczyna myśleć, że nigdy nie wyjdzie na wolność. Bo nawet jak odsiedzi dwadzieścia pięć lat, mogą go zamknąć w Gostyninie, ośrodku dla bestii, tak słyszał. Na podstawie opinii biegłych

kierowani są tam szczególnie niebezpieczni przestępcy. Mimo odbycia pełnego wyroku pozostają w zamknięciu, bo według ekspertów istnieje wysokie prawdopodobieństwo, że znów zrobiliby to samo. A sposobu leczenia okrutnych psychopatów jeszcze nie wymyślono.

*

Szymecka przyznaje, że była zdziwiona milczeniem Komendy. Jeszcze w trakcie procesu nie rozumiała, dlaczego chłopak i jego matka nie zeznają.

– Myśleliśmy, że po prawomocnym wyroku Komenda w końcu powie, kto jeszcze brał udział w zbrodni, nie będzie miał już nic do stracenia, a za przyznanie mógłby sobie skrócić odsiadkę. Rodzice Małgosi nie mogli się pogodzić, że tylko jeden siedzi. A prokuratura jeszcze w czasie procesu umorzyła śledztwo. Mówili, że je wznowią, jak będą mieli nowe informacje. Ale to było takie gadanie, bo skąd mogli je mieć, jak nikt nic w tej sprawie już nie sprawdzał – opowiada Szymecka.

Gdy teraz pytam ją, czy nie ma sobie nic do zarzucenia, mówi, że przecież to ona wniosowała o sprawdzenie kolejnych dowodów. Może gdyby bardziej drażono, to adwokatowi udałoby się Tomka wybronić. A tak nic nie przemawiało na jego korzyść.

I to oni walczyli o wznowienie śledztwa.

Rodzice Małgosi nigdy bowiem do końca nie odpuścili. Co jakiś czas rozmawiali z Szymecką, czy może dałoby się wrócić do sprawy. Po raz ostatni w 2016 roku. Prawniczka obiecała, że wyśle do Prokuratury Krajowej wnioski w ich imieniu. Zmieniła się władza, może tym razem się uda.

*

Tomek cztery razy stara się o warunkowe zwolnienie z więzienia, ale za każdym razem słyszy, że najpierw musiałby się przyznać do winy i wykazać żal. A nie chce się przyznawać do czegoś, czego nie zrobił.

O wolność modli się do papieża Jana Pawła II. Raz widział go nawet na żywo, przejeżdżał w papamobile koło myjni, w której pracował.

Kiedy papież umarł, Tomek powiesił w celi jego fotografię. Pewnej nocy widzi łunę wokół zdjęcia. Palił wcześniej jointa, to prawda, ale ona jest taka realistyczna. Zwiduje mu się czy nie, ale to może być znak.

Rozdział 8

SPOKÓJ

W połowie czerwca 2017 roku Tomek słyszy z telewizora, że wznowiono śledztwo miłoszyckie. Wgapia się w ekran w więziennej świetlicy. Mówią, że zatrzymano podejrzanego o gwałt i zamordowanie w sylwestrową noc dwadzieścia lat wcześniej. Informacja jest krótka, ale on raz po raz powtarza ją sobie w głowie. Myśli, że jak mają prawdziwego zabójcę, to może wreszcie ktoś odkryje, że on jest niewinny.

Gdy niedługo później w więzieniu w Strzelinie odwiedza go zajmujący się sprawą policjant, mówi: – Czekałem na to siedemnaście lat.

Przed przesłuchaniem w prokuraturze Tomek łyka leki na uspokojenie.

– Jestem kłębkiem nerwów. Strasznie się cieszę, że tu jestem i zeznaję, ale w środku jakby mnie rozszarpywało, bo nie wiem, co dalej ze mną będzie – tłumaczy.

Tomek powtarza, że z tą sprawą nie miał nic wspólnego. – Opinia publiczna chciała, żebym został posadzony na ławie oskarżonych.

Jak tylko zostałem zatrzymany, zostało nagłośnione, że mają jednego sprawcę, i od tego czasu zaczął się mój horror. Nie mieli stuprocentowych dowodów, tylko poszlaki i na podstawie poszlak zostałem skazany. A dowody, które zostały przedstawione przed sądem, zostały według mnie podrobione przez biegłych – mówi. – Do dzisiaj zadaję sobie pytanie, dlaczego tak musiało być. Co ja komuś zrobiłem, że trafiłem za kraty?

Tomek tłumaczy, że w noc zabójstwa był pijany i zasnął we własnym domu. Zdarzało mu się, owszem, że z braćmi wyskoczył na dyskotekę, ale tylko we Wrocławiu, do Pałacyku chodzili się pobawić. W Miłoszycach w życiu nie był. Najbliżej to w tym Gajkowie, który pojawił się w jego zeznaniach. Raz pojechał tam z braćmi pograć w piłkę.

A zaraz tłumaczy: – Ale to nie tak, że piłem dużo albo często. I raczej piwka, bo za wódką nie przepadałem.

Powtarza, że policjanci zmusili go do zeznań, a gdy prokurator odczytuje mu treść przesłuchania Doroty, zaraz się denerwuje: – Jak jestem taki niepełnosprawny, to czemu mi dziecko dawała. Kilka razy się zdarzyło, że odbierałem jej syna, kiedy mama nie miała czasu. Ale nie rozmawiałem z nią wtedy, ona była dużo starsza ode mnie.

Stwierdza przy tym, że Dorota sama się chwaliła, że pracuje w agencji towarzyskiej. I jeszcze, że raz przyszła po dziecko z mężczyzną, który wyglądał jak prokurator Tomasz F. Ale czy to był on, nie jest w stu procentach pewien.

Gdy po czterech godzinach przesłuchanie się kończy, Tomek prosi śledczych, czy mogliby mu pokazać jeszcze zdjęcie tego zatrzymanego chłopaka.

– Dlaczego? – pyta prokurator.

– Chciałbym zobaczyć, za jakiego chama siedzę tyle lat.

*

Biegła psycholożka Justyna Poznańska notuje, że Tomasz Komenda odpowiadał naturalnie i spontanicznie, opis zdarzeń był realistyczny, a wypowiedzi bogate w szczegóły. To wszystko wskazuje, że jego zeznania można uznać za wiarygodne.

Na zlecenie prokuratury przeprowadza dodatkowe badania. We wnioskach pisze, że Tomasz Komenda przejawia onieśmienie, bierność, poprawność, spokój, podporządkowanie, podwyższoną podatność na wpływ i sugestie, uległość, zależność od innych, niską inicjatywę oraz brak skłonności do zachowań agresywnych i przemocowych. Nie diagnozuje zaburzeń preferencji seksualnych.

Prokuratura zleca też badanie wariografem. Tomek zaprzecza, że miał coś wspólnego z pobiciem, gwałtem albo śmiercią Małgosi. Ale parametry są niejasne.

– Nie wiedziałem, że będzie badanie i paliłem wcześniej marihuanę – przyznaje zawstydzony.

Umawiają kolejny termin. Tym razem biegły nie ma wątpliwości: on mówi prawdę.

*

Prokuratura wzywa na przesłuchania znajomych i rodzinę Tomka, którzy spędzali z nim tamtego sylwestra.

– Nie ma możliwości, żeby Tomek to zrobił – mówią.

Po alkoholu zawsze zasypiał, dużo mu nie było trzeba, wystarczały dwa piwa. Znajomi opowiadali, że zdarzyło mu się nawet na murku zasnąć, jak kiedyś na podwórku pili. A nawet na stojąco, złapał się pręta i przysnął. Każdą imprezę tak kończył, wszyscy się już do tego przyzwyczaili.

Jakby zniknął, zaraz jego mama narobiłaby rabanu, był wcześniakiem, takim wychuchanym synkiem. Zresztą ona nad wszystkimi swoimi chłopakami zawsze się trzęsła. Wystarczyło, że się któryś z pracy spóźniał i zaraz była panika. Dlatego wołała, żeby urządzali imprezy w domu, a nie pałętali się po jakichś bramach, wtedy miała ich pod kontrolą. Nie ma możliwości, by Tomka pół nocy w domu nie było, a matka o tym nie wiedziała. A samego po pijaku nigdy by nie wypuściła.

On zresztą zawsze z braćmi się trzymał. Sam to nawet we Wrocławiu potrafił się zgubić.

Samochodem jeździć nie umiał, próbowali go kiedyś nauczyć, ale nic z tego nie wyszło.

– Nie potrafił sobie rozplanować, żeby wciskać pedały, patrzeć przed siebie, kręcić kierownicą i przy okazji mieszać przy lewarku. Dwa metry przejechał i już trzeba było ręczny zaciągać – opowiadał jego ojciec.

Miał problemy z nauką, ale to normalny chłopak. Miły, uprzejmy, prosty, spokojny, pogodny, lojalny, zżyty z rodziną. Nieśmiały w kontaktach z dziewczynami i obcymi w ogóle. Jak jednej z towarzystwa wpadł w oko, to ona musiała go podrywać, żeby coś z tego było.

Te zeznania Doroty P., co im prokuratura odczytała, to jedna wielka brednia. Żadnej patologii u Komendów nie było. Nigdy imprez u babci Tomka nie urządzali. A ta Dorota, mówi ojczym Tomka, to chora umysłowo kobieta. Zawsze tak uważał.

Jego brat zapamiętał, że prokuratorowi usługi świadczyła, wiadomo jakie, ale nie potrafił powiedzieć, skąd to wiedział. Nigdy się z nią bliżej nie poznali. Tylko tym jej synem się zajmowali.

A czapki, co to niby Tomek zgubił na miejscu zbrodni, nigdy nie nosił. Nawet jak był mróz, nie dało się go zmusić. Już za dzieciaka

tak miał, że jak mu rodzice nakładali czapkę, to zaraz z wózka ją wyrzucał. I drapał się po głowie, jakby nie wiadomo co się stało.

Przed laty, jak mówili, że jest niewinny, to prokuratura oskarżała ich, że kłamią. Raz po raz ich przepytывali, wodę z mózgu robili. Czuli się zastraszeni.

– Najpierw P. mówił mi na pan, żebym sobie zapalił, wszystko pięknie, a zaraz było: „Co tak patrzysz po ścianach, przyjebię ci, skurwysynu, na odmulenie”. Ten drugi, R., podobnie. Brałem leki uspokajające, taka to była nerwówka – opowiada jeden ze znajomych. Inny dodaje, że policja za alibi dla Tomka groziła im więzieniem.

Teraz niektórym jest głupio, może mogli być wtedy bardziej stanowczy. Jedna z dziewczyn mówi: – Ja nigdy w niego nie zwątpiłam. Nie wiem, czemu my się pogodziliśmy, że on siedzi, chociaż tego nie zrobił.

*

Teresa siada przed prokuratorami i zaczyna płakać. – Daję swoją głowę, że on nie mógł wyjść z mieszkania i nie miał po co wychodzić. Było około pierwszej w nocy, jak poszedł spać – mówi, ocierając oczy.

Z tych nerwów zapomina nazwiska znajomych chłopaków, co byli na tym sylwestrze. Raz po raz się poprawia, przeprasza, nie chce niczego pomieszać.

– To było po prostu moje dziecko – mówi o Tomku – myśmy wszędzie razem chodzili. Jego charakter? Jednym słowem: ciapa. Spokojny, towarzyski, zawsze uśmiechnięty, lubi rozmawiać, ma wspaniałe kontakty z rodzeństwem, wszędzie razem chodzili.

Kiedy prokurator odczytuje jej zeznania Doroty P., wpada w złość.

– Przecież to wszystko jest kłamstwem! Moja mama nie była dziadówką, a my jej nie okradaliśmy.

Kiedy sądzili Tomka, Teresa załatwiła nawet dokumenty od Bogdana, jej kochanka, z których wynikało, że Dorota jest oszustką.

– Ale Kelm ich nie chciał.

Przesłuchanie Teresy z przerwą ciągnie się blisko osiem godzin. Prokurator usłyszał już wszystko, czego potrzebuje.

– Chyba że pani chce jeszcze coś powiedzieć?

– Ja wiem, że on jest niewinny. Oddałabym wszystko, żeby nareszcie przytulić go na wolności. Będę prosiła pana Boga i was, panowie, żeby się okazało, że ktoś inny jest winny.

*

Tomek ma teraz przynajmniej spokój w więzieniu. Po poleceniu prokuratora przenieśli go do osobnej celi, klawisze dbają, żeby nic mu się nie stało. Współwięźniowie i tak go zresztą unikają. Myślą, że jest konfidentem, bo co raz odwiedza go policja.

Jeździ na badania. W drodze do Poznania na pobranie odcisku szczęki zatrzymują się na obiad. Policjant go rozkuwa. Pierwszy raz od blisko osiemnastu lat ma w rękach metalowe sztucce. Schabowy smakuje mu wolnością.

Nie może się doczekać wyników. Teresa tak się niecierpliwi, że co chwila dzwoni do prowadzącego sprawę policjanta, czy już coś wiadomo. Mają nadzieję, że Tomka wypuszczą na Boże Narodzenie. Ale mijają kolejne tygodnie, a wyników nie ma.

*

Najszybciej udaje się obalić rozpoznanie jego zapachu przez psy. Z raportu wynikało, że próbkę z czapki i od Tomka pobierano tego samego dnia bez obecności biegłego, co jest warunkiem rzetelności badań osmologicznych. Mogło być tak, że Tomek po prostu tej czapki dotknął.

Niewiele warte było też DNA, bo już przed laty biegli zeznawali, że uzyskany kod występuje dosyć często. Włosów, które sprawdzano przestarzałym testem Polymarker, nie dało się już ponownie przebadać, ale na zabezpieczonych ubraniach Małgosi biegłemu po latach udało się znaleźć sporo nowych śladów. Prokuratura zleciła porównanie ich z próbkami pobranymi od Tomasza Komendy.

Opinia przychodzi we wrześniu. Biegły z Laboratorium Kryminalistycznego KWP we Wrocławiu stwierdza brak zgodności.

Najdłużej trzeba czekać na wyniki badań odcisku szczęki. Zlecono je Zakładowi Medycyny Sądowej Uniwersytetu Medycznego w Poznaniu, który specjalizuje się w identyfikacji sprawców na podstawie śladów zębów.

A to zadanie o tyle trudne, że biegli mieli do dyspozycji tylko raport z sekcji zwłok i stare, nie do końca poprawnie wykonane zdjęcia obrażeń. Ślady do weryfikacji były trzy – dwa na piersi ofiary i jeden na ramieniu.

Każdą z fotografii przepuścili przez oprogramowanie umożliwiające skalowanie obrazów dwuwymiarowych i tworzenie ich geometrycznego modelu. Dzięki temu uzyskali obraz obrażeń w skali 1:1. Stwierdzili, że wszystkie ślady mogła zostawić ta sama osoba.

Następnie zeskanowali wykonany wcześniej trójwymiarowy gipsowy model uzębienia Tomasza Komendy, a obraz skalibrowali do rzeczywistych rozmiarów. Dzięki temu mogli go komputerowo

porównać z pozostawionymi na ciele Małgosi obrażeniami. W całej procedurze oprócz specjalisty w zakresie inżynierii wirtualnej uczestniczył też antropolog, specjalista od medycyny sądowej i stomatolog protetyk.

Opinia z Poznania przychodzi dopiero w lutym 2018 roku, sześć miesięcy po tym, jak prokuratura zleca jej wykonanie. Stwierdzono w niej „różnice w odwzorowaniu śladów zębów i indywidualnego łuku zębowego”. Eksperci nie mają wątpliwości, że to nie Tomek ugryzł ofiarę.

Prokuratura wzywa jeszcze na przesłuchania biegłych, którzy przed laty wydali ekspertyzę w sprawie zębów Komendy.

Zarówno Jerzy Kawecki, jak i Wiesław Semiczek przekonują, że nigdy nie wydali opinii kategorycznej. Nie umieją wytłumaczyć, skąd takie sformułowanie znalazło się w protokole rozprawy.

– Protokolantka musiała się pomylić – mówi Kawecki. I tłumaczy, że przecież w opinii pisemnej stwierdzili, że ślady mogły powstać też od innej osoby. A później, już w czasie procesu, nie wykonywali nowych badań. Skąd więc mogliby mieć inne wnioski?

Wcześniej do dyspozycji mieli głównie swój wzrok i doświadczenie. Jako że na zdjęciach nie została właściwie zachowana perspektywa, nie można było porównać ich bezpośrednio z modelem zębów. Dlatego wykorzystano proporcje pomiędzy nimi, które poobliczał Semiczek.

Gdy słyszy o nowych, odmiennych od jego ustaleń wynikach, nie potrafi wyjaśnić, skąd się wzięły te rozbieżności. Odmawia dalszych odpowiedzi, tłumacząc się podeszłym wiekiem i złym stanem zdrowia.

Śledczy odkrywają jeszcze jedną rzecz: model zębów Komendy, który przed laty wykonano do badań, zniknął z dowodów. Kiedy i jak – nie wiadomo.

Prokuratura ma jednak wszystko, czego potrzebuje, by złożyć wniosek do Sądu Najwyższego o uniewinnienie Tomasza Komendy.

Rozdział 9

NA NOWO

Po wyjściu z więzienia Tomek pojechał z mamą nad jezioro. Było jeszcze zimno, ale wskoczył do wody. Ona za nim. Ludzie z brzegu krzyczeli, że zmarzną, Tomek odchrząknął: – Czekałem na to osiemnaście lat.

Cieszyły go takie małe rzeczy. Ale zaraz potem zamykał się w sobie. Nakładał słuchawki, kładł się na łóżku, potrafił tak godzinami leżeć.

Nie wie, czy odnajdzie się w tym świecie. Wszystko jest nowe. Podobają mu się auta, telefony, miasto też ładniejsze. Nowoczesne. Wcześniej czasem widział takie budynki w telewizji, teraz może wjechać na taras widokowy Sky Tower, najwyższego wieżowca we Wrocławiu. Tam czuje, że jest wolny. Wciąż jednak nie usłyszał, że niewinny.

16 maja 2018 roku jedzie do Warszawy z całą rodziną. Jest mama, ojciec, trzech bracia, ich żony, bratanice. Wszyscy trochę spięci, bo nie wiadomo, co będzie. Czy sąd uniewinni Tomka od razu, czy może zwróci sprawę do ponownego rozpatrzenia i znów czeka ich proces?

Myśli, że Sąd Najwyższy odrzuci wniosek prokuratury, nawet do siebie nie dopuszczają. Mecenas Zbigniew Ćwiąkalski, który zaproponował, że będzie reprezentował Tomka pro bono, coraz ich uspokaja, będzie dobrze. Chyba wie, co mówi, to w końcu były minister sprawiedliwości.

Na korytarzu Sądu Najwyższego czeka już tłum dziennikarzy. Oni na razie nie chcą jednak udzielać żadnych wywiadów.

– Jesteśmy tu dla Tomka – mówią mi tylko, gdy spotykam ich przed budynkiem, wyszli na papierosa. Zgadzą się na zdjęcie. – Taka z nas grupa wsparcia – śmieją się, chociaż widzę, jak bardzo są przejęci.

Tomek nie przypomina tego chłopaka w dresowej bluzie, który, zakrywając twarz, opuszczał więzienie. Teraz stoi wyprostowany, w jasnoszarym garniturze i ciemnej koszuli. Nosi okulary. Od lat ma wadę wzroku, ale w więzieniu nie pozwalali mu iść do okulisty.

Trzyma się mecenasa Ćwiąkalskiego, po chwili wchodzi na salę. Na to posiedzenie media nie mają wstępu.

Prokuratura wnioskuje o uniewinnienie. – Trzeba przerwać w końcu gehennę mojego klienta – dodaje Ćwiąkalski.

Tomek próbuje odczytać oświadczenie, które wcześniej przygotował z mecenasem, ale po kilku zdaniach przerywa. Mecenas Ćwiąkalski podaje sędziom wydruk.

„Bardzo współczuję rodzinie ofiary z powodu śmierci tak młodej dziewczyny, ale to nie ja byłem sprawcą tej bestialskiej zbrodni. Również przeżyłem horror. Gdy mnie aresztowano, miałem zaledwie dwadzieścia trzy lata, teraz mam lat czterdzieści dwa. Niesłusznie zabrano mi najlepszy czas życia. Od osiemnastu lat nurtuje mnie pytanie: co ja zrobiłem, że moje życie zostało zamienione w piekło?”

*

Rodzina Tomka siada w pierwszym rzędzie największej sali Sądu Najwyższego, ale Teresa i tak musi pokrzykiwać do tłoczących się dziennikarzy, żeby się przesunęli, bo syna jej zasłaniają. Tomek staje za mecenasem Cwiąkalskim, po drugiej stronie czekają już prokuratorzy.

– Nie wy tu jesteście najważniejsi – denerwuje się Teresa, gdy kolejny operator staje przed nią z kamerą.

Wszystkie głosy milkną, kiedy na salę wchodzi trzech sędziów orzekających: Andrzej Ryński, Józef Szewczyk, Andrzej Tomczyk.

Przewodniczący Ryński najpierw przypomina wyroki Sądu Okręgowego i Sądu Apelacyjnego we Wrocławiu. Odczytuje paragrafy, sygnatury akt, daty. Tomek chce tylko usłyszeć decyzję. „Sąd uchyla” – pada najpierw. I zaraz to najważniejsze. „Uniewinnia”

*

– Obrazowo mówiąc, te dowody są na tyle obszerne, że zajęły sto stron – mówi sędzia Tomczyk.

Uzasadnia decyzję przez dwadzieścia minut. Teresa w tym czasie nie przestaje się wpatrywać w Tomka, widzę, jak bardzo chciałaby być już przy synu.

– Decyzja o uniewinnieniu nie podlega już zaskarżeniu – mówi sędzia na koniec. Teresa oddycha z ulgą.

Rodzina przepycha się przez tłum dziennikarzy. – Dopuszczcie nas do niego? – pokrzykuje Teresa.

Przytulają go wszyscy razem i każdy z osobna. – Spokojnie, jest okej – mówi Tomek, poklepując po plecach wzruszonego ojca. Wokół kotłują się operatorzy i fotoreporterzy, błyskają flesze.

– Dajcie mi się teraz nacieszyć – odpowiada Tomek dziennikarzom, którzy nie przestają pytać, jak się czuje. Jak ma się czuć? To chyba oczywiste. W końcu usłyszał to, na co czekał osiemnaście lat. Jest niewinny.

*

– Spadł mi z pleców ciężki plecak. Ja nie szedłem do samochodu, ja do niego frunąłem – mówi Tomek w czasie spotkania z dziennikarzami w kancelarii mecenasa Ćwiąkalskiego, na jednym z ostatnich pięter biurowca Skylight, tuż przy Dworcu Centralnym w Warszawie.

Wygląda na zrelaksowanego i pewnego siebie.

– Staram się uczyć żyć na nowo. To nie znaczy, że już się nauczyłem, ale staram się. Mam całą rodzinę za sobą, chodzę do psychologów, leczę się, bo tego potrzebuję – mówi. – Nie było mnie tu osiemnaście lat, wszystko się pozmieniało. Mam już dwa miesiące telefon, umiem zadzwonić, zrobić zdjęcie, ale te facebooki nie facebooki... Dalej nie wiem, o co chodzi. Zaskakuje mnie też na przykład KFC, wtedy go nie było. Takie małe szczegóły, ale dla mnie bardzo ważne.

– Co się panu w tym nowym świecie podoba najbardziej – pytam.

– Że nie muszę oglądać wolności zza kart, że ludzie są do mnie pozytywnie nastawieni, cała Polska była ze mną i mam nadzieję, że jest do dzisiaj. Obce osoby podchodzą do mnie i mówią, że bym się trzymał.

– Bywa pan skrępowany tą sławą? – dopytuję jeszcze.

Tomek szeroko się uśmiecha: – Absolutnie nie.

Wszyscy się śmieją. I zaraz znów, gdy Tomek mówi, że marzy o założeniu rodziny, a Ćwiąkalski dodaje, że oferty matrymonialne

przychodzą nawet do kancelarii, a on – puszcza oko – nie wie, czy dziewczynom może chodzić o odszkodowanie.

Tomek poważnieje tylko na chwilę, gdy pada pytanie o więzienie.

– Nie życzę nikomu, by przeżył takie piekło, jakie ja przeżywałem. Udało mi się wytrzymać tylko dzięki mojej rodzinie. Chciałbym, żeby wszyscy, którzy przyczynili się do mojego skazania, sami zostali skazani. Nie rozumiem, jak mogą patrzeć w lustro, wiedząc, co mi zrobili. Byłem kozłem ofiarnym, w zakładzie karnym nie miałem żadnych praw. Traktowano mnie jak śmiecia. Widzę tu jednego dziennikarza, nie powiem, o kim mówię, ale on dobrze wie. Przez osiemnaście lat mnie oczerniał. Nie rozumiem, jak teraz może patrzeć w moją stronę i się uśmiechać. Przecież byłem dla niego pedofilem, gwałcicielem i mordercą.

*

Marcin Rybak spodziewał się, że na spotkaniu po wyroku Tomek coś o nim powie. Znajomy przepowiedział mu, że będzie „krótko i boleśnie”.

– Miałem problem, czy ten cytat umieszczać w artykule. Bo Tomek powiedział o dziennikarzu, ale przecież ja wiedziałem, że chodzi o mnie. W końcu uznałem, że redaktor i tak by to wyciął – mówi Marcin. Zaraz jednak inne media wyciągnęły jego nazwisko, a on przyznaje, że źle relacjonował proces Tomka.

*

Marcin Rybak z konferencji prasowej po uniewinnieniu Tomka wychodzi pierwszy. Kiedy kończę pisać relację, w sali

konferencyjnej nie ma już nikogo. Ale przy windzie spotykam całą rodzinę, która została jeszcze, by porozmawiać z mecenasem.

– Ma pani oświadczenie, które Tomek złożył w sądzie? – pyta mnie Teresa. Gdy zjeżdżamy na dół, podaje mi kartkę z wydrukiem. Cała twarz jej się śmieje. Po raz pierwszy widzę ją w takim dobrym nastroju.

Chwilę stoimy jeszcze przed biurowcem, palimy papierosy.

– To może teraz uda nam się umówić na rozmowę – zagaduję Teresę, a ona obiecuje, że dzwoniemy się, żeby ustalić jakiś termin.

Pytam też Tomka, czy zgodzi się na wywiad. – Zobaczymy – mówi tylko.

Wymieniam się wizytówkami z Grześkiem Głuszakiem z TVN, który towarzyszy rodzinie z kamerą, od kiedy Tomek wyszedł z więzienia.

– To teraz świętowanie? – pytam jeszcze.

– Będziemy mieć wesoły autobus do Wrocławia.

Rozdział 10

BOJĘ SIĘ

W pociągu czytam oświadczenie Tomka. Napisał w nim, że chce, by osoby, które przyczyniły się do jego skazania, osobiście za to odpowiedziały. Wymienił Dorotę P., Bogusława R., Zbigniewa P., Stanisława O., Tomasza F. i Michała K.

Próbuję się skontaktować z każdym z nich.

Dorota nadal wymiguje się od spotkania.

Tomasz F. szybko kończy rozmowę. – Nie mam sobie nic do zarzucenia. Napisałem akt oskarżenia. Dzisiaj zrobiłbym to jeszcze raz – mówi i zaznacza, że więcej może powiedzieć jedynie Prokuraturze Okręgowej w Łodzi, która prowadzi śledztwo w sprawie nieprawidłowości w postępowaniu sprzed lat. Dostał już wezwanie na przesłuchanie.

Stanisław Ozimina podkreśla, że to przecież nie on napisał akt oskarżenia, a tylko aresztował Komendę. – Zbigniew P., policjant, który prowadził tę sprawę, to był dobry glina, z doświadczeniem w wykrywaniu najtrudniejszych spraw. Naprawdę wierzyliśmy, że zatrzymaliśmy sprawcę – tłumaczy.

Zbigniew P. jest już na emeryturze, ale udaje mi się ustalić jego adres. Mieszka w wieżowcu na jednym z wrocławskich blokowisk. W uchylonych drzwiach staje wysoki, postawny mężczyzna. Jest już po sześćdziesiątce, na głowie łysina. Gdy tylko się przedstawiam, szybko zamyka. Pukam kolejny raz, ale już nie otwiera. Wiem, że koledzy też próbują do niego dotrzeć. Nikomu się nie udaje. Zbigniew P. nie otwiera drzwi, od kiedy „Fakt” opublikował zrobione z ukrycia zdjęcie. Podpisał, że to on jest winny skazania i uwięzienia Tomasza Komendy.

Bogusława R. udaje się złapać w sądzie. Jest oskarżony o to, że podczas pracy we wrocławskiej komendzie wydał nieprawdziwe poświadczenie o niekaralności osobie ubiegającej się o przyjęcie do służby. W czasie rozprawy prosi sąd o wyłączenie jawności. – Ci państwo nie są tutaj ze względu na ten proces – przekonuje sędziego, wskazując na przedstawicieli mediów. Po rozprawie też odmawia rozmowy. Już odchodząc, mówi tylko: – Nigdy nikogo nie biłem. Nie prowadziłem tego przesłuchania. Nie jestem funkcjonariuszem, który prowadził takie czynności procesowe.

Na dłuższą rozmowę zgadza się tylko Michał Kelm. Oświadczeniem Komendy czuje się urażony.

– O mojej rzetelności jako obrońcy mówią nie oceny, ale fakty. A kluczowe fakty są we wniosku Prokuratury Krajowej o uniewinnienie Tomasza Komendy. Tam zakwestionowano w identyczny sposób, jak ja to robiłem przed laty, wszystkie trzy opinie biegłych. Uzupełniono je o zdobycze nauki, które nie były znane w czasie procesu Tomasza Komendy, czyli metodę 3D do badań zębów i dużo dokładniejsze metody do badań DNA. To przecież wtedy było niewykonalne. Natomiast linia argumentacji jest identyczna.

To bardzo gorzkie, ale obecnie Sąd Najwyższy, ten sam, który oddalił kasację pana Komendy, potwierdził wszystkie moje zarzuty do dowodów. Gdyby tylko wtedy zostały prawidłowo ocenione, zostałyby uniewinniony najpóźniej w 2004 roku.

Rozumiem, że Tomasz Komenda i jego rodzina mają w sobie teraz wiele gniewu wobec całego systemu wymiaru sprawiedliwości. I w tym gniewie zapomnieli, że w tamtym czasie mogli liczyć tylko na mnie, i to moja argumentacja ostatecznie zwyciężyła. Wtedy jednak walec niesprawiedliwości przejechał po wszystkim.

Ale z drugiej strony Tomasz Komenda i jego rodzina są teraz w innym otoczeniu. I takie zarzuty wobec całego systemu, w tym także adwokata z urzędu, zwiększają na pewno prawdopodobieństwo wyższego odszkodowania.

*

Dzwoni do mnie Grzesiek Głuszak z TVN.

– Idziemy z Tomkiem na piwo. Masz ochotę wpaść? Tylko żadnych rozmów o sprawie.

Spotykamy się w lokalu niedaleko wrocławskiego Rynku.

– W dresach nie wolno – mówi ochroniarz do Tomka, ale gdy tylko spogląda na jego twarz, zaraz zmienia ton. – Pan był osiemnaście lat w więzieniu, to skąd miał pan wiedzieć.

Siadamy na tarasie, z wnętrza dobiega latynoamerykańska muzyka.

Żartujemy z ochroniarza i sławy Tomka. Pierwsze lody przełamane. Przy drugim piwie rozmawiamy już jak starzy znajomi. Tomek pokazuje mi zdjęcia dziewczyny, z którą zaczął się spotykać. Koleżanka sprzed lat, dzieci ma, z nimi też się dobrze dogaduje.

– Tylko mamie nic na razie nie mówcie – prosi. – Martwi się o mnie bardzo. Za bardzo.

*

Prokuratura Okręgowa z Łodzi już w marcu wszczęła śledztwo w sprawie Tomka.

– Prowadzimy je dwutorowo. Badane są nieprawidłowości dotyczące postępowania, które doprowadziło do skazania Tomasza Komendy, m.in. ustalamy, czy nie dochodziło do tworzenia fałszywych dowodów i zeznań, a także zatajania tych, które świadczyłyby o jego niewinności. A jeżeli tak, to kto za to odpowiada. Jednocześnie sprawdzamy nieprawidłowości związane z jego pobytem w zakładach karnych. Chodzi o wszystkie przejawy związane z nieodpowiednim traktowaniem osadzonego – mówi Krzysztof Kopania, rzecznik Prokuratury Okręgowej w Łodzi.

Lista świadków liczy już pięćdziesiąt nazwisk, ale cały czas się wydłuża.

Tomek zeznaje tydzień po ogłoszeniu wyroku w Sądzie Najwyższym.

– Teraz to ja rozdaję karty – mówi przed wejściem do prokuratury. Razem z innymi dziennikarzami czekam na koniec przesłuchania. Newsy o sprawie Tomasza Komendy regularnie pojawiają się we wszystkich mediach, chociaż on sam unika udzielania wywiadów.

Tym razem zgadza się jednak chwilę porozmawiać przed kamerami.

– To wydarzyło się dawno, ale takich przeżyć się nie zapomina – mówi. – Mam nadzieję, że te zeznania doprowadzą do oskarżenia osób, które przyczyniły się do mojego skazania. To nie zwróci mi lat spędzonych w więzieniu, ale będę miał poczucie, że do końca się nie poddałem. Dzisiaj mówiłem m.in. o katowaniu w czasie przesłuchań i zmuszaniu do zeznań. Niestety, zabrakło czasu, żeby

porozmawiać o tym, co działo się w więzieniu. A tam przecież też przeżyłem koszmar. Ale będą kolejne przesłuchania, a ja będę przychodził tu tak długo, aż sprawa zostanie wyjaśniona. Nieważne, ile to potrwa. Jestem jeszcze młody, mam czas, żeby doprowadzić to do końca.

Tomek jest w dobrym nastroju. Razem wracamy z prokuratury, on do domu, ja do redakcji.

– Możemy się spotkać na ten wywiad. Tylko już po weekendzie, muszę odpocząć po tym przesłuchaniu – mówi. – Słyszałem, że mama też już do ciebie dzwoniła. Tylko pamiętaj, nie mów jej, o czym rozmawialiśmy ostatnio.

*

Teresa na miejsce spotkania wybiera kawiarnię przy Teatrze Polskim, to zaraz obok ich domu, często tam chodzą całą rodziną.

– Zaprosiłabym panią do nas, ale nasz pies nie lubi obcych, jeszcze by panią pogryzł. A Abi to amstafka, więc lepiej uważać – tłumaczy.

Siadamy na tarasie, czerwcowe słońce mocno grzeje. Teresa wypytuje, czy mam męża i dzieci.

– Nie? Jeszcze jest pani młoda, ale nie ma co odwlekać. Dzieci to największe szczęście. Dla moich chłopaków wszystko bym zrobiła.

– Wyobrażam sobie, że wychowanie czterech synów musiało być wyzwaniem – zagaduję, zanim Teresa znowu zacznie namawiać mnie do macierzyństwa.

– Jak to z chłopakami, czasem któryś narozrabiał, obraził się albo napyskował. Ale z Tomkiem zawsze był spokój.

Teresa opowiada o synu na przemian wzruszona i zdenerwowana, płacze, a zaraz się uśmiecha.

– Teraz pani rozumie, dlaczego tyle razy przekładałam spotkanie – mówi, jakby czytała w moich myślach. – Ręce mi się ostatnio cały

czas trzęsły. Ale taką miałam umowę z Panem Bogiem. Poprosiłam go o przysługę, żeby wypuścił Tomka, a zabrał mnie. No i od jego wyjścia coraz gorzej się czuję. A przez te lata nabawiłam się wrzodów żołądka, serce mi szwankuje. Chciałabym jeszcze mieć czas, żeby się nim nacieszyć... Oczywiście, że się teraz cieszę. To takie szczęście, że serce pęka. Tylko dalej nie potrafię z nim rozmawiać o tym, co przeżył. Zaczyna opowiadać, a ja zaraz w płacz. To taki ból, jak widzę, że cierpi. Dalej to więzienie w nim siedzi. Kiedy pierwszy raz zaczepili nas na ulicy, bo chcieli pogratulować, to odskoczył. W domu cały czas pyta, czy może coś zjeść albo wziąć. Musiałam się nauczyć, że czasem woli być sam. Wiem, dorosły jest, musi żyć własnym życiem. Zawsze marzył, żeby założyć rodzinę. Uwielbia dzieciaki, dobrze się z nimi dogaduje. Będzie świetnym mężem i ojcem – Teresa w końcu się uśmiecha. Jest dumna z Tomka, to widać.

– Lubił pracę w myjni, może założy własną. Albo wyjedzie za granicę, bo tu nie będzie miał spokoju. Jeszcze ma czas, żeby być szczęśliwy. Tylko że nie potrafię przestać się o niego bać. Czasem, jak wychodzi, to stoję w oknie i patrzę za nim. Idzie do brata po drugiej stronie ulicy, a ja czekam, aż wejdzie do klatki, zapali się światło na korytarzu i potem jeszcze wypatruję przez okna, czy na pewno już jest w środku. I nie zasnę, dopóki nie wróci. Wiem, że to nie ma sensu. Nie boję się, że znowu go wsadzą do więzienia. Jest niewinny, teraz wszyscy to wiedzą. Boję się, że ktoś go skrzywdzi, wykorzysta. Już pojawiają się tacy, co mu chcą pomóc ulokować pieniądze, bo ma rentę od państwa, a dostanie jeszcze odszkodowanie. Dziewczyny wysyłają listy miłosne, chociaż go przecież nie znają. A ja bym chciała, żeby miał w końcu normalne życie. Może wtedy przestanę się bać?

*

– Piwo? – proponuje Tomek. – Ja stawiam. W końcu rentę od państwa dostaję z twoich podatków – żartuje.

Siedzimy na tarasie tej samej kawiarni, w której rozmawiałam z Teresą. Słońce, piwo, Tomek zapala papierosa, czuję się, jakbym wyszła spotkać się z kolegą, a nie umówiła się na wywiad. Nie chcę psuć mu dobrego humoru, ale muszę zapytać o więzienie.

Spodziewałam się, że trudno będzie mu do tego wracać. Myślałam, że może odpowiadać ogólnikami. Ale Tomek nie przestaje mówić, a ja tylko od czasu do czasu wtrącam kolejne pytania. Mam poczucie, że powtarzał tę historię w głowie wielokrotnie. Głos załamuje mu się dopiero, gdy mówi o próbie gwałtu. Zaraz zmienia temat.

– Rodzina trzymała mnie przy życiu – mówi. – Nie chcę sobie nawet wyobrażać, co by się ze mną stało, gdybym ich nie miał. Ze znajomych nikt się nie odezwał. Nawet ci, którzy byli w tamtego sylwestra u nas w domu na imprezie i dawali mi alibi, że nie zabiłem Małgosi. Wiedzieli, że jestem niewinny, ale nigdy nie wysłali nawet kartki na święta. Przyszli pogratulować, kiedy wyszedłem.

Słyszę, że ma do nich żal. Chwilę później dzwoni jeden z dawnych kolegów i namawia go na wspólny biznes, właśnie wpadł na świetny pomysł.

– I tak jest teraz cały czas – mówi Tomek, odkładając telefon. – Wszystkim nagle się o mnie przypomniało. Wiesz, nie myślałem, że zrobi się wokół mnie aż takie zamieszanie. Włączam telewizor – moja twarz, otwieram gazetę – znowu ja. Na ulicy co chwilę ktoś mnie zaczepia. Żeby pogratulować albo zrobić sobie ze mną zdjęcie. Robię te zdjęcia. I to wszystko jest bardzo miłe, bo wiem, że ludzie

we mnie wierzą i mnie wspierają. Tylko krępuje mnie to zainteresowanie. Chodzę w czapce z daszkiem i ze słuchawkami na uszach, żeby nie słyszeć już: „O, popatrz, Komenda idzie”

– A czego byś chciał?

– Żyć normalnie. Zapomnieć o więzieniu. Nie wiem, czy to możliwe. Na razie nie robię wielkich planów, żyję z dnia na dzień. Teraz rozmawiam z tobą, pijemy piwo, jest miło, nie myślę, co będę robił jutro. Daję sobie jeszcze czas na plany. Chodzę na terapię. Myślałem, że nie potrzebuję psychologa, ale po każdym spotkaniu czuję się lżejszy. Mówię, że to moja spowiedź, chociaż to nie ja zgrzeszyłem. Nie mogę się załamać, kiedy najgorsze już za mną.

Teraz czekają mnie jeszcze kolejne zeznania przed prokuraturą. Boję się, że znowu będę musiał przez to przechodzić, przypominać sobie każdy szczegół. Ale jeszcze bardziej, że ostatecznie śledztwo zostanie umorzone i znowu mnie dopadną.

Gdy wyłączam dyktafon, Tomek mówi jeszcze: – Wiesz, czego tak naprawdę najbardziej się boję? Że jednak nie dam rady.

Rozdział 11

UDAR

Głowa boli Krzysztofa coraz bardziej. „To z nerwów” – myśli, ale nawet nie próbuje się uspokoić. Skacze mu ciśnienie. Aż w końcu ból staje się nie do zniesienia. Przewraca się na podłogę.

Jadwiga w panice dzwoni po pogotowie.

Diagnoza: udar.

To było niedługo po tym, jak Krzysztofa i Jadwigę wezwała prokuratura. Bo rodzice Małgosi o tym, że Tomasz Komenda może być niewinny, mieli się dowiedzieć kilka miesięcy wcześniej niż reszta Polski. Usłyszeli:

„Dowody się nie zgadzają”

„Szczęka nie pasuje do Komendy, tylko M.”

„Świadkowie potwierdzają, że Tomek był w domu”

„Będzie się mógł starać o odszkodowanie”

Komenda to, Komenda tamto. Te słowa Krzysztofowi krążą po głowie przez wiele dni.

– No do cholery, Tomek jest najważniejszy – denerwuje się wciąż Krzysztof. – Małgosia ich w ogóle nie interesuje.

Potem był udar.

Krzysztof dostał pierwszą grupę inwalidzką, do końca życia musi przyjmować leki. I powinien się oszczędzać. Spokoju ma może kilka tygodni i znowu nerwy.

Oglądają z Jadwigą, jak Komenda wychodzi z więzienia. W TVN pokazują jego dom. Matka Tomka opowiada Grzegorzowi Głuszkowi, jak bardzo tęskniła za synem. Pamiętają ją. W sądzie milczała.

– A teraz popatrz, ile ma do powiedzenia – kpi Jadwiga.

Gdziekolwiek przełączyć, mówią o Tomaszu Komendzie.

– Powariowali – denerwuje się Krzysztof.

Gdy w reportażu pokazują zamazane zdjęcia ciała Małgosi, spod stodoły, Jadwiga płacze.

– Jak oni mogą naszą córkę wykorzystywać – krzyczy Krzysztof.

Przez kolejne dni złością się, ale nie są w stanie wyłączyć telewizora. Gdy w reportażu TVN pojawia się mecenas Ewa Szymecka, pisemnie zwalniają ją z funkcji pełnomocnika.

– Sami musimy zadbać o Małgosię. Innych tylko Tomek interesuje – mówi Krzysztof.

Chce jechać do Sądu Najwyższego na sprawę uniewinnienia Komendy, ale ich córka zaczyna rodzić. To pierwsza wnuczka.

Gdy słyszą w telewizji, że zapadł wyrok, nie mogą uwierzyć.

– Co to ma być?! W godzinę się człowieka uniewinnia? – wścieka się Krzysztof. – Jakby mu zrobili prawdziwy proces, toby tak łatwo nie poszło. I co, szczeka była kategorię dowodem, a teraz już nie jest?

– A psy? Psy przecież nie oszukują. Za każdym razem jego wskazały – dopowiada Jadwiga.

– Trzy instancje sądowe, poważni ludzie go skazali i kropka. Ten wyrok to jakieś kpiny.

Kolejne tygodnie oglądają materiały o Tomaszu Komendzie. Z Grzegorzem Głuszakiem z TVN był u papieża. I w Energylandii.

– Ofiarę z niego robią, a to zdrowy dorodny chłop. Całe życie ma przed sobą. Małgosia nie miała takiego szczęścia – Krzysztofowi trudno się opanować.

Rozmawiam z nim dopiero po uniewinnieniu Komendy. Chciałam się skontaktować z rodzicami już wcześniej, ale powstrzymał mnie zły stan zdrowia Krzysztofa.

Gdy dowiaduję się, że czuje się już lepiej, dzwonię, żeby poprosić o spotkanie.

– My już dwadzieścia dwa lata mamy córkę w grobie i nic tego nie zmieni. A nawet tego nie uszanowano.

Słyszę popłakiwanie dziecka.

– Wnuczką się zajmuję – tłumaczy i nie zważając na jej płacz, dalej krzyczy: – Prosiliśmy, żeby nasza rodzina mogła normalnie żyć, nie chcemy być częścią tego, co się dzieje. Nie mogę już patrzeć, jak robią z Komendy ofiarę. Taki jest teraz biedny, ale czemu nic w sądzie nie mówił? Czemu jego matka nic nie mówiła?! Tylko Małgosię obrażali. A teraz gwiazdę z niego robią. Jakiś krawężnik przeczytał akta i nagle wszystko wiadomo!

CZĘŚĆ 3

ONI

Rozdział 1

PAMIĘTNIK

Jeszcze raz 15 marca 2018 roku, Sąd Okręgowy we Wrocławiu. Dzień, kiedy Tomasz Komenda wychodzi na wolność. Remigiusz Korejwo jeszcze przed rozprawą jest pewien, że tak to się skończy. Ale wtedy sędzia Jerzy Nowiński mówi, że nie ma podstaw prawnych, by w przypadku Tomka zasądzić przerwę w odbywaniu kary.

– To rozwiązanie jest stosowane, gdy skazany z jakichś powodów, na przykład zdrowotnych, nie może przebywać w więzieniu. A to nie taka sytuacja – słyszy Korejwo i traci oddech. Jak to? Przecież zebrali niepodważalne dowody! Nie ma wątpliwości, on nie powinien spędzić w więzieniu ani jednego dnia dłużej! Tak naprawdę nie powinien w nim spędzić ani jednego dnia!

W sądzie siedzi w pierwszym rzędzie, tuż obok bliskich Tomka. Boi się odwrócić w ich stronę, boi się ich spojrzeń.

W sali wszyscy milkną, cisza jest paraliżująca.

Dariusz Sobieski też się zastanawia, co powie rodzicom Tomka. Bardzo nie chce ich zawieść. Poza tym przecież wszystko sprawdzili.

To nie on zgwałcił Małgosię, nie było go w Alcatraz, nie tylko tamtej nocy. Nigdy.

Po chwili jednak sędzia kończy swoją myśl: – Dlatego Tomasz Komenda zostaje warunkowo przedterminowo zwolniony z okresem próby na dziesięć lat.

Ulga. Chociaż Korejwo i tak jest zły. Dlaczego sędzia odrzucił wniosek prokuratury? Że zły paragraf? Jakie to ma znaczenie! Tak samo jak opowieści o dobrym zachowaniu Tomka w więzieniu. Przecież on jest niewinny, po prostu niewinny.

Wiedzą o tym obydwaj, Remigiusz Korejwo, policjant, i Dariusz Sobieski, prokurator. Ale wiedzą też, że dla nich to wcale nie jest koniec tej sprawy. Doprowadzili do uwolnienia niewinnie skazanego. Ale muszą jeszcze sprawić, by ukarani zostali ci, którzy zamordowali Małgosię.

To będzie koniec.

A gdzie jest początek?

*

W zeszytcie uzupełniał tabelkę. Data, miejsce, czasem imię, wiek. I czy było fajnie.

Wszystko miał zaplanowane, żadnego przypadku. Najpierw obserwacja. Potrafił nawet trzy miesiące sprawdzać jedno miejsce. Wybierał te odludne. Jeździł po obrzeżach Wrocławia – Wojszycach, Jagodnie, Partynicach, Biskupinie, Stabłowicach, Leśnicy, raz zachód, raz wschód miasta. Sprawdzone lokalizacje zaznaczał na mapie na zielono. Czerwone były wciąż do zweryfikowania. Chodził tylko pieszo. W plecaku miał ciuchy do przebrania. Czapeczkę z daszkiem, bluzę z kapturem, żeby nie było widać twarzy. Szczególnie lubił działać wczesnymi porankami, ale popołudnia i wieczory też wchodziły w grę.

Zachodził od tyłu, podduszał przedramieniem, a drugą ręką przystawiał do krtani nóż.

Groził: – Kurwo, rób, co mówię, bo cię zabiję.

Zawsze zakładał prezerwatywę i lateksowe rękawiczki. Czasem ostrzegał, że będzie bolało.

Już po straszyl: – Nie mów nikomu, bo cię znajdę.

Niszczył dziewczynie kartę w telefonie, by nie zadzwoniła po pomoc. Odczytywał dane ze znalezionej w torebce dowodu.

– Teraz już wiem, gdzie mieszkasz, więc uważaj.

Kazał liczyć do stu, zanim odejdą. Bały się, więc liczyły.

Ale niektóre z jego ofiar zgłosiły się na policję. Nie było jednak świadków, dowodów, nawet nie potrafiły opisać, jak wygląda sprawca. Ich zeznania trafiały więc na półkę.

Minęły lata, zanim ktoś zauważył, że sprawy zgłaszane na różnych komisariatach mają wiele punktów wspólnych.

Gdy w czerwcu 2010 roku doszło do dwóch gwałtów i próby trzeciego, wszystkie według identycznego schematu, prokuratura zwołała grupę specjalną. Do jej prowadzenia oddelegowano Joannę Pawlik-Czyniewską.

W policji sprawę dostali Remigiusz Korejwo, który Remigiuszem był tylko oficjalnie, bo wszyscy wołali za nim Remik, i Artur Żygadło, zwany „Żuzu”. Obydwaj już wcześniej rozmawiali, że to może być seryjny gwałciiciel. Teraz mieli fundusze, mogli prowadzić obserwacje, tylko że miejsc było zbyt dużo. Więc starali się dotrzeć do kolejnych skrzywdzonych kobiet. I znów problem, bo podawały sprzeczne rysopisy. Mimo to udało się sklecić portret pamięciowy.

Tylko że on nadal gwałcił. Jedna ofiara, druga, trzecia. Tę trzecią zaatakował, kiedy robiła zdjęcia przyrody. Kobieta od razu po ataku zgłosiła się na policję. Na jej skarpetce biegli znaleźli ślad spermy. Tylko nie mieli jej z kim porównać. Sprawdzali bazy osób

zatrzymanych za przestępstwa seksualne, ale w okolicy było ich na wolności kilkuset.

Zwiększyli liczbę patroli.

W końcu 5 września 2010 roku dyżurny policji odebrał telefon od przerażonej kobiety.

*

Jakiś mężczyzna przystawił jej przed chwilą do szyi nóż. Puścił ją, kiedy usłyszał, że ma pięćdziesiąt lat. Dyżurny wysłał do niej patrol, był akurat w pobliżu. Wsadzili ją do auta i zaczęli objeżdżać okoliczne uliczki.

– To on – pokazała mężczyznę w czapce z daszkiem.

Wyskoczyli z auta, facet próbował się jeszcze ukryć w krzakach, dopadli go.

Nazywał się Andrzej Ś.

– Pewnie jesteś największym seryjnym gwałcicielem w Polsce? – zapytali Remik i „Żuż”

Wiedzieli, że to najlepszy sposób. Facet chciał im zaimponować, a nie miał nic innego, tylko swoje zbrodnie. To było całe jego życie. Nie pracował, utrzymywali go rodzice, więc czas poświęcał na obserwację kobiet i planowanie ataków. W jego domu śledczy znaleźli pamiętnik, w którym opisywał kolejne gwałty. Kiedy przyszedł czas na wizje lokalne, bez skrępowania odgrywał szczegóły. Dobrze wiedział, że niezależnie, ile gwałtów mu udowodnią, i tak nie dostanie więcej niż piętnaście lat.

Ostatecznie prokuratura oskarża go o blisko dwadzieścia, choć Remik podejrzewa, że było ich bliżej setki. Przecież Andrzej był nieuchwytny przez kilkanaście lat.

*

Dlaczego policja? Remik wymyślił jako alternatywę dla wojska. Rocznik 1976. Po maturze najpierw poszedł na archeologię, ale nauki było sporo, a on był młody, gniewny, chciał działać, a nie siedzieć nad książkami. Koszary nie bardzo mu jednak pasowały, wolał odrobić służbę jako policjant. Tylko że jest niski, ledwo ponad 170 centymetrów wzrostu, a przyjmowali od 176.

Remik założył trampki na grubej podeszwie. Wszedł do działu kadr wrocławskiej komendy, w środku siedziało dwóch gliniarzy.

– Remigiusz Korejwo – przywitał się. – Chciałem złożyć papiery.

Kazali mu stanąć pod metalową szafą.

– Ale żeś trampy sobie założył – zaczęli się śmiać. – Myślisz, że trafiłeś na idiotów?!

Ale Remik nie zamierzał się poddać. Jak nie policja, niech będzie straż graniczna. Też mieli spore wymagania. Testy psychologiczne, sprawnościowe. Wielu było chętnych, ale Remik to uparciuch, a do sportów ma dryg, siły też mu nie brakuje.

Dostał się do plutonu specjalnego. Przechodzili te same szkolenia, co policjanci antyterrorysty. Remik zrobił jeszcze kursy na ratownika wysokościowego i śmigłowcowego.

Zaczął pracę w 1997 roku. Na granicy trwały wojny gangów. On był od zadań specjalnych. Jak trzeba było zatrzymać przemytników na granicy albo siłowo wejść do meliny przestępców.

Pracował przy sprawie „Carringtona”, który specjalizował się w spirytusie. Miał kilka firm transportowych, jego biznes rozrósł się do ogromnych rozmiarów, konkurencja trzy razy próbowała go zabić. Ale Remik z kolegami byli skuteczniejsi, zatrzymali go we wrześniu 1998 roku, rozbili jego gang.

Prokuratura ustaliła, że z powodu przemytniczej działalności „Carringtona” skarb państwa stracił ponad 150 milionów złotych niezapłaconych podatków. Nikt tak naprawdę nie wie, ile gangster zarobił.

– Ciekawe czasy – mówi teraz Remik. – Były takie okresy, że połowę roku byłem poza domem, bo albo akcje, albo szkolenia.

Kiedy w 2000 roku pojechał na kurs podoficerski do Koszalina, poznał Kasię, swoją przyszłą żonę. Od początku widziała faceta w nieustannym biegu, wiedziała, na co się pisze, chyba dlatego wciąż są razem.

– Im stawałem się dojrzały, tym bardziej zaczynało mnie interesować prowadzenie śledztw i praca operacyjna – opowiada Remik. Miał też dość życia w rozjazdach.

Po dziewięciu latach w plutonie specjalnym straży granicznej przeniósł się do sekcji zajmującej się rozpracowywaniem operacyjnym. Pracował po cywilu, zajmował się grupami przestępczymi, przemytem, handlem ludźmi, pasowało mu to.

Tyle że roboty w straży było coraz mniej. Po wstąpieniu do Unii Europejskiej, zaczęła się restrukturyzacja. Można się było przenieść na wschód albo przyjąć robotę w innym dziale.

– Nie chciałem robić już niczego innego, dlatego złożyłem znowu papiery do policji.

Nieszczęsne 176 centymetrów już nie obowiązywało. Przyjęli go.

1 kwietnia 2009 roku zaczął pracę w Komendzie Miejskiej Policji we Wrocławiu.

Chwilę przy kibicach, a potem w przestępstwach przeciwko życiu i zdrowiu. To takie sprawy zawsze chciał robić najbardziej. Historia seryjnego gwałciciela Andrzeja Ś. była jego pierwszą.

Praca w policji to satysfakcja, owszem. Ale pieniądze? Mieszkania we Wrocławiu z pensji nie kupisz. Wynajem? Ile można. Czas by pójść na własne.

Kilka lat wcześniej rodzice zaczęli budować dom całkiem niedaleko od Wrocławia. Ale oszukała ich firma, skończyło się na stanie surowym zamkniętym. Szczęście w nieszczęściu, że cena działki rośnie, staje się wystarczającym zabezpieczeniem pod kredyt. Remik z żoną decydują, że się dołożą do wykończenia i podzielą dom tak, żeby w jednej części mogli mieszkać rodzice, w drugiej oni z dziećmi.

Kiedy się przeprowadzają w 2013 roku, Remik pracuje już w Centralnym Biurze Śledczym. Kasia jest akurat w trzeciej ciąży z Maksimem. W 2007 roku urodził się ich pierwszy syn – Olek. Cztery lata później Lila.

Ich nowy adres to Miłoszyce.

*

Kiedy Remik wyszukuje informacje o swoim nowym miejscu zameldowania, wciąż wyskakują mu informacje o śmierci Małgosi. Zna sprawę. W służbach każdy o niej słyszał, wielu na niej poległo.

W 2010 roku uznał, że warto sprawdzić, czy nie da się z nią powiązać seryjnego gwałciciela Andrzeja Ś. Działał już przecież w czasie, kiedy zamordowano Małgosię, a z Wrocławia aż tak daleko do Miłoszyc nie jest.

Swoim odkryciem chciał się podzielić z komendą wojewódzką. Umówił się na spotkanie z jej szefem, Bogusławem R. Był on jednym z głównych policjantów odpowiedzialnych za sprawę miłoszycką, najbliższym współpracownikiem Zbigniewa P.

– Może byście go przesłuchali, sprawdzili DNA – namawiał Remik.

Bogusław R. zareagował nerwowo.

– Czego ty dalej szukasz? Wszystko już sprawdziliśmy – odburknął, a Remikowi zapaliła się lampka ostrzegawcza.

A potem kolejny raz i kolejny.

*

Remik do budowy zatrudnia lokalnych fachowców, szybko poznaje innych mieszkańców Miłoszyc. W wiosce już wiedzą: ten nowy to policjant. Remik nieraz słyszy, że byłoby dobrze, żeby ktoś do końca wyjaśnił tę sprawę. Tyle lat minęło, a nad Miłoszycami nadal wisi cień zbrodni, ludzie wciąż myślą, że tu sprawców ukrywają.

Remik zaczyna podpytywać. Czy pamiętają tamtego sylwestra? Może kogoś podejrzewają? Co wiedzą o chłopaku, którego skazali?

Mówią to samo. Komendy nie kojarzą, nikt go nigdy w Miłoszycach nie widział.

Któregoś sylwestra Remik wychodzi z domu w środku nocy. Zaciąga na głowę kaptur, przechodzi przez całą wieś od budynku, w którym było Alcatraz. Pokonuje płot i staje na podwórku, gdzie zamordowano Małgosię.

Jest kompletnie ciemno, tylko psy ujadają, a z zza migoczących okien odzywają się telewizory.

„Kto ci to zrobił, dziewczyno” – myśli.

Rozdział 2

CHCESZ MIŁOSZYCE?

Tomek już szesnaście lat siedział w więzieniu. Od roku mógł się starać o przedterminowe warunkowe zwolnienie, ale musiałby wyrazić żal za swoje czyny, pomógłoby, gdyby wydał współsprawców. A on uparcie milczał.

Remika dziwiło to milczenie Komendy. Młodzi goście, wcześniej niekarani, po wyroku dwudziestu pięciu lat zwykle szli na współpracę. To była ich ostatnia deska ratunku, szansa na zredukowanie odsiadki. A Tomek nikogo nie wskazał.

Jest czerwiec 2016 roku, pod domem Remika czeka na niego pewna osoba, nigdy nikomu nie ujawni, kto to taki.

– Pan mnie nie zna, ale ja pana tak. I wiem, że nie pracował pan z tymi, co się zajmowali Miłoszycami. Dlatego panu powiem, kto jest prawdziwym sprawcą – mówi.

*

Remik wyszukuje w policyjnych kartotekach nazwisko, które podał mu nieznajomy. Jego lista wyroków jest długa. Ma na koncie kilka

gwałtów, do tego drobniejsze przestępstwa. Pochodzi z okolic Miłoszyc. Był wtedy na dyskoteci, nawet go przesłuchiwali. I ma imię, które podał sprawca.

Ireneusz M.

To on tamtej nocy schował butelki wódki i rower na podwórku R. – tam gdzie doszło do zbrodni. Wracał kilkakrotnie się napić, potwierdził to w trakcie zeznań, widzieli go też mieszkańcy. Utrzymywał jednak, że oprócz krótkich wizyt po kolejne flaszki cały wieczór bawił się na dyskoteci. Tańczył z różnymi dziewczynami, ale ich imion nie pamiętał. Z żadną jednak się nawet nie całował. Przecież miał żonę. Dlaczego nie spędzał z nią sylwestra? Bo się pokłócili. Mieli go spędzić razem, ale upił się, jeszcze zanim zapadł wieczór. W końcu wylądował w Alcatraz.

Przesłuchiwano go zaraz po zbrodni, przeszukano też jego dom rodzinny, ale nic nie zwróciło uwagi śledczych. Ostatecznie wykluczyli go z grona podejrzanych – zdecydowały badania DNA i odcisk szczęki.

Ale tego wszystkiego Remik o Irku jeszcze nie wie. Grzebie w tej historii po godzinach, w archiwum policji znajduje akta operacyjne opatrzone klauzulą „tajne”. Są tam fragmenty akt procesowych, które dla wygody funkcjonariusze sobie skopiowali. Zbyt mało, by mieć pełen obraz sytuacji, ale wystarczy, żeby się zorientować, że coś jest nie tak. Co? Remik zdaje sobie sprawę, że sam tego nie rozwikła. Policja już nie chce wracać do sprawy, to gorący kartofel, każdy odrzuca go jak najdalej od siebie.

Remik wie, że musi iść wyżej, do zaufanych ludzi, którzy nie będą się bali podważać ustaleń poprzedników.

Całe szczęście zna takich.

*

Sposoby są różne. Można na stłuczkę. Koleś zaaferowany wychodzi z auta, a wtedy zabiera mu się furę. Są wytrychy, a jak jest zamek centralny, to przez bagażnik najlepiej. No i laweta, podjeżdżasz, wciągasz, znikasz. W najbardziej dla złodziei owocnym 1999 roku skradziono 71,5 tysiąca aut. To w tym czasie niemiecki „Bild” zachęcał rodaków: „Jedź do Polski, twój samochód już tam jest”

Sprawcy długo pozostają bezkarni. Na przełomie wieków w policji organizowane są jednak komórki do badania takich spraw. Liczba kradzieży spada, w 2010 roku jest to trochę ponad 16 tysięcy. Problemem nie są drobne złodziejaski, ale gangi. Wraz z unowocześnieniem sposobów zabezpieczeń zmienia się też taktyka kradzieży – przestępcy potrafią przechwycić sygnał z pilotów.

Jedni kradną auta, przede wszystkim drogie, ekskluzywne samochody i przekazują je osobom zajmującym się legalizacją. Przebijają numery, fałszuje dokumentację, a potem sprzedaje przez internet czy komisje. Proceder rozwija się w najlepsze, ale śledczy co rusz kogoś łapią.

Jedną z takich grup zajmuje się prokurator Dariusz Sobieski. Kilka lat mu zabiera ta sprawa.

Rozpracowuje kradzieże z lat 2006-2009. Na liście podejrzanych ma czterdzieści pięć osób z dwóch gangów. W sumie usłyszały ponad trzysta pięćdziesiąt zarzutów. Ostatecznie większość dobrowolnie podda się karze, ale główni przestępcy przez kolejne lata będą czekać na ostateczny wyrok.

Prokurator jednocześnie zawsze ciągnie kilka spraw. A Sobieski jest jeszcze z tych skrupulatnych. Często go widzą w prokuraturze po godzinach, jak ślęczy nad papierami. Przeszedł wszystkie szczeble kariery: od rejonówki, przez okręgówkę, do apelacji. W krajówce wcale nie łapie oddechu. Pracuje jak na początku.

Razem z gangiem samochodowym Sobieski ciągnie jeszcze sprawę Aleksandra K. Facet już wcześniej był zatrzymany, ale tak dawno, że wyrok uległ zatarciu. Zresztą chętnie współpracował, a jego zeznania pozwoliły skazać za korupcję nawet wojewodę dolnośląskiego Ryszarda N. Poszło o majątkę w Portugalii dla całej rodziny wartą 20 tys. zł. Tyle że K. nie przestał pogrywać sobie z prawem. Oszukiwał. Wyłudzał pieniądze za towary, których nie dostarczył, albo brał je i nigdy nie płacił. Sprzedawał telefony, tablety czy wyjazdy zagraniczne, których nie było. Pół miliona złotych wyłudził od belgijskiego przedsiębiorcy za granulaty polipropylenu. K. nie oszczędził przy tym nawet własnej rodziny. Sobieski doliczył się sześćdziesięciu oszustw w jego wykonaniu. Ostatecznie dostanie siedem lat więzienia.

I jeszcze ten napad w Wałbrzychu. Bandyci skrupowali staruszków i okradli im dom.

Sobieski robi sobie chwilę przerwy i idzie do Roberta Tomankiewicza. To szef Sobieskiego, naczelnik wrocławskiej delegatury Prokuratury Krajowej, ale też dobry kolega. Znają się jeszcze z czasów, gdy obydwaj robili aplikacje, będzie już ze dwadzieścia lat. Lubią się – nie oszczędzają też sobie wzajemnie złośliwości.

– Nie wiedziałem, że masz gościa – mówi Sobieski, kiedy wchodzi do gabinetu szefa. – Cześć – rzuca do Remika. Znają się. Obydwaj są w tym samym wieku. Razem prowadzili śledztwo w sprawie „Sułtana”, specja od sprzedaży podrabianych dokumentów. Remik pracował jeszcze wtedy jako śledczy w straży granicznej. Większość policjantów bała się Sobieskiego, był wymagający, czasem dosadny. Remikowi to nie przeszkadzało. Przede wszystkim cenił go za kompetencje.

Zapraszają prokuratora do środka, policjant tłumaczy, z czym przyszedł. Kiedy się emocjonuje, zaczyna się jąkać.

– Miłoszyce ciągle są nierozwiązane. Zawsze się mówiło, że było przynajmniej dwóch, trzech sprawców. Skazano tylko Komendę, chłopaka z Wrocławia, chociaż rodzina zeznała, że był w domu, spał. A na dyskotecce bawił się facet, który popełnił w okolicy inne gwałty. Ma na imię Irek, tak samo przedstawił się chłopak, który wyciągnął Małgosię. Informator powiedział, że to może być on – mówi Remik.

– Chętnie się tym zajmę – rzuca Sobieski.

– Do tej sprawy potrzebny jest ktoś inteligentny i zaangażowany – ripostuje Tomankiewicz. – I co, to niby ty?

Sobieski się śmieje.

Niedługo później naczelnik dzwoni do niego: – To jak, chcesz te Miłoszyce?

*

Latem 2016 roku prokuratorzy Tomankiewicz i Sobieski szukają akt sprawy miłoszyckiej. Nie ma. Okazuje się, że wysłano je do Warszawy. Zostały ściągnięte po wniosku Ewy Szymeckiej. Mecenaska rodziców Małgosi po raz kolejny domagała się wznowienia śledztwa. Akurat zmieniała się władza, w 2015 roku wybory wygrało Prawo i Sprawiedliwość, premierem została Beata Szydło, a ministrem sprawiedliwości Zbigniew Ziobro. Przed laty był ulubieńcem prawicy, szeryfem PiS, typowano go na następcę Jarosława Kaczyńskiego. Tylko że szef miał dosyć jego gwiazdorzona. W końcu – chociaż to pyrrusowe zwycięstwo – Ziobro wybił się na niezależność. Od 2011 ma własną partię – Solidarną Polskę.

„Sama popularność byłego ministra nie wystarczyła, talenty wodzowskie okazały się wątpliwe, projekt zaczął się sypać. Znamienna była scenka z kwietnia 2012 roku, kiedy to podczas marszu w obronie TV Trwam Jarosław Kaczyński zaapelował do zióbrystów, aby wracali do PiS. Krótco potem Ziobro łamiącym się, trzęsącym głosem próbował coś Kaczyńskiemu odpowiedzieć, nawoływał do jedności prawicy, ale było widać, że goni resztką sił” – pisała w „Polityce” Janina Paradowska.

Ostatecznie syn marnotrawny powrócił na łono partii i w wyborach wystartował już z listy PiS. „Druga odsłona ministra Ziobry może być tylko jeszcze bardziej bezwzględna. Zwłaszcza że dostaje prawne narzędzie o wielkiej sile rażenia” – alarmowała 19 stycznia 2016 roku Paradowska.

Dwa miesiące później Ziobro był już nie tylko ministrem sprawiedliwości, lecz także prokuratorem generalnym. W Europie rzecz prawie niespotykana.

– Jak twierdzi, że jest takim szeryfem, to niech w końcu znajdzie zabójcę Małgosi – mówi Krzysztof. Mają z Jadwigą nadzieję, że tym razem sprawa ruszy z miejsca.

*

Kiedy z centrali Prokuratury Krajowej wracają akta, Sobieski do pracy angażuje jeszcze prokuratora Tomasza Krzesiewicza i swoją asystentkę Małgorzatę Marzec. Z policji oprócz Remika jest jeszcze Robert Dobroć, czasem pomaga im też Jacek Kościelniak.

Przeglądają kolejne tomy, jest ich dwadzieścia jeden. Akta zaraz im digitalizują, mogą je czytać równolegle.

Przez stare maszynopisy i odręczne pismo trudno przebrnąć.

Co to za słowo?

A tamto?

Rozszyfrowywanie bazgrołów sprzed lat zajmuje dużo czasu. Poświęcają na to każdą wolną chwilę, nad aktami ślęczą do późnych godzin nocnych. W takich sprawach nie wystarczy przeczytać dokumentu raz. Kiedy mają już pełen ogląd sprawy, wracają do poszczególnych zeznań, wyłapują nieścisłości i sprzeczności.

Sporo przy tej robocie jest emocji. Dominuje złość.

Wszystko w tym śledztwie było nie tak. Podręcznikowe błędy, cały katalog.

- Budynki wokół miejsca zbrodni trzeba było przeszukać od razu.
- I od razu zabezpieczyć ubrania chłopaków, którzy się tam kręcili.
- Przycisnąć mieszkańców Miłoszyc, przecież to niemożliwe, że nikt nic nie widział.
- W latach 90. policja nie cackała się z podejrzanymi, a tu, proszę, puszczali ich bez sprawdzenia.
- Pewnie wszyscy byli skacowani po sylwestrze, ale żeby takie niechlujstwo odwalać.
- A te skarpetki?

*

Nikt już nie pamięta, kto pierwszy zwrócił na nie uwagę, ale są zdziwieni, że przed laty te zeznania przeszły bez echa. A przecież ta historia o skarpetkach od razu powinna wzbudzić podejrzenia.

Ireneusz M. w trakcie przesłuchania nie potrafił odtworzyć wielu szczegółów tamtego wieczoru, ale tę scenę zrelacjonował dokładnie. Miał widzieć na dyskotecce parę uprawiającą seks, a dziewczyna miała białe skarpetki ze wzorkiem, zupełnie takie jak Małgosia. Tylko że u niej były schowane pod czarnymi rajstopami, widzieć mógł je ten, kto je ściągnął. Mecenas Ewa Szymecka przed laty również zwracała na to uwagę, ale prokurator ją zbył, twierdził, że Irka już sprawdzili.

Ale przecież on był na tym podwórku. I nawet się zgadzało, że nikt go nie rozpoznał. Irek mieszkał dwie miejscowości dalej, wtedy ludzie trzymali się raczej swoich wiejskich społeczności. Remik nie wierzył w zмовę milczenia, o której tyle się rozpisywały media. Bo niby dlaczego wszyscy, i starsi, i młodzi, mieliby chronić gwałciciela?

Irek M. pasował idealnie. A Tomasz Komenda zupełnie nie.

*

Dowody przychodzą do prokuratury w pudełku po słodyczach firmy Śnieżka. Sobieski zabrania ich dotykać. Zaglądają więc tylko do środka i odsyłają do laboratorium. Jest sukienka Małgosi, podkoszulek, rajstopy, majtki, stanik, guziki, sznurówka, zegarek, metalowa linka, koronkowa chusteczka, czapka, kawałki włókien i metalowej biżuterii, wszystko spakowane w osobne foliówki.

Wpatrują się w nie z nadzieją. Są na nich ślady czy nie ma?

Nikt tego nie mówi na głos, ale wszyscy dobrze to wiedzą. Bez dowodów biologicznych skazanie winnych nie będzie możliwe.

Na wyniki trzeba jednak poczekać. Najpierw Laboratorium Kryminalistyczne Komendy Głównej Policji musi otrzymać akredytację. Kontrolerzy analizują przeprowadzane przez nich badania, by zweryfikować ich wiarygodność. Mijają kolejne miesiące. Sobieski się niecierpliwi, w końcu po szczegółowej kontroli laboratorium dostaje zielone światło. Teoretycznie mogliby przeprowadzić badania bez tej akredytacji, ale dzięki niej trudniej będzie je podważyć.

Dowody bada nadkomisarz Krzysztof Koloch. Jest chyba najbardziej doświadczonym specjalistą od archiwalnych śladów – siedzi w tej robocie od 2003 roku.

Oświetla każdy skrawek wiązkami światła o różnej długości. W ten sposób może się natknąć na pozostałości biologiczne. Na ubraniach Małgosi jest ich sporo, i to niemal na każdej rzeczy zabezpieczonej jako dowód.

– Wyszło nam DNA – Koloch dzwoni do Sobieskiego. – W próbkach możemy stwierdzić konkretne ślady krwi i spermy.

Może nie euforia, ale więcej niż nadzieja. Coraz poważniej myślą o tym, że uda im się uwolnić Tomka.

Ale w pierwszej kolejności zlecają porównanie śladów DNA Ireneusza M.

*

W sprawie zbrodni miłoszyckiej psychologowie się do tej pory nie napracowali. Ocenili tylko wiarygodność Krzysztofa K. i Andrzeja W., którzy ostatni widzieli Małgosię. W przypadku Tomasza Komendy stwierdzili jedynie, że jest poczytalny.

Profilem potencjalnego zabójcy nikt się nie zajmował. Chociaż mecenas Szymecka wraz z rodzicami składali wniosek, żeby taki profil powstał. Psychologowie byli zatrudnieni w policji już od 1996 roku, nie wszędzie, ale możliwości profilowania już były. Prokurator Janczyński tuż przed tym, nim chciał umorzyć śledztwo w 1999 roku, podobno nawet szukał biegłego. Znalazł, ale rzekomo usłyszał od niego, że się nie podejmie, że się nie da. Kolejnego – mimo nalegań rodziców i ich pełnomocniczki – już nie szukał.

W tamtych latach i tak nikt nie traktował profilowania przestępców serio. Teraz jest inaczej, ale wciąż trwają dyskusje, na ile można na tego typu analizach polegać. Czy mogą być czymś więcej niż wskazówką dla śledczych? Czy można je traktować jako dowód? Obecność profilerów w śledztwach jednak nikogo już nie

dziwi, szczególnie w sprawach o morderstwo. Tym bardziej piętnastoletniej dziewczyny.

Justyna Poznańska policyjną psycholożką i profilerką jest od 2007 roku. Pracowała w komendzie, jest biegłą sądową, telewizje zapraszają ją w roli ekspertki. Pomagała przy około trzystu sprawach. Cieszy się dobrą opinią, w Prokuraturze Krajowej już z nią współpracowali. Sobieski zatrudnia ją do przygotowania profilu sprawcy.

Najprawdopodobniej nie był w bliskiej relacji z ofiarą. Jej znajomy bardziej by się asekurował. Nie zostawiłby konającej dziewczyny, ale uśmiercił ją, ukrył zwłoki.

Sposób postępowania wskazuje na niski stopień zorganizowania, który jest charakterystyczny dla mężczyzn w wieku 17-30 lat.

Charakteryzuje go raczej niski poziom ekonomiczny, najwyżej zbliżony do ofiary i niewysoki poziom wykształcenia. Jeśli pracuje, to wykonuje nieskomplikowane prace. Najprawdopodobniej wywodzi się ze środowiska o niskim statusie społecznym.

Mieszka blisko miejsca zdarzenia, a teren, na którym doszło do zbrodni, chociaż trochę zna.

Jest nastawiony antyspołecznie, ma trudności z kontrolowaniem złości. Napaść takiego sprawcy jest zwykle spontaniczna, popełniana z powodu frustracji, a sam atak dynamiczny.

Bardzo prawdopodobne, że niedługo wcześniej przeżył jakąś stresującą sytuację.

Wyniki badań pokazują, że 80 procent sprawców przestępstw seksualnych było pod wpływem alkoholu. Biorąc pod uwagę poziom agresji, tak mogło być także w tym wypadku.

Jeśli przyjąć, że sprawców było dwóch lub więcej, to jeden z nich był dominujący i bardziej agresywny. To właśnie jego dotyczy ten

profil.

Napaści u tego typu sprawcy mogą się powtarzać i stać się stylem życia.

Rozdział 3

IREK

Urodził się 24 czerwca 1975 roku. Dzieciństwo? Dobrze je wspomina, przynajmniej pierwsze lata. Dużo czasu spędzał z babcią, mieszkali w niewielkim domu w Piekarach, wiosce oddalonej o pięć kilometrów od Jelcza-Laskowic. To przede wszystkim babcia zajmowała się nim i cztery lata młodszym bratem Mirkiem.

Irek miał też dobry kontakt z ojcem.

– Pracował na kolei, zajmował się domem, była też gospodarka – opowiada Irek. – Nie pamiętam, żeby tata pił albo kiedykolwiek mnie uderzył.

Ojciec Irka był ustawiaczem, łączył i rozłączał składy pociągów. Chłopiec miał sześć lat, kiedy ojca zmiażdżyły dwa wagony.

– Po śmierci taty zrobiło się ciężko. Mieliśmy mało pieniędzy, tylko rentę babci. Matka nie pracowała, a jak już, to parę tygodni i się zwalniała, mówiła, że praca jest za ciężka.

Większość obowiązków domowych też spadała na babcię.

– To dobra kobieta była, starała się jak mogła – wspomina Irek. Pamięta, że matka już wtedy piła. I nie bardzo się nimi

interesowała. Za to zaczęła się spotykać z różnymi mężczyznami. Najdłużej była z Adamem, dwa lata. Irek bardzo go polubił. Kiedy rozstał się z matką, nie mieli już kontaktu.

Irek źle się czuł w domu. W szkole też nie najlepiej. Nauka mu nie szła, często wagarował. Zamiast do szkoły wolał chodzić na ryby.

Powtarzał piątą klasę.

Kiedy miał dwanaście lat, szkoła zaalarmowała opiekę społeczną, że Irek nie przychodzi na lekcje. W domu pojawił się kurator. Uznał, że Irka i Mirka trzeba stamtąd zabrać. Umieszczono ich w pogotowiu opiekuńczym.

– Czułem się tam jak w kryminale. Brak kontaktu z rodziną, z kolegami, trzeba było robić, co kazali, żadnej wolności.

Irek zapamiętał, że trwało to dwa lata. Jego matka, Romualda, że kilka miesięcy.

– W lutym go zabrali, po wakacjach zaraz wrócił – wspomina. – Takie to były czasy. Ale żadnych praw rodzicielskich mi nie odebrali.

Jak o tym mówi, zaraz się denerwuje. Głos jej się podnosi, twarz marszczy i chociaż jest drobną blondynką, wygląda naprawdę groźnie. Nie chce ciągnąć tematu, złości się, że w ogóle zadaje pytania o życie rodzinne. A co Irek zeznawał, to ona nie wie. Zresztą może tylko tak zapisali.

Irek miał żal do matki, że pozwoliła ich wsadzić do bidula.

– Ale ona taki ma charakter. Najpierw człowieka topi, a dopiero jak zobaczy, że się tej wody napił, to wyciąga rękę po pomoc.

Irek zapamiętał, że to babcia chciała ich sprowadzić do domu, nie matka. Najpierw urzędnicy kręcili głową, że babcia już za stara. W końcu się zgodzili.

Tak zeznawał. Gdy próbuję porozmawiać z nim o życiu rodzinnym, ucina, że wszystko było u nich w porządku.

Romualda też się upiera, że się synami opiekowała. Tylko musiała zarabiać. Pracowała na kolei, w budowlance i sądzie. Co dokładnie robiła, nie chce opowiadać.

*

W młodości Irek najbliżej trzymał się z bratem Mirkiem, ale kolegów też szybko sobie zjednywał.

Znajomi nazywali go „szałaput” albo „durniaga”. Bo ciągle coś głupiego wymyślał. I bajki opowiadał, co to nie on.

Spotykali się pod sklepem, czasem w bramie. Pierwsze piwo, wódka. Miał szesnaście lat, kiedy zaczął regularnie pić alkohol. Lubił dyskoteki, za dziewczynami się oglądał.

– Pierwszy raz uprawiałem seks w wieku szesnastu lat, byliśmy rówieśnikami, planowaliśmy to – opowiada. – Kochaliśmy się na łóżku jej rodziców, jak ich nie było w domu.

Z tamtą dziewczyną spotykał się kilka miesięcy, potem – jak twierdzi – miał jeszcze dwie inne, zanim poznał Kaśkę. Właśnie skończył siedemnaście lat, ona miała piętnaście.

Po trzech miesiącach zaczęli uprawiać seks. Nie minął rok, jak Kaśka była w ciąży.

*

Dlaczego jej się spodobał? Bo zawsze był taki pewny siebie. Rozmawiali o wszystkim, nawet o dzieciach, ona chciała trójkę, ale nie tak szybko. Kaśka miała najpierw skończyć szkołę, znaleźć pracę, Irek dopiero kończył się przyuczać na ślusarza-spawacza

w zawodówce we Wrocławiu. Znalazł robotę na czarno, w budowlance.

Ale skoro już teraz dziecko, to musiał być ślub, taka wtedy była gadka.

Pobrali się w kwietniu 1994 roku, w lipcu urodziła im się pierwsza córka. Zamieszkali razem z matką Kaśki na osiedlu w Jelczu-Laskowicach.

– Jakoś miesiąc później doszło do wielkiej awantury. Irek się napił, zaczął szukać zaczepki, a jak moja mama próbowała go uspokajać, to zamachnął się i uderzył ją w twarz. Kazałam mu się wynosić, ale mnie przeproszał. I z powrotem byliśmy razem – opowiada Katarzyna.

Odcięła się od Irka kompletnie. Najchętniej w ogóle by do tamtych czasów nie wracała. Zmieniła nazwisko, jego też chciałyby wyprzeć z pamięci. Jest trochę zła, że musi do tego wracać. Relacjonuje tę historię, jakby wcale jej nie dotyczyła. O kolejnych aktach agresji mówi już bez większych emocji.

Kilka miesięcy po narodzinach pierwszej córki Kaśka znowu była w ciąży. I znowu rozstawała się z Irkiem. A potem schodziła.

– Byliśmy jak na huśtawce. Wyrzuciłam go, ale potem wprowadziłam się do jego rodzinnego domu w Piekarach. Zaraz zaczęły się awantury więc wróciłam do matki. I tak w kółko. Głównym problemem był alkohol. Jak Irek pił, dostawał szału, agresji i kij wie co jeszcze. Nieraz się wtedy do mnie dobierał. Łapał mnie za ręce i nogi, próbował rozbierać. Ścisnął za biust, aż bolało. Ale dostawałam takiej siły, że nie mógł sobie dać ze mną rady. Biłam go po twarzy, wykręcałam ręce. Nigdy mnie nie zgwałcił, chociaż wielokrotnie próbował. Nie przeszkadzało mu nawet, że dzieci z nami śpią. Przeskadywał dopiero, gdy się budziły. On uważał, że jako żona mam obowiązek z nim współżyć. Jak nie

chciałam, to jeździł na prostytutki. Tak w skrócie wyglądało nasze małżeństwo.

W lipcu 2000 roku Katarzyna dostała własne mieszkanie. Chciała się tam wprowadzić już bez Irka, ale jego matka namówiła ją, żeby dała mu jeszcze jedną szansę. – No i głupia się zgodziłam – mówi Katarzyna.

Spokój był, jak Irek wyjeżdżał do pracy w Sztokholmie, robił tam na budowie.

Raz wrócił wcześniej. Przyłapał ją na zdradzie.

Zwyzywał od kurew i wyniósł się do matki. Przez dwa miesiące nie przestawał pić. W końcu jednak się pogodzili. Przecież Kaśka wiedziała, że Irek też ją zdradzał.

Tym razem miało być inaczej, bez picia, bez zdrad, bez agresji. Ale nie było.

Ostatecznie rozstali się w połowie 2007 roku po tym, jak Irek zwyzywał Kaśkę przy koleżance, a niedługo później przy kolegach z pracy.

Była na imprezie firmowej. Wychodzili, a Irek stał pod knajpą. – Twoje dziecko leży chore w domu, a ty się kurwisz – darł się. Uderzył ją w twarz. W domu dalej ją zwyzywał. Aż córki tego nie wytrzymały i spakowały rzeczy ojca.

Obiecała im, że już nie pozwoli mu wrócić.

*

Kilka miesięcy po rozstaniu, 11 listopada, Irek przyszedł do mieszkania Kaśki z pieniędzmi na dzieci. Wcześniej przekazywał je przez córki.

– Chce mi się – powiedział, ledwo zamknęły się za nim drzwi. Rzucił się na nią.

Złapał ją za rękę i próbował przewrócić na ziemię. Dziesięć, może piętnaście minut się tak przepychali. Próbował zdjąć jej spodnie, ale nie umiał sobie poradzić z paskiem. Kaśce udało się wyrwać.

– Nic ci, kurwo, nie chciałem zrobić, bo się tobą brzydzę. Ale zrobię ci to – krzyknął Irek i ugryzł ją w prawy policzek.

Odepchnęła go i uciekła z mieszkania.

Gdy wróciła do domu, Irka już nie było. W pokoju córek, gdzie próbował ją zgwałcić, zastała kompletną demolkę. Rzeczy dziewczyn walały się po podłodze, a wszystko było mokre. Irek przewrócił akwarium z rybkami.

„Już ci nie odpuszczę” – pomyślała Katarzyna. Zrobiła obdukcję, zgłosiła się na policję, założyła mu sprawę o znęcanie i złożyła papiery o rozwód.

*

W 2007 roku kartoteka Irka szybko zaczęła puchnąć. Wpadł, jak jechał pijany na rowerze. Recydywa, bo już dwa lata wcześniej za to samo go zatrzymali. A oprócz Kaśki znęcanie na policję zgłosiła też jego matka.

Wprowadził się do niej po rozstaniu z żoną. Romualda mieszkała w niewielkim domu w Piekarach. Biednie tam było, w zimie niekiedy nie starczało na ogrzewanie, ale zawsze to jakiś dach nad głową. Jego brat Mirek też mieszkał z matką. Pili wszyscy, czasem razem, czasem osobno.

– Ty kurwo – Irek wyzywał matkę, kiedy się napił. Wyrzucał jej, że jest prostytutką. Wiedział, że Romualda zaczepia mężczyzn na dworcu we Wrocławiu. – Wszystkie kurwy wyłapali, tylko nie ją – opowiadał kolegom.

Tamtej nocy Irek w złości wybił okno. Matka zadzwoniła po policję.

– Czy wy myślicie, że ja będę teraz szybą mierzyć?! Skąd mam wiedzieć, ile jest warta! – krzyczała do funkcjonariusza, który zapytał ją o straty. – Mam prawo dzwonić na policję, kiedy tylko mi się spodoba!

Tak jak Irek, Romualda była kompletnie pijana. Gdy wytrzeźwiała, zeznała: – Syn pod wpływem alkoholu zachowuje się nieobliczalnie. Robi się nerwowy i agresywny. Awanturuje się i mnie wyzywa.

Wszystko to działo się w listopadzie, więc prokuratura połączyła sprawy o jazdę po pijanemu i przemoc w rodzinie.

– Znęcałem się nad matką, ale nie miałem wyboru, zmusiła mnie sytuacja w domu. Źle się u nas dzieje. Nie mogę się z nią dogadać. Wyzywałem ją, ale ona mnie też. Krzyczała „Skurwysynu, ty chuju do lania”. No to nie mogłem tego wytrzymać i odpowiadałem „Kurwo, patrz na siebie”. Jak ona się awanturuje, to odpycham ją i szarpie. Mogło tak być, że groziłem jej śmiercią – zeznawał Irek. I tłumaczył, że po alkoholu „zachowuje się różnie”.

Przyznał też, że wyzywał żonę od szmat. – Ale przez to, że ona się puściła – dodał zaraz.

Na piśmie jednak przeprosił i razem z prawnikiem zaproponował karę dla siebie: grzywnę, zakaz prowadzenia pojazdów na dwa lata, kuratora i prace społeczne.

Grzywny i tak nie zapłacił.

Nie płacił też alimentów, powinien 800 złotych miesięcznie, za co Katarzyna założyła mu kolejną sprawę. I jeszcze go ścigali za przywłaszczenie portfela. Wypadł znajomej, kiedy byli w barze. Zabrał go. Widziała to barmanka. W środku było 40 złotych, starczyło na dwie flaszki. Znowu dostał grzywnę. Znowu nie zapłacił.

Dobra robota w Szwecji się skończyła. Zmarł szef, a potem jego wspólnik. Irek kręcił się po Piekarach i Jelczu. Jego brat Mirek dużo pił, a on z nim. Towarzystwo zresztą zawsze się znalazło.

I coraz częściej zaczął się pojawiać w policyjnych aktach. Również w sprawie, w której chodziło o śmierć.

*

Tamtego dnia, 22 listopada 2008 roku, zaczęli pić już rano.

– Od miesiąca spożywam tyle alkoholu, na ile mam pieniędzy. Nieraz to jest na tyle dużo, że tracę świadomość i nie pamiętam, co się dzieje – zeznawał później kompan Irka i Mirka.

Z tamtego wieczoru pamiętał niewiele.

Powłóczyli się, postali pod sklepem. Spotykali się zwykle na Witosza w Jelczu, działał tam 24-godzinny monopolowy. To niedaleko domu Irka i jego brata w Piekarach, niewiele ponad kilometr. W pobliżu mieszkali znajomi, można było kogoś odwiedzić.

Skoczyli jeszcze do Biedronki. Mirek kupił kiełbasę, śledzie i trzy butelki wódki. Krakowskiej, jednej z najtańszych, w tej samej cenie jest Ludowa, za Krajową płaciło się trochę mniej. Poszli do Edwarda, starego znajomego od flaszki. Jego wprawdzie nie było, pojechał do pracy, ale była Teresa, konkubina, za kołnierz nie wylewała, Edek nawet się przejmował, że przesadzała.

Kiedy około dwudziestej trzeciej przyjechała policja, wszyscy byli kompletnie pijani.

– Czy ona żyje? – pytał Irek, którego zatrzymali kawałek od domu. Bełkotał, ledwo dało się go zrozumieć. Po chwili zaczął zaprzeczać, że w ogóle był u Teresy. Potem przyznał, że przeniósł ją do drugiego pokoju i tam uprawiał z nią seks. W końcu stwierdził, że „tylko ją obmacywał”.

– To Edward ją kopał – powiedział.

Kiedy go wypuścili, poszedł pod okna Kaśki. Walił w nie pięściami, krzyczał: – Widziałem, jak Edek zabija Teresę.

Przegoniła go. Przychodził tak jeszcze kilka razy. Katarzyna myślała, że znowu mu odbiło.

Ale Teresa naprawdę nie żyła.

*

Służby wezwał Heniek, syn Edka.

Grzebał w garażu, to był wczesny wieczór, jak Irek zaczepił go pierwszy raz.

– Musisz tam zrobić porządek. Jestem przyjacielem twojego ojca i jemu by się to nie podobało – mówił bełkotliwie. Heniek miał z żoną niezależne mieszkanie na piętrze, jak ojca nie było, to nie odwiedzał jego konkubiny, nie przepadał za nią.

Ale tata kazał mu pilnować, czy Teresa nie robi meliny z domu, więc poszedł pogonić towarzystwo. Jej nie widział, tylko zarys ciała, leżała pod kołdrą. Tak ją zostawił.

Irek stał z nim jeszcze na podwórku i opowiadał o swojej kobiecie, Wandzie, że go zdradzała, kiedy wrócił Edward.

– Pogoniłem ci melinę z domu razem z Heńkiem – stwierdził dumnie Irek. A Edek zaprosił go na flaszkę, tydzień był w robocie, też chciał się napić.

Ojciec wychodził później kilka razy do syna, żeby go dopytać, co to za impreza była albo żeby kabel do anteny mu znalazł. Heniek wyczuwał od niego alkohol. W końcu Edek zawołał go, żeby przyszedł do niego z latarką i pomógł mu podłączyć telewizor. Był już wtedy bardzo pijany.

– Tydzień nic nie oglądałem – złościł się.

Ale gdy syn wszedł do pokoju, nie telewizor był mu w głowie. Na podłodze pod kołdrą leżała Teresa. Nie ruszała się, ale słyszał jej charczący oddech.

– Co tu się stało? – zapytał ojca, ale ten nie odpowiedział i dalej grzebał przy odbiorniku.

Heniek, nie wiedząc, co zrobić, zawołał żonę i poszli razem do ciotki, ta poprosiła o pomoc jeszcze sąsiadkę i całą delegacją udali się z powrotem do Edka.

Teresa dalej leżała na podłodze. Nie ruszała się, nie słyhać było oddechu. – Trzeba dzwonić po pomoc – ciotka była przerażona.

Wtedy Edka tknęło, że Teresa nie może tak leżeć na podłodze. Zaczął się awanturować, że trzeba ją wciągnąć na łóżko. Kiedy próbował podnieść Teresę, opadło z niej okrycie. Miała zakrwawioną twarz, rany na ciele i rozdarte majtki spuszczone do kolan.

Tak ich zastała policja.

Przyjechali jeszcze przed pogotowiem. Edek przyznał funkcjonariuszom, że uderzył Teresę, ale jej nie rozbierał. Wkurzył się, że wrócił do domu po robocie, a ona już była pijana.

Z tej złości też musiał się zaraz napić.

– Biłem, ale nie jestem pewny, czy dlatego zmarła. Kochałem ją – mówił.

To Irek – twierdził Edek – obmacywał Teresę.

Policja jednak i tak zatrzymała Edka. Niedługo posiedział. Biegły uznał, że to nie uderzenia zabiły Teresę. Była schorowana, a w jej moczu stwierdzono 3,3 promila alkoholu. Śledztwo w sprawie śmierci umorzono. Edek miał tylko zapłacić na rzecz szpitala w Oławie tysiąc złotych za spowodowanie „lekkiego uszczerbku na zdrowiu”

Wcześniej jeszcze zapytano Irka o to obmacywanie.

– Edka jeszcze nie było, jak przewróciliśmy się na siebie – zeznawał policjantom. – Przyciągnęła mnie. Nie miałem ochoty na seks, ale ona jedną rękę włożyła mi do majtek, drugą zsunęła swoje spodnie. Nagle się ocknąłem. Powiedziałem: „Kurwo, nie będę cię jebał”

Nikt nie sprawdził, czy Teresa została tamtego wieczoru zgwałcona.

*

Wanda miała dziewiętnaście lat, kiedy urodziła pierwsze dziecko, rok później zaraz drugie. Wzięła ślub z ich ojcem. On pił, ona też piła. Libacje w domu były coraz głośniejsze. W końcu ktoś zawiadomił służby. On już z nimi nie mieszkał, jej przydzielono kuratora. Obydwoje stracili prawa rodzicielskie. Oficjalnie się rozwiedli. On przestał utrzymywać kontakty z nią i dziećmi, ona starała się je odwiedzać w rodzinie zastępczej. Czasem nawet trzy razy w tygodniu, innym razem nie była miesiąc.

Jeszcze kiedy dzieci były przy niej, poznała nowego partnera. Później wyszło, że molestował jej córkę. Na wspólnych libacjach poznawała tych swoich mężczyzn. Z kolejnym ledwo zaczęła się spotykać i zaraz była w ciąży. Miała dwadzieścia siedem lat, kiedy urodziła trzecie dziecko. Jego ojciec całą ciężę się ukrywał, potem chciał się go wyprzeć. Chociaż badania DNA potwierdziły ojcostwo, i tak nie płacił alimentów.

Dwa lata później urodziła kolejne dziecko z kolejnym mężczyzną. Babcia, u której Wanda mieszkała, nie zgodziła się, żeby się do nich wprowadził. Najpierw przychodził dwa razy w tygodniu, potem coraz rzadziej.

W końcu Wanda zaczęła się spotykać z Irkiem. Znała go jeszcze ze szkoły, widywali się też na osiedlu w Jelczu. Jak rozstał się

z Kaśką, zaraz się spiknęli. Spotkali się na jednej wspólnej imprezie, drugiej i zaraz zostali parą.

– On nie przyjmował odmowy, a potrzebował dużo seksu – opowiada Wanda. – Nawet pięć razy dziennie.

Irek mieszkał wtedy u matki, ale miał już dosyć. Namówił Wandę, że się do niej wprowadzi. Jej babcia protestowała, ale nic sobie z niej nie robili. Zresztą czasem przenosili się do matki Irka. Albo zabalowali u znajomych.

Irek ledwo wypił i zaraz ją rozbierał.

18 maja 2008 roku, po trzech miesiącach, jak razem zamieszkali, ledwo ułożyła dzieci spać, jak rzucił się na nią i zdarł z niej ubranie. – Popchnął mnie na fotel i tam zgwałcił. Później zrzucił na podłogę. Zakleił mi usta taśmą klejącą, żebym nie krzyczała. Gdy próbowałam się bronić, bił mnie po twarzy i całym ciele. Jak się wyrывałam, przywiązał mnie do fotela.

Irek nie przestał jej gwałcić nawet wtedy, kiedy do pokoju weszła babcia Wandy. Stała w drzwiach osłupiała. Zaczęła krzyczeć, dopiero jednak, gdy zagroziła policją, Irek wyszedł.

Przestali się spotykać, ale minął miesiąc, jak znów zjawił się w jej domu.

– Idziesz ze mną albo cię pobiję – powiedział. Zaprowadził Wandę do swojego domu, zamknął drzwi na klucz i zaczął gwałcić.

– Jak udało mi się wyrwać, to zaraz znowu mnie złapał i rzucił na łóżko – opowiada.

Poszła tam jeszcze raz, na grilla. W czasie imprezy zaciągnął ją do pokoju, nie słuchał protestów.

– Gwałcił mnie jeszcze kilka razy, za każdym razem był bardzo agresywny.

Jak spotkał ją na ulicy, to do nieużytku wciągnął albo na przystanku wykorzystał. Zdarzyło się, że przez okno wchodził

do jej domu.

– Mów, że jesteś kurwą – rozkazywał. Bił, gdy krzyczała albo próbowała się wyrwać. Ciągnął za włosy, uderzał pięściami po twarzy, podduszał. Penetrował ją palcami, penisa wciskał w usta, pochwę. Nie przestał nawet wtedy, gdy zaczęła krwawić, wziął ją wtedy od tyłu.

Następnym razem przyłożył nóż do brzucha.

– Milcz, bo cię zabiję – mówił.

Ostatni raz zgwałcił Wandę 17 listopada 2008 roku.

– Wracałam z działki, jak wciągnął mnie w zarośla i gwałcił przez trzy godziny. Dusił, bił i krępował, aż złamał mi rękę. Groził, że jeśli pójdę na policję, to mnie zabije – opowiada Wanda. Tydzień później złożyła jednak zeznania. – Wiem, że robił to też innym kobietom – powiedziała.

16 listopada 2008 roku wracała w nocy do domu z Marzeną, kiedy Irek je zaatakował. Szarpiąc za włosy, zaciągnął do ciemnej uliczki. Rozpiął spodnie i na zmianę zmuszał je do seksu oralnego. W końcu Marzenie udało się wyrwać. Pobiegła na policję. Z funkcjonariuszami szukała Irka i Wandy, ale ich nie znaleźli. Tamtego dnia Marzena powiedziała policji tylko o pobiciu, pod okiem miała wielką śliwę po jego uderzeniu.

A to nie był pierwszy raz, kiedy Irek ją zgwałcił.

*

Marzena znała go od szesnastu lat, pierwszy raz spotkali się w kościele. Potem w lutym 2008 w pubie.

– Wpadłam mu w oko, przynajmniej tak mi powiedział.

Postawił jej drinka, potem drugiego i powiedział, że skończyły mu się pieniądze.

– Pojedź ze mną do domu, to wezmę więcej i tu wrócimy – zaproponował. Zaraz jak weszli, zamknął drzwi na klucz i zaczął się do niej dobierać.

– Kocham cię – mówił, dotykając ją coraz bardziej nachalnie.

– Daj spokój, Irek. Nie rób mi krzywdy, tyle lat się znamy – przekonywała, ale on przyciskał ją coraz mocniej.

Rozebrał ją i próbował gwałcić, ale nie potrafił.

– Jak się spuszczę, to cię wypuszczę. Rób, co mówię.

To robiła.

Całowała go w szyję, usta, w końcu udało mu się włożyć penisa, stosunek trwał półtorej godziny. Gdy skończył, miała nadzieję, że ją puści. Ale on nie pozwolił jej nawet wyjść do łazienki, tylko pokazał wiadro. Tej nocy gwałcił ją jeszcze kilka razy. W odbytu wkładał metalowy przedmiot.

– To przyrząd ginekologiczny – powiedział.

Bolało.

Bała się go bardzo.

Nad ranem Irek odprowadził Marzenę na przystanek. Zapalił papierosa.

– Spotkamy się jeszcze? – zapytał.

– Tak – odpowiedziała.

– I będziemy razem?

– Tak, tak – mówiła.

Miała nadzieję, że nigdy go już nie zobaczy. Kilka dni później wyjechała do Niemiec.

Następnym razem zobaczyła Irka na sali sądowej.

W Sądzie Rejonowym w Oławie przekonywał, że z Wandą byli parą i codziennie uprawiali seks w różnych miejscach. Aż jej powiedział, że to koniec. A Marzena na niego nagadała, bo Wanda ją napuściła.

Irek powtarzał: – Jestem niewinny.

*

Kiedy razem mieszkali, Romualda często kłóciła się z Irkiem. Przyprowadzał kobiety, urządzał libacje, nieraz ich przeganiała. Po pijaku Irek się awanturował, wyzywał Romualdę od najgorszych. Odpowiadała tym samym, wcale się go nie bała.

Zapewnia: mógł nagadać, uderzyć, ale nie zgwałcić. Przecież te kobiety same do niego przychodziły, słyszała, jak uprawiali seks. Wcale nie uciekały i jeszcze wracały.

Taka Wanda. Wszystko to robiła z nim dobrowolnie – zapewniała Romualda w zeznaniach. Potem jeszcze napisała do sądu: „W trakcie rozmowy Wanda mówiła mi, że jest między nimi dobrze, a za kilka dni podaje Irka o gwałt i znęcanie. Dlaczego wcześniej nie zgłaszała, że się źle dzieje? Coś tu jest nie tak”

A co na to Mirek, brat Irka?

– Znam wszystkie narzeczone brata. Jak postawiło się im się flaszkę, to były dobrymi kobietami – mówił przed sądem.

O gwałtach, jakich miał się dopuścić Irek, nie potrafił nic powiedzieć. Zauważył tylko, że kiedy jego brat się napił, zwracał się do Wandy w wulgarny sposób.

*

W sumie prokuratura postawiła Irkowi dwadzieścia zarzutów. Od grózb, przez pobicie, wtargnięcie do domu, po gwałty.

– Nikogo nie zgwałciłem! – powtarzał przed sądem. Tłumaczył, że to wszystko zemsta Wandy, bo znowu za picie odebrali jej dzieci.

Irek pół roku siedział w areszcie w oczekiwaniu na wyrok. Ostatecznie sąd podtrzymał wszystkie zarzuty. Dostał dwa lata

w zawieszeniu na cztery i zakaz zbliżania do Wandy.

Zawiasy w sprawach o gwałt były wtedy niemal normą, dostawała je ponad jedna trzecia sprawców.

Tydzień po tym, jak Irek wyszedł z krat, w maju 2009 roku, wpadł do domu znajomego. Akurat była u niego Wanda.

– Prędzej czy później cię zajebię – krzyczał. – Ty wiesz, że już nie żyjesz. Siedziałem pół roku, teraz ty posiedzisz. Wiesz, że masz przejebane.

Napadł na nią kilka razy, zawsze pijany. Pewnego razu zaczął ją dusić. Kolega go odciągnął.

Odgrażał się każdemu, kto zeznawał przeciwko niemu. Znajomego pobił, groził nawet siedemdziesięcioletniej babci Wandy.

Wanda poszła na policję:

– Boję się tego człowieka.

*

Na policję zgłosiła się też Krystyna.

Irek pił z nią u wspólnego znajomego, Heńka. Przyszedł tam po dożynkach, już pijany. Jedna wódka, druga. Krystyna wypijała kilka kieliszków, a potem sączyła piwo Kozackie, z tych mocniejszych. W końcu zasnęła na wersalce. Obudziła się, kiedy poczuła na sobie ciężar. Obróciła się.

– Irek, co ty robisz?! – krzyknęła i zaczęła wołać Heńka. Ale Heniek spał w fotelu.

Gdy próbowała się wyrwać, Irek uderzył ją w twarz i pociągnął za włosy. Zaczął bić po głowie. Zamroczoną przytrzymywał rękami i zaczął gwałcić. Analnie też próbował. Trwało to może piętnaście minut. Potem poszedł do łazienki. Ona szybko się ubrała. Heniek nadal spał w fotelu.

Krystyna wybiegła z domu i z budki telefonicznej zadzwoniła na policję. Przesłuchali ją, wysłali na obdukcję, pobrali ślady z wersalki.

Kilka tygodni po wyjściu z aresztu Irek znów w nim jest. A policja dotarła do jeszcze jednej kobiety, którą próbował zgwałcić w tym czasie.

Irek wszystkiemu zaprzeczył. W sądzie aż go nosiło, gdy zeznawali przeciwko niemu. Po rozprawach wypisywał, co było nie tak. Jego wywody, pełne błędów i powtórzeń stawały się coraz dłuższe. Zapełniał kartki wersalikami. Sześć stron, siedem, dziesięć, piętnaście.

„Zwracam się do sądu o zwrócenie uwagi na kłamstwa ze strony pokrzywdzonych, iż Krystyna będąc zgwałcona nie dzwoni na policję od razu z komurki tylko idzie do butki telefonicznej dopiero po jakimś czasie. Dlaczego? Dlatego, że nie została zgwałcona tylko chciała iść z nami ale nas nie znalazła to robi na złość”

„Kobieta po wypiciu dwóch, trzech kieliszków wódki ma około trzech razy więcej alkoholu niż moja osoba wypijając około trzech bótelek wódki po 0,7 karzda”

„Rarząco widać iż zeznania musiały być uprzednio ustalone”

„Ja nikogo nie zgwałciłem ani nikomu nie groziłem. Niewiem w jaki sposób mam to udowodnić jak sąd odrzuca wszystkie moje wnioski”

„Durzo faktów jest niewpisane w akta sprawy. Tok postępowania powinien się opierać na zeznaniach i dowodach które powinny być protokółowane w całości a nie wyrywkowo bo wyciąg ze zdania albo jego przekręcenia ma ogromne znaczenie”

„Nie mogę się przyznać do tego co nie zrobiłem. Niewiem ile mam czasu spędzić za kratami, żeby sąd dopatrzył się

sprawiedliwości”

„Sprawa jest prowadzona jednostronnie na moją niekorzyść”

Sądu Irek jednak nie przekonał. W czerwcu 2010 roku skazał go za gwałty i groźby na cztery lata i sześć miesięcy. Mimo jego odwołań i apelacji adwokata wyższa instancja utrzymała wyrok. Irek napisał jeszcze do prezydenta o ułaskawienie. Bez odzewu.

*

– Miałam poczucie, że coś z nim jest nie tak – opowiada Zofia.

Irek zaczął się z nią spotykać, kiedy wyszedł z więzienia w czerwcu 2014 roku.

Kochali się codziennie, ale on nie dochodził.

– Oglądał film i śmiał się, jak były sceny, że mężczyzna bije kobietę.

Po półtora tygodnia pierwszy raz ją zgwałcił. Przyduszał, wkładał penisa do ust.

Kolejnego dnia to samo.

Uciekła do kolegi.

Następnego dnia wyrzuciła Irka z domu, ale wciąż bolało ją całe ciało.

Miała do niego słabość. Znali się od dziesięciu lat. Nie przeszkadzało jej nawet, że siedział za gwałty. Słyszała o nich, wszyscy w towarzystwie zresztą wiedzieli. Kojarzyła te dziewczyny, one zresztą też się znały. Obracali się w tych samych kręgach, spotykali na popijawach.

Ale Zofia wiedziała też, że Irek wyjeżdżał pracować za granicę, miał pieniądze.

– Dzieci tak poradziły, lepiej z nim, niż matka miałaby być sama – tłumaczy. Spotkali się na wódkę, raz, drugi i zostali parą. Szybko z nim zamieszkała.

Przed laty policja już ją przesłuchiwała. To było po tym, jak Wanda zeznała, że Irek próbował zgwałcić Zofię, gdy pijana wracała ze wspólnej imprezy. Szła ciemną ulicą, gdy dobiegł do niej i przewrócił na trawę. Zaczął ściągać z niej ubranie, ale Wanda ich zobaczyła i przegoniła Irka.

Wtedy jednak Zofia skłamała, że to nieprawda.

– Zrobiłam z Wandy idiotkę. Oszukałam policję – przyznaje.

Miesiąc po tym, jak go wyrzuciła z domu, spotkali się na popijawie u wspólnego znajomego. Irek powiedział, że odwiezie Zofię do domu. Siedziała na ramie roweru. Nagle się zatrzymał. Zrzucił ją i wciągnął do rowu. Włożył pięść do gardła, zdarł ubranie, gryzł brodawki, krzyczał: – Ty kurwo!

– Znowu nie mógł dojść i robił się coraz bardziej agresywny. Myślałam, że to się już nigdy nie skończy. Że to będzie mój koniec.

Już nie chciała go dłużej kryć.

*

We wrześniu 2014 roku Irek po raz kolejny został aresztowany. I po raz kolejny próbował przekonać policję, prokuraturę i sąd, że jest niewinny. W areszcie zaciekle zapełniał kolejne kartki. „Ja tego nie zrobiłem. To kłamstwa. Zofia była chętna do uprawiania seksu i lubiała to robić”

– Wyszliśmy z tamtej imprezy, bo Zośka powiedziała, że chciałaby się ze mną pokochać. Poszliśmy na pole kukurydzy. Rozebraliśmy się i zaczęliśmy całować. Nie kazałem jej się kłaść, razem się położyliśmy – tłumaczył. Długo i ze szczegółami opowiadał o ich stosunku, podkreślając, jak bardzo Zofia tego wszystkiego chciała.

– Prosiła, żebym gryzł jej sutki – mówił. – Uważam, że była zadowolona.

Jej obrażenia i rozerwane ubrania tłumaczył kilkoma wywrotkami na rowerze.

Znów broniła go matka.

– Ja się z Zosią na policji spotkałam. Ona mnie przepraszała, mówiła, że wcale tego zgłoszenia nie chciała, ale ją namówili, jak była pijana. A ona chciała tylko, żeby Irek się leczył – przekonywała.

Nieskutecznie.

Przeciwko Irkowi świadczyły nie tylko zeznania Zofii i kolegi, który jej pomagał. Była też obdukcja, a biegli stwierdzili zgodność jego profilu genetycznego z próbkami pobranymi z pochwy i odbytu kobiety.

Sąd skazał go na sześć lat odsiadki, zaliczając na poczet kary piętnaście miesięcy aresztu.

Z więzienia Irek pisał do Zofii: „Chciałem cię przeprosić za to wszystko. Czasu się nie cofnie. (...) Było przecież wszystko okej. Sama chciałaś się kochać dlatego nie rozumiem twojego podejścia. Powiedziałem, że nie dam na flaszkę. Dlatego to zrobiłaś? (...) Co ja takiego ci zrobiłem. Przecież na wszystko się zgodziłaś”

Jedną ze spraw apelacyjnych Irka prowadził prokurator Tomasz F., ten sam, który doprowadził do skazania Tomasza Komendy. Nie powiązał jednak seryjnego gwałciciela ze sprawą miłoszycką, chociaż obrażenia ofiar Ireneusza M. były bardzo podobne do tych na ciele Małgosi.

Rozdział 4

ZARZUTY

Wystarczyło kilka kliknięć, żeby go znaleźć.

Jest w więzieniu w Kłodzku, odsiaduje wyrok za gwałty.

W jego kartotece znajdują nawet gotowy profil DNA. Śledczy przekazują go biegłemu Krzysztofowi Kołochowi. Przed laty badania nie były zbyt dokładne, określały tylko dziesięć alleli, czyli różnych wersji tego samego genu z niewielkimi modyfikacjami w sekwencji DNA. Ale zanim pobiorą od Irka nowe próbki, mogą już ten Irkowy kod wstępnie porównać ze śladami z ubrań Małgosi.

Wystarczy, żeby postawić mu zarzuty. Jeśli to on.

*

13 czerwca 2017 roku Ireneusz M. zostaje dowieziony na przesłuchanie do Wrocławia. Dolnośląski wydział Prokuratury Krajowej mieści się jeszcze w siedzibie apelacyjnej przy ulicy Piłsudskiego. Niedługo później przeniosą się na Kolejową, do starego budynku z czerwonej cegły. Dopiero w 2023 roku prokuratorzy w końcu będą pracować w nowoczesnych warunkach

– współpracownicy Ziobry z pompą otworzą wyremontowany zabytkowy budynek przy Podwalu, gdzie siedziby mają też sąd i prokuratura okręgowa.

Teraz siedzą w niewielkim gabinecie. Upał okropny, huczy wiatrak. Jest naczelnik Tomankiewicz, prokurator Sobieski i Remik, policjant. Czekają w napięciu na to spotkanie, transport z aresztu zamówili zaraz z rana.

– W końcu ktoś się zainteresował moimi skargami – mówi Irek, gdy tylko wchodzi do pokoju. Rozsiada się na krześle. Jest pewny, że zaraz odegra się na służbie więziennej.

„Jakby był na piwie z kolegą, a nie składał zeznania” – myśli Sobieski.

Kiedy Robert Tomankiewicz czyta Irkowi zarzut gwałtu i morderstwa, na chwilę blednie. Ale nie wydaje się przerażony, raczej wściekły.

– Ja tego nie zrobiłem, nawet tej dziewczyny na oczy nie widziałem – mówi podniesionym tonem. Kręci głową, macha rękami, całym sobą próbuje pokazać, że to jedna wielka pomyłka.

Remik zna podobnych cwaniaków. Ale ten jest szczególnie butny i arogancki.

– Zachowywał się, jakby w ogóle się nie przejął tymi zarzutami. Nie widziałem w nim lęku, tylko złość – opowiada mi później.

Irek na przesłuchaniu ani razu się nie zająknął, ani razu nie załamał mu się głos. Przeciwnie, z minuty na minutę nabierał pewności siebie: – Wielokrotnie słyszałem o tym gwałcie i zabójstwie. Że jej wkładali petardę i butelkę, tak u mnie na wiosce mówili. Ale ja nie mam z tym nic wspólnego.

– Proszę opisać swój pobyt na dyskotecce tamtej nocy – prosi go Sobieski.

– Nie będę mówił nic więcej. Żądam adwokata – odpowiada szybko. I zaraz dodaje: – Ja się tylko bawiłem, więc żadnych dowodów pewnie nie może być.

Irek nie wie, że prokuratura ma już wyniki porównujące DNA z ubrań Małgosi z jego kodem. Wszystkie dziesięć alleli się zgadza.

*

Remik rozpytywał już świadków w sprawie Irka, ale to były działania operacyjne, teraz potrzebowali ich oficjalnych zeznań. Kluczowe dla sprawy osoby Sobieski wezwał w dniu, kiedy postawiono Irkowi zarzuty – żeby uniknąć nawet podejrzeń o mataczenie. Roboty było tyle, że wszyscy zaangażowani w śledztwo zostali wciągnięci do prowadzenia przesłuchań.

Podinspektor Robert Dobroć, który razem z Remikiem uczestniczył w śledztwie z ramienia policji, dostaje do odpytania Katarzynę, byłą żoną Irka. Pyta o przebieg tamtego sylwestra.

– Całą noc przepłakałam, bo ja siedziałam w domu, a mój mąż się szlajał – opowiada. – Wypił wtedy, a po alkoholu włączał mu się szwendacz. Po sylwestrze wpadł z burzą. Zawsze jak popił, to darł ryja, pan i władca nigdy się nie położył cicho spać. O to się pokłóciliśmy.

Katarzyna twierdzi, że rano Irek zachowywał się jak zwykle.

O tym, że w Miłoszycach doszło do morderstwa, dowiedziała się, gdy kilka dni później policja przyszła przeszukać ich mieszkanie. Funkcjonariusze pytali o srebrną biżuterię i damskie botki, ale ona nie widziała, by Irek cokolwiek przyniósł ze sobą do domu. Nic zresztą nie znaleziono.

Katarzyna: – Tłumaczył mi, że robią nam przeszukanie, bo na posesji, gdzie znaleziono zwłoki, zostawił rower.

Ale w trakcie przesłuchania żona Irka dostarcza im też kolejnych poszlak, że Irek pasuje do profilu sprawcy.

– Ten kretyn miał taką taktykę, że upijał kobiety, by je później wykorzystać. A po alkoholu zawsze był agresywny – mówi Katarzyna.

Małgosia tamtej sylwestrowej nocy ledwo trzymała się na nogach, zresztą wiele innych dziewczyn także. Chociaż nikt nie pamiętał, by piła zbyt wiele. Obrażenia na ciele dziewczyny świadczyły jednak o dużej agresji sprawcy.

*

Kiedy Dobroć rozmawia z Katarzyną, w drugim pokoju naczelnik Tomankiewicz, prokurator Sobieski i jego asystentka Małgorzata Marzec przesłuchują dawnego znajomego Irka, Edmunda B. Wtedy był partnerem jego matki, w noworoczny poranek akurat przebywał w ich domu. Wiedzą, że ma problemy z alkoholem, ale do prokuratury przychodzi trzeźwy.

– Powiem wam, jak było – mówi. – Żona Irka pracowała w sklepie, on wziął mnie na zaplecze, nalał wódki i zapytał, czy idziemy na sylwestra. Drewna do lasu nie bierze, dodał, wskazując na Kaśkę. Ale nie chciałem z nim iść, bo on, jak się napije, staje się głupi. Spędziłem noc z jego bratem Mirkiem i dwiema koleżankami. Do dziesiątej rano byliśmy u mnie w domu, a potem poszliśmy do Mirka. Irek był już w domu.

Edmund miał słyszeć, jak powiedział wtedy do żony, żeby spaliła jego spodnie.

– Ona była przez niego zastraszana, robiła wszystko, co kazał.

Edmund zapamiętał też, że wrzuciła te spodnie do pieca. O morderstwie w Miłoszycach dowiedział się później, z „Gazety Powiatowej”. Pisali w niej, że chłopak, który zabrał ofiarę spod

Alcatraz, przedstawił się jako „Irek” i był ostrzyżony na grzybka. Od razu skojarzył. Sam Irka tak strzygł, to była wtedy modna fryzura.

– Poza tym on jest bardzo nachalny do kobiet. Zawsze nosił przy sobie wodę utlenioną i dolewał dziewczynom do alkoholu, żeby straciły przytomność. Wtedy Irek je gwałcił i gryzł. To człowiek nie do życia. Taki drugi Trynkiewicz – mówi Edmund.

Wcześniej nikomu o tym nie opowiadał.

Dlaczego?

Bo nikt nie pytał.

*

– Nie mogę wykluczyć, że sam spalił te spodnie, ale ja nic nie paliłam – zeznaje Katarzyna.

– Może powiedział to do swojej babci? Ale powiedział na pewno – twierdzi Edmund.

Śledczy tego samego dnia konfrontują ich zeznania, ale obydwójce upierają się przy swoich wersjach.

Katarzyna przekonuje, że wcale by się Irka nie posłuchała, jakby kazał jej coś takiego zrobić. A poza tym przecież by zapamiętała coś takiego.

Babci śledczy przesłuchać nie mogą. Zmarła w 1998 roku.

Tego dnia prokurator wezwał jeszcze jednego dawnego przyjaciela Irka. Z Piotrem S. znają się ponad dwadzieścia lat, ale od dłuższego czasu nie utrzymują już kontaktów.

– Jak bywałem u niego w domu, to widziałem, że był bardzo agresywny do żony, miała siniaki. Skarżyła mi się, że parę razy wziął ją na przymus. Nigdy z nim o tym nie rozmawiałem. Wiem, że był też skazany za gwałty. A dopuścił się jeszcze jednego. Mnie

tam nie było, ale dowiedziałem się od kumpla. Irek dolał jej wody utlenionej do wina i ona padła.

*

14 czerwca śledczy przyjeżdżają pod dom rodzinny Irka w Piekarach. To zaraz za Jelczem, tutejsi piekarze już w XIV wieku wypiekali chleb dla jelczańskiego zamku. Z tamtych czasów już nic nie zostało, ale mieszkańcom dalej służy kilka przedwojennych budynków, widzę też pustostany.

Dom Irka stoi na uboczu, za nim już tylko pola. Niewielki nieotynkowany budynek w głębi działki ma spadzisty dach z poobrywanymi dachówkami.

– Dzień dobry – wita się z nimi brat Irka, Mirek. Wraca ze sklepu z piwem w reklamówce, siada na ławce przed domem i jak gdyby nigdy nic, otwiera pierwszą puszkę.

Do środka wchodzi Sobieski i policjanci wyznaczeni do przeprowadzenia przeszukania.

„Dom zły” – myśli prokurator.

Ściany są brudne i łuszczy się z nich farba, drewniana podłoga miejscami jest czarna. W dużym pokoju meblościanka z telewizorem, nad nią krzyż. Zaraz kolejny i obraz Matki Boskiej. Na szafie butelki po piwie.

Kołdra leży na wersalce, jakby ktoś dopiero wstał. Na ławie popielniczka z petami.

Policjanci wyjmują wszystko z szafek, zabierają zdjęcia. Są jeszcze dwa pokoje. Fotografują ubrania, biżuterię. Nie znajdują jednak nic, co przypominałoby rzeczy Małgosi.

Sprawdzają piwnicę. Po ziemi walają się słoiki, puste doniczki, stare gazetki reklamowe, kartony i ubrania. Bardziej interesują ich jednak rowery. Będą na nich szukać śladów krwi, bez skutku.

– Ale mi bajzel zrobiliście – denerwuje się Romualda. – Kogo policja może szukać u mnie w domu po dwudziestu latach? Mój syn normalnie pracował, nigdy się nie chował. Te, co na niego donosiły, to wszystkie koleżanki były. Ja śledziłam sprawę Miłoszyc, oglądałam reportaże. Wiem, że ludzie byli zastraszeni, że duże pieniądze poszły. Padało nazwisko Ł. Może on, ale na pewno nie mój syn. Irek nikogo by nie zabił.

Rozdział 5

KOBIETY

– Nigdy mi się coś takiego nie zdarzyło, żebym po takiej ilości wódki straciła przytomność – opowiada Anna. To ona – według niedawno przesłuchanego znajomego Irka – miała zostać przez niego czymś odurzona i zgwałcona.

Odcięto ją kompletnie, a jak się obudziła, była naga. Ubrania leżały obok, porzucane. Majtki były rozerwane. Bolała ją pochwa. Wypływało z niej nasienie.

– Wiedziałam, co się stało.

Kolega, który wtedy z nimi pił, zasnął. Ale jak się na chwilę obudził, widział Irka na Annie.

On jak zwykle tłumaczył, że sama tego chciała.

– To taka kobieta, co robi loda za paczkę papierosów – twierdzi Irek.

Biegła Małgorzata Pyta uznaje jednak zeznania Anny za wiarygodne. Według niej historia jest spójna, a kobieta nie ma skłonności do konfabulacji. Psycholożka w opinii przekonuje,

że nawet wieloletnie uzależnienie nie oznacza automatycznie niższej wiarygodności świadka.

– Oczywiście ma ono wpływ na układ nerwowy i procesy pamięciowe. Zadaniem badania psychologicznego jest jednak określenie tego wpływu na relacjonowane zdarzenia – tłumaczy biegła. Wniosek: alkoholizm nie wpłynął na jej zdolność do odtwarzania wydarzeń z przeszłości.

Prokurator do aktu oskarżenia przeciwko Irkowi dorzuca zgwałcenie Anny.

A to niejedyny dokonany przez niego gwałt, o którym dowiadują się śledczy.

*

To było po ognisku, Marta miała piętnaście lat. Dopadło ją dwóch chłopaków. Jeden trzymał za ręce, drugi gwałcił.

– Czułam ból, jakiego nigdy nie doświadczyłam – opowiada.

Tak wyglądał jej pierwszy raz.

Po gwałcie ten, co ją trzymał, sobie poszedł, drugi powiedział, że zabierze ją do domu. Bała się odmówić. Po drodze zrzucił ją z ramy roweru i jeszcze raz zgwałcił. Był brutalny. Wciskał jej dłoń do pochwy.

Gdy skończył, powiedział: – Nie mów o tym nikomu, bo będzie jeszcze gorzej.

Więc nie mówiła.

Kiedy prokurator pokazuje jej zdjęcia potencjalnych sprawców, od razu wskazuje na Irka. To on był jej oprawcą. Twarzy drugiego nie pamięta.

Sprawa zgwałcenia już się przedawniła, ale prokurator i tak przekazuje ją do dalszego zbadania. A zeznania dołącza do akt.

Czuje, jakby wszystkie te kobiety opowiadały w imieniu Małgosi.

*

Do czasu, aż zgromadzą dowody wystarczające do postawienia Irkowi zarzutu gwałtu i morderstwa, prokuratorzy prowadzą śledztwo w ramach czynności operacyjnych. Wiedzą, że wznowiając je oficjalnie, muszą poinformować rodziców Małgosi. I rodzinę Komendów. Nie chcą im robić złudnych nadziei. Jeśli okazałoby się, że na ubraniach dziewczyny nie znaleziono żadnych śladów, to sprawy by nie było. Zresztą wznowienie śledztwa oznacza zainteresowanie mediów, a nadmierny szum nie jest im potrzebny, wciąż mają do przesłuchania sporo świadków.

W czerwcu 2017 roku zadają sobie pytanie: co zrobimy, kiedy dziennikarze zaczną pytać o Komendę?

Głupio mówić o Irku „drugi zabójca”, skoro są coraz bardziej przekonani, że ten „pierwszy” tak naprawdę wcale zabójcą nie jest.

Ale nie mogą też powiedzieć: „Podejrzewamy, że Tomek jest niewinny”. Wciąż brakuje im dowodów – nie mają jeszcze wyników badań jego DNA ani odcisku szczęki. To, że miał alibi, a historia przedstawiona wtedy przez prokuraturę kompletnie nie trzyma się kupy, byłoby dla sądu bez znaczenia.

W końcu wydają lakoniczny komunikat: „Po ponad dwudziestu latach od zdarzenia ustalony został sprawca tej okrutnej zbrodni. Okazał się nim Ireneusz M.”

Rozdział 6

EKSHUMACJA

Kilka dni wcześniej Krzysztof i Jadwiga razem z córką Ewelina jadą z Jelcza do siedziby prokuratury. Na miejscu mają się spotkać z mecenas Szymecką. Nie wiedzą, dlaczego ich wezwano.

– Byleby mieli coś do powiedzenia – mówi Krzysztof. Od kiedy Szymecka wysłała pismo do Prokuratury Krajowej, minęło wiele miesięcy. Wiedzieli, że w sprawie coś się dzieje, ale co – tego już nie.

W gabinecie naczelnika czeka na nich cała delegacja: Robert Tomankiewicz, prokurator Dariusz Sobieski i policjant Remigiusz Korejwo.

Wstają, by się przywitać. Kawa, herbata. – Proszę, tu państwa krzesła.

Im nie są potrzebne uprzejmości, patrzą wyczekująco.

Robert Tomankiewicz mówi: – Wznawiamy śledztwo w sprawie śmierci państwa córki.

– No wreszcie ktoś się tym zajął – wtrąca się zaraz Jadwiga, ale nie słyhać w jej głosie satysfakcji, raczej oburzenie.

Tomankiewicz tłumaczy, że udało się zabezpieczyć nowe dowody. Krzysztof myśli, że sam przecież tę sukienkę kazał zachować, od początku miał rację, ale milczy.

Słyszą, że mają podejrzanego. Ma na imię Ireneusz. I pojawił się w sprawie na samym początku. Dlaczego więc musieli tyle czekać?

– Będziemy musieli przeprowadzić ekshumację – mówi jeszcze Tomankiewicz.

Patrzą po sobie. W końcu Krzysztof odpowiada: – Róbcie, co musicie.

*

– Możemy dać kartonową trumnę, taniej będzie – mówi szef zakładu pogrzebowego, w którym prokuratura zamówiła ekshumację.

– Chyba pan żartuje. Ma być jak na normalnym pogrzebie – denerwuje się Sobieski. – Nie oszczędzajcie.

Na cmentarz w Jelczu-Laskowicach przyjeżdżają o świcie. Lipcowe słońce jeszcze nie daje się we znaki. Nekropolię otaczają policjanci. Wokół grobu Małgosi, z którego już wcześniej zdemontowano granitową płytę, kręci się kilkanaście osób. Jest Korejwo, Sobieski, jego asystentka, biegły lekarz sądowy, pracownicy i szefostwo zakładu pogrzebowego, antropolog i pracownik stacji sanitarno-epidemiologicznej.

Rodzice Małgosi trzymają się z boku. – Dziecko nam wykopują – mówi Krzysztof, jakby dalej nie dowierzał w to, co widzi.

Punktualnie o godzinie szóstej pracownik zakładu pogrzebowego uruchamia koparkę i odgarnia górną warstwę ziemi. Dalej kopie łopatą. Pół godziny później wyczuwa fragment trumny. Z ziemi wystają plastikowe kwiaty. Zaraz wyciągają też perłowe korale.

– Założyłam je Małgosi do grobu – mówi Jadwiga, ocierając łzy.

Pracownik otrzepuje z ziemi książeczkę do Pierwszej Komunii. – To też Małgosi – mówi Jadwiga, podchodzi coraz bliżej. Krzysztof nie rusza się z miejsca.

Do grobu po drabinie schodzi biegły i pobiera próbki ziemi. Pracownicy delikatnie odsłaniają kolejną warstwę. Widzą fragment jasnego materiału, który kiedyś był odświętną sukienką. Brudna tkanina przykrywa zbrązowiałe kości. Na wysokości stóp znajdują czółenka na niewielkim obcasie. Długie, ciemne włosy są potargane.

Jadwiga płacze. Tyle z jej dziecka zostało.

Kość po kości przenoszą do plastikowego worka. Do drugiego wkładają resztki trumny. Biegły pobiera kolejne próbki ziemi.

Worek wkładają do trumny z jasnego drewna i po raz drugi przewożą Małgosię do Zakładu Medycyny Sądowej we Wrocławiu.

Kilkanaście dni później rodzice Małgosi znów stoją odświętnie ubrani przed grobem córki. Jakby tych dwudziestu lat nie było.

Na cmentarz przyjeżdża też delegacja z prokuratury. Znicze, kwiaty, jak na normalnym pogrzebie. Czuli, że muszą tu być. Przecież chowają dziecko.

Po pogrzebie ksiądz podchodzi do rodziców. – Jak wy możecie to wytrzymać? – pyta.

Krzysztof sam się dziwi, że jeszcze żyje.

– Miałem raka, potem udar. Przeżyłem. Psychika zniszczona. Ale trzymam się jeszcze, żeby sprawcy zostali ukarani – mówi. – Musiałem córkę pochować dwa razy. Kto coś takiego przeżył?

*

Ogłędziny zwłok przeprowadzają dr Łukasz Szleszkowski i Agata Thannhauser. Jest też policjant Remigiusz Korejwo, prokurator Sobieski, jego asystentka Małgorzata Marzec i dr Jerzy Kawecki,

który nadal pracuje jako biegły sądowy. Przed laty przeprowadził sekcję zwłok Małgosi. Pamięta, jak bardzo dziewczyna była zmasakrowana. Teraz patrzy na jej kości ułożone na stole. Każda jest na swoim miejscu, a brązowy kolor przypomina o upływie lat.

Biegli pobierają szczątki paznokci. Szukają krwi sprawcy. Nie znajdują.

Pobierają też próbki kości i włosów Małgosi. Na pełną analizę muszą poczekać kilka tygodni.

*

Karbamazepina została odkryta w latach 50. Mechanizm działania? Hamowanie nawracających pobudzeń w neuronach oraz zmniejszanie intensywności przekazywania bodźców. Przede wszystkim stosowana jest do leczenia padaczki, ale odkryto również, że ma działanie psychotropowe. Można nią leczyć zaburzenia dwubiegunowe, schizofrenię, stany depresyjne czy nadmierną drażliwość i agresywność, chociaż w tych przypadkach nie jest pierwszym wyborem. Sprawdza się też w alkoholowym zespole abstynencyjnym, zmniejszając nadmierną pobudliwość i drżenie mięśni.

Jej przedawkowanie powoduje zawroty głowy, wymioty, halucynacje. I senność. Podawana w syropie osiąga maksymalne stężenie po dwóch godzinach.

Co ważne, wchodzi w reakcje z alkoholem. Objawia się to nasileniem skutków ubocznych. Efekt jak po pigułce gwałtu.

Biegli stwierdzają obecność karbamazepiny we wszystkich próbkach pobranych podczas ponownej sekcji Małgosi.

– W kościach, a dokładnie w jamie szpikowej i kościach gąbczastych nawet po wielu latach można stwierdzić obecność

substancji toksycznych. A w tym przypadku były one bardzo dobrze zachowane – tłumaczy dr Szleszkowski.

Karbamazepina nie mogła powstać w wyniku jakichś reakcji chemicznych zachodzących w zwłokach. Ale zdarza się, że zostaje przeniesiona, na przykład z innych ciał. Dlatego biegli pobrali też próbki ziemi wokół kości.

W nich karbamazepiny nie ma.

W opinii biegli piszą: „W literaturze naukowej odnotowano przypadki zastosowania karbamazepiny w celu ułatwienia przestępstw seksualnych”.

*

Obecność karbamazepiny tłumaczyła zły stan Małgosi w czasie imprezy sylwestrowej. Wszyscy jej znajomi twierdzili, że wypła niewiele. Piwo, łyk szampana. Zresztą także inne dziewczyny czuły się tamtej nocy podobnie. Tylko one miały na tyle szczęścia, że ktoś odprowadził je do domu.

– Mogłam być na miejscu Małgosi – mówi jedna z nich.

Sobieski sądzi, że to było polowanie. Sprawca dodawał dziewczynom do picia karbamazepinę i czekał, która będzie wystarczająco nieprzytomna, by móc ją wykorzystać.

Podobnie działał Irek. Edmund, jego znajomy od wódki, opowiadał, że dolewał kobietom wody utlenionej do alkoholu, by szybciej się upijały. Śledczy docierają do kolejnych osób, które potwierdzają, że nosił przy sobie wodę utlenioną. Raz kolega dołał Irkowi z tej buteleczki do wódki. Szybko odleciał.

Czy to naprawdę była woda utleniona, nie wiadomo.

Sobieski zleca jednak badanie, jak reaguje z alkoholem. Chemiccy mieszają substancje, ale żadne nowe związki nie powstają.

Eksperymentu z udziałem ludzi nie mogą przeprowadzić, bo to nieetyczne.

– Ja spróbuję – mówi asystentka Sobieskiego.

– Nawet się nie waź! – odpowiada prokurator.

Sprawdzają dokumentację medyczną całej rodziny Irka, czy ktoś przyjmował leki z karbamazepiną. Niczego nie znajdują. Lokalni psychiatrzy też nie pamiętają, by komukolwiek je przypisywali. Śledczy nie mogą powiązać karbamazepiny z Irkiem. Ani z nikim innym.

*

Akta dotyczące samego Irka to już kilkanaście tomów. Ale Sobieski nie chce niczego pominąć. Zawsze był dokładny, a w tej sprawie popełniono zbyt wiele błędów.

Każde wyciągnąć listy uczniów z jego szkoły i świadectwa. Zachowanie naganne, dużo dopuszczających, bardzo dobry z wuefu. W zawodówce radził sobie lepiej niż w podstawówce.

Całe ciało ma pokryte tatuażami. Szukają biegłego, który mógłby poddać je analizie. Nie jest łatwo o takich ekspertów, w końcu znajdują emerytowanego.

Ogląda zdjęcia z oględzin, które robił dr Kawecki. Irek ma na plecach wytatuowaną kobietę w rozkroku i z obnażonymi piersiami. Przytula dzikiego kota, prawdopodobnie miał być to lew, ale przypomina raczej niedźwiedzia. Całość otaczają kwiaty.

Na podbrzuszu dwa ptaki skierowane dziobami w kierunku genitaliów, a pomiędzy nimi faliste kształty, z których wyłania się zarys kobiety. Ma niebieskie oczy i czerwone usta.

Penis też jest wytatuowany. Tu odnóża, tam czułki.

W opinii biegłego brakuje jednak kategoriycznych sformułowań, czy tatuaże mogą mieć charakter trofeów. Podkreśla jedynie, że to

klasyczne więzienne wzory.

*

Po przeniesieniu z więzienia w Kłodzku do aresztu śledczego we Wrocławiu Irek spędza miesiąc na obserwacji psychiatryczno-seksuologicznej. Wcześniej badało go już dwóch psychiatrów, ale uznali, że jedno spotkanie nie wystarczy.

Irek przed biegłymi nie traci pewności siebie. Rozmawia z nimi chętnie, nie widzą w nim lęku. Pytają go o życie seksualne. Do żadnych gwałtów się nie poczuwa, wszystkie kobiety, za które go skazali, to były jego konkubiny, normalnie seks z nimi uprawiał. A Małgosi nie zna. Nigdy nikomu niczego do alkoholu nie dolewał, sam też zresztą nie pił tak dużo, więcej może przez dwa miesiące po rozstaniu z żoną.

Bardzo chce ich przekonać, że jest niewinny.

Robią mu kolejne testy psychologiczne.

Stwierdzają, że nie jest chory psychicznie, upośledzony umysłowo, nie ma też uszkodzonego centralnego układu nerwowego.

„Wykluczaliśmy także inne zaburzenia czynności psychicznych mogące mieć wpływ na ocenę poczytalności podejrzanego, w tym atypowy bądź patologiczny charakter upicia”

Rozpoznali u Irka zaburzenie osobowości o typie psychopatycznym: egocentryzm, silne skoncentrowanie na zaspokajaniu swoich potrzeb, brak empatii, skłonność do instrumentalnego traktowania innych ludzi, płytkość uczuć, deficyt lęku, potrzebę stymulacji, impulsywność i słabą kontrolę zachowań oraz brak wyrzutów sumienia. Występują też u niego cechy sadystyczne: skłonność do poniżania i upokarzania ludzi czy czerpanie satysfakcji z ich cierpienia.

Piszą: „Ryzyko popełnienia czynów z użyciem przemocy jest bardzo wysokie”

Ale to nie ekspertyza pozwala wciąż trzymać Irka w areszcie.

Rozdział 7

DNA

Głównym dowodem są ślady DNA zabezpieczone na ubraniach Małgosi, znalezionych na miejscu zbrodni, które na prośbę jej rodziców przechowywano w magazynie Komendy Wojewódzkiej Policji.

Przed laty nie stwierdzono na nich śladów sprawców, ale technologia od tego czasu zdecydowanie poszła do przodu. Wtedy biegli mieli do dyspozycji tylko swoje oczy, teraz wykorzystywali specjalistyczne oświetlacze kryminalistyczne. Do tego od początku XX wieku za badania DNA odpowiadają maszyny, a wyniki są coraz dokładniejsze.

Biegły Krzysztof Koloch prowadził wiele archiwalnych spraw. Wiedział, że nie ma reguły, po jakim czasie materiał biologiczny ulegnie degradacji. Czasem ślady są bardzo stare, a i tak uzyskuje się czyste profile. Wpływa na to wiele zmiennych, np. sposób zabezpieczenia dowodów, miejsce ich przechowywania, temperatura, nasłonecznienie. Trzymanie dowodów w worku foliowym może mieć wpływ na wyniki, ale nie musi. A te z ubraniami Małgosi nie były hermetyczne. Dużo zależy też od ilości materiału dowodowego. Plama na rajstopach była sporych rozmiarów.

Koloch przebadiał łącznie sto trzydzieści dziewięć próbek – tak szeroko zakrojonych badań zwykle się nie robi. Najpierw musiał wyizolować materiał, ocenić, ile zawiera DNA, a później przeprowadził jego amplifikację, czyli namnażanie. Następnie poddał go elektroferazie. To technika, która umożliwia rozdzielenie cząstek DNA, dzięki czemu można uzyskać wybrany fragment genu. Ten z kolei poddawany jest analizie.

Koloch każdą próbkę sprawdzał w dwóch systemach. Wszystkie zużył do badań. Sporą część można było przyporządkować do Małgosi. Pozostałe należały najprawdopodobniej do trzech, a może nawet czterech osób. Dopiero mając materiał porównawczy, mógł to zweryfikować.

Większość śladów była mieszaniną kodów genetycznych. Biegły musiał więc postawiać hipotezy, do ilu osób należą. A to może wpływać na ostateczną siłę dowodów. Zdarza się, że jeden ślad maskuje inny, niektóre profile uzyskane z próbek są niepełne, więc i porównanie będzie miało mniejsze znaczenie.

Ale Koloch znajduje też czysty profil.

Najwięcej śladów jest na sukience, ale tak naprawdę odkrywał je wszędzie. Na rajstopach, bluzce, majtkach, biustonoszu, guzikach, sznurówkach, koronkowej chusteczce i czapce.

W niektórych Koloch stwierdził antygen prostaty i semenogelinę, które świadczą, że ślad pochodzi z męskiego nasienia. Na obecność ich śliny czy krwi podejrzani mogą znaleźć wytłumaczenie. Ze spermą jest trudniej.

Badania genetyczne nie są jednak jednoznacznym dowodem. Nie wskazują na sprawcę, tylko na to, czy ślad genetyczny może pochodzić od danej osoby, czy nie. Każdy z nas ma różny kod DNA, ale nie można wykluczyć, że dwie i więcej osób mogą mieć taki sam profil. Dlatego biegli opierają się na statystyce. Porównują

wyniki z bazą profili genetycznych, tworzonych dla konkretnych populacji. Koloch korzystał z europejskiej i kaukaskiej. Oblicza iloraz wiarygodności, który świadczy o sile dowodów – od słabej po ekstremalnie mocną.

Pierwsza analiza: Koloch porównuje ślady z miejsca zbrodni z kodem genetycznym Ireneusza M.

Stwierdza zbieżność z dwudziestoma siedmioma próbkami. Pięć określa jako bardzo mocny dowód. Są też mocne i dość mocne, kilka słabych. Pasują do śladów z sukienki, rajstop, majtek, biustonosza, sznurówek, ale też znalezionych na miejscu zbrodni koronkowej chusteczki i czarnej czapki.

– Mamy go – mówi Sobieski, a Remik oddycha z ulgą. Nie ma nic gorszego niż świadomość, że ktoś jest winny, tylko nie można tego udowodnić.

*

Do sprawdzenia mają jeszcze zęby, to one były kluczowym dowodem przeciwko Tomaszowi Komendzie. Potrzebują tego badania, żeby udowodnić jego niewinność. Ale także żeby porównać ślad z uzębieniem Irka. Przed laty na tej podstawie wykluczono go z grona podejrzanych. Nowoczesne metody pozwalają jednak na bardziej dokładne badania.

Ekspertów nie jest jednak wcale tak łatwo znaleźć. Za poprzednią opinię odpowiadali Jerzy Kawecki i Wiesław Semiczek z Wrocławia, którzy teraz musieli się długo z niej tłumaczyć.

Grupę wyspecjalizowaną w badaniu zębów znajduje asystentka Sobieskiego Małgorzata Marzec. To biegli z Zakładu Medycyny Sądowej Uniwersytetu Medycznego w Poznaniu. Czytała ich artykuły o analizie śladów uzębienia, tego właśnie potrzebują.

Prokurator przekazuje biegłym wszystkie zebrane przed laty dowody – fotografie ugryzień na ciele Małgosi, modele szczęki i zdjęcia uzębienia, a także protokoły z badań. Przywożą do nich jeszcze Irka, by pobrać od niego nowy odcisk zębów.

Zespół jest interdyscyplinarny. W jego skład wchodzi antropolog dr Dorota Muszyńska, specjalista medycyny sądowej lek. med. Paweł Świdorski, stomatolog dr Mariusz Glapiński i dr inż. Michał Rychlik z katedry inżynierii wirtualnej Politechniki Poznańskiej.

Oglądają dokładnie wszystkie dowody. Chcą wykorzystać modele z lat 90., bo zęby z biegiem czasu się zużywają, mogą się pojawić braki, zmiany po zabiegach. Znajdują gipsowy odlew opisany jako szczeka Ireneusza M. Jest cały pomazany. Okazuje się, że wcześniej było na nim nazwisko innego chłopaka. Potem je przekreślono i ktoś dopisał dane Irka. Ostatecznie przyklejono karteczkę z jego nazwiskiem. Dlaczego? Po co? Jak do tego doszło? Nikt nie wie.

Czy w takim razie wcześniej wcale nie analizowano zgryzu Irka tylko innego chłopaka?

Trzeba to sprawdzić.

Model, który przed laty przypisano Irkowi, eksperci porównują z tym, który sami wykonali teraz. Zęby najpierw trzeba wycisnąć w plastycznej masie, a potem robi się gipsowy odlew.

Doktor Michał Rychlik skanuje modele. Na początku wystarczy wersja 2D, chociaż później wykona też skan trójwymiarowy. Do analizy zdjęcia odlewu wykorzystuje program z miarkami, które pozwalają dokładnie określić odległości między zębami i ich wielkość.

Teraz Irek nie ma dwóch jedynek, brakuje mu też czterech innych zębów. Ale już sam łuk jest inny. I fałdy podniebienne. Rozmiar zębów też się nie zgadza.

Sprawdzają więc inny model, opisany jako Robert L.

To on należy do Irka.

Rychlik udowadnia to na wszystkie możliwe sposoby. Wykonuje model 3D. Nie tylko porównuje go z aktualnym odlewem, lecz także komputerowo nakłada na zrobione przed laty zdjęcie młodego Irka z otwartymi szeroko ustami. Pasuje idealnie.

Teraz musi porównać z nim ślady zostawione na ciele Małgosi. Mają analizę, w której Kawecki wszystkie opisał. Są też zdjęcia, niestety nie najlepszej jakości. Wtedy przykładano do śladu po prostu miarkę, ale wynik może być błędny – ugryzienia były widoczne na piersi. Trzeba by mierzyć łuki, a nie proste. Rychlik skaluje więc komputerowo fotografie i ustala faktyczne wymiary ran.

Zdjęcia z sekcji poparte obliczeniami pozwalają wykonać model 3D śladów ugryzień. Rychlik może na nie nakładać trójwymiarowy odcisk szczęki potencjalnych podejrzanych. Zęby Tomasza Komendy zupełnie nie pasują.

Co innego Irka.

Z badaniami śladów ugryzień jest jednak tak, że nie są one idealnym odbiciem zębów.

W opinii biegli tłumaczą: „Rodzaj śladu, jego wygląd i charakterystyka zależy w największym stopniu od ruchów żuchwy i języka osoby gryzącej. Lokalizacja ugryzienia, kąt, nachylenie powierzchni, jej cechy fizyczne, jak np. elastyczność, mają wpływ na to, czy w śladzie ugryzienia odwzorowały się wyraźnie”.

Jeszcze inaczej ślad będzie wyglądał, gdy ofiara była w ruchu. Zmienia się też z upływem czasu.

To wszystko biegli musieli wziąć pod uwagę, analizując, czy to Ireneusz M. mógł ugryźć Małgosię.

Ślady są trzy, dwa na piersi, jeden na ramieniu. Widzą, że sprawca gryzł kilka razy w tym samym miejscu, ofiara prawdopodobnie się broniła, technika kęśania była różna. Ślady zębów nakładają się na siebie, do tego zamazują je krwawe podbiegnięcia. To utrudnia precyzyjną identyfikację poszczególnych kształtów. Uznają jednak, że wszystkie ślady mogą pochodzić od tego samego sprawcy.

Modele szczęki i żuchwy Ireneusza M. pasują do wszystkich śladów. Zgadza się krzywizna obydwu łuków.

– Nie stwierdziliśmy za to żadnych elementów, które nie pasowałyby do oskarżonego – mówi dr Dorota Lorkiewicz-Muszyńska z Katedry i Zakładu Medycyny Sądowej UM w Poznaniu.

Biegli twierdzą, że prawdopodobieństwo, by taki sam układ zębów miał inny człowiek, jest znikome. Graniczy wręcz z niemożliwością.

Rozdział 8

OSOBA NIEWINNA

Sąd przedłużył Irkowi areszt o kolejne miesiące. On pisze na decyzji: „Jak można być skazanym bez wyroku i aktu oskarżenia. Sędziowska kasta nie zna granic”

W areszcie z Irkiem nie mają łatwo. Do strażników mówi na „ty”, a jak mu się coś nie podoba, to ich wyzywa.

Chce mieć w celi telewizor, potem odtwarzacz DVD. Kiedy go nie dostaje, pisze skargi. Skarży się zresztą na wszystko. Że dają za małe porcje ziemniaków, nie jest przestrzegana dieta lekkostrawna, ceny w kantynie są za wysokie, ściany odrapane, w celi nie ma sznurków na pranie, więc jego ubranie śmierdzi, wychowawcy zakłócają spoczynek nocny, zabierają mu rzeczy i ignorują jego problemy, a do tego zwracają się do niego w sposób wulgarny.

W nagłówku pisze: „Zażalenie osoby niewinnej”

W areszcie każdemu grozi tymi skargami. I faktycznie zaraz je pisze. Złości się, jak nie dostaje odpowiedzi. Ale kiedy zostaje wszczęte postępowanie przeciwko nieprawidłowościom, milczy.

– Nie ufam policji – mówi tylko. Zaraz pisze kolejną skargę, że zakaz widzeń z matką jest niehumanitarny. W końcu dostaje zgodę.

Romualda cieszy się, że wreszcie widzi syna. Przez ostatnie tygodnie czuje się osaczona.

– Media o nas piszą, wyciągają, że zła sytuacja rodzinna. Nawet dom w gazecie pokazali.

Irek jej przerywa. – Nie mów mi tego nawet, bo mnie to tylko wkurwia. Weź te gazety do adwokata, bo nic na mnie nie mają.

– Nie krzycz, ja na lekach uspokajających jestem. Już napisałam pismo do Ziobry przez radcę prawnego.

– Dobrze, bo ja nie jestem sprawcą i nic na mnie nie znajdą – mówi. – A na razie załatw mi tu płaski telewizor dziewiętnaście cali.

– Czternastocalowy mogę.

– Dziewiętnaście ma być – denerwuje się znowu Irek.

Na tym spotkaniu jeszcze kilka razy krzyczy na matkę.

*

Remik jest na każdym widzeniu. Kontroluje, czy Irek z matką nie przekazują sobie żadnych informacji o sprawie. Ma poczucie, że Irkowi wcale nie zależy na rozmowach z nią. Raczej wykorzystuje okazje, żeby to jemu przedstawić swoje racje.

Gdy zarzuca go kolejnymi teoriami, Remik tłumaczy, że nie po to tu przyjeżdża. Ale Irek się nie poddaje, dalej go zagaduje. „Żeby logicznie na to spojrzeć?” Pokaże rzekome dowody, nosi ze sobą ksera z akt. Remik czasem już się poddaje i słucha kolejny raz, że Irek tej nocy bawił się na dyskotecę, a nie za stodołę chodził. A kiedy opowiada, mówi coraz głośniej i głośniej, nie sposób mu przerwać.

– Jestem odporny psychicznie, z różnymi ludźmi miałem do czynienia, ale nigdy z takim wampirem energetycznym –

opowiada Remik.

W jednym z monologów Irek dowodził, że to w ogóle nie było zabójstwo.

– Małgosia mogła uprawiać seks w samochodzie. Uciekła z niego, buty zostawiła. Pogubiła się między budynkami. Była pijana, przewracała się. Tak powstały siniaki. I w końcu zamarzła – snuje swoją historię i pokazuje Remikowi stare materiały ze śledztwa. Palcem stuka w zdania, które mają udowodnić, że to był spisek kobiet, a w zmowie uczestniczyła mafia policyjno-prokuratorska.

– Osoba odpowiedzialna za Miłoszyce powinna ponieść konsekwencje, ale nie za zabójstwo – powtarza Irek.

Teorię, że zabójstwa nie było, konsultuje też ze studencką pomocą prawną z Uniwersytetu Wrocławskiego.

Pisze: „Zgon nastąpił na wskutek rozerwania tkanki miękiej pochwy i tkanki miękiej odbytu a zgon jak napisano nastąpił na skutek połączenie obrażeń z wychłodzeniem organizmu. Dlatego moim zdaniem musiało dojść do stosunku z tą kobietom co straciła cnotę na skutek tego mógł się pojawić krwotok. Ale przyczyną śmierci była przyczyna wychłodzenia organizmu. Czy w takiej sytuacji prokuratura może mi przedstawić zarzut zabójstwa czy jakiś inny zarzut?”

Do prokuratury też wypisuje. Żąda odpowiedzi, jak były przechowywane rzeczy Małgosi. I czy materiał „mógł zmienić swoją niezależność”

Żąda też, by sprawdzono, czy karbamazepina może być pochodną maku. Albo czarnuszki.

*

Swoją hardą postawą Irek zdobywa w więzieniu szacunek. Niektórzy wychowawcy na tyle obawiają się jego wybuchów

gniewu, że prowadzą z nim rozmowy w towarzystwie ochrony. Nawet w celi wydaje się niebezpieczny. Rzuca się na kraty i klnie.

Nad łóżkiem wieszają ubrania, żeby nie widzieli, co robi. Awanturuje się, kiedy każą mu je zdjąć.

– Wypad stąd. Nie macie prawa ruszać moich rzeczy – krzyczy do strażników w trakcie przeszukania.

– Uspokój się, bo złożymy wniosek o ukaranie – mówi jeden z nich.

– Mam wyjebane na wasze wnioski, nie będziecie mi nimi, kurwa, grozić – krzyczy Irek.

W jego rzeczach znajdują wymontowany głośnik z radiowęzła.

Grozi, że się zabije, więc zostaje przeniesiony na obserwację do izolatki.

Mimo to chodzi na grupowe spotkania zielonoświątkowców. Najpierw nie przyznaje się, za co siedzi. W końcu mówi: – Oskarżyli mnie o zabójstwo Małgosi.

Pastora przekonuje, że jest niewinny i potrzebuje pomocy.

– Nic na mnie nie znajdą.

Zanosi się śmiechem.

*

Z fundacji Dobra Nowina, która organizuje spotkania w areszcie, Irek dostaje ulotki: „Bóg nas ratuje nie z powodu naszego dobrego postępowania, ale dlatego, że nas kocha”

„Wiem, że Bóg mnie wspiera i pomaga” – pisze w odpowiedzi Irek. „Proszę abyście się też pomodlili aby prawda ujrzała światło dzienne. (...) Bóg pomaga mi w przetrwaniu i podpowiada, że będzie dobrze. Będę się domagał dowodów jak JOB 6.24-30”

Wskazania dajcie – zamilknę, i wyjaśnijcie, w czym błędzę. Ileż potęgi jest w słowach szczerych! A cóż pomoże wasze łajanie? Czyż chcecie ganić same słowa – i mowy rozpaczy przez wiatr porywane? Naprawdę, sierotę gubicie, kupczycie swym przyjacielem. A teraz popatrzcie na mnie: więc w żywe oczy kłamałbym? Zmieńcie się, zło niech zaniknie; zmieńcie się, o prawość mą chodzi. Czyż język mój jest występny? Czy podniebienie grzechu nie rozezna?

W biblijnym tonie pisze też do prokuratury: „Jezusa Chrystusa też skazano, a czy był winny? Był sądzony podobnie. Dlatego proszę o nienaciąganie faktów tylko prawdę. Jestem osobom, która niepopęlniła tej zbrodni. Macie zły trop. Spułčuje rodzicom bo sam jestem rodzicem i modle się o nich i wykrycie sprawców o ile tacy byli”

*

Przesłuchują go kilkakrotnie. Zgadza się mówić tylko w obecności obrońcy, z urzędu przydzielono mu radcę prawnego Marcina Kostkę.

– Większość dyskoteki przetańczyłem. Były zdjęcia i mnie tam było widać. Tańczyłem z wieloma dziewczynami, ale podrywać nikogo nie podrywałem, bo miałem żonę. Nawet za cycka nie złapałem, ani za dupę. Rano uprawiałem seks z żoną i z nikim więcej tego dnia seksu nie uprawiałem – mówi Irek.

Gdzie są te zdjęcia, nie wie. Ale widział je, pokazywali mu na komisariacie w Jelczu w trakcie przesłuchania. Przecież to ich praca, żeby je znaleźć.

Irek o bałaganie w tej sprawie ma wiele do powiedzenia.

– W aktach brakuje tego, tamtego – przekonuje. – I okazuje się, że nie przeszukano wtedy całego podwórka. A gwałt wcale nie

musiał być w tamtym miejscu, tylko gdzie indziej. Bo jak to możliwe, że tyle ludzi się kręciło i nikt nic nie widział. No i butów nie ma. Sprawca, by je zabrał, żeby sobie wachać czy co? Może założyć, bo nie miał butów? To się nie trzyma żadnej logiki.

Irek nie daje dojść do słowa prokuratorowi.

– Siedząc pod celą, mam miliony myśli, jak to mogło być. Może to zrobiły osoby spoza regionu. Przyjechali, zobaczyli, że jest dyskoteka i się zatrzymali. A druga opcja jest taka, że nikogo nie złapano, bo policja wzięła łapówkę. A wiadomo, jak to jest. Prokuratura wierzy policji, policja wierzy prokuratorze, sądy są w to zamieszane. Kolega na kolegę nic nie powie. To logika jest.

– Nigdy się do niczego nie przyznał, więc nie ma się co spodziewać, że teraz będzie inaczej – mówi Tomankiewicz.

Wielogodzinne przesłuchania dostarczają jednak kolejnych dowodów.

*

Biegła psycholożka Justyna Poznańska zauważa, że historia opowiedziana przez M. miała zaburzony bilans zdarzenia: – Prawdziwe zeznania składają się z trzech części. Pierwsza opisuje, co zdarzyło się wcześniej, druga dotyczy bezpośrednio kluczowej sytuacji, a trzecia przedstawia fakty, podjęte działania i emocje, które nastąpiły później.

W zeznaniach M. przeważa wstęp. Ma aż sto czterdzieści trzy zdania, druga część – dwadzieścia trzy, a zakończenie – jedenaście. – Taki podział wskazuje na możliwość posługiwania się kłamstwem – tłumaczy Poznańska.

Zwraca też uwagę, że Irek ma tendencję do uogólniania i depersonalizacji uczestników zdarzenia, co jest typową reakcją,

gdy przesłuchiwany zbliża się do tego, o czym wcale nie ma ochoty opowiadać.

– Podczas dyskoteki co jakiś czas ktoś kogoś wyprowadzał. Nie zwracałem na to uwagi – mówił, i tyle.

Prokurator zleca też Poznańskiej, by oceniła, czy Ireneusz M. pasuje do profilu sprawcy.

Zgadza się wszystko. Wiek, wykształcenie, miejsce zamieszkania, sytuacja rodzinna, skłonność do przemocy i obecność sytuacji wyzwalającej przestępstwo – w tym wypadku kłótnia z żoną.

Także *modus operandi* zbrodni pokrywa się z wcześniejszymi gwałtami, których dokonał M.

„Można z dużym prawdopodobieństwem przyjąć, że odpowiada on sylwetce psychologicznej sprawcy zabójstwa i zgwałcenia Małgorzaty K.” – pisze w opinii biegła. I przywołuje badania, że przestępcy seksualni dokonują podobnych czynów tak długo, jak długo mają sposobność.

*

– Przecież on miał wtedy żonę w domu. Po co by chodził za jakąś stodołę? – złości się Romualda, matka Irka.

Zgodziła się na rozmowę, bo „ma już dosyć kłamstw, które wypisują media”. Umawia się ze mną w kawiarni niedaleko wrocławskiego dworca. Drobną blondynką przed siedemdziesiątką, w intensywnie niebieskim swetrze i z kolorowym szalikiem w kwiaty, od razu rzuca się w oczy. Na powiekach namalowała niebieskie kreski, paznokcie są intensywnie czerwone. Bransoletka, naszyjnik, kolczyki.

Wiem, że nie było między nimi łatwo. Jakiś czas Irek spędził w pogotowiu opiekuńczym, szkoła zgłosiła, że są z bratem zaniedbani. Jak wrócili do domu, to zajmowała się nimi głównie

babcia, a kiedy Irek dorósł, zaczęła się huśtawka. Wyprowadzał się, wprowadzał. Była zadowolona, że złapał pracę za granicą. Kiedy mieszkali razem, zaraz się kłócili. Zwykle po alkoholu. W końcu oskarżyła go o znęcanie. Darł się wtedy strasznie. Wkurzony był tak, że szybko wybił. W tamtą sylwestrową noc też zresztą uderzył ręką w gąblotę i się zranił. Śledczy tak tłumaczą ślady krwi na chusteczce znalezionej na miejscu zbrodni.

Romualda w te dowody nie wierzy. Chce wspierać syna. Będzie chodzić na wszystkie rozprawy, siadać w pierwszym rzędzie, z notatnikiem w ręce. Za każdym razem z butelką wody dla Irka, chociaż on jej nigdy nie pije. Będzie musiała znosić wyzwiska rodziców Małgosi, okrzyki, że ma się wynosić. Stara się nawet na nich nie patrzeć. Na: „Jak syna wychowałaś”, nic nie odpowie.

Rozumie, że mogą być rozgoryczeni. Żal jej tej dziewczyny, taka młoda była.

– Ale to nie Irek ją zabił – przekonuje.

Denerwuje ją, że robią z niego gwałciela. Ona przecież tam była, знаła te kobiety, które go oskarżały. Według niej to mogła być zemsta za to, że Irek je zostawiał. Pokorzystały z jego pieniędzy, wódkę od niego brały, a jak się skończyło, to zrobiły aferę. Pewnie zmówiły się przeciwko niemu.

Pokazuje mi zdjęcie Irka ze ślubu cywilnego z Katarzyną. I jeszcze jedno, po śmierci babci. Stoją całą rodziną wokół otwartej trumny. To jedyne fotografie, jakie jej zostały. Resztę zabrała policja. Romualda dalej jest zła, że taki bałagan jej wtedy zrobili. Skarży mi się, że cały dzień potem sprzątała.

– Wszystko z szuflad powywalali. Naprawdę myśleli, że znajdą u mnie po dwudziestu latach biżuterię jakiejś dziewczyny? Albo buty? I jeszcze rower zabrali, bo ślady. Absurd. Przecież policja robiła u nas wtedy przeszukanie i nic nie było, a teraz mieli znaleźć.

Błędów w tym śledztwie widzi więcej. DNA dwadzieścia lat temu nie pasowało, a teraz już tak. Albo prokuratura wytyka Irkowi, że był na tym podwórku, gdzie potem znaleziono ciało Małgosi. A on przecież po prostu zostawił tam rower. Od początku o tym mówił, niczego nie ukrywał.

– Nie twierdzę, że jest aniołem, bo nie jest. Ale on raczej w buzi mocny. Jak wypije, to pokrzyczy, poprzeklina, ale żeby coś zrobić – to nie.

Romualda swoje wie. To musiał być syn kogoś bogatego, ona nie miałaby przecież pieniędzy, żeby Irka wykupić.

Śledczy sprawdzają wątek, czy świadczyła usługi seksualne na dworcu we Wrocławiu w latach 90. Mówił o tym sam Irek, plotkowali też mieszkańcy. Jeśli tak było, musiała mieć ochronę. Nic im się jednak nie udaje ustalić. Mają tylko zdjęcie Romualdy z 1990 roku. Blond kręcone włosy, duże niebieskie oczy, pełne usta, na szyi biały koronkowy szalik, trochę w typie gwiazdy Hollywood.

Kiedy mówię, że ją też podejrzewają o kontakty ze służbami w tamtych czasach, Romualda zaraz się denerwuje.

– Ja miałabym być prostytutką?

Rozdział 9

WIZJA LOKALNA

Śledczy nie rozumieją, dlaczego już wcześniej nie powiązano Irka z zabójstwem Małgosi. Od początku policja wiedziała, że był tamtej nocy kilkakrotnie na podwórku, gdzie doszło do zbrodni. Mieszkający tam członkowie rodziny R. widzieli, jak wychodził po wódkę. Przesłuchano go 4 stycznia, ale oprócz Szymeckiej nikt nie zwrócił uwagi, że mówił o takich samych skarpetkach, jakie miała Małgosia, choć nie mógł ich widzieć. Przeszukanie zrobiono pobieżnie. Przeprowadzono niby badania, ale pomyłono modele szczęki. Zostają wyniki DNA, które miały go wykluczyć z grona podejrzanych. Tylko że w tej dziedzinie kryminalistyka zrobiła ogromny postęp.

Już po śmierci Małgosi Irek raz po raz stawał przed wymiarem sprawiedliwości. Skazywano go za kolejne gwałty, ale chociaż działał w okolicach Miłoszyc od lat, nikt nie powiązał go z Małgosią.

Zamiast tego zatrzymano Tomasza Komendę, który nigdy nie był w Miłoszycach, a kilkanaście osób potwierdzało, że sylwestra

spędził w domu. Badania DNA były słabiutkie. Szczęki, jak się teraz okazało, pomyłone. Zapach źle zabezpieczony.

Remik i Sobieski z ekipą muszą naprawić błędy sprzed lat.

– Jak Tomek wyjdzie, to będziesz więcej w domu? – pyta Sobieskiego córka. Nie wie, co jej odpowiedzieć. Całymi dniami siedzi w prokuraturze, przesłuchuje świadków, wertykuje akta. Spotykają się także w weekendy.

Dzieci Remika bawią się w pokoju obok, nie miał ich z kim zostawić. Żona złości się trochę, że ciągle go nie ma w domu. Zna go jednak, wie, że jak się uprze, to nie odpuści.

Gdy w połowie marca 2018 roku kończą pisać uzasadnienie, siadają w gabinecie naczelnika. Jest późny wieczór, cały dzień pracowali, zamawiają pizzę.

– Myślicie, że jakby ta sprawa trafiła na kogoś innego, to cokolwiek by zrobiono? – pyta Remik.

Sobieski się zamyśla. – Dobrze, że trafiła na nas.

*

Krzyż jest metalowy, wysoki na metr. U góry ozdobiony plastikowymi wyblakłymi kwiatami. Z podstawką na znicz, który co jakiś czas ktoś wymienia. Czasem zarasta trawą tak, że ledwo go widać. Na początku stał kawałek dalej, na podwórku koło stodoły, gdzie zginęła Małgosia. Ale właściciele posesji go u siebie nie chcieli, więc wylądował na poboczu obok tylnego wejścia na ich działkę.

Chodzą tędy zwykle jedynie mieszkańcy okolicznych domów, nie ma innych powodów, żeby tu zachodzić. Równoległa ulica jest bardziej uczęszczana. Są przy niej przystanek, kościół, sklep. I budynek świetlicy, w którym jednak od tamtego sylwestra niewiele się dzieje. Mieszkańcy czasem organizują imprezy, ale

nawet najlepsze dekoracje nie są w stanie ukryć odrapanych ścian. W podłodze są dziury, toalety zaniedbane. Władze gminy wyremontują budynek dopiero w 2023 roku, otwarcie zorganizują z pompą. Lokalni politycy przetną wstęgę, a wszystko poświęci ksiądz. Dla mieszkańców świetlica ma być otwarta codziennie, przede wszystkim zapewni zajęcia dla najmłodszych. Miłoszyce to największa wieś w całej gminie, a ciągle się rozrasta. Ceny nieruchomości są bardzo konkurencyjne w porównaniu z wrocławskimi, a to ledwie dwadzieścia pięć kilometrów. Choć w godzinach szczytu trzeba swoje odstać.

Po raz pierwszy przyjeżdżam do Miłoszyc w kwietniu 2018 roku. Chcę porozmawiać z mieszkańcami, razem ze mną jest fotoreporter Krzysiek Ćwik. Parkujemy między sklepem a świetlicą. Na podwórku, na którym doszło do zbrodni, widzimy kręcących się ludzi. Jest może dziesięć osób, chodzą całą grupą z jednego miejsca w drugie, coś pokazują, oglądają. Podchodzimy bliżej, zaraz się wszyscy obracają w naszą stronę. Wyglądają na zirytowanych.

– Kto pani powiedział, że tu jesteśmy? – pyta prokurator Sobieski. Właśnie zaczęli wizję lokalną.

Nie wierzy, że to przypadek. Później jeszcze kilka razy mnie o to zapyta. I mimo zapewnień chyba nigdy nie uwierzy, że nikt mi nie dał znać.

Przeganiają mnie i fotoreportera. Ale na publicznej drodze mamy prawo stać. Patrzymy, jak krążą po podwórku R., gdzie doszło do zabójstwa. Józef i Danuta pokazują im, co się zmieniło. Remik wszystko nagrywa, robią też zdjęcia. Mierzą odległość od stodoły, z której została już tylko niewielka część, do furtki. A potem dalej, aż do dyskoteki.

Nie ma już graffiti z napisem Alcatraz, zniknęło niedługo po śmierci Małgosi, ściany są pomalowane na biało. Zaglądam przez

okno do środka. Przestrzeń wydaje się mniejsza, niż wynikałoby to z opisu uczestników imprezy sylwestrowej. Wnętrze jest puste, wokół stoją krzesła.

– Niech pani stąd idzie – przegania mnie znowu prokurator Sobieski.

Remik jest bardziej przyjazny. Obiecuje, że ze mną porozmawia, jeśli zgodę wyrazi rzecznik policji.

– Teraz nie mogę – przeprasza i wraca do robienia zdjęć. Później będę je oglądała w aktach.

Odwiedzam sąsiednie domy i pytam o tamtego sylwestra. Tu mi tylko przez próg kilka zdań rzuca, tam na kawę zaproszą. Niczego nowego się jednak nie dowiaduję.

– Mamy już dosyć, że nas ciągle wiążą z tą zbrodnią. Że niby trwa jakaś zmowa milczenia w Miłoszycach. Nikt nic nie mówi, bo nikt nic nie wie. Proste – tłumaczy mi sąsiadka R. – A teraz mamy od nowa zamieszanie.

*

Szybki wyrok uniewinniający Tomasza Komendę z maja 2018 roku prokuratorzy i Remik przyjmują z ulgą. Napracowali się nad tą sprawą. Jeszcze raz przesłuchali wszystkich, którzy spędzali z Tomkiem tamtego sylwestra, nie rozumiejąc, dlaczego przed laty nikt im nie uwierzył. A jeżeli prokurator naprawdę uważał, że kłamali, powinien ich oskarżyć o składanie fałszywych zeznań. Jednak nic takiego nie zrobił.

Żal im było tej rodziny. Wbrew temu, co przeczytali w aktach, nie było tam żadnej patologii. Oni widzieli tylko ogromną miłość i wzajemne wsparcie.

Kluczowe jednak były nie zeznania, ale badania biologiczne. To dzięki nowym ekspertyzom udało się uwolnić Tomka.

Do ostatniej chwili przed rozprawą w Sądzie Najwyższym Sobieski i Tomankiewicz ćwiczili swoje mowy. Chcieli, by Tomek od razu usłyszał, że jest niewinny i nie musiał już wracać do sądu. Uważali, że należy mu się normalne życie. Im też udzielają się emocje. W trakcie odczytywania wyroku byli spięci. Pierwszy raz w ich zawodowej karierze cieszą się, gdy słyszą decyzję: „Niewinny”

Nie mają jednak nawet kiedy świętować. Tyle co w aucie, w drodze powrotnej z Sądu Najwyższego. Remik wyciągnął whisky i wzniosł toast.

Następnego dnia muszą być od rana w robocie.

Przesłuchania mają rozpisane na prawie każdy dzień. Od chłopaków, którzy tamtej nocy bawili się na dyskotecę, pobierane są próbki do badań. Interesują ich także ci, którzy byli w odpowiednim wieku i mieszkali w okolicy.

Na wyniki muszą czekać miesiącami. Koloch jest dokładny, ale powolny.

Brak zbieżności, brak zbieżności, brak zbieżności – Sobieski przewraca kolejne strony jego opinii.

Ale we wrześniu 2018 roku do prokuratora dzwoni podekscytowany ekspert. – Mam zgodność.

Rozdział 10

NORBERT

Właśnie kończy nockę w straży pożarnej, ale dla niego to jeszcze nie fajrant. Dorabia w przewozach lokalnych Beskid jako kierowca. Zwykle nie bierze zmian tuż po dyżurach, ale kolega potrzebował zastępstwa. Autobus stoi na parkingu straży. Nikt mu z tym nie robi problemów. Jak nie ma żadnych wezwań, może nadgonić drobne naprawy albo posprzątać. To też należy do jego obowiązków.

Wsiada na miejsce kierowcy, jedzie na pierwszy przystanek w Jelczu-Laskowicach. Ma z niego zabrać pasażerów do Wrocławia. Na dworze jest jeszcze ciemno. Z pobocza ktoś mruga latarką. To policja daje mu znak, żeby zjechał na bok.

– Badamy trzeźwość – mówi jeden z funkcjonariuszy. – Proszę wysiąść.

Norberta trochę dziwi, po co ma wychodzić do dmuchania w alkomat. Może chcą jeszcze sprawdzić opony?

Za autobusem czekają na niego kolejni funkcjonariusze.

– Jesteś zatrzymany – mówi Remigiusz Korejwo.

Skuwają go w kajdanki i wiozą do prokuratury we Wrocławiu.

*

– Proszę jak najszybciej wrócić do domu – słyszy Kamila w słuchawce. Ledwo przyszła do pracy, jak zadzwonił do niej policjant. Pierwsza myśl: „Norbert miał wypadek”

– Coś się stało mojemu mężowi? – pyta, ale policjant mówi tylko, że będą na nią czekali.

Dobrze, że córka jej podopiecznej jest w domu i może od razu wyjść.

Po drodze modli się, żeby Norbertowi nic się nie stało.

Policjanci stoją przed domem.

– Zatrzymaliśmy pani męża – mówi jeden z nich i wręcza jej nakaz przeszukania.

Otwiera przed nimi drzwi, dopytując, o co Norbert jest oskarżony. Nie rozumie, co znaczą te cyferki, które raz po raz jej powtarzają. Chce sprawdzić w internecie, ale już nie musi. Z telewizora dobiega ją głos ministra sprawiedliwości Zbigniewa Ziobry.

– Wymiar sprawiedliwości przed laty popełnił ogromny błąd, skazując Tomasza Komendę, a teraz naprawia swoje błędy. Dzisiaj możemy mówić o sukcesie. Dzięki zaangażowaniu prokuratorów, szczególnie Roberta Tomankiewicza i Dariusza Sobieskiego, a także policjantów pracujących przy tej sprawie, udało się zatrzymać drugiego podejrzanego o zabójstwo Małgosi w Miłoszycach. To była benedyktyńska praca.

Kamila próbuje się dodzwonić do męża.

Nie odpowiada.

*

– Proszę wyłączyć telefon – mówi Sobieski.

– To żona – tłumaczy Norbert i z nerwów myli guziki. – Zaraz się wyłączy.

Prokurator właśnie odczytał mu zarzut brutalnego gwałtu i zabójstwa Małgosi.

– Nie brałem udziału w tym okrucieństwie – powtarza. – Nie wiem, co jeszcze chce pan ode mnie usłyszeć.

Prokurator pyta, co robił tamtej nocy i czy widział Małgosię. Norbert, urodzony 4 lipca 1978 roku, miał wtedy 18 lat.

– Pracowałem jako ochroniarz, pomagałem na całym obiekcie. Czy ją widziałem? Na pewno tak. Bo nawet dając pieczątki, musiałem się z nią spotkać, popatrzeć na nią. Ale jej nie znałem. Ojca tak, ale ona była wtedy młodą dziewczyną. Mogło tak być, że z nią rozmawiałem. Ale nie pamiętam tego. Jestem w szoku, jak przeczytałem te zarzuty. Jeszcze przedwczoraj oglądałem *Superwizjer* i pokazywali panów prokuratorów. Rozmawialiśmy z żoną, że to jeszcze nie koniec. A dzisiaj panów widzę. Kompletny szok. Nie wiem, czy dobrze rozumiem, że my tutaj rozmawiamy, żeby wykryć sprawców? Czy, czy... – Norbert zaczyna się jąkać. – Czy ja jestem oskarżony, że ją zgwałciłem? Kiedy ja naprawdę nigdy takiej rzeczy nie zrobiłem.

– To skąd w takim razie mogło się znaleźć pana DNA na jej ubraniach? – pyta Sobieski.

– Nie wiem, naprawdę nie wiem – Norbert chwilę się zastanawia.
– Znając mój charakter w tamtym czasie, to mogła być jakaś bijatyka, mogłem się skaleczyć, zostawić swoją krew na kimś, a w czasie tej zadymy to się rozrzuciło po sali. Albo mogła dać kurtkę do szatni, ja je przyjmowałem. To mógł się tam znaleźć mój włos albo kichnięcie poszło. Ale żadnych innych śladów nie może być.

– To skąd pana sperma?

– Nie wiem, to jest bez sensu. Ja rozumiem, że pan prokurator ma swoje zasady pracy i regulamin, ale jeżeli jest pan, a na pewno pan jest, osobą odpowiedzialną, to proszę popatrzeć moim wzrokiem. A ja siebie w tej historii nie widzę – mówi Norbert.

Jedyne wytłumaczenie, jakie znajduje, to, że ktoś z policji się na niego uwziął. Przypomina prokuratorowi, jakie miał przed laty nieprzyjemności w tej sprawie. Grozili mu, na przystanku zaczepili. Teraz jednak już nie potrafi sobie przypomnieć szczegółów, jak to z tymi groźbami było.

– A był pan kiedykolwiek na tym podwórku? – pyta Sobieski.

– Nigdy w życiu. Ale zawsze, jak jadę przez Miłoszyce, to mi się ta sprawa przypomina. Czuję do siebie żal. Pan Krzysztof mi powiedział: „Norbert, ty byłeś ochroniarzem, ale nie upilnowałeś”. Ja go rozumiem. Też pewnie cierpiał i szukał wszędzie winnych. Ale trzeba zrozumieć, że ja nie byłem prawdziwym ochroniarzem.

– To czemu czuje pan taki żal?

– Mnie się wydaje, że to mój charakter i osobowość. Wykonuję zawód strażaka. Wynosiłem ludzi z płonących budynków, wyciągałem z wypadków, reanimowałem, uratowałem niejedną osobę. Więc to gdzieś w człowieku siedzi. A tu zostało popełnione morderstwo z okrucieństwem. To boli od środka. Nieraz leżałem w łóżku i o tym myślałem. Z żoną też rozmawialiśmy. Że szkoda nam tej Małgosi, całej rodziny szkoda. Żałuję, że coś takiego się mogło wydarzyć. Ale przysięgam na Boga, że ja tego nie zrobiłem. Człowiek by muchy nawet nie skrzywdził.

Fakt, kiedyś byłem rozrabiaką, zabijaką, ale powiedzmy sobie szczerze: mam piętnaście lat służby i ogromne doświadczenie. Jakbym był taki zły, tobym nie pracował w miejscu, gdzie się niesie pomoc ludziom. Ja jestem w stanie swoje życie poświęcić, żeby drugą osobę uratować. Niejednokrotnie to udowodniłem. Tu nie

chodzi, żeby pan prokurator oceniał kogoś po prośbie, tylko po czynnościach.

Sobieski słucha, ale dla niego kluczowe są fakty: biegły stwierdził zgodność DNA podejrzanego z tym, które pochodzi z pięciu próbek. Jeden z porównywanych profili był czysty, nie zawierał mieszanin innych DNA. Pochodził ze spermy znalezionej na rajstopach Małgosi.

Ekstremalnie mocny – opisał biegły ten dowód.

*

Po zakończonym przesłuchaniu Norbert siedzi na korytarzu. Czeka na transport do aresztu. Podchodzi do niego Remik. – Mów prawdę – radzi mu policjant.

Poznali się w lipcu, kiedy Norbert pierwszy raz był przesłuchiwany w ich śledztwie. Kilka razy przekładali wtedy spotkanie, bo albo Remikowi nie pasował termin, albo Norbertowi.

Zaraz przeszli na „ty”. W końcu obydwaj pracują w mundurówce. Szybko poszło. Norbert potwierdził zeznania sprzed lat o tym, co robił na dyskotecce. Przesłuchiowano go wtedy trzykrotnie, chociaż po raz pierwszy dopiero kilka miesięcy po śmierci Małgosi. Jej rodzice twierdzili, że Norbert wie, kto mógł skrzywdzić ich córkę, był w końcu ochroniarzem. Przed prokuraturą nigdy jednak nie powtórzył tego, co opowiadał im i Jolancie Krysowatej. Chociaż dziennikarka Radia Wrocław nagrała, jak podaje nazwiska rzekomych sprawców.

– Pani Krysowata manipulowała tymi rozmowami. Sugerowała mi odpowiedzi i nagrywała tak, jak chciała. Jak to później odsłuchałem, to wiele rzeczy było jakby wyrwanych z kontekstu – mówił Norbert Remikowi.

Więcej nie miał nic do powiedzenia.

– To było dawno, wtedy lepiej pamiętałem – tłumaczył.

Zgodził się na pobranie DNA, bo – jak powiedział – nie miał nic do ukrycia.

Teraz pyta Remika: – Możesz sprawdzić, czy wszystko w porządku u mojej żony?

Policjant obiecuje, że skontaktuje się z Kamilą. – A ty zastanów się, czy nie masz nic więcej do powiedzenia prokuratorowi. To pierwsze przesłuchanie jest bardzo ważne – mówi.

Norbert wpatruje się w ścianę. Po chwili prosi: – Czy mógłbym jeszcze raz zeznawać.

Ma nadzieję, że dzięki temu wróci do domu.

*

– Chciałbym dodać, że jak chodziliśmy do magazynu, to piliśmy alkohol. Nie tak, jak powiedziałem wcześniej, że tylko jedno piwo i szampana. Było tego więcej. Upiłem się. Leżałem na szafce przykryty kurtkami i spałem dwie godziny, żeby dojść do siebie. Nie zrobiłem żadnego morderstwa, ale mogła się do mnie kleić jakaś dziewczyna. Ochroniarze mieli powodzenie. Człowiek chodził, cwaniakował, był podryw na kurtkę „Alcatraz”. Czuł się wielki, że stoi na bramce. Jedno, drugie słowo, bajerka. Dziewczyny się tuliły, siadały na kolana i człowiek się całował. Nie pamiętam, czy wtedy tak było...

– Jeżeli pan nie pamięta, to skąd takie wyjaśnienie – przerywa Norbertowi Sobieski.

– Bo często było tak, że jakieś panienki przychodziły i jak się tak kleiły, to człowiek je przyjmował. I jest takie prawdopodobieństwo, że to mogła być Małgosia, chociaż ja nie wiedziałem, że to ona. Nie powiem, że uprawiałem z nią seks, ale mogło być tak, że z powodu ocierania, tarcia doszedłem i się na nią spuściłem. Albo gdzieś tam

człowiek ręką dotknął i coś przeniósł. Szukam po prostu wytłumaczenia, jak moja sperma znalazła się na jej rajstopach. A chyba bym pamiętał, jakbym, przepraszam za słowo, bzykał się z kimś w magazynku. Dlatego pomyślałem, że to mogło być w ferworze, jak u młodego.

– Proszę powiedzieć, co pan wie na pewno – mówi mu Sobieski.

– Na pewno spałem pod kurtkami w szatni przez dwie godziny. Pamiętam też, że jak piliśmy w magazynie, to były tam jakieś dziewczyny. I jest możliwe, że się wtedy całowałem. Ale na pewno nie wiedziałem, że to jest Małgosia.

*

Kamila obdzwania adwokatów. Ani z Jelcza, ani z Oławy nie chcą się zgodzić. Wymigują się powiązaniem, które nie pozwoliłyby im na obiektywizm. Albo tłumaczą, że nie mają czasu. Nie mówią tego głośno, ale nie chcą bronić oskarżonego o śmierć Małgosi. Za dużo złych emocji, a oni przecież żyją w tej społeczności.

Renata Kopczyk, adwokatka z Wrocławia, jest piątą osobą, do której dzwoni Kamila. Znajoma ją poleciła.

Renata odpowiada od razu: – Wezmę sprawę pani męża.

– Jesteś pewna? – pyta ją współpracowniczka, gdy kończy rozmowę.

– Tak – Renata nie rozumie, dlaczego miałaby odmówić obrony temu człowiekowi. Zwłaszcza że już tylu adwokatów się nie zgodziło.

Dopiero później się orientuje, że słyszała już o tej sprawie. Jeszcze nigdy nie pracowała przy takim głośnym procesie. I jeszcze nigdy nie broniła oskarżonego o morderstwo. Adwokatką została w 2012 roku.

Dopiero później do Renaty naprawdę dotrze, jakie ta sprawa wzbudza emocje. Dostaje wiadomości z wyzwiskami, że broni

gwałciela. Będą jej ubliżać rodzice Małgosi, nawet złożą na nią skargę do Izby Adwokackiej. Ale przecież każdy ma prawo do adwokata. Mówi, że jej zadaniem jest bronić człowieka, nie czynu.

*

Po raz pierwszy spotyka się z Norbertem przed posiedzeniem sądu w sprawie tymczasowego aresztowania. Mają pięć minut, może sześć.

– Czy pani jest z urzędu? – pyta Norbert.

Renatę to pytanie zbija z tropu. – To nie ma znaczenia – mówi. Zdaje sobie sprawę, że w społeczeństwie pokutuje przekonanie, że adwokat z urzędu jest zły, a z wyboru dobry. Ale ona się z tym nie zgadza. Mówi jednak Norbertowi, że zatrudniła go jego żona. I szybko przedstawia mu jego prawa. Do niego jednak jakby nic nie dociera. „Ten człowiek jest w szoku” – myśli Renata.

– Panie Norbercie, może pan zawsze odmówić odpowiedzi na pytanie – powtarza mu, żeby cokolwiek zapamiętał z jej gadaniny.

Przed sądem mówi: – Nie ma żadnego dowodu, że tamtej nocy mój klient był na podwórku.

Opinię DNA nazywa nierzetelną. I podkreśla, że nie ma zagrożenia matactwem. Sąd jednak decyduje – aresztować.

Po posiedzeniu Norbert pierwszy raz od zatrzymania widzi się z Kamilą. Mają tylko kilka minut, zanim przewiozą go z powrotem do aresztu na Kleczkowskiej we Wrocławiu.

– Ja tego nie zrobiłem – płacze.

– Wiem, nie musisz nawet mówić.

Mocno się przytulają.

Muszą wyjść na korytarz, na którym kłębią się fotoreporterzy, operatorzy i dziennikarze. Remik daje Norbertowi kominiarkę w kolorze khaki. Zakłada taką samą. Policjant eskortuje całą rodzinę, odgradzając ją od fotoreporterów, operatorów i dziennikarzy. Norbert jest mu wdzięczny, że nie musi pokazywać twarzy. Mimo że w kominiarce, idzie z pochyloną głową, chowając się za plecami policjanta.

Kamila wraca do domu. Dla dzieci stara się być silna. Pocięsza je, że to jakaś okropna pomyłka i jeszcze wszystko będzie normalnie.

Pomagają jej telefony od znajomych, rodziny i kolegów z pracy Norberta. Czuje, że nie jest w tym sama.

- To niemożliwe, żeby Norbi coś takiego zrobił.
- Wiemy, że jest niewinny.
- Jak z Komendą. Znowu znaleźli kozła ofiarnego.
- Zaraz się okaże, że to pomyłka i go wypuszczą.
- Dzwon, jak tylko będziesz czegoś potrzebowała.
- Modlimy się za niego.

Rozdział 11

RENATA

Dwie postacie mają uniesione do góry ręce i na wylot wydarte serca. Pomalowano je w biało-niebieskie pasy, jakie nosili więźniowie. W Ratowicach działał obóz wychowawczy. Budowali m.in. linię kolejową i zakłady Kruppa. Do pracy wychodzili o świcie, bez śniadania, na cały dzień przysługiwało im sto gramów chleba. Warunki były podłe, w nieistniejących już pięciu barakach mieszkało jednocześnie nawet dwa tysiące osób. Niepokornych wsadzano do karceru ze ścianami ociekającymi wodą. Stamtąd już mało kto wychodził. W latach 50. na terenie obozu odkryto zbiorową mogiłę, w której zakopano dwieście pięćdziesiąt pięć osób. To w jej miejscu powstał pomnik.

W wiosce jest jeszcze tablica, która przypomina o obozie. I kilka innych, które mają przybliżyć historię Ratowic. Że przed wojną działało tam duże przedsiębiorstwo wikliniarskie i dwa młyny, a sto dwadzieścia rodzin posiadało własne statki. Wioska barkarzy – tak się o nich mówiło.

Teraz to głównie sypialnia, choć jeszcze kilku rolników się ostało.

Odwiedzam Ratowice niedługo po zatrzymaniu Norberta. Kiedy się jedzie z Wrocławia, to zaraz przed Miłoszycami i Jelczem. Z jednej strony wioskę otacza Odra, z drugiej – droga wojewódzka. Kilka uliczek z zadbanymi domami, kościół, dom kultury i sklep w centralnym punkcie. Niewielki budynek z kratą w oknach i asortymentem od chemii po bułkę.

– Dziennikarze przyjeżdżają i pytają. A my na początku nie wierzyliśmy, że ten, o którym mówią w telewizji, to nasz sąsiad – mówi sklepowa. – No bo on grzeczny taki, „dzień dobry” zawsze powie. I pomocny.

Zaczepiam klientów. Wszyscy opowiadają tę samą historię, widać, że już wcześniej o tym rozmawiali. – Kiedyś starszą panią podwiózł z zakupami, a nawet go nie prosiła.

I jeszcze, że rodzinę ma fajną, dom ładny, widać, jak o ogród razem z żoną dbają.

– Ktoś taki miałby być mordercą?

Żal im żony i dzieci Norberta. Ale Małgosi też szkoda.

– Głośno było u nas o tym zabójstwie, bo Miłoszyce są niedaleko. A Norbert ma córkę w tym samym wieku, w jakim była Małgosia. Niech sobie pomyśli, jakby się czuł, gdyby ją to spotkało – mówi robiąca zakupy starsza kobieta.

Jadę jeszcze na osiedle w Jelczu, gdzie Norbert się wychował. Mieszkanie stoi puste. Rodzice się rozwiedli, kiedy był już dorosły, obydwójce pracują w Niemczech.

Sąsiedzi pamiętają Norberta.

– Kiedy powódź w 1997 roku do nas szła, to pierwszy był na wałach do układania worków. A teraz jest strażakiem, czyli też ludziom pomaga – mówi kobieta, którą spotykam przed blokiem.

Wtrąca się jej znajoma: – Ja tak sobie myślę, chociaż nie mówię, że tak na pewno było w przypadku pana Norberta, ale jak człowiek

coś nabroi, to od razu dużo dobrych rzeczy stara się zrobić. Żeby nikt go o te złe nie posądził.

Kolejne osoby nie chcą rozmawiać. Zatrzymuje się tylko sprzątająca osiedle kobieta. Zna rodziców Małgosi i Basiurów też.

– Tragedia tragedię pogania. Tak jakbyśmy na nowo przeżywali tę żałobę. Kiedyś myśleliśmy, że Małgosię zamordował ktoś obcy, jakbyśmy nie chcieli się pogodzić, że to znajomi jej taką krzywdę zrobili. Ale teraz się mówi, że ten trzeci, co go szukają, też się pewnie stąd okaże.

*

Dla Renaty Kopczyk takie zainteresowanie mediów to coś nowego. Nie wie, co może powiedzieć, a czego nie powinna. Jest spięta i oficjalna.

Renata chce najpierw lepiej poznać klienta i sprawę. Z akt dostaje ogryzek, tylko niektóre zeznania, niewiele z nich wynika. Odwiedza Norberta w areszcie, rozmawiają też przez telefon. Renata nigdy nie pociesza klientów, taki ma charakter, mówi prawdę, że różnie może być. Woli, żeby nastawili się na porażkę, bo najgorzej załamać się przy pierwszym niepowodzeniu.

– Ta sprawa jest medialna, jest na nią duży nacisk i sądy w takiej sytuacji raczej nie uchylają tymczasowego aresztowania. Chociaż mamy mocne przesłanki, że powinieneś odpowiadać z wolnej stopy – mówi.

Jest zła, że nie była na pierwszym przesłuchaniu. Wie, jak można sugerować odpowiedzi.

– Musi być pan ze mną szczery. Co się wtedy wydarzyło. Czy pan to zrobił? Jestem zobowiązana do zachowania tajemnicy, ale muszę wiedzieć – mówi Norbertowi.

– Jestem niewinny – odpowiada jej.

Renata wie, że klienci nie zawsze od razu mówią prawdę. Ale Norbert nigdy nie zmienia zdania.

– Ja tego nie zrobiłem – powtarza.

Renata nie słyszy w nim fałszu. Jest konsekwentny w tym, co mówi, nigdy sam sobie nie zaprzecza. Jest jeszcze coś. Gdy czekają na przesłuchanie w prokuraturze, mijają ich Ireneusz M. Renata ich obserwuje, ale oni nie zwracają na siebie uwagi. „Jak mogli razem zgwałcić tę dziewczynę, kiedy się nawet nie znają” – myśli.

Po raz drugi w swojej karierze jest przekonana, że jej klient jest niewinny.

*

Renata widzi, jaki Norbert jest zestresowany na przesłuchaniu. Nie dziwi się, że ostatnio opowiadał takie głupoty.

– Co było takim impulsem, że zaczął pan mówić o seksie bez seksu? Dlaczego pan tworzył te wizje? – pyta.

– Rozmawiałem z funkcjonariuszem i w podświadomości szukałem obrony dla siebie...

– Ale ktoś to panu zas... – chce dopytać Kopczyk, ale ucisza ją Sobieski: – Proszę nie przerywać, pani mecenas.

– Rozmawiałem z Remikiem na korytarzu. On mnie wspiera w tej sytuacji. I pomyślałem, że lepiej, jak coś powiem.

– A czy to nie tak, że zarzuty były szokiem i zaczął pan szukać zdarzeń, które mogły się wydarzyć w innym czasie, żeby wyjaśnić jakoś spermę?

– Pani sugeruje odpowiedzi – mówi Sobieski.

Kopczyk pyta jeszcze raz: – Czy teraz pamięta pan jakąkolwiek sytuację, w czasie której pana sperma mogła się znaleźć na sukience Małgosi?

– Dużo myślałem pod celą. I stosunku na pewno nie było. Psycholog w więzieniu powiedziała mi mądrą rzecz: że swój pierwszy raz się pamięta.

– To dlaczego złożył pan wcześniej takie zeznania? – chce wiedzieć Sobieski.

– Szukałem z policjantem rozwiązania, jak mogła się tam znaleźć moja sperma. Mówił, żebym sobie przypomniał, czy się z kimś nie całowałem, czy miałem stosunek...

– Świetnie – komentuje z przekąsem Kopczyk.

– Czuł pan presję? – dopytuje Sobieski.

– Każde spotkanie z prokuratorem to jest stres. Czułem presję, że zostałem zatrzymany, że to nie jest byle jakie przesłuchanie, tylko już nie wrócę do domu.

Sobieski jeszcze raz dopytuje go o całowanie i możliwy wytrysk.

– Nie widzicie, że ma problemy ze składaniem zdań, a wy próbujecie z niego wycisnąć coś innego, niż było – denerwuje się Kopczyk.

Prosi jeszcze Norberta, by opowiedział, co wydarzyło się na przesłuchaniu.

– Kiedy byłem tu pierwszy raz, usłyszałem od policjanta: „Dobrze, żebyś był to ty”. Może żartobliwie, ale takie słowa padły.

*

Remik odpowiada na piśmie: nie było takiej sytuacji. Nie sugerował też Norbertowi zeznań. Ale prawdą jest, że mu pomagał. Po jego zatrzymaniu pojechał do jego domu pomóc Kamili podłączyć piecyk. Takimi rzeczami zawsze zajmował się jej mąż.

– Nie chciałem cię oskarżać, ale taka jest nasza taktyka – usłyszał później Remik od Norberta. Zastanawiał się, co musi mieć w głowie

człowiek, który myślał, że jest bezpieczny, i nagle po ponad dwudziestu latach od przestępstwa zostaje zatrzymany.

Dla nich to też był szok, że Norbert okazał się winny. Nie mają jednak wątpliwości, że DNA mówi prawdę. Nie podejrzewali go wcześniej, ale teraz jego zeznania sprzed lat nabierają większego sensu.

Mówił na przykład, że jako ochroniarz patrolował posesje w pobliżu dyskoteki. „Zabezpieczał się, jakby ktoś powiedział, że go widział. I te zeznania pojawiły się akurat wtedy, gdy głośno było o nowym świadku” – myśli Remik.

I jeszcze te jego oskarżenia rzucone na prawo i lewo. Tak się chłopak próbował chronić, oddalając zainteresowanie od siebie. Potem dowiadują się, że Norbert po badaniach opowiadał, że może wyjść jego krew, bo on się dużo bił. Kolejna próba budowania alibi.

Chyba że Norbert wyparł to, co zrobił. Takie przypadki też się zdarzają.

*

– Norbert na pewno nie zrobił nikomu krzywdy. Jest człowiekiem pomocnym. Jest osobą czułą, kochaną wzorowym ojcem i mężem – mówi Kamila, kiedy przesłuchuje ją prokurator. – Cóż jeszcze mogę powiedzieć. Dla wielu osób jego zatrzymanie było szokiem. Norbert zawsze się cieszył bardzo dobrą opinią. Myślę, że nie można żyć ze świadomością winy w związku małżeńskim przez dwadzieścia lat i być tak czułą i wrażliwą osobą jak Norbert. On prędzej sobie by zrobił krzywdę niż innej osobie.

Puszczają jej nagranie, w którym Norbert opowiada, że Paweł D. był na dyskotece i jest zboczony. To fragment rozmowy, którą w 1997 roku zarejestrowała Jolanta Krysowata, dziennikarka Radia Wrocław. Norbert mówił w niej o swoich podejrzeniach. Oprócz

syna biznesmana i byłego policjanta wymienił jeszcze chłopaka z Jelcza. Nie było go na dyskotece, ale kręcił się koło Kamili w tym samym czasie co Norbert.

Widzą, że jest zaskoczona.

– Co mam powiedzieć. Jeśli tak było, to było. Norbert nigdy mi nie mówił, że Paweł jest zamieszany w tę zbrodnię – komentuje.

Odczytują jej jeszcze zeznania Pawła D., że Norbert groził mu i chciał go pobić, bo był o nią zazdrosny.

– Dziwne i śmieszne – mówi. Żadnych gróźb nie słyszała. Chociaż przyznaje, że D. ją podrywał, a Norbert faktycznie był zazdrosny. W tamtego sylwestra nie byli jeszcze parą, chociaż już dobrze się znali, do Alcatraz Norbert poszedł sam.

A prokurator myśli, że przecież gdyby naprawdę wierzył, że Paweł D. jest tak niebezpieczny, ostrzegłby Kamilę.

*

Norbert przekonuje prokuratora, że nie groził Pawłowi D. Sobieski puszcza mu nagraną rozmowę z Jolantą Krysowatą, w której wymieniał jego nazwisko. Norbertowi szklą się oczy. Opuszcza głowę, ściska dłoń w pięść i zakrywa nią twarz. Wydaje się zamyślony i przejęty. Głośno przełyka ślinę. Łzy zaczynają mu płynąć po policzkach, szybko ociera je chusteczką.

– Pamiętaj, że przysługuje ci prawo odmowy składania zeznań – mówi Kopczyk, gdy nagranie milknie.

Sobieski pyta o okoliczności tego wywiadu.

– Nie pamiętam – odpowiada Norbert. Ale zaraz tłumaczy: – To nie było tak, że nagranie było w ciągu. Krysowata włączała i wyłączała dyktafon, podawała jakieś nazwiska, a ja mówiłem, czy był na dyskotece, czy nie. Mogło tak być, że cała ta rozmowa została zmanipulowana.

– Skąd jednak tak dokładne informacje, że widział pan tych trzech mężczyzn – dopytuje Sobieski.

– Jak nie pamiętasz, to nie wymyślaj, tylko mów, że nie pamiętasz – zwraca się do Norberta Kopczyk.

– Pani mecenas, pani klient to wie. Dajmy... – mówi Sobieski, ale Kopczyk mu przerywa: – Znam swojego klienta i wiem, co powoduje u niego stres.

Na kolejne pytania o nagranie Norbert odpowiada już tylko: „Nie pamiętam”.

Jednak Sobieski jest przekonany, że on świetnie zapamiętał rozmowy z dziennikarką. I że wskazując na innych podejrzanych, chciał odciągnąć podejrzenia od siebie. A przy okazji pozbyć się konkurenta o względy Kamili.

*

Przesłuchaniom Norberta przysłuchiwała się biegła psycholożka Justyna Poznańska.

W opinii pisze: „Badany relacjonował zdarzenia w sposób zdawkowy, wybiórczy, momentami był zamyślony, zdarzenia z krytycznej nocy opowiadał w sposób uogólniony, nie podawał szczegółów. Zeznawał na jednym tonie, bez modulacji emocji, bez przywoływania swoich myśli, obaw, niepokojów, emocji i przypuszczeń dotyczących zdarzenia, bez opisów interakcji, bez cech chronologii, w sposób mało uporządkowany i nielogiczny, bez spontanicznych korekt i dopowiedzeń, z tendencją do podejmowania tematów zastępczych, unikania odpowiedzi na zadawane mu pytanie i zagadywania”.

Zaznacza też, że usztywnia się w schematycznej roli ochroniarza, co jest postawą skrajnie nienaturalną i obronną. Ma też tendencję do pokazywania się jako osoby pokrzywdzonej.

Zwraca przy tym uwagę na swoiste przecieki słowne, takie jak sformułowanie: „Skąd ja mogłem wiedzieć, że oni gdzieś tam ją prowadzą na gwałt czy coś”

„Norbert Basiura nie ma problemów z pamięcią, a żaden fragment nie stanowił spójnej, pełnej całości, pozwalającej na uznanie jej za logiczny wycinek odtwarzanej rzeczywistości – pisze Poznańska. – Brakuje naturalnych reakcji emocjonalnych, swobodnej wypowiedzi. Nie występuje też tendencja do zaprzeczania, irytacji, jawnego niezadowolenia z przebiegu przesłuchania, spontanicznych dopowiedzeń. Podejrzany był głównie skoncentrowany na obszarze zachowań werbalnych, bardzo czujny, napięty. W obszarze zachowań niewerbalnych dostrzegalne było usztywnienie postawy w reakcji na poruszane wątki, pocieranie dłoni, ziewanie/wentylowanie, odreagowujące napięcie gestykulowanie. Treść zdarzeń opisana mało realistycznie i mało logicznie. Nie próbował odtwarzać wypowiedzi swoich i innych uczestników zdarzenia. Minimalizuje treść zdarzeń, uogólnia go”

To wszystko sprawia, że zeznania Basiury uznaje za psychologicznie niewiarygodne.

*

Sobieski na przesłuchania wzywa też dawnych znajomych Norberta. Jego obraz z czasów sprzed dyskoteki sylwestrowej daleki jest od wizerunku porządnego strażaka. „Nerwowo” „Szybciej zrobił, niż pomyślał” „W bójki się wdawał” „Woził kij w bagażniku” „Miał kolegium za pobicie”

W prokuraturze Norberta broni matka. – Nic po nim nie było widać, jak wrócił do domu w tamtego sylwestra. Normalnie się zachowywał – przekonuje. Dodaje, że nie był na pewno pijany, zresztą nigdy nie wracał w złym stanie.

Pamięta, że później były telefony z groźbami.

– Zgłaszałam je na policję, ale nic z tym nie zrobili – mówi.

O Norberta Sobieski pyta również dziennikarkę Jolantę Krysovata, która nagrywała z nim rozmowy do swoich reportaży.

– Zachowywał się, jakby miał moralniaka. Tłumaczył, ile metrów odchodził od budynku i dlaczego nie kontrolował terenu. To brzmiało, jakby cytował przepisy o ochronie dyskotek.

Po materiale o zastraszaniu miała się z nim jeszcze spotkać, ale nie przyszedł. – A potem uciekł mi do wojska – mówi Krysovata. Bo faktycznie Norbert dostał wtedy wezwanie do jednostki we Wrocławiu.

Chciałam porozmawiać z Jolantą Krysovata o jej dziennikarskim śledztwie sprzed lat. Przesłuchiwałam jej reportaże wielokrotnie, powoływali się na nią rodzice Małgosi i mecenas Szymecka, jej nazwisko raz po raz pojawiało się w aktach – sama była przesłuchiwana, mówili też o niej inni świadkowie. Wiem, że mimo wielu sukcesów wycofała się z dziennikarstwa. Jest teraz wójtem gminy Wińsko na Dolnym Śląsku. Znajduję jej służbowego maila, proszę o rozmowę. Odpisuje: „Przepraszam, ale nie. Nie ten czas”. Nigdy nie zmieni zdania.

Rozdział 12

PAWEŁ

Paweł O. na dyskotecę w Miłoszycach był ochroniarzem. Jak sam mówi „podszywanym”, bo wynagrodzenia nie dostawał. Miał wtedy dopiero szesnaście lat. Przybijał pieczątki na wejściu, kręcił się po sali, jak ktoś był pijany, to jego zadaniem było go obudzić i wyprowadzić. Albo poprosić o pomoc prawdziwych ochroniarzy, których klub ściągnął z Wrocławia.

Pawła pierwszy raz przesłuchano pięć miesięcy po zbrodni, ale nie miał zbyt wiele do powiedzenia. Wymienił jedynie nazwiska kilku mężczyzn, których widział tamtej nocy na dyskotecę.

– W sprawie śmierci Małgorzaty nie wiem nic – zapewniał.

Z Norbertem znali się jeszcze z ochotniczej straży. Paweł był dwa lata młodszy, ale wcześniej zgłosił się do jednostki. Jeździli na zawody, w kościele pomagali. Pierwszy raz zgadali się przy święconkach. Norbert bardzo narzekał, że nie chciał służyć w kościele, tylko do pożarów jeździć. Zaczęli dużo czasu spędzać razem. Tę dyskotekę też wspólnie wykombinowali. Poszli wtedy do szefa, pogadali, że są ochotniczymi strażakami i zaraz mu

pokazali, gdzie łamie przepisy przeciwpożarowe. Może dla świętego spokoju pozwolił im przychodzić. Sylwester był już kolejną imprezą, na której pomagali.

Po latach Sobieski znów wzywa go na przesłuchanie.

– Czy był taki moment, że stracił pan Norberta Basiurę z oczu? – pyta prokurator.

– To się zdarzało bardzo często – odpowiada Paweł. – Raz na pięć minut, innym na dwadzieścia, różnie bywało. Nie pilnowaliśmy się. Ale zaraz dopowiada, że nigdy na godzinę albo dwie.

– Norbert powiedziałby mi, gdyby był z jakąś dziewczyną. On był zakochany po uszy w Kamili – mówi Paweł. Chociaż nie jest pewny, czy w tamtego sylwestra byli w ogóle parą. – Oni nieraz lubili się sprzeczać i to było tak, że raz są, a raz nie są.

– Zresztą jakby to zrobił, byłoby po nim widać. Po czymś takim człowiek nie funkcjonuje normalnie. To praktycznie niemożliwe, żeby to był on – zapewnia Paweł.

Był z Norbertem na tym przystanku, kiedy zaczęło ich dwóch mężczyzn i chciało podwózki, a jak się nie zgodzili, to tamci ich poszarpali. Ale nie wiedział, że okazali się policjantami. Ani że Norbert opowiadał o tym w Radiu Wrocław. Nigdy mu też nie powiedział, że ktoś mu grozi. Chociaż mieli wtedy jeszcze kontakt. Paweł był nawet u Norberta na przysiedze w wojsku.

Widywali się coraz rzadziej i rzadziej, aż w końcu z przyjaźni zostały tylko przypadkowe spotkania w sklepie.

– To nie jest tak, że się o coś pokłóciliśmy, po prostu nasze drogi się rozeszły. On miał swoje sprawy, a ja swoje. Dorośliśmy.

Sobieski pyta jeszcze o Irka. Tak, Paweł kojarzy go z widzenia. Miał z nim za dzieciaka problemy.

– Irek z bratem kradł mi psa. Wołali go, jak wracali ze szkoły, i brali do siebie. Matka kiedyś widziała, jak jeden kopał tego psa,

a drugi ciągnął. Ze trzy razy się zdarzyło, że go zabrali. Matka potem jeździła po niego, raz byłem z nią.

Z dyskoteki Irka nie kojarzy.

Zgadza się na badanie DNA. Funkcjonariusz, który pobiera wymaz, czuje, że Paweł drży.

*

Justyna Poznańska po raz czwarty w tej sprawie – po opiniach dotyczących Doroty P., Ireneusza M. i Norberta – uznaje zeznania złożone w czasie przesłuchania za niewiarygodne. Biegła widzi, jak bardzo Paweł jest spięty. Siedzi sztywno z rękoma założonymi na piersiach, pociera i zasłania ręką twarz. Sięga po wodę, ma sucho ustach. Na kluczowe pytania dotyczące tamtego wieczoru odpowiada z opóźnieniem.

„Wypowiedzi zdawkowe, lakoniczne, mało rozbudowane, z tendencją do minimalizowania ich treści. O zabójstwie mówił, »że nic mu o tym nie wiadomo«, niechętnie rozwijał ten wątek. Był skoncentrowany na szybkim zakończeniu przesłuchania, trzymał dystans”

*

Sobieski zleca przebadac Pawła O. wariografem.

Biegły pyta:

– Czy ukrywa pan jakieś fakty w sprawie zgwałcenia Małgorzaty K.?

– Czy okłamał pan organy ścigania?

– Czy skłamał pan, składając zeznania?

Paweł odpowiada:

– Nie, nie, nie.

Parametry skaczą w górę i dół, wynik badania nie jest jednak rozstrzygający. Biegły pyta dalej:

- Czy ma pan związek ze zgwałceniem Małgorzaty?
- Czy brał pan udział w zgwałceniu?
- Czy to pan dokonał zgwałcenia?

- Nie, nie, nie – znów odpowiada Paweł. Parametry mówią jednak co innego. Biegły pisze w opinii: „Reaguje jak osoba, która ma związek z tym zdarzeniem, tylko to ukrywa”

Sobieski jeszcze raz wzywa Pawła na przesłuchanie. Muszą go dowieźć z więzienia, w którym spędza trzy miesiące za niepłacenie alimentów.

- Nie zgadzam się z tym wynikiem. Ja nie kłamałem – mówi, gdy Sobieski przywołuje badania z wariografu. – Płukałem wcześniej ręce i miałem zimne, to może dlatego.

Nie wie, dlaczego biegła uznała jego zeznania za niewiarygodne.

Sobieski jest przekonany, że Paweł ma coś wspólnego z zabójstwem Małgosi. Ale biegły nie stwierdził zgodności jego DNA z tym znalezionym na miejscu zbrodni. Nie może go zatrzymać.

Rozdział 13

AKT OSKARŻENIA

Norbert w areszcie rysuje kalendarz i skreśla dni. Ma osobną monitorowaną celę, na spacerunku spotyka się tylko z kilkoma osobami. Dbają o jego bezpieczeństwo. Ale nigdy nie czuł się gorzej.

Jedyną radością są kilkuminutowe rozmowy z żoną. Chce wiedzieć, co się dzieje w domu. Szykują się do bierzmowania dzieci. I święta za pasem. To on zawsze zajmował się finansami, boi się, czy Kamila sobie poradzi. Ma nadzieję, że po trzech miesiącach wyjdzie.

Z Kamilą nocuje teściowa. Leżą w jednym łóżku, tak łatwiej zasnąć. Pocieszają się, że jeszcze wszystko się wyjaśni i będzie dobrze.

Mecenas Renata Kopczyk nie daje im jednak dużych nadziei, chociaż zapewnia, że będzie próbowała się odwołać od decyzji sądu. Tłumaczy, że tymczasowego aresztowania nie można ciągnąć ot tak. Już go przesłuchali, a nie ma żadnych dowodów, że będzie mataczył.

W grudniu Sąd Okręgowy we Wrocławiu zgadza się jednak z wnioskiem prokuratury i przedłuża areszt o trzy miesiące. Kopczyk pisze odwołanie. „Nie stosuje się tymczasowego aresztowania tylko dla wygody organów ścigania” – argumentuje.

Sąd Apelacyjny wyznacza rozprawę na 23 stycznia 2020 roku. Kopczyk czuje się coraz pewniej, chociaż sama do końca nie wierzy, że uda się wyciągnąć Norberta z aresztu. Nikt się zresztą tego nie spodziewa, do sądu nie przyszedł ani jeden dziennikarz.

Sędzia Witold Franckiewicz mówi: – Możliwość wymierzenia surowej kary nie jest dowodem, że oskarżony będzie utrudniał tok postępowania.

*

Sobieski jest wściekły. Miał nadzieję, że jak Norbert trochę posiedzi, to zmięknie. Może chciałby walczyć o niższą karę w zamian za zeznania, kto jeszcze był na podwórku w Miłoszycach. Może powiedziałby coś więcej o Pawle O. Ale teraz już za późno, wrócił do domu, niczego się od niego nie dowiedzą.

Sobieski pociesza się, że mają mocne dowody. To już ponad szesnaście tysięcy stron akt, osiemdziesiąt trzy tomy.

Przegląda wszystkie, by napisać akt oskarżenia. Na stu sześciu stronach odtwarza tamtą sylwestrową noc, wypisuje nazwiska, miejsca, godziny. Wszystko poparte dowodami z zeznań.

Małgorzata pojechała z przyjaciółkami na dyskotekę do Miłoszyc pociągiem o dziewiętnastej trzydzieści. Wypiła jakieś półtora piwa. Tańczyła z koleżankami. Około dwudziestej trzeciej poznała Krzysztofa K. Wyprowadzał ją na zewnątrz, gdy źle się czuła.

Było już po północy, kiedy podszedł do nich Ireneusz M. Powiedział, że jest bratem Małgosi i zabiera ją do domu. Zabrał

ją na podwórko R. Poprzecinał sznurówki, by jak najszybciej zdjąć jej buty i rajstopy.

Jego nasienie znaleziono na prawie wszystkich częściach jej odzieży – rajstopach, majtkach, sukience. Norberta Basiury – tylko na sukience. Do Ireneusza M. dopasowali jeszcze czarną czapkę i koronkową chusteczkę znalezione na miejscu zbrodni. I odcisk szczęki na ciele Małgorzaty.

Sąsiedzi słyszeli, jak ktoś krzyczał: „Mamo, mamo”

Małgorzata mimo odurzenia karbamazepiną i alkoholem stawiała opór. Napastnicy brutalnie go przełamali. Oskarża ich, że „działając wspólnie i w porozumieniu z innymi dotychczas nieustalonymi osobami, przewidując możliwość pozbawienia jej życia, dopuścili się zgwałcenia ze szczególnym okrucieństwem Małgorzaty”. To paragrafy 148 i 168.

Sobieski dołącza listę świadków. Nazwiska ciągną się na kilku stronach, w kilku tabelkach. W sumie sto trzydzieści sześć osób do przesłuchania przed sądem i sześćset trzy, których zeznania prokurator chce odczytać. Do tego jeszcze biegli.

Jest też lista trzystu czterdziestu siedmiu dowodów, głównie opinii. Są również zdjęcia: Małgosi, miejsca zbrodni i części garderoby, na których znaleziono ślady.

Chyba niczego nie przeoczył. Przed wysłaniem razem z Tomankiewiczem czytają cały akt oskarżenia.

– Dobra robota – mówi naczelnik.

Rozdział 14

PROCES

Czekam na ten proces, na nowe informacje. Śledczy milczą, do aktualnych akt dziennikarze nie mają dostępu, czytałam tylko te sprzed lat. Ostatecznie pozwolą nam je zobaczyć dopiero po zakończeniu procesu. W trakcie rozpraw będę jednak mogła w końcu spotkać wszystkich uczestników tej historii. Rodzice Małgosi nie zdecydowali się do tej pory na rozmowę. Od kiedy Tomek wyszedł z więzienia, nie wystąpili w żadnych mediach. On zresztą również usunął się w cień, chciał się wreszcie zająć życiem, a nie o nim opowiadać.

Nie poznałam też oskarżonych. Irka widziałam tylko na zdjęciach, które pokazała mi jego matka. Norberta na korytarzu wrocławskiego sądu, kiedy decydował o jego aresztowaniu.

Zajmowałam się już tą sprawą od ponad roku, w sumie napisałam ponad pięćdziesiąt tekstów. Największe zainteresowanie wzbudzały te dotyczące niesłusznego skazania Tomasza Komendy. Kiedy wyszedł z więzienia, tygodniami zajmowałam się tylko tym

tematem. Na szczęście mój szef odpuścił mi inne obowiązki. Chociaż codziennej pracy w redakcji nie brakowało.

W ostatnich miesiącach strajkowali nauczyciele i pracownicy ochrony zdrowia, którzy domagali się podwyżek, ale nową polską tradycją stały się też wielotysięczne manifestacje przeciwko kolejnym ustawom partii rządzącej.

Po pomysłe zaostżenia prawa aborcyjnego z 2016 roku „czarne marsze” rozlały się po całej Polsce. 2017 rok upłynął pod znakiem protestów przeciwko reformie sądownictwa upolityczniającej Sąd Najwyższy i Krajową Radę Sądownictwa. Skład tej ostatniej mieli wbrew konstytucji wybierać politycy. Ostatecznie ustawy po kosmetycznych poprawkach weszły w życie w 2018 roku. A już dwa lata wcześniej PiS – również w atmosferze skandalu – podporządkowało sobie Trybunał Konstytucyjny.

Mimo protestów i głośnej krytyki ze strony samego środowiska, zmiany kadrowe trwają w najlepsze. I nawet zasłużone awanse zaczynają budzić wątpliwości.

Przed gmachami sądów wciąż palą się znicze. Na wrocławskim Podwalu ciągle pojawiają się nowe.

*

7 maja 2019 roku idę na pierwszą rozprawę w sprawie zbrodni miłoszyckiej. Największa sala Sądu Okręgowego we Wrocławiu jest pełna, chociaż sam proces nie wzbudza już takiego zainteresowania jak uwolnienie Tomasza Komendy. Większości portali wystarczą lakoniczne notki.

Oskarżeni stoją za szklaną szybą. Norbert w eleganckiej koszuli, tuż obok Irek w czarnych spodniach, bluzie z kapturem i ciemnych okularach. Na widowni dziennikarze z kilkunastu redakcji, przed

ławkami operatorzy kamer i fotoreporterzy. Stoją jeden obok drugiego, ledwo widać skład sędziowski.

Sędziów jest dwóch – przewodniczący Marek Poteralski i Paweł Pomianowski. Do tego czterech ławników i protokolantka. Naprzeciwko oskarżonych i ich obrońców prokurator Sobieski, rodzice Małgosi i ich pełnomocnik Wojciech Mrozek.

– Gnoje zniszczyli życie naszego dziecka. My przez lata musieliśmy w tym uczestniczyć. Nie chcemy teraz oglądać zdjęcia naszego zmarłego dziecka czy oglądać własnych twarzy w mediach – mówi do dziennikarzy ojciec Małgosi, ale później sam wręcza nam fotografię córki zrobioną tuż przed tamtą imprezą sylwestrową.

*

Obydwaj oskarżeni zgadzają się na obecność mediów w czasie rozprawy.

Norbert Basiura zezwala na publikację swojego wizerunku i nazwiska, Irek zastrzega anonimowość, tłumacząc ją represjami, które mogłyby spotkać go ze strony współwięźniów.

I już ma zostać odczytany akt oskarżenia, gdy zgłasza się obrońca Irka Marcin Kostka.

– Jedna z ławniczek jest moją klientką w innej sprawie – przyznaje.

Sobieski wnioskuje o wyłączenie jej z rozprawy. – Bezstronność jest warunkiem obiektywizmu sędziów – mówi.

Sąd zgadza się, że potrzebna jest zmiana ławnika, kolejny termin rozprawy wyznacza za tydzień.

*

Tydzień później sala znowu jest pełna.

– Oskarżam Norberta Basiurę i Ireneusza M., że działając wspólnie i w porozumieniu z nieustalonymi jeszcze sprawcami, użyli substancji, która w połączeniu z alkoholem doprowadziła do zaburzeń świadomości Małgorzaty K. To pozwoliło wyprowadzić ją z dyskoteki i zaprowadzić na podwórko, gdzie dopuścili się gwałtu ze szczególnym okrucieństwem. Obrażenia w połączeniu z wyziębieniem doprowadziły do jej śmierci.

Kilka kolejnych minut zajmuje Sobieskiemu wymienienie wszystkich obrażeń Małgosi.

Jadwiga ociera łzy. Krzysztof przekłada kartki, które ma przed sobą. Ma na nich spisane oświadczenie, które zaraz odczyta: „Dowody, jakie zostały zabezpieczone na miejscu zbrodni, to ślady biologiczne. Porównanie ich z tymi od oskarżonych wskazuje, że są identyczne. Chciałbym też zaznaczyć, że wszystkie części garderoby mojej córki zostały zabezpieczone. Policja chciała nam je oddać. Bieliznę, sukienkę. Najbardziej zapamiętałem sukienkę, z jakąś plamą, wtedy trudną do zidentyfikowania. Zamarliśmy razem z żoną. Ze łzami w oczach poprosiliśmy, żeby zostały zabezpieczone, że może kiedyś pozwolą jeszcze zatrzymać morderców naszej córki”

*

Irka do sądu z więzienia przywozi konwój, na salę wprowadzają go od tyłu. Gdy zajmie miejsce, mogą go rozkuć. Rozsiada się na ławce, przewraca papiery.

Jest pewny siebie, wręcz bezczelny. Mówi bez przerwy, przeskakuje z wątku na wątek. Kiedy sąd odbiera mu głos, przekonuje do swoich racji pilnujących go policjantów. Ma wtedy wyłączony mikrofon, więc za szybą, która oddziela go od widowni, widzę tylko, jak wymachuje rękoma. Często wertuje akta, które przynosi w reklamówce. Demonstruje potem wybrane strony.

Jest niewysoki, ale nadrabia masą. Zapuścił brodę i wąsy, za to ogolił włosy. Później je zapuści, za to zgoli zarost.

Zeznaje pierwszy: – Trzy razy pobierano mi wtedy krew do badań i odcisk szczęki. Okazywano mnie też wielu osobom i nikt mnie nie rozpoznał, a nagle jestem winny? Teraz słyszę, że to moja czapka leżała przy zwłokach, ale przecież ja w niej wracałem do domu. Dopiero w czasie przeszukania mi ją zabrano. To tak jak z Komendą. Kiedyś wrobiono jego, teraz wrabiają mnie. A prawdziwi sprawcy śmieją się, że znowu niewinni stanęli przed sądem.

Wnioskuje o włączenia akt śledztwa prokuratury w Łodzi, która zajmuje się nieprawidłowościami przy skazaniu Komendy.

– Bez pokazania, jak w tamtej sprawie prokurator wrabiał niewinnego, nie można prowadzić tej rozprawy.

– Uważa pan, że czapka została podrzucona? – pyta Sobieski.

– Nie mogę tego ani potwierdzić, ani wykluczyć.

– Czy znał pan Małgosię? – pyta pełnomocnik rodziców.

– Nie mogę powiedzieć, czy ją widziałem na dyskotecce, jeśli nie wiem, jak wyglądała. Mogłem z nią tańczyć, tańczyłem z różnymi dziewczynami, ale nie pamiętam. Przez większość wieczoru bawiłem się z kolegami.

Krzysztof się denerwuje: – Mieszkałeś z żoną na tej samej ulicy co my. Chodziłeś do klubu wędkarskiego koło naszego bloku. Musieliśmy się wielokrotnie mijać, musiałeś widzieć Małgosię. Tam nie ma możliwości, żeby się nie spotkać.

– Czy ja muszę znać wszystkich sąsiadów? – odpowiada Irek.

Krzysztof przybiera oficjalny ton: – Czy oskarżony o zamordowanie mojego dziecka wie, jakie są dowody przeciwko niemu?

– Dowody teraz zebrane są niewiarygodne. Wszystkie, i dlatego chcemy je powtórzyć. Nie mogło się tam znaleźć moje DNA, jeżeli

mnie tam nie było. Jestem niewinny i chcę wam spojrzeć w oczy. Rozumiem wasz ból...

Poteralski przerywa: – Proszę się zwracać do sądu.

Krzysztof chce jednak odpowiedzieć: – Jest mi przykro, że musimy tego wysłuchiwać. Niby wszyscy są niewinni. Ale tam jest wasze DNA. To jak można mówić o niewinności przy takich dowodach?

*

Przesłuchanie Irka ciągnie się przez trzy rozprawy. Sąd odtwarza nagrania zrobione w prokuraturze. Po każdym Irek ma sporo do powiedzenia. Najchętniej dzieli się swoimi hipotezami, jak doszło do śmierci Małgosi. Długo mówi też o błędach, które przed laty popełnili śledczy.

– Można przyjąć dziesiątki wersji, co się stało. Ale wiem, że to nie byłem ja. Ktoś mnie musi wrabiać – przekonuje i znów snuje swoje teorie.

– Sąd jest zainteresowany faktami. A pana dywagacji już i tak jesteśmy zmuszeni słuchać godzinami, bo tylko to prokurator nagrał – przerywa mu w końcu Poteralski.

W myślach przyznaję mu rację. Dłuższe słuchanie Irka jest bardzo wyczerpujące. Mówi ciągle podniesionym głosem, powtarza te same wątki.

Lejtmotywem jego obrony są zdjęcia zrobione w czasie dyskoteki.

– Skoro się bawiłem na sali, to nie mogłem przecież jednocześnie gwałcić dziewczyny za stodołą – przekonuje.

Kilka razy powtarza, że kiedy składał zeznania, policja miała cały plik takich fotografii.

– Było ich kilkadziesiąt, może setka.

Prokuratorowi udało się zdobyć tylko kilka zdjęć z tamtej imprezy. Na żadnym go nie ma.

– To wasza robota, żeby je znaleźć – obrusza się Irek.

Powtarza, że jest niewinny. I że robią z niego drugiego Komendę.

– Oskarżony mówi dużo, ale wypisałem, co według mnie jest najważniejsze – Krzysztof wyciąga kartkę z kolejnym oświadczeniem: – Na pewno był uczestnikiem zabawy w Miłoszycach. Przemieszczał się po różnych posesjach, m.in. rodziny R., gdzie zamordowano Małgosię. Śladom biologicznym oskarżony zaprzecza. Jednocześnie stwierdza, że ktoś chce go zrobić, a on będzie drugim Komendą. Przyznaje, że siedział za gwałty. Przyznaje, że w czasie seksu gryzie. Przyznaje, że wie, że wodę utlenioną można dodać do wódki, by wzmocnić jej działanie. Przez kilka lat mieszkał też na tej samej ulicy co Małgosia. I czy naprawdę lubi chodzić w samym swetrze zimą, jeżeli – jak twierdzi – nigdy nie poprosił o zwrot kurtki, którą miała mu zabrać policja?

*

Norbert głównie milczy. Do Irka nie ma pytań. Przy każdym wniosku powołuje się na zdanie obrońcy. Kiedy Irek wyciąga z reklamówki kolejne karty z akt, przywołuje zeznania świadków, a przy tym wykrzykuje i macha rękoma, Norbert siedzi ze spuszczoną głową.

Do sądu przyjeżdża z rodzinnego domu. Wieczorem Kamila prasuje mu koszulę.

Po przesłuchaniach Norbert pali z Kamilą papierosy na tarasie i opowiada jej, co wydarzyło się w sądzie. Chciała przychodzić na rozprawy, ale Norbert bał się, że rodzice Małgosi będą jej dogadywali, tak jak mamie Irka. Renata też mówiła, że to niepotrzebny stres. Kamila pomyślała, że mają rację. Ale zawsze wyczekuje informacji z sądu. Norbert mało mówi, Kamila dzwoni więc do Renaty.

– Kobieta z kobietą lepiej się dogada – uznaje Norbert. Wierzy, że go z tego wyciągną.

– Tylko się nie stresuj – mówi mu Renata przed zeznaniami.

Ale Norbert się stresuje. Na jego koszuli widać plamy potu. W bezruchu ogląda nagrania z przesłuchań w prokuraturze.

Już po tłumaczy: – Prokuratorzy powiedzieli mi, że nigdy nie wrócę do domu i nie zobaczę dzieci. Jak mnie przesłuchiwali, byłem tak zdenerwowany, że nie myślałem logicznie. Nie wiedziałem nawet, jak się nazywam. Zostałem zabrany po dwudziestoczterogodzinnym dyżurze.

Twierdzi, że policjant zasugerował mu, by znalazł wyjaśnienie, jak jego sperma znalazła się na ubraniach Małgosi.

– Zostałem wyprowadzony z równowagi. Człowiek przestaje w takiej sytuacji myśleć logicznie. Ze strachu brnąłem w ten seks bez seksu.

Opowiada, że w tej sprawie już przed laty był szykanowany. Grożono mu, zaatakowali go też policjanci. A on zawsze chciał pomóc. Dlatego rozmawiał z rodzicami Małgosi. Ale to nie było tak, jak opowiada Krysowata.

– Sugerowała mi odpowiedzi.

Poterski chce wiedzieć, co było prawdą z zeznań w prokuraturze, a co nie.

Norbert chwilę milczy. – Jestem już tak zmęczony, że trudno mi się skupić.

Na większość pytań o tamtą noc sylwestrową odpowiada: „Nie wiem”. Ale w czasie zeznań przypomina mu się chłopak, który wyprowadzał z zabawy bardzo pijaną dziewczynę. Nie znał go, to nie był współoskarżony. Irkowi też zresztą przypomniał się tajemniczy mężczyzna, który zaczepiał ludzi na dyskotece.

O tamtej nocy Norbert mówi jednak niechętnie. Najpewniej się czuje, gdy opowiada o swoim życiu. Stoi wyprostowany, głowę ma podniesioną.

– Na pewno tego nie zrobiłem. Nie tak wychowali mnie rodzice. Ja czuję się bohaterem. Piętnaście lat pracuję jako strażak i jestem w stanie oddać swoje życie, by ocalić drugiego człowieka. Uratowałem psa tonącego w jeziorze, kobietę, która wpadła pod tramwaj, i pasażerów płonącego na autostradzie samochodu. I to po służbie, bo taki mam charakter – mówi i wskazuje na Jurka Kamińskiego, który siedzi obok niego na widowni. – Właściciele tego psa opublikowali w „Gazecie Powiatowej” podziękowania.

Kopczyk chce ciągnąć wątek jego poświęcenia dla społeczeństwa, ale Poteralski uchyla jej pytanie: – Przedmiotem tej sprawy nie jest, ile istnień uratował oskarżony.

Oskarżeniom Norbert zaprzecza. Chce ponownego badania DNA.

– Nie ma takiej możliwości, żeby tam była moja sperma – mówi.

Krzysztof się denerwuje: – Basiura chce się wyłgać, że jego DNA było na ubraniach Małgosi. Ślady jednoznacznie wskazują na niego, a my brniemy nie wiadomo w co.

Poteralski go uspokaja. – Tak wygląda postępowanie sądowe, a tego typu oświadczenia niepotrzebnie je przedłużają.

Rozdział 15

MILIONY

Na pierwszych zeznaniach oskarżonych sala jest pełna. Na widowni oprócz dziennikarzy siedzą studenci, pracowniczka biura prasowego Joanna Podwin, Remik i rodzina Tomasza Komendy. Jest mama, bracia się zmieniają.

– Wypad stąd – Jadwiga syczy do Teresy.

– To nie jest sprawa Tomasza Komendy, tylko Małgosi – złorzeczy Krzysztof.

Brat Tomka już się podnosi, ale Teresa go uspokaja.

– Nie warto z nimi dyskutować. Mamy prawo tu być.

Zagaduję ją w czasie przerwy. – Przyszłam popatrzeć w oczy osobom, przez które siedział Tomek – mówi.

Wyciąga z torebki książkę. Na okładce widzę jej zdjęcie z Tomkiem, które fotoreporter Łukasz Giza zrobił do naszych rozmów. To była ich pierwsza sesja na wolności, na łące. Teresa na zdjęciu jest skupiona, patrzy przed siebie. Tomek ją obejmuje i delikatnie się uśmiecha.

Teraz górną część zdjęcia przykrywa tytuł: *Walka przez łzy*. I jeszcze podtytuł: *Poruszająca historia matki walczącej o sprawiedliwość*.

Grzesiek Głuszak najpierw spisał historię Tomka, a teraz jej.

– Dostałam jeszcze przed premierą. Ta o Tomku została bestsellerem – chwali się Teresa.

On na rozprawy nie chciał chodzić. Ma dosyć sądów. Ale musi, jest przecież jeszcze sprawa o odszkodowanie.

Jego mecenas Zbigniew Ćwiąkalski zawnioskował, żeby przenieść ją z Wrocławia, by Tomek nie wracał do sądu, który go skazał.

– Przez tych ludzi straciłem osiemnaście lat życia. Te mury przypominają mi wszystko, co przeżyłem – tłumaczy Komenda.

Wchodzi jednak do tego sądu jeszcze raz, w kwietniu 2019 roku, otoczony obrońcami, rodziną i dziennikarzami, żeby w biurze podawczym zostawić wniosek. Witamy się krótko. – Jest okej – mówi. – Chociaż trudno było mi tu wrócić.

Już po wyjściu z budynku cała delegacja staje przed kamerami.

– Zadośćuczynienie 18 milionów, o które się staramy, jest może rekordowe, ale uważamy, że realne. Milion za każdy rok w więzieniu. Braliśmy pod uwagę warunki, w których przebywał Tomasz Komenda. W więzieniu panuje hierarchia, a pozycja skazanego często zależy od przestępstwa, które popełnił. Osoby skazane za morderstwa dzieci, za pedofilię są na samym dole hierarchii więziennej. Wzięliśmy także pod uwagę, jak był traktowany Tomasz Komenda. Nie dawano mu przepustek, odmawiano widzeń. Oprócz zadośćuczynienia za krzywdy będziemy się starać także o odszkodowanie. Zostało ono wyliczone na podstawie informacji o średnich zarobkach w okresie, który Tomasz Komenda spędził w więzieniu. To dało sumę 811 533 złote 12 groszy – mówi Ćwiąkalski.

Zapowiada, że chcą wyłączenia jawności. – Wracanie do okresu w więzieniu jest bardzo trudne dla mojego klienta, ale nie da się tego uniknąć. Nie chcemy jednak, by kwestie poruszane na rozprawie stały się sprawą publiczną – kończy.

Dziennikarze odwracają się do Tomka: – Jak się pan czuje?

– Jestem z rodziną i to jest najważniejsze. Ból będzie chyba jednak do końca życia. Nie wiem, czy pieniądze mogą pomóc.

– Jakie ma pan marzenia? – rzuca ktoś z tłumu.

– Marzenia? Nie myślę o tym. Zbliżają się święta i to mnie cieszy w tym momencie. Spędzę je z rodziną. Po raz drugi od blisko dwudziestu lat.

*

Kiedy Krzysztof z Jadwigą słyszą, jakich pieniędzy chce Komenda, długo nie są w stanie się uspokoić.

– Miliony mu będą wypłacać? Za co? Że bąki zbijał w więzieniu – denerwuje się Krzysztof.

Jadwiga coraz częściej płacze. W sądzie twierdzi, że chce zeznawać. Ale na rozprawę nie przychodzi. Pełnomocnik tłumaczy, że źle się czuje.

– Już przecież wszystko powiedziałam. Ile razy można to samo powtarzać i nic z tego nie wynika. Niech sobie odczytają – wyjaśnia w domu Krzysztofowi. I sędzia odczytuje protokoły przesłuchań sprzed lat. Idzie powoli, bo odręczne notatki czasem trudno rozszyfrować. Poteralski oddaje akta Pomianowskiemu, on lepiej sobie radzi z bazgrołami.

Krzysztof chce zeznawać. Przez kilka dni spisuje, co powie. Pisanie dobrze mu robi, można myśli uporządkować.

Przed sądem stoi przygarbiony, ale głos ma pewny. Odmawia, gdy sędzia proponuje mu, żeby usiadł.

– Nie można powiedzieć, że policja nie chciała tego wyjaśnić. Wszyscy chcieli. Gdy zatrzymano Tomasza Komendę, dowody były na tyle mocne, że pozwalały skierować akt oskarżenia do sądu. On nic nie mówił, nie mogę też zrozumieć, czemu jego mama nie

wykrzyczała tam, że jest niewinny. Ale dowody były, jakie były. DNA, odcisk szczęki, ślady osmologiczne. Sędzia rzetelnie prowadził proces. Mieliśmy też duże poparcie ministra sprawiedliwości Lecha Kaczyńskiego, który nadzorował tę sprawę. Przyznam szczerze, że też się domagałem skazania tego człowieka, ale miałem poczucie, że wszystko odbywało się w sposób uczciwy. I nie jestem przekonany, że Komenda nie ma nic na sumieniu. Ja już nikomu do końca nie uwierzę.

Rozdział 16

ŚWIADKOWIE

Kiedy po pięciu rozprawach kończą się przesłuchania Norberta i Irka, na widowni robi się dużo luźniej. Rodzina Tomka miała dosyć komentarzy rodziców Małgosi. I sam sąd też źle na Teresę działał. Przesiedziała już swoje na tej widowni.

Dziennikarze przychodzą i wychodzą – oskarżeni powtarzają te same historie, nie trzeba ich słuchać po osiem godzin, żeby zrobić newsa z procesu.

Przychodzę na każdą rozprawę, zawsze jest też Jurek Kamiński z „Wiadomości Oławskich”.

Na przerwach obgadujemy sprawę. Poteralski zabronił mediom ujawniania dowodów do czasu rozpraw, na których będą przedstawione, więc dzielimy się tylko lichymi przeciekami. Jurek jest sceptyczny, uważa, że wszystko może się skończyć umorzeniem postępowania.

– Sąd będzie teraz bardzo ostrożny – mówi. Pamięta, jak ta sprawa wyglądała przed laty.

– To nie była wtedy jedyna dziewczyna zgwałcona na dyskotece. Nie było łatwo o wystarczający rozgłos – mówi. Rozmawiał wówczas z kilkoma świadkami. – Basiurę poznałem w 1997, byliśmy razem z Krysowatą na tym spotkaniu. Opowiadał, że został napadnięty na przystanku.

Czytałem jego artykuł o tej sprawie. Dopominał się odpowiedzi od policji, ale ta nie była specjalnie wylewna.

– Dopiero kilka lat temu, jak robiłem porządki w papierach, wyrzuciłem notatki Norberta, które mi wtedy dał. Nie pomyślałem, że mogą się przydać.

Prokuraturze przekazał za to zdjęcia z pogrzebu Małgosi.

Bywał wtedy u jej rodziców. Teraz też umawia się z nimi na rozmowę. Jadwiga mówi: – Wie pan, wątpliwości jest pełno. Może jutro będą na wolności? A myśli pan, że ludzie nie myślą tak? Że teraz przyjdą zeznawać i powiedzą coś, a jutro będą się z nimi spotykać na ulicy?

*

Pierwszym świadkiem, który zeznaje przed sądem, jest Krzysztof K. To on tamtej nocy bawił się z Małgosią i wyprowadzał ją na zewnątrz, gdy źle się czuła. Wtedy miał podejść do nich tajemniczy „Irek”

– Czy świadek mnie rozpoznaje – pyta go zaraz Ireneusz M.

– Nie potrafię ani potwierdzić, ani zaprzeczyć – odpowiada niepewnie Krzysztof.

– Wysoki sędzie, czy możemy się zmierzyć – Irek już się prostuje.

Sędzia Poteralski jest tą prośbą zaskoczony, ale się zgadza. Irek w asyście policji podchodzi do Krzysztofa. Stają obok siebie. Podchodzimy z Jurkiem zrobić zdjęcie. Irek jest prawie o głowę niższy od Krzysztofa.

– Jeżeli tamten Irek był wyższy, to nie mogłem być ja – mówi zadowolony. Później powtarza to jeszcze wielokrotnie.

Odtwarzanie nagrań przesłuchań Krzysztofa z prokuratury i odczytywanie jego zeznań sprzed lat ciągnie się godzinami. Po każdej części jest zasypywany pytaniami obrońców i pełnomocnika rodziców. Męczą go o ten rysunek miejsca zbrodni, który wykonał przed laty. I dlaczego pozwolił, by Małgosia odeszła z nieznanym.

Milczy tylko Sobieski. Jest przekonany, że Krzysztof nie ma nic wspólnego z tą zbrodnią. I że tak naprawdę sam jest ofiarą. Policja traktowała go jak winnego, zastraszano go, bito, a całe Miłoszyce o nim plotkowały.

Krzysztof mówi: – Moimi najlepszymi przyjaciółmi są syn i gołębie.

Sobieskiemu robi się go żal.

Niby jest tu świadkiem, ale czuje się, jakby znowu był podejrzany. – Nie mam nic wspólnego z jej morderstwem, ale boję się tych zeznań, które złożyłem zmuszony przez policjantów. Dalej czuję, że mogę zostać oskarżony. Po tej sprawie wszyscy odwrócili się do mnie plecami. Mam żonę, dzieci, pracę i tyle. Kiedyś było normalnie, grało się w piłkę z kolegami, żarty robiło, cokolwiek. Teraz nikt do mnie nawet nie zagładnie.

Na drugą rozprawę Krzysztof przychodzi już z pełnomocnikiem.

– Mój klient przed laty był poddawany presji fizycznej i psychicznej – mówi adwokat. – I teraz znów jest jej poddawany. W jego poczuciu nie ma różnicy między tym, co działo się w 1997 roku, a tym, co się dzieje teraz. On nie śpi po nocach, boi się tu przychodzić. Pamiętajmy, że mój klient występuje w tej sprawie jako świadek i powinien mieć możliwość swobodnej wypowiedzi, a nie czuć się skrępowany.

– Dlaczego pan się boi – Poteralski zwraca się do Krzysztofa.

– Po ostatnich publikacjach w Miłoszycach krzywo na mnie patrzą – głos mu się załamuje – a syn nie chce chodzić do szkoły, bo dzieci go wyzywają.

Sędzia Poteralski jednak na wyłączenie jawności się nie zgadza.

Krzysztof płacze się w zeznaniach, a gdy strony mu to wytykają, odpowiada już tylko: „Nie wiem”, „Nie pamiętam”.

– Te pytania nic nie wnoszą – denerwuje się ojciec Małgosi. To już czwarta rozprawa, na której przesłuchują Krzysztofa.

Jadwiga nie wytrzymuje i krzyczy: – Wyprowadziłeś moją córkę na śmierć! Słyszałeś, jak wzywała: „Pomocy!” Chciałbyś, żeby twoje dziecko wołało o ratunek i nikt by nie reagował? A wystarczyłoby, żebyś zapukał do czyichś drzwi po pomoc.

– Ma pani rację – mówi pod nosem Krzysztof.

– Co ma pan na myśli? – podchwytuje Poteralski.

– Nie wiem, dlaczego tak powiedziałem – chwilę się zastanawia. – Powinienem być w więzieniu za to, że w ogóle byłem na tej dyskotecie i się z nią bawiłem.

*

Rozprawy odbywają się niemal co tydzień. Mogę dopasować twarze do zeznań, które czytałam w aktach. Przed sądem stają znajomi Małgosi, mieszkańcy Miłoszyc, którzy widzieli ją ostatni, i ci, na których podwórku znaleziono zwłoki. Są też znajomi i rodzina obydwu oskarżonych. Sporo, a i tak sąd bardzo skrócił listę prokuratury.

Na zeznania nie decyduje się brat ani mama Irka. Jako rodzina mają prawo odmówić, dzięki temu Romualda może się przysłuchiwać zeznaniom.

Najwięcej pytań do świadków ma zawsze Irek. Wyłapuje nieścisłości w zeznaniach składanych teraz i przed laty, żąda szczegółów, których już nikt nie pamięta. Zasypuje świadków nazwiskami, pytając, czy znają te osoby, a najlepiej, żeby jeszcze powiedzieli, gdzie mieszkają.

– Po co panu takie informacje? – chce wiedzieć Poteralski.

– Wszystko się może przydać – mówi Irek. – Komenda milczał i jak to się skończyło?

Odpyskuje wszystkim, obraża się też na swojego adwokata. Kiedy Marcin Kostka nie może uczestniczyć w rozprawie z powodu śmierci babci, żąda nowego pełnomocnika. Chociaż Kostka świetnie zna już sprawę.

Irek na każdej rozprawie składa kolejne wnioski. Rodzice też dorzucają swoje. Krzysztof chciałby na przykład przesłuchania premiera Mateusza Morawieckiego i ministra Zbigniewa Ziobry.

– Chciałbym ich zapytać, dlaczego tydzień przed wyrokiem uniewinniającym Komendę przez Sąd Najwyższy wystąpili w telewizji i powiedzieli, że Tomasz Komenda jest niewinny. Co chcieli przez to uzyskać? Ja wiem, że siła jest po ich stronie, ale prawda jest po mojej.

Sąd wszystkie wnioski Krzysztofa odrzuca. Ojciec Małgosi co raz przywołuje sprawę Komendy. Nie może się pogodzić, że go uniewinniono.

– W godzinę – podkreśla. – Co to za sprawiedliwość.

Prosi, by sąd wstrzymał produkcję filmu, który robi o nim TVN, ale Poteralski tłumaczy, że taki pozew trzeba złożyć w sądzie cywilnym. Krzysztof chce, żeby ich pełnomocnik się tym zajął.

Kiedy nie robi tego od razu, zwalnia go tuż przed rozprawą.

Rozdział 17

EPIDEMIA

Kolejne tygodnie upływają pod znakiem doniesień o zakażeniach koronawirusem. 12 marca 2020 roku rząd wprowadza pierwsze ograniczenia. Zajęcia w szkołach zostają zawieszane, 23 marca rząd ogłasza stan epidemii. Nowe regulacje uderzają też w sądy. Większość posiedzeń jest odwoływana. Wciąż jednak odbywają się te zakwalifikowane jako pilne. Ale bez widzów.

– Nie wyobrażam sobie, jak mielibyśmy teraz prowadzić ten proces. Rodzice Małgosi są już starszymi ludźmi, ławnicy tak samo. A na najbliższą rozprawę wezwano sześciu świadków, część również w starszym wieku. Zresztą koronawirus dotyka też młodszych. Nie mam ochoty ryzykować i jeszcze narażać klienta. Ledwo skończyłam antybiotykoterapię i prawie nie wychodzę z domu, żeby się nie zakazić – denerwuje się Kopczyk, kiedy dzwonię zapytać, czy wie coś o kolejnej rozprawie.

– Nie wyobrażam sobie, że nie pozwolą nam relacjonować rozpraw – mówię.

– Mnie też zależy, żeby ta sprawa była jawna. Teraz mają zeznawać biegli. I co, ludzie nie poznają ich opinii? Przecież one są kluczowe.

Kopczyk składa wniosek o odroczenie terminu, powołując się na ograniczenie prawa do obrony. „Nie mogłam spotykać się z klientem w sposób umożliwiający swobodne i szerokie omówienie nadchodzących rozpraw” – argumentuje.

Sędzia Poteralski długo się zastanawia, co zrobić. Decyzję wydaje dwa dni przed wyznaczonym terminem. Nie przerywa procesu. Rozsadza ławników, wszyscy muszą mieć maseczki i zdezynfekować dłonie. Dziennikarzy nie wpuszcza na salę, ale organizuje łączenie na żywo. Jest pierwszy we wrocławskim sądzie, który decyduje się na takie rozwiązanie. Żartują, że Poteralskiego nic nie zatrzyma. Nawet jakby wybuchł pożar, ciągnąłby Miłoszyce.

Podajemy swoje adresy mailowe i dostajemy link do spotkania na platformie. Widzę, jak dołączają kolejni dziennikarze. Koleżanka z radia nie wyłączyła mikrofonu i wszyscy słuchamy jej rozmowy z mężem. Ja zaklejam kamerkę, żeby przez przypadek nie połączyć się z sądem w pizamie.

Wchodzi Poteralski, administrator nas wycisza. Kamera jest skierowana na twarz sędziego.

Dobrze go słyszeć, gorzej świadków. Ktoś pisze na czacie: „Prosimy głośniej”. Po rozprawach zdzwaniamy się z Jurkiem, żeby porównać, co usłyszeliśmy. Teraz zaczynają się zeznania biegłych.

*

Doktor Jerzy Kawecki ma się połączyć zdalnie z sąsiedniego pokoju, żeby jak najmniej osób przebywało na sali.

Ale połączenie nie działa, więc Kawecki staje przed sądem. Znow opowiada o sekcji Małgosi.

- Do śmierci doprowadziły rozległe obrażenia narządów płciowych, prowadzące do obfitego krwawienia, a także znaczne wychłodzenie organizmu. Tamtej nocy było minus osiemnaście stopni. Charakter obrażeń świadczy o działaniu ze szczególnym okrucieństwem. Można je rozpatrywać jako zemstę za niedyspozycję seksualną sprawcy.

Pytają Kaweckiego o badania, które przeprowadził. To on porównywał odciski szczęk ze śladem na ciele Małgosi.

- Biegli nie mieli wtedy możliwości korzystać z oprogramowania komputerowego – mówi przed sądem. Swoje opinie podtrzymuje. – Odpowiadam jedynie za stan wiedzy, kiedy te ekspertyzy były wykonywane.

- Być może na tamte czasy te dowody były dobre, ale nie pamiętam, żeby wtedy ktokolwiek chociaż wspominał, że coś mogło zostać sfałszowane, a teraz takie podejrzenia się pojawiają. I to jest dla mnie dziwne – komentuje Krzysztof. I rzuca do biegłego: – Mówił pan, że dowód przeciwko Komendzie jest kategoriyczny.

Sędzia przypomina, że to nie jest sprawa Komendy.

Kaweccki tłumaczy krótko: – Ze względu na źle wykonane fotografie i brak zachowania na nich perspektywy nie można było bezpośrednio porównać śladów z odlewem szczęki Tomasza Komendy, dlatego posłużyliśmy się proporcjami. Za ich wykonanie odpowiadał Wiesław Semiczek.

Sąd wezwał go na przesłuchanie, ale wytłumaczył się podeszłym wiekiem i poważnymi problemami ze zdrowiem. Miał dwa zawały i wszczepili mu bajpasy. Zeznania złoży na piśmie. Irek już zapowiada, że będzie miał pytania, ale jakie – jeszcze nie wie.

Zeznania biegłych, którzy przed laty przygotowywali opinie, zgadzają się w jednym – obecne metody są o wiele bardziej precyzyjne. Nowych wyników, mimo usilnych prób Irka, komentować nie chcą – nie oni je przeprowadzali.

Wszyscy czekają na Krzysztofa Kolocha, który po latach odnalazł na ubraniach Małgosi ślady DNA.

Mówi oficjalnym tonem, nic ponad to, o co go pytają. Zapewnia, że Laboratorium Kryminalistyczne KWP we Wrocławiu posiada wszystkie niezbędne certyfikaty i nigdy nie stwierdzono błędów w wydawanych przez nie ekspertyzach.

– Czy fakt, że część próbek nie nadawała się do badania, nie świadczy o degradacji materiału? – dopytuje Tomasz Stykała, obrońca Irka.

Koloch się niecierpliwi, ale stara się spokojnie odpowiadać na pytania: na jakość dowodów wpływ ma wiele czynników, ale nawet po dwudziestu latach mogą być w dobrym stanie.

– Tylko dlaczego w 1997 roku nie stwierdzono śladów spermy? – drąży Kopczyk.

– Może to kwestia doświadczenia – mówi biegły i długo opowiada o badaniach, które przeprowadził. Rzuca liczbami, gubię się przy opisach kolejnych procedur. Mam poczucie, że jestem na wykładzie o DNA dla zaawansowanych.

Obrona jednak się nie poddaje. Kopczyk poprosiła o opinię niezależnego eksperta. Teraz korzysta z jego wskazówek.

– To bardzo dziwne, że na rajstopach ofiary nie znaleziono DNA Małgosi, było za to doskonale zachowane DNA mojego klienta – mówi.

– Rozumiem, że pani mecenas spodziewałaby się DNA ofiary, też jestem zaskoczony. Ale jego tam nie ma, a ja nie mam wpływu

na wynik badania – Koloch niecierpliwi się coraz bardziej. Przecież wszystko dokładnie opisał.

– Jestem laikiem, staram się zrozumieć... – mówi Kopczyk i jeszcze długo ciągnie wątek czystego profilu Norberta i zdegradowanego DNA Małgosi.

Biegłego dopytuje też Norbert.

– Czy można stwierdzić, jak długo nasienie znajduje się na materiale, z którego je pobrano?

– Żadne z badań nie jest w stanie tego określić – odpowiada Koloch.

Długi zestaw pytań ma też Irek. Okrasza je wystąpieniami, w których zapewnia, że nie ma możliwości, by na ubraniach Małgosi znaleziono jego spermę.

– Chyba że sikała pod płotem, tam gdzie ja, i kucając, ubrudziła sobie ubranie – mówi i pyta biegłego, czy sperma mogła się znaleźć w moczu. Koloch w tym zakresie nie czuje się jednak ekspertem, nie chce odpowiadać.

*

Irka oprócz DNA pogrążają jeszcze badania odcisku szczęki.

– Przez tyle lat nie wiadomo, co się działo z tym modelem – przekonuje biegłych.

A jego adwokat wyciąga artykuł naukowy, zaznacza, że z amerykańskiego czasopisma. Napisali w nim, że ślady zębów nie mogą być wykorzystywane jako dowód w sprawach karnych.

– Prawdą jest, że nie można wydać opinii kategorycznie pozytywnej, a jedynie kategorycznie negatywną. Nie ma możliwości, by przeanalizować wszystkie cechy uzębienia. Nie zgadzamy się jednak z twierdzeniem, że jest to dowód nieprzydatny – mówi biegła dr Dorota Lorkiewicz-Muszyńska.

Irek chce wiedzieć, czy ktoś inny mógł zostawić taki ślad. Bo przecież on Małgosi nie gryzł.

Stomatolog dr Mariusz Glapiński odpowiada: – Prawdopodobieństwo, by taki sam układ zębów miał inny człowiek, jest znikome, wręcz graniczące z niemożliwością. Mam dwadzieścia lat doświadczenia i nigdy nie spotkałem się z taką sytuacją.

Rozdział 18

FILM

– Musiałem schudnąć dziesięć kilogramów i nauczyć się mówić z nakładkami na zęby. Żadne przygotowania nie dały mi jednak tyle, ile jedno spojrzenie w oczy Tomka, przytulenie, podanie dłoni. Zobaczyłem mężczyznę, który jest jednocześnie silny i wrażliwy. Zrozumiałem, że to nie jest fikcja – mówi w wywiadach Piotr Trojan, który zagrał tytułową rolę w filmie o Tomku Komendzie. Jego premiera zbiega się z końcem procesu.

„Już pierwsza scena *25 lat niewinności* jest jak uderzenie pięścią w brzuch. Holoubek wrzuca widza w sam środek wydarzeń, rozpoczynając film od brutalnego aresztowania Komendy” – pisze Małgorzata Steciak w „Vougue’u”.

„To produkcja, którą trudno oglądać bez emocji. Świadomość, że to wszystko wydarzyło się naprawdę, jest brutalnie przytłaczająca. Obserwowanie kolejnych etapów koszmaru, przez który Komenda przeszedł, było niemal nieznośne, dlatego też z sali kinowej wyszłam sfrustrowana i wściekła” – recenzuje dla Gazeta.pl Justyna Bryczkowska i dodaje: „Tomaszowi Komendzie zwyczajnie

należał się dobry film i taki też od Jana Holoubka i jego ekipy dostał”.

Piotr Guszowski z „Wyborczej” przyznaje, że opowieść angażuje. „Obawiałem się produkcji próbującej wycisnąć tanie wzruszenia z kolejnej prawdziwej historii. Jednak *25 lat niewinności. Sprawa Tomka Komendy* to zaskakująco niezłe, solidne kino – sprawne, poruszające, z mocnymi rolami”.

– Ryczałam już na zdjęciach próbnych, co zdarzyło mi się pierwszy raz w życiu. Prawda Piotrka Trojana w graniu Tomka Komendy, jego niezwykła prostota i szlachetność, ten wielki takt oraz delikatność w opowiedzeniu tak trudnej historii, były przerażające – mówi w wywiadzie dla miesięcznika „Pani” Agata Kulesza, odtwórczyni roli Teresy.

Na oficjalną premierę zaproszenia otrzymują też śledczy. Prokuratorzy Tomankiewicz i Sobieski razem z Remikiem byli nawet z rodzinami na planie, wśród polskich gwiazd i celebrytów są jednak anonimowi.

Scena z ich udziałem trafia jednak do filmu. Sobieski dziwnie się czuje, widząc siebie na ekranie. Aktor, który go gra, jest grubszy niż on. Ale przecież schudł dopiero ostatnio z pomocą dietetyczki. Zupełnie zmyślona jest scena, gdy w trakcie wyjazdu omawiają szczegóły sprawy. Sobieski nigdy nie był na rybach.

Remik jest dumny, bo sam pomagał Holoubkowi. Pokazał mu Miłoszyce, konsultował scenografię, a Piotrka Trojana uczył zachowań Tomka. Nie może się nadziwić, jak dobrze go naśladowe.

I faktycznie aktorzy odrobili lekcje, bo idealnie odwzorowują emocje swoich bohaterów. Scena, jak Tomek wychodzi z więzienia, wygląda dokładnie tak, jak ją zapamiętałam.

Rozumiem, że na potrzeby kina historię trzeba było uprościć, ale po późniejszych komentarzach widzę, że niektórzy fabułę

potraktowali jak dokument.

W pierwszy weekend wyświetlania film ogląda w kinach 125 331 widzów. To świetny wynik, szczególnie że przez obostrzenia sanitarne w salach może być zajęta maksymalnie połowa miejsc.

Film zbiera dziewiętnaście nagród, w tym siedem Orłów i dwa Złote Lwy.

*

Po pierwszym oficjalnym pokazie Tomek wychodzi na scenę.

– Na sali jest kobieta mojego życia, która nosi mojego syna. Za trzy miesiące zostanę ojcem. Kochanie, mogłabyś do mnie podejść? – mówi. Gdy Ania się zbliża, Tomek klęka. Wyciąga z kieszeni pierścione. – Zostaniesz moją żoną? – pyta.

– Tak – Ania, płacząc, obejmuje Tomka. Wszyscy zaczynają klaskać. Relacje z tych oświadczeń trafiają potem na Instagram wielu polskich gwiazd. „Nie płakałam tak od czasów *Titanica*” – pisze pod filmikiem jedna z celebrytek. Temat od razu podłapują tabloidy, opisują wielką miłość.

Tomek poznał Anię przez portal randkowy. Ona napisała pierwsza: „Fajnie cię zobaczyć po tej stronie”. Kilka razy kontakt im się urywał, aż przez przypadek spotkali się na ulicy. Szedł z bratem, ona go zauważyła.

– Tomek? – zagadała. Poznał ją ze zdjęcia. Pisał z wieloma dziewczynami, ale z żadną nie spotkał się na żywo.

– No cześć Ania – Tomek się uśmiecha.

Na pierwszą randkę umówili się u niej, żeby uniknąć wścibskich spojrzeń. Nie mogą się nagadać, mówią jedno przez drugie. Wtedy pierwszy raz się całują. Szybko robi się poważnie. Jedno spotkanie, drugie, wyznają sobie miłość, snują plany na przyszłość.

*

Tomek mieszka jeszcze z rodzicami. Ale w dwóch niewielkich pokojach jest im trochę ciasno, a on często potrzebuje побыć sam. Nocami nie potrafi zasnąć i kręci się po domu. O północy zaczyna gotować. Rodzice rozumieją, że przez osiemnaście lat przyzwyczał się do czuwania, żeby nikt mu nie zrobił krzywdy. Czasem, kiedy zostają sami, Tomek opowiada matce o więzieniu. Ona nie potrafi tego spokojnie słuchać, płacze. Przestaje więc wspominać.

Ale nie mogą uciec od przeszłości. Prokuratura w Opolu, która prowadzi sprawę o odszkodowanie, wezwała na przesłuchania całą rodzinę. Gdy prokurator wypytuje Teresę, czuje się, jakby nie była świadkiem, ale oskarżoną.

Tomek prosi o odroczenie terminu, tłumacząc się złym stanem psychicznym. Nie ma siły wracać do więzienia, nawet w pamięci.

– Przecież wszystkie moje zeznania zostały nagrane przez prokuraturę. Dlaczego po prostu tego nie odsłuchają? – denerwuje się. Ale skoro przekłada zeznania i wymagane badania, proces się przeciąga. A Tomek chciałby już nigdy nie przychodzić do sądu. Marzy mu się dom, rodzina – tak mówi. Chciałby się wyprowadzić na swoje. Kocha matkę, ale jest zbyt opiekuńcza. Zapomina, że on już jest dorosłym mężczyzną.

Spotykał się z paroma dziewczynami, ale nic z tego nie wyszło. Tomek czuje, jakby one nie widziały w nim człowieka, tylko tego Komendę, co wyszedł z więzienia.

Myśli, że z Anią jest inaczej. Spędza z nią całe dni, bawi się z jej dziećmi. Ma dwójkę, wychowuje je sama. Z ich ojcem od dawna nie ma kontaktu. To był przemocowy związek. Z Tomkiem chce żyć zupełnie inaczej.

Po dwóch miesiącach mieszkają już razem. TVN robi o nich reportaż. Kamera śledzi, jak przytuleni spacerują z psem po wałach nad Odrą.

– Uczucie przychodzi samo. Albo jest, albo go nie ma. Poczułem motylki w brzuchu, wiedziałem, że Ania jest tą jedyną – opowiada Tomek.

Mówią, że są szczęśliwi, chociaż przeszłość nadal nad nimi ciąży.

Anna opowiada: – Nigdy nie chciałam od Tomka wyciągać informacji. Nie dopytywałam go, co go tam spotkało, jak było. Czekałam na moment, że sam się przede mną otworzy i wszystko mi opowie. Były momenty, że się otwierał i oboje płakaliśmy jak dzieci.

Tomek: – Ania mnie wzmacnia. Czuję, że nie jestem sam. Jak jeszcze będziemy mieć dziecko, to już nic więcej mi nie potrzeba do szczęścia.

– To jeszcze mocniej nas zwiąże. Rodzina będzie pełna. Bardzo chcę urodzić Tomkowi dziecko – mówi Ania do kamery. – Kocham go ogromnie. Bez niego już bym nie potrafiła żyć.

*

Jadwiga jedzie z córką do kina do Oławy, żeby zobaczyć film o Komendzie. Krzysztof odmówił, nie chce nawet na to patrzeć.

Jadwiga wraca roztrzęsiona: – Pokazali, jak ona leży za tą stodołą, cała nagusieńka.

– Jakby to była córka jakiegoś polityka, to nigdy by się nie odważyli tego zrobić. A nami to można pomiatać – denerwuje się Krzysztof.

Wprawdzie w filmie zgwałcona dziewczyna nazywa się Marysia, ale przecież wygląda zupełnie jak Małgosia.

– Komenda się na niej promuje, po śmierci nawet jej spokoju nie da. Wszyscy kariery na naszym dziecku robią – mówi do Jadwigi Krzysztof. I zaraz planuje ich powstrzymanie. Cały wieczór robi transparenty: „Nowo narodzony Tomasz Komenda, TVN, redaktor Głuszak, mecenas Ćwiąkalski – won od Małgosi. Żerujecie na jej śmierci” i „Sąd ostateczny i definitywny. To Małgosia zgwałciła i zamordowała aktora Tomasza Komendę. Oskarżeni B., M. i inni. Oszuści do zamknięcia w sejfie. Wszyscy Polacy to wielka...”

Przynoszą je na następne posiedzenie. Stają z nimi przed sądem. – Proszę zrobić zdjęcie – mówi do mnie Krzysztof. – Oni muszą się w końcu odczepić od Małgosi.

Przed sądem czyta z kartki: – Ten film jest porażką wymiaru sprawiedliwości. Prosiliśmy, dajcie temu dziecku spokojnie leżeć w grobie. Ale nie, na jej zwłokach kolejni robią kariery, zdobywają sławę i pieniądze. Od Małgosi won, wszyscy won – Krzysztof podnosi głos.

Tomek Komenda i jego szybkie uniewinnienie zajmują też większość jego mowy końcowej. Swoje dodaje też Jadwiga: – On powinien wrócić do więzienia. Psy się przecież nie mylą, a one wskazały na niego.

Skazania Irka i Norberta też się domagają. Dowody są według nich pewne.

– Dużo można wybaczyć, ale gwałtu ani morderstwa dziecka wybaczyć się nie da. My nie chcemy jednak współczucia, tylko sprawiedliwości. Oskarżeni powinni resztę życia spędzić w celi śmierci.

– Za to powinna być kara śmierci, i to okrutnej śmierci – dodaje Jadwiga.

Rozdział 19

WYROK

Sobieski do mowy końcowej przygotowuje się skrupulatnie. Nie może być za długa, ale musi wymienić wszystkie dowody, pokazać drobiazgowość śledztwa.

Mówi o obrażeniach Małgosi i jak do nich doszło. Okrucieństwo sprawców zestawia ze śladami, które zostawili na ubraniach dziewczyny.

Sobieski wie, że musi być stanowczy. Tu nie ma miejsca na wątpliwości.

– W którą stronę przechyliłaby się waga Temidy, kiedy położylibyśmy na niej te wszystkie dowody biologiczne, a po drugiej stronie gołosłowne zapewnienia oskarżonych, że są niewinni? Powtarzali jak mantrę, że tego nie zrobili, licząc zgodnie z tym, co powiedział Joseph Goebbels, że „kłamstwo powtórzone tysiąc razy staje się prawdą”. Ale te dowody na to nie pozwolą, ich nie da się podważyć. Dzięki nowoczesnej biologii i umiejętnościom biegłego wiemy, że to są sprawcy zabójstwa Małgosi – mówi.

Przypomina, że gdy doszło do morderstwa, Norbert Basiura nie był szanowanym strażakiem, ale miał na koncie pobicie i zastraszanie.

– Mataczył w sprawie, wskazując, że potencjalnym sprawcą może być mężczyzna, z którym konkurował o względy obecnej żony. Przekonywał też, że przez współpracę z organami ścigania został pobity i był zastraszany, a nie wiedział o tym nawet jego przyjaciel – Sobieski podkreśla też, że biegła oceniła zeznania jako niewiarygodne. A obrona o to nawet nie dopytała.

O Irku prokurator mógłby długo mówić. To upodobanie do gryzienia, ślady szczęki, historie kobiet, które gwałcił jak Małgosię.

– Nie ma chyba wątpliwości, co zrobiłby, gdyby wyszedł na wolność – podkreśla.

Aż się wzdryga, gdy myśli, że ktoś mógłby tak skrzywdzić jego córki. Niedługo będą w wieku Małgosi.

Raz po raz wraca do niej w mowie końcowej. Że miała czarną sukienkę, którą zapamiętali świadkowie. Że padła ofiarą polowania. Że ślady zostawione na sukience pozwoliły zatrzymać sprawców.

– Została zostawiona na nieoświetlonej części podwórka, gdzie nie była widoczna z żadnej strony. Gdyby sprawcy chociaż zostawili uchyloną bramę, może mogłaby się przeczołgać, może ktoś by ją znalazł i ta historia miałaby inne zakończenie. Oskarżeni nie są upośledzeni umyślowo. Musieli przewidzieć jej śmierć. Nie pomogli jej jednak, by uniknąć odpowiedzialności karnej – mówi prokurator. Kończy emocjonalnie: – Dla zaspokojenia potrzeby seksualnej zgwałcili dziewczynkę, która miałaby dzisiaj trzydzieści dziewięć lat. Mogłaby się cieszyć z bycia żoną, matką.

Sobieski chce dwudziestu pięciu lat więzienia dla Basiury i dożywocia dla M. Irek udowodnił, że resocjalizacja na niego nie

działa.

*

– Chciałabym zacząć od smutnej refleksji, że sąd nie dopuścił wniosków dowodowych obrony. I tak ten proces wyglądał od początku. Byle szybciej, byle do przodu – zaczyna swoją mowę końcową Renata Kopczyk, obrończyni Basiury. I przekonuje: – Badania DNA to jedyne dowody przeciwko oskarżonym, ale ze względu na związane z nimi wątpliwości nie mogą przesądzać o winie. Nie chciałabym, żeby historia sprzed dwudziestu lat miała swój kolejny etap za dwadzieścia lat. A już raz mieliśmy w tej sprawie taką sytuację.

Wymienia te wątpliwości, m.in. fakt, że na rajstopach ofiary zdegradowało jej własne DNA, a to zbieżne z kodem Basiury zachowało się w czystej postaci.

Zwraca też uwagę, że nikt nie widział Norberta w pobliżu podwórka, gdzie znaleziono ciało Małgosi. Co więcej, żaden ze świadków nie potwierdził, że oskarżeni się znają, jak więc mieli razem zaplanować tę zbrodnię.

– Ten proces, podobnie jak proces Tomasza Komendy, ma charakter poszlakowy. Warunkiem koniecznym jest jednak, by między poszlakami istniał związek przyczynowo-skutkowy. Tu takiego logicznego związku nie ma – mówi Renata Kopczyk. Kończy łacińską sentencją: – To, co od początku jest wadliwe, przez upływ czasu nie stanie się prawdziwe.

Mecenas Tomasz Stykała, obrońca Irka, uderza w podobne tony: – Musimy odpowiedzieć na pytanie, jak powinien wyglądać wymiar sprawiedliwości, a jak wygląda i do jakich tragedii prowadzi. Dzisiaj nie wiemy wiele więcej niż w pierwszym procesie. Oskarżyciel

powtarza „DNA”, ale nie wspomina, że jest to dowód pośredni, który musi być powiązany z resztą materiału dowodowego.

Mecenas Stykała przekonuje też, że o żadnym *modus operandi* Ireneusza nie może być mowy, bo pozostałe pokrzywdzone przez niego kobiety nie były ani nieletnie, ani nie były dla niego obce, przeciwnie, były znajomymi, konkubinami.

Kpi, czy naprawdę prokuratura wierzy, że ktoś, kto chce zgwałcić, przedstawiałby się prawdziwym imieniem.

Podaje także w wątpliwość klasyfikację czynu.

– Czy sprawcy na tym ciemnym podwórku naprawdę wiedzieli, jakie obrażenia jej zostawili? Czy mogli wiedzieć, że będą dla niej śmiertelne, jeżeli – tak jak mówił prokurator – Małgosia wcześniej się broniła?

On również podważa rzetelność badań DNA, a także przywołuje opinie biegłych, według których ślady odcisku szczęki nie mogą być traktowane jako dowód.

– Naszego sądu nie stać na kolejną kompromitację – podsumowuje Stykała, wnosząc o uniewinnienie.

Wszyscy się spodziewają, że jego klient będzie mówił długo, może nawet nie zdążą na tym posiedzeniu. Ale Irkowi starczą dwie godziny, raz po raz powtarza, że jest niewinny.

– Dwadzieścia lat temu wrabiali Komendę, a teraz wrabiają mnie.

Norbert Basiura przemawia krótko: – Stoję tu przed państwem i powtarzam, że jestem niewinny. Tak, byłem na tej dyskotecie. Tak, sprzedawałem bilety. Ale nie znam Małgorzaty, nigdy nie wyprowadziłem jej z dyskoteki ani nie zgwałciłem.

*

25 września 2020 roku na pierwszym piętrze Sądu Okręgowego we Wrocławiu jest tłoczniej niż zwykle. Przed salą, w której

widownię oddziela kuloodporna szyba, stoją policjanci. Nieco dalej bracia Tomka, po drugiej stronie rodzice Małgosi. Jadwiga w ciemnych okularach i eleganckiej garsonce, Krzysztof w ciemnej koszuli. Chociaż dzień jest ciepły, obydwójce mają na dłoniach czarne skórzane rękawiczki.

Sobieski zaraz zwraca na nie uwagę. Kojarzą mu się z przestępcami, których zamyka. „Co oni kombinują?” – myśli. Boi się, że mogą się rzucić na oskarżonych. Albo na niego.

Plotkuję z kolegami z innych redakcji. Główny temat: jaki będzie wyrok.

– Powinni umorzyć ze względu na brak wystarczających dowodów – mówi jedna z dziennikarek, która regularnie bywała na rozprawach.

Kolega dodaje: – Przez sprawę Komendy sędzia będzie się bał.

Ale pojawiają się też głosy, że przy takich dowodach muszą zapaść wyroki skazujące. Tylko pytanie, czy Norberta sąd potraktuje jak Irka. Strażak cieszy się większą sympatią wśród dziennikarzy.

Stoi w pobliżu, mam nadzieję, że nie słyszy naszych rozmów. Z głową pochyloną w dół wygląda jednak na całkowicie pogrążonego w swoich myślach. Trzyma się blisko Renaty, jakby chciał się za nią schować. Powiedziała mu wczoraj, żeby zabrał ze sobą szczoteczkę do zębów, bo wszystko się może zdarzyć. Ale on nie chciał przygotowywać się do aresztowania, woli wierzyć, że wróci do domu, do Kamili i dzieci. Renata dyskretnie przekazuje mu więc nową szczoteczkę.

– Na wszelki wypadek.

Irka doprowadzają z aresztu, czekamy już tylko na niego. Wchodzi w otoczeniu policji. Obok siada Norbert. Przed nimi Kopczyk i Stykała. Ławki naprzeciwko nich zajmuje Sobieski i rodzice Małgosi.

My kłębimy się po obydwu stronach szyby. Kamery, aparaty i telefony są skierowane na sędziego.

– To nie była łatwa decyzja, czuliśmy na sobie jej ciężar. W tej sprawie niesłusznie skazano Tomasza Komendę, teraz też najłatwiej byłoby wydać wyrok uniewinniający. Jako funkcjonariusze publiczni nie możemy jednak uciekać od trudnych decyzji, a wszyscy – poza jedną ławniczką – wydaliśmy ten wyrok z przekonaniem, że wina nie budzi wątpliwości – mówi sędzia Marek Poteralski.

Podkreśla, że o winie oskarżonych świadczą przede wszystkim ślady biologiczne, które po latach udało się odkryć na ubraniach Małgorzaty.

– To jednoznaczne dowody wskazujące przynajmniej na sprawstwo gwałtu. Biegli ocenili je na ekstremalnie mocne w przypadku Basiury i bardzo mocne w przypadku M. – przypomina sędzia Poteralski i zaznacza, że nie można rozgraniczyć gwałtu od zabójstwa. – Małgorzata nie próbowała ani się ubierać, ani uciekać. Oskarżeni, zostawiając ją leżącą na ziemi, musieli więc przewidywać, że wydarzy się najgorsze. A oni jakby nigdy nic wrócili na dyskotekę. Mieli czas na refleksję, mogli chociażby wykonać telefon na pogotowie. Nie zrobili nic.

Obydwu oskarżonych sąd skazuje na dwadzieścia pięć lat więzienia.

Irek kręci głową z oburzeniem. Norbert płacze. Policjanci zakuwają go w kajdanki.

*

Rodzice Małgosi podnoszą w górę dłonie w czarnych rękawiczkach. To Krzysztof wpadł na ten pomysł. Zrobią to co dwaj czarni biegacze na igrzyskach olimpijskich w 1968 roku. Dla nich było to wołanie

o sprawiedliwość dla krzywdzonych Afroamerykanów. Oni chcą sprawiedliwości dla Małgosi.

Nie brali nawet pod uwagę, że wyrok może być inny. Skazanie Basiury i M. nie przynosi im jednak ulgi.

– Oni powinni zostać zatrzymani dwadzieścia lat temu. Tylko nikomu się nie chciało otworzyć sejfu, a tam było wszystko. Sami osobiście zabezpieczyliśmy ubrania Małgosi. Czego nikt wtedy nie zrobił. A kto był wówczas prezydentem, kto się na niej promował? Lech Kaczyński. On tuczył się na moim dziecku, a nie pozwolił przebadać tej sukienki – denerwuje się Krzysztof, gdy przed salą rodziców zatrzymują dziennikarze. – Dlaczego musieliśmy czekać dwadzieścia lat, żeby takie bydlę miało czas się ożenić, spłodzić dzieci, wybudować dom, a myśmy ginęli i ginimy nadal. Ale widocznie Małgosia czuwa nad nami. Ja już miałem dawno umrzeć, ale żyję, dla tej chwili też. Dzięki temu sądowi, że jednak rozeznał te dowody, które są naprawdę ważne i prawdziwe. DNA jest święte, tego nikt nie jest w stanie ruszyć.

Prycha, że żadna to zasługa Sobieskiego i Remika.

– To ta sama banda, niby wielką robotę zrobili, a te dowody cały czas leżały w szafie i trzeba było je tylko zanieść do laboratorium.

Krzysztof i Jadwiga krzyczą jedno przez drugie. O Ziobrze, który od początku żyje na Małgosi. I filmie o ich córce.

– Chcecie pokazać prawdziwą tragedię małżonki? – zwraca się do kamer Krzysztof.

– To do kina, idźcie do kina – krzyczy Jadwiga.

– Niech Ziobro raz na zawsze odpiardoli się od mojego dziecka, niech nie robi już konferencji, niech już nie mówi o benedyktyńskiej pracy. To są nasze dowody, a oni sobie film nakręcili – denerwuje się Krzysztof.

Jadwiga go przekrzykuje: – I zapytajcie Sobieskiego, co mi włożył do grobu.

Podchodzi do dziennikarzy, zaraz znowu się odwraca. Miota nią wściekłość.

– Ja nie wiem, kogo ja pochowałam. Trumnę pochowałam – krzyczy, a głos jej się załamuje. Bierze Krzysztofa pod rękę.

– Tyle wam starczy – mówi ojciec Małgosi, idąc z Jadwigą w stronę wyjścia. Na końcu korytarza jeszcze się obraca i krzyczy w naszą stronę: – A Głuszak to jest padlina. Wstydziłibyście się za niego.

Dziennikarz TVN wiedział, że rodzice Małgosi mogą go zaatakować. Obwiniają go o film, chociaż to nie on za niego odpowiada. Mają do niego pretensje o materiały dotyczące Tomka, a przecież robił tylko swoją robotę. Słyszał już ich zarzuty, dostał je nawet listownie, ale milczy. Chce uniknąć publicznej afery, dlatego z sądu wychodzi pierwszy.

Rozdział 20

TATA

Po wyroku dzwonię do Tomka. Oglądał rozprawę w telewizji.

– To są zupełnie inne sprawy. Ta była prowadzona rzetelnie, zajmowały się nią doświadczone i kompetentne osoby. Mnie skazali tacy, co brali łapówki. Nareszcie mamy sprawiedliwość. Niech zwyrodnialcy trafią tam, gdzie jest ich miejsce – mówi.

– Masz do nich żal?

– Nie mam wpływu na przeszłość. Chcę o tym zapomnieć, a nie zastanawiać się, co by było gdyby. To już za mną. Ale rodzice Małgosi przegięli. Muszą skończyć mnie obrażać.

Przez kolejne tygodnie rozmawia z prawnikiem o możliwych krokach prawnych.

– Wszystko ci opowiem, tylko muszę dogadać szczegóły – mówi, gdy znowu się zdzwaniamy. – Oni muszą przestać opowiadać, że jestem mordercą Małgosi. Ja nie mam nic wspólnego ze śmiercią ich córki. Przez osiemnaście lat tego słuchałem, ale już nie muszę. Jestem niewinny.

W końcu jednak rezygnuje z pozwu – nie ma siły na kolejną batalię sądową.

Przez telefon Tomek raz jest radosny, a zaraz jakby przytłoczony, narzeka, że ma jeszcze zobowiązania w telewizji, a już dosyć ma tego szumu wokół siebie. Wkurzył się trochę na mecenasa Cwiąkalskiego, że ciągle się gdzieś o nim wypowiadał. Zaraz jednak nastrój mu się poprawia. Chwali się, że niedługo urodzi mu się syn.

– Zostanę ojcem i nic więcej się teraz nie liczy.

Umawiamy się na spotkanie. Tomek zgodził się na rozmowę o swojej codzienności na wolności.

W dzień spotkania pisze, że coś mu wypadło i czy możemy się umówić następnego dnia o godzinie siedemnastej w kawiarni koło Teatru Polskiego. Przyjeżdżam chwilę przed umówioną porą. Mijają kolejne minuty, ale go nie ma. Dzwonię, nie odbiera. Kręcę się przed kawiarnią, ale Tomek się nie pojawia. Po czterdziestu minutach wracam do domu. Ledwo odjeżdżam, dzwoni telefon. To Tomek. W słuchawce słycać tylko szelest. Rozumiem, że oddzwonił przez przypadek i nie słyszy nawet, co do niego mówię. Milknę zrezygnowana. Z oddali dochodzą do mnie krzyki Tomka: – Kurwa, pierdolę to.

Przez kolejne miesiące nie mam z nim kontaktu. Wysyłam mu tylko SMS z gratulacjami, gdy czytam, że 1 grudnia 2020 roku rodzi mu się syn. Informuje o tym prywatna porodówka, która zasponsorowała ich pobyt, a newsa podają niemal wszystkie media. Na profilu szpitala jest zdjęcie Ani ze śpiącym niemowlakiem w ramionach.

„To jedna z takich chwil, kiedy ze wzruszenia brakuje słów. Bo choć każdy rodzic czeka na swoje dziecko z równie wielką miłością, droga do tego Szczęścia nie zawsze jest taka sama. Pani Ani oraz Panu Tomaszowi Komendzie, któremu z przyczyn od niego

niezależnych osiemnaście lat przyszło czekać na ukochane dziecko, składamy najserdeczniejsze gratulacje z powodu narodzin synka! Mały Dzentelmen (na zdjęciu z mamą – Anią), który przyszedł na świat w szpitalu Medfemina, ma na imię Filip” – piszą, okraszając post serduszkami i emotkami dziecka.

Tomek publicznie pokaże się jeszcze raz. W lutym 2021 roku kończy się proces w Opolu. Sąd przyznaje mu 12 milionów złotych zadośćuczynienia i 811 533 złote odszkodowania. To rekordowa kwota w polskim wymiarze sprawiedliwości. Ani prokuratura, ani sam Tomek nie chcą się od niej odwoływać.

– Zacznę w końcu żyć, tak jak powinienem żyć od samego początku. Ktoś ukradł to, co ukradł i skończyło się, jak się skończyło – mówi Tomek po wyjściu z sali.

Dziennikarze pytają go, jakie ma plany.

– Nie potrafię powiedzieć, dziś są jeszcze emocje. Musi upłynąć trochę czasu i wtedy będę wiedział co dalej. Teraz wracam do mojego syna, bo on czeka na swojego tatę, który jest szczęśliwy.

*

Pewnego wieczoru, już po wyroku skazującym Irka i Norberta, ale jeszcze przed otrzymaniem odszkodowania przez Tomka, dzwoni do mnie zastrzeżony numer.

– To nie jest tak, jak pani pisze. Są dowody, że Komenda jest winny.

– Kto mówi? – pytam, chociaż słyszę, że to mama Małgosi.

– To nie jest teraz ważne. Chce pani napisać prawdę?

– Pani Jadwiga? – dopytuję.

– Niech się teraz pani skupi na sprawdzeniu dowodów przeciwko Komendzie. Na razie więcej nie powiem – mówi i się rozłącza.

Niedługo później do redakcji przychodzi list od Jadwigi napisany odręcznie na kartkach wyrwanych z zeszytu. Wyzywa w nim Tomka od skurwysynów i morderców. Pisze, że on, M. i Basiura powinni zawisnąć nadzy na tej stodole, co Małgosia pod nią umarła. A całe Miłoszyce niech na nich patrzą.

Chcę z nią porozmawiać, ale nie odbiera. Krzysztof mówi mi tylko, że żona napisała już wszystko, co chciała. On sam dzwoni do mnie regularnie.

– Ja wiem, że pani uważa, że Tomasz Komenda jest niewinny. Ma pani prawo. I ja nawet nie mówię, że on na pewno to zrobił, ale sąd powinien jeszcze raz poprowadzić mu uczciwy proces. A żona... Sama pani wie. Ona, by go udusiła, jakby go spotkała. Trochę zła jest na mnie, że z panią rozmawiam. Uważa, że media nam w tej sprawie nie pomogły. Pozowała na cmentarzu, w domu przy oknie płakała, a nic z tego nie wyniknęło.

Najbardziej go jednak złości kariera Kaczyńskiego i Ziobry. Nie daje mi dojść do słowa, tylko złorzeczy to na jednego, to na drugiego.

– Kaczyński jako minister sprawiedliwości nadzorował tę sprawę. Dlaczego więc nie nakazał ponownego przebadania wszystkich dowodów, które, jak teraz się okazuje, są ekstremalnie mocne? Wystarczyło mu, że został skazany Tomasz Komenda, dzięki czemu wzrosły słupki poparcia i został prezydentem Warszawy, a potem kraju. Objawił się szeryf Kaczyński i głupi lud to kupił – ironizuje.

– Ziobro lansował się na konferencjach prasowych, opowiadał o benedyktyńskiej pracy śledczych przy tej sprawie, a sam przez lata nic nie zrobił. Chociaż był podsekretarzem stanu w Ministerstwie Sprawiedliwości w 2001 roku, później prokuratorem generalnym i ministrem sprawiedliwości. A gdy przez lata walczyliśmy o wznowienie śledztwa, słyszeliśmy, że nie ma na to zgody

i pieniędzy, chociaż takich zbrodni w Polsce nie było wiele. Nikt się jednak na to nie odważył, gdy wiadomo było, że nadzór sprawowała osoba będąca później najważniejszą w kraju. Obawiali się, że wyszłoby coś innego. No i w końcu, gdy już umarł, a sprawa była bliska przedawnienia, wyszło.

W redakcji Krzysztof zostawia kopię pism, które złożył w sądzie.

W jednym skarży się, że do tej pory nie dostał z sądu w Warszawie odpowiedzi w sprawie filmu o Komendzie. „Brak reakcji na mój pozew i cisza, która trwa, przypominają mi historię śmierci mojego dziecka. Wtedy też nikt nie zareagował, nie pomógł” – pisze Krzysztof.

Kolejny pozew składa przeciwko Skarbowi Państwa. Odręcznym pismem Krzysztof wypełnił trzydzieści dwie strony A4. Wymienia osoby, które chce przesłuchać w charakterze świadków, i „bezpośrednich sprawców krzywdy wyrządzonej całej jego rodzinie”.

Listę otwiera premier Mateusz Morawiecki. „Na tydzień przed ogłoszeniem wyroku przez Sąd Najwyższy uniewinnił Tomasza Komendę i słyszały to miliony Polaków” – pisze Krzysztof.

Do Ziobry ma jeszcze większy żal. I do Lecha Kaczyńskiego. Kolejne strony wypełniają pretensje, które już nieraz słyszałam.

Tym razem jednak Krzysztof chce, by tłumaczył się z nich Jarosław Kaczyński, brat zmarłego Lecha. – Niech zezna, co wie o nadzorze nad tą sprawą. Przecież mówili sobie wszystko, to jemu Lech Kaczyński meldował wykonanie zadania – tłumaczy.

Chce jeszcze przesłuchania Zbigniewa Cwiąkalskiego, jako byłego ministra sprawiedliwości, za niedopełnienie obowiązków i niewznowienie tej sprawy.

Na końcu Krzysztof pisze: „Pozew jest pisany językiem ludzkim, nie prawniczym, ale mam uczucie, że zrozumiałym dla wszystkich”.

Wnioskuje o 1,6 miliona złotych zadośćuczynienia za krzywdy, których doznali.

Umawiamy się na spotkanie. Chciałabym napisać o ich wieloletniej walce o sprawiedliwość dla Małgosi.

– Nie chcę mówić o tym, jak cierpieliśmy i cierpimy, że Małgosi nie ma z nami. Chociaż mam papiery od lekarzy, że wszystko mi przez stres szwankuje. Psychiatra wprost powiedział, że to przez to, co nas spotkało. Ale to nie jest najistotniejsze – zastrzega zaraz. – Lepiej niech pani opíše to – mówi i stuka w teczkę, w której ma kopie pozwów. Gdy ją otwiera, wypada z niej zdjęcie Małgosi.

– Zawsze noszę je przy sobie. Sam nie wiem dlaczego – mówi, pokazując mi fotografię, której wcześniej nie widziałam. Uśmiechnięta Małgosia stoi na niej obok roweru. Wygląda jak dziewczynka, a nie nastoletnia kobieta.

Krzysztof na chwilę się zamyśla, ale zaraz jakby się otrząsa i znów zaczyna złorzeczyć. Minał moment, w którym miałam nadzieję, że opowie o córce, jaka była.

– Na Małgosi robiono kariery, a my przez ten system zostaliśmy zmiażdżeni. Te 1,6 miliona złotych to chyba nie za dużo, jeżeli porównamy z 19 milionami, których chce Komenda. A to Małgosia nie żyje i przez dwadzieścia lat nie można nawet ukarać sprawców. Jesteśmy przez to wrakami, zniszczono nas psychicznie i fizycznie. Wiele rzeczy można wybaczyć, ale gwałtu i zabójstwa nie. Wiem, kto odpowiada za sądy w Polsce, i zdaję sobie sprawę, że szansę na wygraną mam niewielką, chciałabym jednak, żeby te osoby musiały się wytłumaczyć publicznie z tego, co przez lata nam zrobiono.

*

Rodzice Małgosi mają jeszcze jeden powód do złości. Po niecałych trzech tygodniach Norbert Basiura wychodzi z aresztu.

– Zatrzymanie go w świetle kamer było niepotrzebne. Wcześniej stawiał się na wszystkie rozprawy, na wyrok też przyszedł, chociaż nie musiał. A sąd zrobił pokazówkę – tłumaczy mecenas Kopczyk, gdy rozmawiamy po wyroku.

Kopczyk i Norberta najbardziej cieszy fragment uzasadnienia, w którym sędzia stwierdza, że w przypadku Basiury dowody „nie mają takiej siły przekonywalności” jak u M.

Sobieski jest wściekły. Prokuratorzy sprawdzili, że sędzia, zanim to napisał, nie wypożyczył nawet tomów z dowodami DNA.

Ale Norbertowi to uzasadnienie daje nową energię. „Jeżeli teraz sąd to zauważył, to może w apelacji też tak będzie” – myśli i stara się żyć jak wcześniej. Wprawdzie nie może wrócić do pracy w straży, ale przez znajomego łapie fuchę jako kierowca. Jeździ z towarem do Niemiec, sąd nie zabronił mu opuszczać kraju.

Rozmawiamy przez telefon.

– Cały czas zastanawiam się, jak to możliwe, że chociaż nie znałem Irka i nikt nie udowodnił, że było inaczej, sąd stwierdził, że razem zrobiliśmy takie straszne rzeczy – mówi.

Obrońcy nie odbierają od razu pisemnego uzasadnienia sądu, to daje im więcej czasu na napisanie apelacji. Rozmawiają o swoich pomysłach na obronę.

Przede wszystkim skupiają się na DNA. Dowodzą, że badania są niepełne i nierzetelne. Zwracają uwagę na metodykę, która nie pozwala im powtórzyć. Zaznaczają, że chociaż w próbkach stwierdzono DNA czterech mężczyzn, to jedyne tak czytelne należą do dwóch oskarżonych. A na rajstopach ofiary jej ślady zdegradowały, podczas gdy doskonale zachowały się sprawców.

Kopczyk podkreśla, że wątpliwości budzi odnalezienie po tylu latach „czystego profilu” jej klienta.

Podkreślają jeszcze, że – nawet jeśli uznać badania za rzetelne – ślady spermy nie przesądzają o zabójstwie.

Tej linii obrony najbardziej obawia się Sobieski. Że seks był, ale nic jej nie zrobili. Dziwi się nawet, że Kopczyk nie wykorzystywała do tej pory tego argumentu. Ale Basiura się nie zgodził. On nic tej dziewczynie nie zrobił, mówił Renacie, a ona nie chciała działać wbrew niemu.

Sobieski skupia się na Ireneuszu M. Chce dla niego dożywocia. I skazania go za gwałt na Annie. Nie rozumie, dlaczego sąd okręgowy uniewinnił go od tego zarzutu.

Apelację pisze też Irek.

*

Proces apelacyjny zaczyna się 28 kwietnia 2021 roku. Wciąż obowiązują ograniczenia związane z epidemią koronawirusa. Dziennikarze mają oglądać rozprawy w osobnej sali, jest tylko piętnaście wejściówek.

Wpatrujemy się w ekran. Sala nie jest duża, ale zaraz robi się pogłós.

Sędzia pyta, czy rodzice Małgosi zgadzają się na jawność procesu.
– Nie. Tu trzeba utajnić akta na pięćdziesiąt lat, żeby już nikt nie mógł na tej sprawie żerować – Krzysztof już się rozkręca i zaczyna mówić o filmie, ale sędzia Cezariusz Baćkowski mu przerywa, przecież nie tego dotyczyło pytanie.

Atmosfera jest napięta.

– Ty zwyrodnialcu – krzyczy Jadwiga do Irka, a gdy Sobieski próbuje ją uspokoić, naskakuje też na niego: – Ty w łapę wziąłeś.

*

Sala, w której toczy się proces, znajduje się piętro wyżej od tej, w której go oglądamy. Na korytarzu czatujemy na jego uczestników.

Sobieski jest zawsze oficjalny, Stykała lakoniczny, najchętniej wypowiada się Kopczyk. Uczyła się kontaktów z mediami, o rady prosiła koleżankę, która zajmuje się marketingiem. Przed kamerami czuje się już pewnie, podkreśla cały czas wątpliwości wokół badań DNA. Norbert, ciągle ze spuszczoną głową, na pytania dziennikarzy odpowiada półsłówkami.

Apelacja skupia się na biegłych. Najważniejszy jest Koloch, jego przesłuchanie ciągnie się przez sześć godzin. W jego głosie słychać frustrację, musi powtarzać, że obszernie zeznania złożył już w sądzie okręgowym, a wszystko znajduje się też w raporcie, który przedstawił. Wyłapuje każdą nieścisłość w pytaniu, prosząc strony o doprecyzowanie. Brzmi trochę jak nauczyciel, który po raz kolejny tłumaczy tę samą oczywistość opornemu uczniowi.

Sąd jednak już wcześniej przychylił się do wniosku obrony, by badaniom przyjrzeni się także niezależni eksperci z Instytutu Ekspertyz Sadowych w Krakowie. To ten raport będzie kluczowy w apelacji. Wyniki dostają dopiero we wrześniu 2021 roku, na kilka dni przed wyznaczonym terminem kolejnej rozprawy.

Zadowolony Irek od razu dzwoni do dziennikarza „Wiadomości Oławskich”, żeby poinformować, że teraz sąd będzie musiał go wypuścić. Niech już szykuje artykuł.

*

Doktor Tomasz Kupiec na sali sądowej radzi sobie znacznie lepiej niż Krzysztof Koloch.

– Nie wykonałem badań biologicznych, lecz na ich podstawie wydałem nową opinię – tłumaczy na początku przesłuchania. Ta jego różni się w kilku punktach, przede wszystkim określeniem siły dowodów. Jedną próbkę uznaje za mocniejszą, inną za słabszą. – Tamten biegły mógł mieć inne doświadczenia, ale nasze wyniki były bardzo podobne – mówi. – Wymowa tych dowodów się nie zmieniła.

Ojciec Małgosi żąda od biegłego, by ten kategorycznie potwierdził, że zabezpieczone DNA świadczy o winie oskarżonych.

– Rozumiem cierpienie rodziny, że trwa to bardzo długo. Rozumiem, że chciałyby odpowiedzi oczywistej i prostej, ale życie takich nie daje – podkreśla Kupiec i tłumaczy, że on może tylko określić prawdopodobieństwo.

Czuję się jak w czeskim filmie, bo obydwie strony wydają się z tej analizy zadowolone. Obrona podkreśla, że Kupiec osobiście zostawia fragmenty próbek do ponownych badań, a Koloch tego nie zrobił. Prokurator się cieszy, że biegły podkreślił, jak bardzo skrupulatna była ta analiza, że zwykle aż tyle śladów się nie bada. W jednym przypadku Kupiec uznał, że dowody miały jeszcze większą siłę.

Ale pojawia się informacja, która przebija nową ekspertyzę: jest świadek, który twierdzi, że ma nowe informacje o sprawie.

Rozdział 21

ARTUR

Tamtej sylwestrowej nocy miał niecałe dwadzieścia cztery lata. Był ochroniarzem w Alcatraz. Pracował tam od trzech miesięcy, co sobotę przyjeżdżał z Wrocławia, żeby pilnować porządku na imprezach.

– Nie zauważyłem, aby na dyskotecce działo się coś niezwykłego – opowiadał 3 stycznia 1997 roku Artur K. A gdy pokazano mu zdjęcie Małgosi, stwierdził, że nie jest pewny, czy ją widział. Przyznał jednak, że przypomina dziewczynę, którą chwilę po północy dwóch mężczyzn wyprowadzało z dyskoteki.

– Była według mnie bardzo pijana, można nawet powiedzieć, że nieprzytomna, ponieważ trzymano ją pod rękę, a nogami powłóczyła po ziemi – mówił. Rysopisu mężczyzn nie potrafił podać, dosyć dobrze zapamiętał jednak, jak wyglądała dziewczyna. Wszystko, co mówił, pokrywało się z rysopisem Małgosi.

O to, na czym dokładnie polegała praca Artura K., prowadzący śledztwo policjant nie pytał. Nie zdecydował też, żeby pobrać od niego materiał porównawczy do badań ani dołączyć jego zdjęcie

do akt sprawy, by – tak jak to było w przypadku innych mężczyzn bawiących się tamtej nocy – okazać je świadkom.

Teraz śledczy sprawdzają wątek ochroniarzy. Wiedzą, jak to wyglądało w latach 90. Bramki często obstawiali ludzie z półświatka. Zdarzało się, że wykorzystywali dziewczyny. Zresztą mieli już jednego zatrzymanego ochroniarza. Norbert wprawdzie nie był „profesjonalnym” ochroniarzem, ale znał chłopaków z Wrocławia, nawet mu imponowali, mógł chcieć się przed nimi popisać.

A Artur K., wtedy początkujący bokser, należał do środowiska wrocławskich bramkarzy współpracujących z gangsterami. Nie był jednak nikim ważnym.

Zatrzymano go w czerwcu 1995 roku razem z kilkunastoma innymi osobami. Funkcjonariusze weszli do kilku miejsc jednocześnie.

Gangsterzy mieli się wtedy w najlepsze. Bejsbolami wymuszali haracze od restauratorów, obstawiali bramki, weszli w agencje towarzyskie, w ochronę. Bramkarze byli też dystrybutorami narkotyków.

Na Artura K. nie było mocnych dowodów, ale i tak zaczął sypać. We wrocławskim środowisku był spalony. Potem miał jeszcze dwie sprawy karne za pobicia. Jego nazwisko pojawia się także w aktach gwałtów.

Artur wyjechał z Polski przed odsiadką. Miał wyrok za oszustwa. Nic poważnego, ale przywłaszczonych pieniędzy nigdy nie oddał. Został nawet zatrzymany w Holandii, ale ta nie zgodziła się wydać go Polsce.

Prokurator od początku chciał go przesłuchać. Sprawdzano zresztą wszystkich ochroniarzy z Alcatraz, ale Artur wciąż mieszka w Holandii. Władze tego kraju niechętnie współpracują z polskimi organami ścigania. Mają wątpliwości co do ich niezależności,

głównie z powodu poczynań szefa Prokuratury Krajowej Zbigniewa Ziobry, chociaż po prawdzie nie interesuje się on specjalnie tą sprawą oprócz lansowania się na kolejnych jej sukcesach. Sobieski wysłał prośbę do Holendrów o przeprowadzenie badań DNA Artura, ale nie dostaje odpowiedzi.

*

W marcu 2021 roku *Superwizjer* TVN pokazuje reportaż, w którym dziennikarze Marcin Rybak i Grzesiek Głuszak sugerują możliwe powiązania pomiędzy zabójstwem w Miłoszycach a wrocławskimi gangami i skorumpowanymi prokuratorami.

Jedną z głównych postaci materiału jest Artur. Z wyglądu stereotypowy ochroniarz – łysy, mocno napakowany, niezbyt wysoki.

– Artur i jego kolega, ochroniarz Mariusz, w czasie, kiedy doszło do zbrodni miłoszyckiej, mieli dwie sprawy karne – mówi na wizji Marcin Rybak. – Obie za pobicie. W grudniu 1996 roku jedna z tych spraw była zakończona nieprawomocnym jeszcze, ale wyrokiem skazującym. Ten sam wydział, który prowadził sprawę miłoszycką i którego funkcjonariusze byli na miejscu, wiedział o tym, że sąd poszukuje jednego z ochroniarzy. Mamy też dokument opisujący dwie sprawy, w których panu Arturowi były stawiane zarzuty zgwałcenia.

W materiale o Arturze wypowiada się też były gangster: – Z tego, co pamiętam, to on nie miał fajnego stosunku do kobiet. Wyglądał na osobę, która je traktowała tak bardzo obcesowo. Słyszałem, że grał w jakichś filmach porno z dużą dawką przemocy.

Dziennikarze zwracają też uwagę, że twarz Artura K. pasuje do jednego z portretów pamięciowych zrobionych przed laty. – Nikt wówczas tego nie wychwytał. Nie oznacza to, że jest zamieszany

w zbrodnię, ale należało to wówczas zweryfikować. W Miłoszycach był policjant z wydziału kryminalnego, mówili, że superspecjalista od zabójstw, uczestniczył w realizacji sprawy tak zwanych bramkarzy. Nie skojarzył? Nie zauważył? – zastanawia się Rybak.

Po tym materiale Artur zatrudnia pełnomocnika.

Zwleka jednak z przesłuchaniem przed sądem, na początku komunikuje się tylko przez prawnika. W końcu wysyła nagrane oświadczenie. Powtarza to, co mówił już przed laty. Nowa informacja jest jedna – nad ranem widział ojca Małgosi, który przyjechał do Miłoszyc „maluchem”. Słyszał, że policja szukała wtedy właścicieli takiego auta.

Przesyła jeszcze badania DNA z holenderskiego laboratorium. Nie ma zgodności. Sobieski musi odpuścić. Chociaż i tak chętnie by go przesłuchał, ale to byłoby możliwe tylko wtedy, gdyby Artur przyjechał do Polski.

*

Artur bryluje w mediach społecznościowych. Nagrywa filmiki, w których wytyka Rybakowi i Głuszakowi, że chcieli zrobić go w morderstwo.

– Wycofajcie wszystko, co powiedzieliście. Oskarżyliście mnie bezpodstawnie – mówi na nagraniu. – 11 września może jeszcze mi przypiszecie?

Pod filmikiem pisze jeszcze: „Niczego się pan nie nauczył. Dla dowartościowania swojej zakompleksionej osoby, oglądalności i premii. Zero obiektywizmu i profesjonalizmu”

Kolejne nagranie kieruje do prokuratora Sobieskiego. – Czekam na potwierdzenie na piśmie, że nie miałem nic wspólnego z tą sprawą i nie byłem nawet brany pod uwagę. Ten dokument jest mi

potrzebny, bo media mnie oczerniają. Chcę mieć papier, że jestem osobą niewinną.

Prokurator nie zamierza mu nic wystawiać, więc Artur nagrywa kolejny film, w którym mówi do Sobieskiego, że „zgłasza na niego skargę do szefa prokuratury albo wyżej”

– To są jaja. Nawet nie będę opisywał, co ja przechodziłem przez te pomówienia dziennikarskie. Wie pan, co by przechodzili moi rodzice, gdyby żyli? – zwraca się do Sobieskiego z za kierownicy auta.

„Czemu ich pan nie pozwie?” – pyta jedna z uczestniczek grupy, na której udziela się Artur.

W końcu i mnie się dostaje za artykuł, w którym przywołałam ustalenia kolegów.

Artur wysyła mi wiadomość: „Czy wy wszyscy dziennikarze chcecie szukać prawdy, czy to jest jakieś statystowanie?”

*

Jednocześnie w sieci trwa karuzela nazwisk potencjalnych sprawców. Najwięcej zainteresowanych wyjaśnieniem zbrodni skupia facebookowa społeczność „Tomasz Komenda – zbrodnia miłoszycka – sama prawda”. Kiedy sprawdzam ją w trakcie procesu apelacyjnego, ma trzy tysiące siedmiuset członków, w czerwcu 2023 roku już pięć tysięcy czterysta.

Działa jeszcze druga grupa: Zbrodnia Miłoszycka [*] 01.01.1997 r. [*], ma dwa tysiące dwustu członków.

W dyskusjach pojawiają się zwykle te same nazwiska, o których mówiło się już przed laty. Nie wszyscy wierzą, że Irek i Norbert są winni, inni o winie są przekonani, ale chcieliby ustalić, kim są kolejni sprawcy.

Może Iwona, przyjaciółka Małgosi, która ją zostawiła samą na dyskotecę? Teraz ktoś wygrzebał, że jest za granicą, więc może uciekła przed sprawiedliwością i czeka na przedawnienie?

Wraca też nazwisko Krzysztofa K., który ostatni widział Małgosię.

„Wydaje mi się, że wie, kto zamordował Małgosię, a może nawet ją wystawił komuś, wyprowadzając ją z dyskoteki, i nie było żadnego Irka” – pisze ktoś.

Wtórują mu inni:

„Dziwnym trafem on się bezpośrednio przyznał do udziału w zbrodni i nikt go za dupę nie złapał, tylko biednego Komendę”

„W pytaniu o gwałt na wykrywaczu kłamstw skłamał. Jakby tymczasowo policjanci zamykali osoby zmieniające co chwila zeznania (nie tylko w tej sprawie), toby wiele spraw się rozwiązało. Jak można krętać i nie ponieść konsekwencji?”

„Zbyt dużo okoliczności wskazuje na to, że z tą sprawą ma coś wspólnego. Kto normalny przyznaje się do gwałtu? Chłopaki na dyskotecę zrobili sobie zabawę, wrzucali dziewczynom tabsy, może sami miejscowi albo w porozumieniu z jakimiś przyjezdnymi stracili nad tym kontrolę i tragedia gotowa. Czasami mam wrażenie, że oni sami nie do końca pamiętają, kto uczestniczył w tym, ciemno, wszyscy nachlani, biegali w tą i z powrotem, ktoś przychodził i odchodził”

Ale Krzysztof ma też swoich obrońców. Przekonują, że był zastraszany.

Ktoś inny pisze: „Cała Polska wie, że Ł., po co te rozmyślenia. Warto może od razu nadmienić, że »Irek«, któremu Krzysztof przekazał Gosię, to raczej nie ten sam Irek, który został ostatnio skazany. Różnica była w ubiorze i wzroście Irków”

Nazwisko Ł., synów lokalnego biznesmana, na grupie pojawia się regularnie. To, że wykluczono ich na podstawie badań DNA, nie

wszystkich przekonało.

„Do pięknozębnego pana Ł. To, że pan sobie w Stanach czy Bóg wie gdzie zrobił zęby, to nie zwalnia pana z odpowiedzialności z tego, co się stało. To, że się pan wykpił obsran... majątkiem tatusia, też nie robi na nas wrażenia. Nie tacy ludzie byli przez nas przerabiani” – czytam w jednym z postów.

Ktoś inny pisze: „Podobno parę razy w towarzystwie się przyznał, twierdząc, że i tak nigdy za to nie beknie”

W końcu Ł. ma dosyć tych komentarzy i zgłasza na policję, żeby ludzi, którzy piszą o nim z nazwiska, ścigać za oszczerstwa. Funkcjonariusze wzywają kilka osób na przesłuchanie, te obiecują poprawę. Za to inni co jakiś czas i tak wracają do Ł.

Jako potencjalni sprawcy wskazywani są też mundurowi, chociażby policjant, na którego przed laty wskazywał Basiura, a także syn komendanta.

Ale przede wszystkim Sławomir B., policjant, który mieszkał obok miejsca zbrodni.

Wprawdzie zeznał, że tamtej nocy bawił się na imprezie w Kędzierzynie-Koźlu i sam zgłosił się na badania DNA, ale ich negatywny wynik również nikogo na grupie nie przekonuje. To tylko potwierdza – piszą jej członkowie – że dowody w tej sprawie są fałszowane. Wyciągają nawet, że Sławomir B. był kiedyś przełożonym Remika.

Nowe posty pojawiają się niemal codziennie. To przeklejone linki do newsów, archiwalne reportaże, zdjęcia akt, nagrane przesłuchania. Są też dyskusje, dzielenie się refleksjami, analizy każdego szczegółu ze sprawy. W sondzie: „Czy uważasz, że nasza grupa jest wartościowym miejscem?”, 82 procent odpowiedziało „tak”, a 10 procent „raczej tak”. Ich motywacja: chcą wreszcie wyjaśnienia tej sprawy.

*

Na grupie brylują osoby, które podkreślają, że prowadzą własne śledztwo w sprawie miłoszyckiej. Są wśród nich autorzy artykułów na portalu kryminalnym i kobieta, o której słyszę, że jest detektywką. Piszą: „Znamy akta i mamy kontakt z osobami z tamtych okolic. Nie sugerujemy się medialną propagandą tak jak wielu innych”.

Nie wierzą w badania DNA. Publikują fragmenty opinii, w której napisano, że próbki zostały zniszczone. „Laboratorium KWP i wszystko jasne” – pisze jeden z użytkowników.

Przeoglądam posty, sporo w nich materiałów z akt. Są fragmenty nagrań z przesłuchań, protokoły, opinie biegłych, archiwalne zeznania i zdjęcia. Też widziałam te materiały, sąd pozwolił mi nawet zrobić kopie. Niektóre materiały można było tylko obejrzeć, ale już nie upubliczniać. Nie wiem, czy osoby, które je dodają, miały choćby zgodę na zrobienie fotokopii, nie mówiąc o ich udostępnianiu. Ktoś im to wytyka i ostrzega, że grozi im odpowiedzialność karna.

Sporo treści, która się pojawia, rezonuje z tym, co słyszałam od Irka na rozprawach. Dużo emocji wzbudza czarna koronkowa chusteczka, którą znaleziono w pobliżu ciała Małgosi. To m.in. na niej zabezpieczono ślady zbieżne z profilem Irka. Prokurator uznał, że mógł nią otrzeć ranę na ręce, którą miał po uderzeniu w gablotę. Pokłócił się wtedy z żoną i w złości zbił szybę.

W dyskusję włącza się jego mama, która zresztą komentuje wszystkie posty nawiązujące do syna: „Jeszcze nie słyszałam, żeby ktoś koronkową chusteczką opatrywał rozciętą rękę, a Irka babcia była zdrowa na umyśle”.

Wtórują jej inni użytkownicy, podkreślając, że kawałek koronki nawet nie wygląda jak chusteczka, tylko fragment damskiego ubrania – halki, może pończoch albo bluzki. „Małgosia mogła go zerwać, gdy broniła się przed oprawcą” – stwierdza jeden z użytkowników. A to prowadzi do dalszych wniosków: na miejscu zbrodni była jeszcze inna kobieta, do której należała koronka. Trzeba ją odnaleźć, może coś wiedzieć.

Przypominają też archiwalną opinię dotyczącą uzębienia. Biegli w 1998 roku stwierdzili, że ślady z pewnością nie mogły powstać od jego ugryzienia.

„Ślady nie pasują, ale liczy się sztuka” – komentuje ktoś, a kolejni podchwytyją, że Komendę też skazali na podstawie zębów, a okazało się, że to jednak nie on. Nikt nie wspomina jednak, że teraz przeprowadzono zupełnie inne badania. I że przed laty model zębów Irka został podmieniony.

W starych badaniach zresztą na grupie się lubują. Także tych, w których uznano, że na ubraniach nie stwierdzono śladów spermy. „Nie wykryto, bo ich nie było” – komentuje ktoś zaraz. A detektywka przypomina, że w zrobionym przed laty badaniu mitochondrialnym włosów z czapki stwierdzono, że należą one do osób spokrewnionych, czyli braci.

Jej posty tłumaczą też, dlaczego tak dużo na grupie jest obrony Irka. W jednym z nich detektywka przyznaje, że to on dostarcza materiałów administratorom. „Każdy by się bronił na wszelkie sposoby, widząc, jak Tomasz Komenda przesiedział za nic osiemnaście z dwudziestu pięciu lat” – tłumaczy go.

Jego mama chwali mi się, że detektywka Dorota współpracuje z nimi i pomoże uwolnić Irka. Sam dzwoni do mnie, żebym z nią porozmawiała, bo „ona wszystko wie”. Na prośbę o kontakt detektywka jednak nie odpowiada.

Na grupie pojawiają się coraz to nowe ustalenia. Spekuluje się o roli Krzysztofa K. i że dowody zostały podmienione. Czytam, że mogło do tego dojść zaraz na samym początku śledztwa, zanim jeszcze ciało przewieziono na sekcję zwłok do Wrocławia.

Tymczasem jesienią 2021 roku służba więzienna znajduje w celi Irka nielegalny telefon i przechwytuje list, w którym próbuje przesłać dowody z akt. To włosy podpisane jako należące do Małgosi. Irek wspominał o nich wcześniej w sądzie, chciał, żeby zostały przebadane. Pytany teraz o telefon, list z dowodami i nagrania w sieci odmówił odpowiedzi.

„Ireneusz M. znalazł około stu włosów w kopercie w aktach. Włosy te nie były przebadane przez biegłych. Pochodziły z miejsca zbrodni. Gdyby tam był, to któryś włos mógł należeć do niego i nie prosiłby o badanie” – pisze później detektywka.

W jej domu pojawiają się funkcjonariusze Centralnego Biura Śledczego. Zabierają jej laptopa i pendrive’y. Szukają nielegalnie zdobytych materiałów ze śledztwa.

Gdy wychodzą, detektywka pisze emocjonalny post: „Może się wam wydawać, że jesteście bezkarni, kryjąc bandytów w swych szeregach. To nie utrudnienie śledztwa, to rozegranie taktyczne mające na celu zniwelowanie błędów, jakie od 1997 roku nie zostały w sposób właściwy skorygowane. Wasze wizyty są wykładnią strachu, a nie zbierania materiałów dowodowych. Posiadane przez nas materiały są starannie zabezpieczone, a o ich losach zdecydujemy w odpowiednim czasie”.

W komentarzach padają paskudne oskarżenia pod adresem Sobieskiego, który rzekomo ma chronić prawdziwych sprawców, czytam, że „w cywilizowanym kraju” wisiaby za to „na strunie od fortepianu”.

*

Sobieski się zastanawia, co zrobić z tymi komentarzami. Sprawdza, czy administratorów forum można w ogóle uznać za dziennikarzy, żeby nie mogli się zasłonić tajemnicą. Zleca Remikowi skopiowanie wszystkich kontrowersyjnych postów, ale ostatecznie nic z nimi nie robi. Nie jest mu potrzebna dodatkowa robota. – Wysłucham chętnie każdego, kto coś wie w tej sprawie – mówi tylko.

Kiedy piszę artykuł o teoriach z forum, administratorzy kpią, że chodzę na sznurku prokuratora. „Nie wyrzucajmy jej z tej grupy, to dla niej jedyne źródło informacji” – komentują.

Na wszelki wypadek kopiuję niektóre posty. Między innymi filmik, który zrobił jeden z bardziej aktywnych użytkowników. Małgosia ze zdjęcia spod stodoły została na nim ożywiona – czarno-białe zdjęcie nabiera kolorów, a twarz dziewczyny wypełnia cały kadr. Efekt jest upiorny.

Film krytykują inni użytkownicy. „Uważajcie, zanim to oglądnięcie” – pisze ktoś. Ja mam tylko nadzieję, że nie zobaczą go rodzice Małgosi.

Rozdział 22

BĘDZIEMY WALCZYĆ

Trzy tygodnie przed wyrokiem sądu apelacyjnego Norbert zaprasza mnie do swojego domu. Na podwórku wita mnie pies w typie maltańczyka, w domu przeciąga się kot brytyjczyk. Norbert chwali się, że sam wszystko zbudował, urządzali się razem z żoną. Wszystko jest tu jak od linijki. Tu kwiatek, tam świeczka.

Fotoreporter Tomek Pietrzyk szuka dobrych kadrów, a Norbert przebiera się w elegancką koszulę. – Kota nie może być na zdjęciu, jest córki, byłaby zła, że wykorzystuję jego wizerunek – mówi. Staje przy oknie, potem pozuje jeszcze przed domem. Wygląda na przejętego.

– Boi się pan więzienia? – pytam, gdy w końcu siadamy na dużym skórzanym narożniku w salonie.

– Staram się o tym nie myśleć.

– Da się?

– Nie dałbym rady myśleć negatywnie. Człowiek by zwariował. Wystarczająco dużo jest bieżących problemów, po co jeszcze tworzyć scenariusze i gdybać. Nic się jeszcze nie wydarzyło.

– Jak to nic? Sąd okręgowy skazał pana na dwadzieścia pięć lat więzienia.

– Mam nadzieję, że sąd apelacyjny mnie uniewinni.

– A dowody?

– Chyba nie powinienem tego mówić... Ale przecież DNA mogło się tam znaleźć w inny sposób.

– Sugeruje pan, że ktoś je podrzucił?

– Tego nie możemy napisać. Zresztą nie wiem, naprawdę nie wiem. Sam cały czas się zastanawiam, dlaczego właśnie mnie to spotkało. Ale od początku w tej sprawie działały się wokół mnie dziwne rzeczy. Będę walczył do końca. Pójdę do Sądu Najwyższego, są jeszcze instytucje unijne. Nie poddam się. Tutaj wszyscy mnie wspierają. Rodzina, przyjaciele, znajomi, chłopaki z pracy, sąsiedzi. Moje zatrzymanie to był dla nich szok. Nikt nie uważa, że jestem sprawcą, znają mnie z innej strony. Tego, który każdemu pomoże, a nie krzywdę zrobi. Zresztą niech pani żony zapyta. Czy ja bym potrafił ją okłamać.

– Potrafiłby? – pytam Kamili, która gotuje w kuchni obiad.

– A gdzie tam – macha ręką. – Ja po nim zawsze widzę, jak coś kręci. Nic przede mną nie ukryje. Ja wiem, że on jest niewinny. Tylko w ten nasz wymiar sprawiedliwości nie wierzę. Śledzę, co się dzieje. Swoich sędziów usadzają, a Ziobro to żadnych oporów nie ma. I tutaj też znalazł sobie kozła ofiarnego. Człowiek nie interesował się polityką, a teraz ona zainteresowała się nim. Najstraszniejsze, że oni wszystko mogą zrobić, prawda nikogo nie interesuje. W takim kraju przyszło nam żyć.

*

We wtorek 30 listopada 2021 roku dziennikarzy wita wywieszona na drzwiach sądu apelacyjnego kartka z wydanym dzień wcześniej

zarządzeniem prezesa Bogusława Tocickiego: „W związku ze wzrostem liczby zachorowań pracowników Sądu Apelacyjnego we Wrocławiu, w tym szczególnie pracujących w budynku przy ul. Energetycznej, zarządzam unieważnienie wszystkich wejściówek wydanych dla publiczności uprawniających do udziału w rozprawach w dniach 30 listopada 2021 roku i 1 grudnia 2021 roku w sprawie II AKa 66/21”

Za tą sygnaturą kryje się sprawa zbrodni miłoszyckiej.

Jesteśmy wściekli, bo właśnie zaczynają się mowy końcowe. Kpimy, że zagrożenie epidemiczne dotyczy tylko dwóch dni i tylko tej rozprawy. Dopytuję w biurze prasowym, dlaczego w takim razie nie mogą udostępnić nam transmisji, ale słyszę tylko, że „taka jest decyzja” oraz że „zarządzenie jest obowiązujące i nie zostanie zmienione”

Po rozprawie rozmawiam i z prokuratorem, i z obrońcami. Wszyscy są zdziwieni, że sąd nas nie wpuścił. Mam nadzieję, że na mowach końcowych się skończy i nie zostanie jeszcze ogłoszony wyrok. Ale już w środę po południu dostaję SMS, że zaczęły się obrady i być może będzie wyrok. Przy laptopie czekam na informacje, by jak najszybciej opublikować newsa, kolega poszedł pod sąd, żeby spróbować kogoś złapać, może zrobić zdjęcie.

*

Rodzice Małgosi wychodzą po rozprawie zrezygnowani, wszystko już im jedno, wracają do domu. Irka – mimo jego protestów – policjanci odwożą do aresztu.

Półtorej godziny później w sądzie nikogo już nie ma – inne sprawy dawno się skończyły. Na korytarzu czekają tylko Sobieski, Kopczyk, Stykała i Norbert.

W końcu sąd wznawia obrady.

Cezariusz Baćkowski mówi krótko. Wyrok skazujący podtrzymuje, uzasadniając go siłą dowodów z badań genetycznych. Obniża jedynie karę dla Norberta Basiury do piętnastu lat więzienia.

– Niższy wymiar kary spowodowany jest jego dobrym sprawowaniem w ostatnich latach – tłumaczy.

Sobieski oddycha z ulgą, że nie ma uniewinnienia. Renata odbiera gratulacje od kolegów adwokatów, że udało jej się obniżyć wyrok, ale jej to nie cieszy.

– Albo jest niewinny, albo winny, a sąd się bawi w półśrodki – denerwuje się.

Dzwonię do Norberta. Płacze do słuchawki.

– Chciałem uniewinnienia i taki wyrok byłby według mnie najbardziej słuszny, bo ja tego nie zrobiłem. Ale taki mamy wymiar sprawiedliwości. Ciężko jest, bardzo ciężko. Jestem w takim stanie, że nie dam rady teraz rozmawiać. Chcę już tylko wrócić do domu, do żony i dzieci. Idę właśnie na pociąg.

W domu przytula się do Kamili.

– Będziemy dalej walczyć – mówi do niego.

CZĘŚĆ 4

MY

Po wyroku o sprawie zbrodni miłoszyckiej robi się cicho. Tylko na forum użytkownicy zastanawiają się, czy to na pewno Irek i Norbert zabili Małgosię. Zdania są podzielone. Na chwilę media, głównie lokalne, rozgrzewa informacja o uwięzieniu Basiury. Renata się piekli, że przecież jej klient powiedział, że zgłosi się sam, po co było to spektakularne zatrzymanie. – Takie działanie dotknie zarówno jego psychikę, jak i psychikę jego najbliższych – mówi Kopczyk.

Zainteresowanie dziennikarzy było na tyle duże, że we wrocławskim sądzie okręgowym, który wydał decyzję, zorganizowano konferencję. Przemawiał rzecznik Marek Poteralski, który prowadził też sprawę miłoszycką w pierwszej instancji.

– Tym, którzy ubolewają, że skazany nie został wezwany do zakładu karnego, ale doprowadzony, przypominę, że ma wyrok za zabójstwo z gwałtem na piętnastolatce, a nie kradzież roweru. Jeżeli ci, którzy ubolewają nad doprowadzeniem, mają trochę empatii, powinni pomyśleć, co czują rodzice zamordowanej po tym, jak po prawomocnym wyroku skazany dalej chodził na wolności – podkreślał, kończąc tym tak naprawdę dyskusję.

O sprawie znów zrobiło się cicho. Do czasu.

Rozdział 1

WIĘZIENIE

Po wyroku Norbert zaczął chodzić do psychiatry. Tabletki przyjmowała też Kamila.

Spędził w domu święta i sylwestra. Wiedział, że w końcu po niego przyjdą, ale rozpaczliwie łapał się nadziei, że zadziała wniosek o odroczenie kary ze względu na sytuację rodzinną i zły stan psychiczny.

Zatrzymali go w środę 16 lutego 2021 roku. Policjanci przyjechali po południu, ale go nie było, robił jeszcze zlecenie na transport, wracał z Niemiec. Oddzwonił do nich, że stawi się w więzieniu następnego dnia. Chciał się jeszcze pożegnać z rodziną.

– Norbert, ty nie bądź taki pewny, że cię zaraz nie zatrzymają – powiedziała mu Renata, gdy się dzwonił.

– Przecież to ludzie w mundurach, trzeba im wierzyć, a powiedzieli, że mogą przyjść jutro – przekonywał ją Norbert. Ale nie minęła godzina i do jego domu znów zapukali funkcjonariusze.

Otworzyła im Kamila. Pięciu weszło do środka, kolejni czekali pod domem. Na ulicy radiowozy na sygnale.

- Wiemy, że pan tu jest – krzyknął jeden z policjantów. Norbert ledwo zdążył się wykąpać. Stał w samych bokserkach.
- Proszę z nami – powiedział funkcjonariusz, chciał go zakuć w kajdanki.
- Chyba żartujecie, że tak go z domu wyprowadzicie – oburzyła się Kamila i nie zważając na funkcjonariuszy, pomagała Norbertowi znaleźć ubrania, spakowała mu torbę.

Jednak zakuli go w kajdanki i odwieźli do aresztu śledczego we Wrocławiu. Spędził tam czternaście dni.

Zamknęli go w pojedynczej celi z niewielkim zakratowanym oknem, które wychodziło na ścianę budynku. Ciągłe było ciemno. Nie było lustra, swoją twarz Norbert mógł zobaczyć tylko w kranie.

*

Przez trzy dni nie pozwalali mu nawet zadzwonić. Uspokoił się trochę, gdy w końcu usłyszał głos żony. Niewiele był w stanie jej powiedzieć. Głos wiązał mu w gardle.

Kładł się spać o osiemnastej, zaraz po kolacji i telefonie do Kamili. Sen pozwalał mu nie myśleć chociaż przez chwilę. Ale i tak budził się w środku nocy.

Na wolności rzadko czytał książki, teraz pochłaniał jedną za drugą. Kryminalne, polityczne, religijne, pozwalały na chwilę się wyłączyć. Dużo się modlił.

Z Wrocławia przewieźli go do więzienia w Nysie. Trafił do trzyosobowej, monitorowanej celi, miał się chociaż do kogo odezwać. Przez pierwsze dni bał się jednak z niej wychodzić, zrezygnował ze spacerów. Byli tacy, którzy krzyčili za nim „majciarz” i „pedofil”, bo zaraz się rozeszło, za co siedzi. Norbert nie reagował, nie potrzebował konfliktów. Uczył się za to więziennego

słownictwa. Podłoga w celi to plaża, kąt – ubikacja, a korytarz – peronka. Krzywo patrzą, jak się powie inaczej.

Życie wyznacza regulamin. O ósmej jest pobudka, o dwudziestej pierwszej – wieczorny apel. Po nim gaszą światła. Rytm dnia wyznaczają posiłki, z nich rezygnować nie można, bo dostaje się karę. Norbert nigdy nie lubił kaszy, tu co chwilę ją podają. Dojada jedzeniem z paczek, które raz w miesiącu przesyła mu Kamila. W celi mają wiadro, do niego wsadza grzałkę i gotuje makaron. Do tego jakaś mielonka i sos ze słoika. Gotowanie daje poczucie normalności, chociaż jedzenie w niczym nie przypomina tego domowego. Noże, widelce, talerze, kubki, wszystko tu jest plastikowe.

Z rozrywek są codziennie wyjścia na spacer i do świetlicy. Można telewizję pooglądać i w ping-ponga pograć. Dalej czyta książki, chociaż od kiedy ma z kim porozmawiać, to mniej. Słuchanie o cudzych problemach, pozwala odciąć się od własnych.

Norbert zaciąga się też do służb porządkowych. Za codzienne sprzątanie mógłby dostać 300 złotych miesięcznie, ale on woli dodatkowe telefony. To na nie czeka cały dzień. Zgodnie z regulaminem przysługuje mu jeden w tygodniu, ale dzięki pracy i dobremu sprawowaniu dzwoni niemal codziennie. Czasem udaje się nawet dwa razy, bo wychowawca przymknie oko albo kolega odda mu swoje minuty. Kamila cały czas nosi przy sobie komórkę, żeby nie przegapić telefonu.

Pierwszy raz widzą się po miesiącu. Kamila ma prawo jazdy, ale zawsze bała się jeździć sama, nawet do Wrocławia. „A co jak jeszcze ja się rozbiję?” – myśli.

Na tym pierwszym spotkaniu niewiele rozmawiają. Obydwoje płaczą, trzymając się za ręce.

– Dlaczego nas to spotkało – powtarza Kamila. Pocieszają się, że jest jeszcze kasacja, instytucje europejskie.

– Gdzieś muszą być niezależni sędziowie, którzy cię uwolnią. Nie możemy się poddać – mówi.

Norbert przekonuje siebie, że niedługo wyjdzie do domu, a zaraz nie może opędzić się od myśli, że wszystko już stracone. Umrzeć, może to jakieś wyjście, przemyka mu przez głowę.

– Żona cię zaraz zostawi, kobieta chłopca potrzebuje, nie będzie przecież na ciebie latami czekała – słyszy od jednego ze strażników. A potem jeszcze, że Kamila złożyła już papiery rozwodowe. Niby wie, że to nieprawda, ale przecież wszystko jest możliwe.

Najgorzej, jak zabierają go do izolatki, bo jeden z chłopaków z celi ma wszy. Nie może nawet zadzwonić do żony.

Pierwszy raz się tak zdarzyło, żeby już drugi dzień się nie odezwał. Kamila nie wie, co robić. Dzwoni do mecenaski, ale ta każe jej jeszcze chwilę poczekać. Jak się nie odezwie trzeciego dnia, będzie interweniowała. Kamila o niczym innym nie myśli, tylko co się stało. Niepewność jest najgorsza.

W końcu strażnik się lituje i wieczorem, gdy nikogo już nie ma na korytarzu, prowadzi go do telefonu.

Norbert martwi się o Kamilę, jak daje sobie sama radę z domem. Przypomina, że trzeba wykupić ubezpieczenie na samochód, pyta, czy zapłaciła już za proces. W sumie nałożono na niego ponad 30 tysięcy złotych kosztów sądowych. Odwoływali się, że przecież Norbert teraz nie pracuje, ale sąd zgodził się jedynie rozłożyć im tę kwotę na raty. Miesięcznie to 850 złotych.

Kamili finansowo pomagają jej rodzice i teściowe. A jak trzeba coś w domu zrobić, to przychodzą koledzy Norberta ze straży. Jeden piec jej naprawił, drugi z samochodem pomógł. Mówią, że zawsze może do nich zadzwonić.

W więzieniu co niektórzy mu współczują, że za nic siedzi, tak przynajmniej mu mówią. Jeden, starszy już, ciągle powtarzał, że dobry z niego chłop. Dużo o nim wiedział. I co chwilę wypytywał o Miłoszyce. Aż Norbert nabiera podejrzeń, czy nie próbuje od niego czegoś wyciągnąć. W końcu zabierają go z jego celi, a niedługo później słyszy, że próbował popełnić samobójstwo.

O swojej sprawie woli za dużo nie mówić, po co mają plotki po więzieniu rozpowiadać, im mniej szumu wokół niego, tym lepiej. Opowiada za to o rodzinie, pracy w straży. Po sąsiedzku mają jednostkę, często słyszą syreny. Norbert sprawdza przez okno, ile wyjeżdża wozów.

*

Szacunek kolegów zdobywa, kiedy ratuje chłopaka na spacerunku. Nagle się przewraca, Norbert pierwszy do niego doskakuje. Wyczuwa podwyższone tętno, widać już sinienie, więc szybko udrażnia mu drogi oddechowe i wyciąga zawinięty język. Cały jest zalany krwią, bo tamten rozciął kość policzkową. Jeszcze jednemu więźniowi pomaga, kiedy ten ma atak padaczki. Dostaje za to pochwały, w sumie przez rok zdobywa ich ze trzydzieści, chociaż jak mu ostatnio odczytują je na komisji, to w papierach jest tylko sześć.

Pewnego dnia przyjeżdżają po niego funkcjonariusze CBS i zabierają na komisariat w Nysie. Prosi o kontakt ze swoją obrończynią, ale się nie zgadzają.

– Dobrze ci radzimy, mów, co wiesz. Grozi ci dwadzieścia pięć lat. Nie będziesz miał już po co wychodzić, jak nie powiesz, kto jeszcze tam był – słyszy, ale nic im nie mówi.

Renata złości się później na niego, że nie poprosił o wpisanie do protokołu braku zgody na obecność obrony.

– Już raz nagadałeś głupot na przesłuchaniu i jak to się skończyło? Nic się nie nauczyłeś – mówi, ale zaraz robi się jej go żal. Zamiast dyskutować z nim o możliwych krokach prawnych, prawie całą wizytę powtarza mu, że musi się trzymać. – Jak się zabijesz, to nic z tego nie będzie.

*

Kamila przyjeżdża co miesiąc, czasem co dwa. Po śniegu jeszcze bardziej boi się jeździć. Widzi, że Norbert jest coraz chudszy, skórę ma jak pergamin. Dzieci też chciały się z nim zobaczyć, ale oni powiedzieli, że nie. Nie chcą, żeby ojca widziały w więzieniu. Swojego taty Kamila też nie chce zabierać. Bardzo jest za Norbertem. I ciągle przez to więzienie płacze. Ona stara się być wtedy silną, ale kiedy zostaje sama, też musi swoje wypłakać. Na widzeniach nie chce już łez, po co to Norbertowi. Rozmawiają, co w domu. Trawę przysrzygła, teściowa była, znowu się piec psuje, w końcu trzeba będzie go wymienić.

Norbert nie chce się skarżyć, po co ma się o niego martwić, i tak ma ciężko. Chwali się, że kolega z celi uczy go składać origami. Dla mecenas Kopczyk robi krasnalą. Dla Kamili kolorowe serce i dwa łabędzie złączone dziobami. Stoją w domu na honorowym miejscu.

Norbert koło łóżka trzyma zdjęcie Kamili. Już dziury są w nim wycalowane.

Rozdział 2

KASACJA

W wydanym pod koniec marca 2022 roku pisemnym uzasadnieniu wyroku Sądu Apelacyjnego najwięcej miejsca zajmuje obrona sędziego Pawła Pomianowskiego. Przecież został powołany do okręgówki przez neo-KRS, upolitycznioną Krajową Radę Sądowniczą. Czy nominowani przez nią sędziowie są niezawisli i bezstronni?

W trakcie rozpraw Irek kilkakrotnie podkreślał, że powołanie przez nielegalny organ powinno być podstawą do uchylenia wyroku. Tego typu rozważania pojawiają się przecież w debacie publicznej. A media ciągle donoszą o kolejnych wątpliwych nominacjach.

Cezariusz Baćkowski, sędzia, który przewodniczył apelacji, podkreślił jednak, że Paweł Pomianowski nie ma bliskich relacji z rządzącymi. Broniąc go, chroni naprawdę również swój wyrok: w składzie orzekającym zasiadał neosędzia Maciej Skórniak.

Faktycznie, obrońcy wykorzystują argument o neosędziach w swoich odwołaniach kasacyjnych.

Poza tym wytykają wątpliwości wokół DNA, braku przesłuchania przyjaciółki Małgosi i samego zarzutu morderstwa.

Kopczyk pokazuje swoje odwołanie Danielowi Majowi, nowemu obrońcy Irka, którego przydzielono mu na postępowanie kasacyjnie. Cieszy się, że dostał taką głośną sprawę. Tylko Irek ciągle żąda rozmów i spotkań. Zresztą pomocy szuka też u Kopczyk. Bezskutecznie.

Kilka miesięcy później, w październiku 2022 roku, kasację składa jeszcze prokurator generalny Zbigniew Ziobro. Uważa, że wyrok jest zbyt łagodny i chce ponownego rozpatrzenia sprawy. „Zamach na wolność seksualną oraz życie i zdrowie ofiary został dokonany w sposób drastyczny i okrutny” – pisze i podkreśla, że było to „zaspokojenie prymitywnego popędu płciowego”.

Skupia się na Irku, uważa, że w jego wypadku słusznym wyrokiem byłoby dożywocie. Dla Basiury chce dwudziestu pięciu lat więzienia. Tak jak od początku wnioskował Sobieski.

*

W areszcie na każdy telefon Irek potrzebował zgody prokuratora, w więzieniu jest łatwiej. Na celi ma szacunek, a i niektórych strażników potrafi przekonać, bajerę zawsze miał dobrą. Dzwoni do mnie niespodziewanie.

– Powiedziałem, że muszę się skontaktować z adwokatem, to może dłużej uda się porozmawiać – mówi. Zarzuca mnie zdaniem, które wielokrotnie słyszałam już na rozprawach. Moje pytania ignoruje, prowadzi monologi o swojej niewinności.

– Chcesz napisać prawdę, to słuchaj, jak jest – mówi.

Nasze rozmowy często są przerywane, domyślam się, że przez służbę więzienną. Ale Irek i tak dzwoni częściej i na dłużej, niż przewiduje regulamin.

Skarży się, że przeniesiono go do Szczecina i nie ma jak widywać się z matką.

– Przecież ona nie ma pieniędzy na pociąg ani hotel – denerwuje się i dodaje, że w zakładzie są problemy z wodą. Upały, a nawet nie ma, gdzie się umyć. I do picia, tyle co do obiadu dadzą.

Przekazuję nawet tę informację do sprawdzenia kolegom dziennikarzom ze Szczecina, ale Irek zaraz dzwoni, że po jego telefonie naprawili. Pewnie go podsłuchują. A on ma sporo zarzutów. Wie, jak powinno być, a zasady nie są przestrzegane. Choćby kible... Znowu coś nas rozłącza.

Irek jeszcze wielokrotnie do mnie dzwoni, powtarza, co powinnam zrobić i napisać.

– Prawda jest taka, że jestem niewinny.

Mówi zawsze podniesionym głosem.

– Co z tego, że byłem na tym podwórku. Ważne jest kiedy. W ten sposób można by powiedzieć, że prokurator też tam był. Tylko że dwadzieścia pięć lat później. Albo te skarpetki. Przecież tam naprawdę para się całowała na podeście, zeznawali nawet, i wtedy je widziałem. – Irek znów nie daje mi dojść do słowa, dopóki nas nie rozłącza.

Złości się, że dają mu za mało czasu. Dlatego wyśle mi więcej informacji pocztą.

*

Wypchana różowa koperta przychodzi kilka dni później na adres redakcji. Ze środka pierwsza wypada kartka z życzeniami świątecznymi dla wszystkich dziennikarzy, którzy „piszą prawdę”: „Wesołych świąt, bo my takich nie bendziemy mieli”. Są kopie protokołów rozpraw, które już widziałam. Na tych jednak na żółto zakreślono fragmenty, które mają świadczyć o niewinności Irka.

Do dokumentów dołączone są odręcznie napisane listy, w sumie trzydzieści trzy strony A4. W jednym Irek przypomina mi o prawdzie i Bogu, w kolejnym jeszcze raz wymienia wszystkie błędy w śledztwie, ale zdecydowanie najwięcej miejsca poświęca narzekaniom na Zakład Karny w Goleniowie.

Kiedy czytam kolejne utyskiwania na traktowanie więźniów niezgodne z prawami człowieka, znajduję podsumowanie na mniejszej kartce wciśnięte między strony. Charakter pisma jest nawet podobny, ale nie ma charakterystycznych dla Irka błędów ortograficznych i gramatycznych. Ktoś spisał jego skargi w podpunktach.

Nagłówek: „Zastrzeżenia do Z.K. Goleniów”. Myślników jest dziesięć: mało chleba, monotonia jedzenia, ginące prośby, za rzadkie telefony, brak znaczków skarbowych, noszenie odzieży w łaźni, trudności z dostaniem się do magazynu i kaplicy, niemożność pracy i jeszcze olewanie sprawy jego zaginionej paczki żywnościowej.

Romualda też mi się na tę paczkę skarży. Dzwoni do mnie na polecenie syna, pyta, czy pisma dotarły. I żebym opisała, jak jest. – My będziemy dalej walczyć. Ja jestem na sto procent pewna, że on tego nie zrobił.

*

Chciałabym porozmawiać także z Norbertem. Renata Kopczyk przekazuje mi, że chętnie się spotka. Proszę dyrektora więzienia w Nysie, by pozwolił mi na odwiedzinę. Wysyłam maile, dzwonię, ale w końcu i tak dostaję odmowę, bo „nie jestem dla osadzonego bliską osobą”.

Przez Kamilę przekazuję prośbę o telefon. W wolnej chwili, wiem, jak ważne są dla niej rozmowy z mężem.

W końcu dzwoni do mnie stacjonarny numer z Opolszczyzny.

– Mamy osiem minut – zaznacza na początku Norbert i ostrzega: – Nie mogę za dużo mówić. Te telefony są na podsłuchu, a nie chcę sobie nagrabić.

Pomijam grzeczności i zadaję pierwsze pytanie.

– Codziennosc? Każdy dzień jest taki sam. Czekam, aż opuszczę te bramy – mówi. – Jedyne, co mnie trzyma, to miłość do żony i dzieci i ta pewność sumienia, że jestem niewinny. I nikt mi nic nie wmówi.

– Czy ma pan problemy w więzieniu? – pytam.

– Tu są ludzie i ludziska, różnie bywa. Tu nawet wychowawca może mnie obrażać na środku korytarza przy dyrektorze.

Osiem minut rozmowy szybko mija, Norbert obiecuje, że skontaktuje się następnego dnia. Podaje przybliżoną godzinę, nie rozstaję się z telefonem, ale on milczy. Dzwoni dopiero kolejnego dnia.

– Nie pozwolili mi wczoraj, dzisiaj kolega oddał mi minuty. Może mi się limit na ten tydzień skończył, chyba że coś im nie pasowało w tym, co opowiadałem.

Dzień później dostaje dwadzieścia minut, kolega oddał mu swój regulaminowy telefon do obrońcy.

– Jeden drugiego rozumie, że ma większą potrzebę zadzwonić, i się dogadujemy. Staram się tu wszystkim pomagać, taki jestem. Starałem się żyć w zgodzie z własnym sumieniem i tu nagle coś takiego się wydarza. To jest jak przeskok w kosmos. Osoba niewinna w ogóle nie powinna tu być. Chciałbym, żeby w Sądzie Najwyższym się okazało, że jestem niewinny.

Sygnal zwiastuje, że rozmowa zaraz się skończy.

– Dziękuję, że pani ze mną porozmawiała, zawsze to lżej.

Rozdział 3

ZADOŚĆUCZYNIENIE

Dowiaduję się, że rodzice Małgosi mają nowego pełnomocnika. Do końca procesu sami siebie reprezentowali, ale potem dostali mecenaskę do sprawy pozwów o odszkodowania. Bała się wypowiadać, żeby nie podpaść państwu K. Ale i tak zerwali z nią współpracę. Ich obecny mecenas też na razie nie chce za wiele mówić. Potwierdza jedynie, że pod koniec grudnia 2022 roku złożył pierwszy pozew w ich imieniu.

Chcą miliona złotych zadośćuczynienia dla Krzysztofa od Norberta Basiury. Jadwiga jest świadkiem. W uzasadnieniu szczególne okrucieństwo zbrodni, jego mataczenie, przedłużanie śledztwa, co tylko potęgowało ich cierpienie. Dowód: wszystkie choroby Krzysztofa. Chcą zabezpieczenia domu skazanego i zwolnienia ich z kosztów. Sąd szybko się zgadza.

*

– Dlaczego od razu nie złożył wniosku? I dlaczego nigdy nie pozwali Komendy? Już rozumiem, jakby pozwali Skarb Państwa. Ale

dlaczego tylko Norberta? Chociaż pewnie czekają, co odpowiem, żeby się lepiej przygotować do kolejnych – mówi Renata Kopczyk, kiedy dzwonię zapytać ją o pozew. – Ja to już myślę, że oni nie potrafią żyć bez spraw sądowych.

Adwokatka długo wertuje kodeksy, żeby wyłapać wszystkie zmiany w prawie dotyczącym roszczeń. Na początku lutego składa zażalenie, w którym dowodzi, że doszło do przedawnienia. Na wszelki wypadek wnioskuje jednak, by włączyć do sprawy Ireneusza M.

*

Kamile odwiedzam niedługo po tym, jak dowiedziała się o pozwie rodziców Małgosi.

– Trzeba przyznać, że ich ten system oszukał. I na jakiegokolwiek człowieka prokuratura by wskazała, będą w nim widzieć winnego. Mam do nich żal. Tutaj się kasa liczy, a do sprawiedliwości daleko. Koszty ponoszę teraz tylko ja i dzieci. Norbert nic nie zarabia, a gdziekolwiek popatrzę, każdy coś ode mnie chce.

Siedzimy na tej samej kanapie, na której rozmawiałam z Norbertem.

– Zastanawiam się, gdzie jest granica wytrzymałości. Czasem mi się wydaje, że do niej dotarłam, ale znowu wstaję, pracuję, zajmuję się domem. Człowiek może czekać, czekać, ale ile można czekać?

Muszę zapytać Kamile o wątpliwości, ale ona wszystkie zbywa. Jest przekonana, że Norbert jest niewinny, DNA nie uważa za dowód, według niej ktoś ważny jest chroniony.

Gdy kończymy rozmowę, Kamila prowadzi mnie jeszcze do garażu. – Norbert prosił, żebym pani pokazała jego mundur. Wisi tutaj i na niego czeka.

W więzieniu też już dowiedzieli się o pozwie. Norbert słyszy: –
Lepiej, żebyś się zabił. Rodzina przynajmniej nie straci domu.

Rozdział 4

HIPOTEZY

Prokuratorzy nigdy nie wierzyli, że Irek wyzna, z kim był na podwórku tamtej nocy. Był zresztą tak pijany, że może nawet tego nie pamiętać. Ale mieli nadzieję, że Norbert pójdzie na współpracę w zamian za niższy wyrok.

Ryzykowałby jednak całe swoje życie. Bo czy rodzina by mu wybaczyła, że przez lata ukrywał udział w gwałcie? Stwierdzenie, że tylko się tam masturbował, i wyjawienie wszystkich nazwisk mogło odmienić wyrok. I pozwoliłoby ostatecznie wyjaśnić sprawę. Norbert jednak niezmiennie powtarza, że jest niewinny. I nic nie wskazuje na to, by miał zmienić narrację.

Nawet pewność, że mają dwóch prawdziwych sprawców nie kończy śledztwa. Prokuratura chce sprawę doprowadzić do finału. Biegli stwierdzili, że ślady biologiczne znalezione na miejscu zbrodni należały prawdopodobnie do trzech, a może nawet czterech mężczyzn. Tylko że lista nazwisk do porównania DNA coraz bardziej się kurczy.

Śledczy mieli różne koncepcje. Długo sprawdzali, czy to nie ochroniarze zorganizowali łapankę na dziewczyny. Karbamazepina pasowała do ekipy z Wrocławia. Chłopaki powyjeżdżali jednak za granicę i nie tak łatwo było ich znaleźć. Najpierw dwóch z nich sprawdzali na podstawie próbek pobranych od ojca i brata. W końcu przeprowadzili badania wszystkich ochroniarzy z Miłoszyc. Wyniki były negatywne.

Ich radar uruchamiał się też przy informacjach, że ktoś miał w papierach stosowanie przemocy. Tym bardziej gdy dotyczyło to osoby, która była w pobliżu miejsca, gdzie zgwałcono Małgosię.

Jak Zygmunt G., w 1997 roku chłopak Kamili R. Nocował u niej w sylwestra. Przed laty dziewczyna zeznała, że położył się spać w ubraniu. Ona zasnęła wcześniej – była w ciąży. Teraz śledczy dowiadują się jeszcze, że w czasie przeszukania ich domu znaleziono w wersalce jego brudne spodnie. Mówił, że już dawno je tam zostawił. Kamili to nawet nie zdziwiło – nieraz na dyskotecę w mordę komuś dał i krew poszła. Biegli stwierdzili wówczas, że śladów nie da się przebadać, i szybko je oddano.

A jeszcze Zygmunt nosił w tamtym czasie jasnobrązową skórę. Pasowała do opisu jednego ze sprawców. Do tego mógł znać Irka, mieszkali niedaleko siebie. Jego zeznania sprzed lat też wydały im się dziwne. Mówił, że się boi, bo ktoś za nim chodzi, a to raczej jego się wtedy obawiano.

Gdy w październiku 2017 roku śledczy wzywają Kamilę na przesłuchanie, przyznaje, że Zygmunt był agresywny także w stosunku do niej.

– Wstyd normalnie, ale uderzył mnie nie raz – mówi.

Po raz pierwszy, kiedy jeszcze była w ciąży. Z liścia w twarz. Po każdym kolejnym uderzeniu przeproszał, że to już ostatni raz.

Kamila nie miała pracy, szkoły, dziecko w drodze, nie chciała być sama. Po narodzinach córki bił już ją regularnie. Czasem słabiej, innym razem mocniej. Do krwi i siniaków.

On to w ogóle był taki, że lubił się bić. I potrafił. Masę miał zrobioną, a czasem nosił jeszcze przy sobie nunczako. Ale Kamilę bił „tylko” pięściami.

– Mama mi mówiła, że to nie jest dobry człowiek i żebym go zostawiła, ona dziecko mi pomoże wychować. Ale mi się wydawało, że to wstyd, że nie miałoby ojca – opowiada Kamila. – Dobrze, że on mnie zdradził i odszedł, sama bym się pewnie nie zdecydowała.

Nie widziała go już dwanaście lat, wie tylko, że jest gdzieś za granicą. Córka u niego dwa razy była. Ostatnio cztery lata temu. Tę, dla której ją zostawił, też zdradził. Z kim się teraz spotyka – nie wie.

Śledczy ustalają, że Zygmunt mieszka w Wielkiej Brytanii. Proszą tamtejsze służby, by w ramach współpracy międzynarodowej przebadaly jego DNA. Długo nie dostają odpowiedzi. Robią im problemy. Brexit też nie ułatwia sprawy. Mijają miesiące, zanim rozpatrzą ich wnioski. Okazuje się, że nie trzeba nawet pobierać od Zygmunta materiału genetycznego, bo już wcześniej policjanci z Wysp zabezpieczyli go do sprawy przestępstwa seksualnego. W końcu zgadzają się udostępnić wynik badania.

We Wrocławiu czekają na efekty porównań. Są negatywne.

Wiedzą, że brak zgodności, wcale nie oznacza, że kogoś nie było na miejscu zbrodni. Mógł przecież nie zostawić śladów, ślady mogły przez lata ulec degradacji. Nie mają jednak jak tego udowodnić. Dopóki Zygmunt nie wróci do Polski, nie są w stanie go przesłuchać. A przecież nawet jeśli tego nie zrobił, może coś

wiedzieć. Mieszkał niedaleko Irka. A tamtej nocy obydwaj kręcili się po podwórku R.

*

Remik coraz częściej myśli, że może było ich po prostu dwóch – Irek i Norbert.

Irek, jak to miał w zwyczaju, dolewał dziewczynom czegoś do drinków, padło także na Małgosię. Jednocześnie różnych chłopaków wyciągał na wódkę, może zaproponował też Norbertowi, miał te butelki pochowane na podwórku R. Kiedy byli na zewnątrz, zobaczył przed dyskoteką nieprzytomną dziewczynę. Potrzebował kogoś do pomocy, żeby ją przeprowadzić w ustronne miejsce.

Remik już nie wierzy, że uda się znaleźć trzeciego, tym bardziej cokolwiek mu udowodnić. Tych kolejnych śladów nie ma już tak dużo jak w przypadku Irka i Norberta.

– Poza tym, jeśli są na wierzchniej części odzieży, nie muszą świadczyć, że to morderca – mówi Remik. – Ludzie się bili w tamtym czasie, ktoś zakrwawiony mógł się otrzeć. Nawet spernę na zewnętrzną część odzieży można przenieść przez przypadek, a to tylko jeden ślad na sukience. Dopiero ilość, natężenie i jakość świadczą o sprawstwie. Jeśli na przykład okazałoby się, że należą do gościa, który bawił się w Alcatraz, a potem jeszcze dopuszczał się przemocy, możemy już to stwierdzić z większym prawdopodobieństwem. Wariograf, opinia biegłych, potrzebny jest zestaw dowodów. Możemy być nawet pewni, że ktoś to zrobił, ale to nie wystarczy, żeby go skazać.

*

Ta sprawa Remika wypaliła. Zawsze miał w sobie zapał, koledzy się dziwili, że tyle lat siedzi w policji, a dalej mu się chce. Wsiąkał w śledztwa, sięgał po różne metody, wykrywalność miał dobrą, więc go szanowali. Na początku tej sprawy przenieśli go z CBŚ pod komendę wojewódzką i dali wolną rękę. Kiedy trwał już proces Irka i Norberta, ściągnęli go z powrotem.

I się zaczęło. Sobieski coś chciał, a jego wysyłali na inną robotę.

– Nie mogłem, miałem zatrzymanie – tłumaczył się Remik, kiedy nie zdążył czegoś zrobić. A zdarzało się to coraz częściej. Prokurator, jak czegoś chciał, to natychmiast. Zawsze zresztą tak było.

– Co mnie obchodzi jakieś zatrzymanie? – złościł się Sobieski.

Remik miał tego coraz bardziej dość.

– Czułem się jak między młotem a kowadłem. Chciałem coś zrobić, ale mi nie pozwalali. Są braki kadrowe, a dużo rzeczy do zrobienia. Takiego policjanta, co zabezpiecza mecze, można szybko wyszkolić, ale nie dochodzeniowca, tu potrzeba lat doświadczenia.

Miał też poczucie, że Sobieski nieustannie go o coś podejrzewa. Jak tylko jakieś informacje wyciekły do mediów, zaraz pytał, czy rozmawiał z dziennikarzami. Musiał się tłumaczyć, że kupił auto od Grzeška Głuszaka. – A było już po śledztwie, reporter już się tą sprawą nie zajmował – zaznacza.

Sobieski pytał też, czy Tomek dał mu jakieś pieniądze z zadośćuczynienia.

Takie plotki krążyły między funkcjonariuszami.

– Nie wziąłem – mówi. Potrafi trzymać emocje w sobie, ale dużo go to kosztuje. Bierze zwolnienie lekarskie.

Nie odbiera już telefonów od prokuratora, nigdy. Ale nie ma do niego żalu. Wie, że go cisną z góry. Remik ma tak samo. I to mu najbardziej przeszkadza. Chciał się zająć sprawą Beaty Pasik skazanej

za zabójstwo w warszawskim butiku Ultimo. Miał pomysł, prokurator Robert Tomankiewicz wysłał nawet wniosek, by mogli zacząć śledztwo. Na Komendzie przetarli już szlaki, ale nic z tego. I ciągle tak było. Chciał coś zrobić, a w CBS słyszał: nie. Albo zbywano go milczeniem.

Weekendowo robi jeszcze szkołę policyjną w Szczytnie, marzy mu się, by zostać oficerem, a nigdy nie miał na to czasu. I coraz poważniej myśli, że musi odejść na emeryturę.

– Musisz być do tego naprawdę przekonany – mówią mu koledzy.

Na początku 2023 roku składa papiery. Odejście ze służby się przeciąga, tyle osób chce uciec z policji. Musi jeszcze zrobić obiegówkę we wszystkich miejscach, w których pracował. W CBS nie ma rejonizacji. Samą broń oddaje półtorej godziny, chociaż procedura trwa trzy minuty. Resztę trzeba odstać. Musi jeszcze złożyć raporty o swojej pracy. Papiery, papiery, papiery...

– Nie tak łatwo jest się stąd wyrwać – mówi.

Dopiero 15 lutego oficjalnie zostaje emerytem. Na dokumentach podpisuje się jeszcze jako aspirant sztabowy, ale dzień później dostaje pismo, że 23 stycznia został mianowany przez prezydenta oficerem.

– Żal ci? – pytam, kiedy się spotykamy.

– Już nie. Nie wyobrażałem sobie tego, że będę chciał odejść. Chociaż jak zacząłem robić tę sprawę, to pomyślałem, że to może być ostatnia. Nikt nie lubi publicznego wytykania błędów. I jeszcze widziałem, co tam było. Tu prokurator skorumpowany przez gangsterów, kolejny też pije z nimi wódkę.

Ma za to żal do przełożonych. Z pogardą wspomina, jak komendant główny Jarosław Szymczyk obiecał, że jeżeli cała sprawa okaże się prawdą, publicznie przeprosi Tomasza Komendę

za kardynalne błędy policji. Ale nie przeprosił. Ironizuje, że nagrodę za sprawę miłoszycką zgarnął od Ziobry prokurator Bartosz Biernat, który się pochwalił, że wiedział o niewinności Tomka od 2010 roku, ale nic nie zrobił.

– Nas doceniło społeczeństwo, dostałem Orła Jana Karskiego, a przełożeni nawet „dziękuję” nie powiedzieli. Wiadomo, że nie robi się tego dla nagrody. Ale jak się patrzy, kogo awansują i promują za pobieżne śledztwa, to przykro się robi. Dzieciom powtarzam, że je kocham. A my nigdy nie usłyszeliśmy: „Chłopaki, dobra robota”. Z różnymi szefami pracowałem. Jak ktoś szanował ludzi, to oni byli lojalni. Do reszty, mam nadzieję, karma wróci. Ta policja to już nie jest to co kiedyś. Stwierdzenie, że policja jest apolityczna, to bzdura, bynajmniej na wyższych strukturach. A jak jest tam, to bije w niższe.

Spraw kryminalnych nie porzucił. Ludzie go znajdują i proszą o pomoc. Doradza jak może. W filmy się wkręcił. Znowu pomaga Holoubkowi, został konsultantem serialu *Rojst* dla Netflixa, ma też kolejne propozycje. Na planie jest zupełnie inna atmosfera niż w policji.

– Potrzebowałem adrenaliny w życiu, teraz też nie siedzę. I tak naprawdę tych możliwości jest więcej. W końcu jestem wolny.

Nie odciął się jednak do końca od sprawy miłoszyckiej. Ostatnio dzwoniła do niego Teresa. Od dawna nie ma kontaktu z Tomkiem. Remik obiecuje, że go znajdzie.

*

Sobieski nie rozumie, dlaczego Remik się nawet z nimi nie pożegnał. Myślał, że się zaprzyjaźnili, dla obydwu było to najważniejsze śledztwo w życiu. A on po prostu zniknął.

Prokurator nadal wierzy, że jest ten trzeci, może czwarty sprawca. Chciałby doprowadzić to śledztwo do końca. Zgodność DNA to jego jedyna nadzieja. Chyba że Norbert zacząłby mówić.

Tyle że Sobieski został w tym śledztwie praktycznie sam. A do tego ma na głowie inne sprawy. Jednak nawet nie myśli o umorzeniu Miłoszyc.

Tylko że to niekoniecznie musi być jego decyzja. Przełożeni zawsze mogą odebrać sprawę.

Próbuję się umówić z Sobieskim na wywiad, ale nie dostaję wymaganej zgody.

Rzeczniczka Prokuratury Krajowej po kilku telefonach i mailach powiedziała mi, że nie ma zwyczaju, by szeregowy pracownik opowiadał o śledztwie.

– Typujecie kogoś? – próbuję jednak dopytywać Sobieskiego, gdy spotykam go w sądzie.

– Jak pani redaktor ma jakieś podejrzenia, to proszę mówić.

Ale wszyscy, których mogłabym podać, nie są już na tapecie. Potencjalnych podejrzanych wykluczyły badania DNA.

W śledztwie pojawiły się jednak nazwiska mężczyzn, którzy mogli być tamtej nocy w Miłoszycach, a nigdy nie zostali sprawdzeni. Prokurator wciąż liczy, że kiedyś będzie zgodność.

Zresztą sprawa Irka i Norberta też nie jest dla niego zakończona. Sąd Najwyższy zaplanował kasację na 26 października 2023 roku. Naprawdę odetchnąć będzie mógł dopiero wtedy.

Rozdział 5

KONIEC, KROPKA

„Do tej pory nie chciałam pewnych kwestii poruszać publicznie, ale do zmiany zdania zmusiły mnie komentarze osób trzecich o tym, że pławię się w luksusie, oraz zdanie Tomka, że się nie zgadza z wysokością alimentów.

Kiedy Tomek wydawał pieniądze na kupno apartamentów, które stoją puste lub zamieszkują tam członkowie rodziny, na narkotyki i alkohol, kiedy rozdawał pieniądze na lewo i prawo wszystkim swoim kolegom, jego syn mieszkał w zadłużonym mieszkaniu obrośniętym grzybem. Bo Tomek zostawił mnie ze wszystkimi problemami. Po prostu przestałam mu być potrzebna” – Anna, była już partnerka Tomasza Komendy, 29 marca 2023 roku wydaje oświadczenie, a wszystkie plotkarskie portale je przedrukowują.

Afera zaczęła się dzień wcześniej, po wyroku o alimenty. Anna powiedziała dziennikarzowi „Super Expressu”, że Tomek nie dał do tej pory dziecku nic. Nie stać jej już nawet na wynajem mieszkania, czeka na socjalne. Jej poprzedni partner też przestał płacić alimenty.

W artykule wypowiedział się jeszcze Tomek, że 4,5 tysiąca złotych to za dużo, bo on tych pieniędzy nie zarobił. – Mam je z uwagi na krzywdy, których doznałem – powiedział. I jeszcze dodał, że Anna utrudnia mu kontakt z synem.

W odpowiedzi wydała kolejne oświadczenie. Że prawie dwa lata temu wyszedł z domu, zostawiając ją samą z trójką dzieci. Syn chorował, ale Tomek do szpitala nie przyjechał. Kiedy jeszcze mieszkali razem, to musiała wzywać policję. Był agresywny.

Ma ograniczone prawa rodzicielskie. Raz chciał uprowadzić syna, ale wycofała zawiadomienie, bo przedstawił papiery, że jest chory. Nowotwór.

„Nie chciałam mu niszczyć ostatnich dni życia, prosiłam go i błagałam tysiąc razy, żebyśmy się polubownie dogadali, ale on miał zlewkę i traktuje ludzi z góry” – pisze Anna w oświadczeniu. I jeszcze: „Ludzie piszą, że ja z nim dla pieniędzy się związałam. To nieprawda. Ja po przejściach i on też, chciałam zbudować dom i myślałam, że on też, tak mi się zdawało...”

Temat Tomasza Komendy znów staje się gorący. Internauci komentują, że nie ma co się dziwić. I że straszny będzie jego koniec. Inni podkreślają, że więzienie więzieniem, ale po prostu zły z niego człowiek. Annie się obrywa, że poleciała na kasę. Niektóre komentarze są na tyle obcesowe, że część mediów blokuje możliwość ich dodawania.

Tomek do sprawy już się nie odnosi. Chociaż nawet SMS do dziennikarza WP, że nie udziela wypowiedzi, staje się podstawą do kilku artykułów. „Dał głos” – piszą kolejne portale, cytując wiadomość.

Dziennikarze analizują poszczególne wątki tej historii. Przeglądam nagłówki. Anna Walter ujawnia kulisy albo przerywa milczenie.

O związku, przemocy, chorobie Komendy. I wyjawia, kiedy się zmienił.

Dziennikarze żonglują też stwierdzeniami o szokujących faktach i szczegółach. Zaczynają się dywagacje.

Radio Zet pyta w nagłówku: „Anna Walter wykorzystała Tomasza Komendę?”, a w kolejnej publikacji zaznacza, że w kobietę uderza jego brat. Jest cytat: „Korzystała, ile mogła”. Pudełek się niepokoi: „Komenda wróci do więzienia? Prawnik ostrzega”

Sprawą zajmują się już nie tylko brukowce. Duży artykuł poświęca mu „Newsweek”, twarz Tomka znów jest na okładce „Polityki”

Wypowiadają się eksperci.

Prawniczka prof. Monika Płatek: – Co tak naprawdę zrobiliśmy, by Tomasz Komenda włączył się do tego społeczeństwa? Daliśmy mu odszkodowanie. I słusznie, bo mu się należało. Ale uznaliśmy, że to wystarczy.

Ekspert ds. więziennictwa dr Paweł Moczydłowski: – Zrobiliśmy z niego gwiazdę, nie zastanawiając się, czy udźwignie to gwiazdorstwo, sławę i zainteresowanie.

Psychiatra dr Jerzy Pobocho: – Po takich przejściach więziennych człowiek ma zespół stresu pourazowego, jak weterani wojenni.

Dziennikarze docierają też do kolejnych bohaterów tej historii. Grzegorz Głuszak z TVN mówi o „osobistej porażce” i zastanawia się, czy mógł zrobić coś więcej, bardziej go upilnować. Remik, chociaż wiedział od Teresy, że z Tomkiem źle się dzieje, opowiada o szoku, którego doznał po przeczytaniu wszystkich informacji.

– Wydawało mi się, że skoro taka krzywda ich zjednoczyła, to nic nie będzie w stanie podzielić – mówi Tomkowi Pajączkowi z Onetu.

Dziennikarz rozmawia też z matką i bratem Tomka. Nie widzieli go od dwóch lat. Zostawił klucze na komodzie, nawet się nie

pożegnał. Nie odbiera telefonu. Trzyma się ze starszym bratem Gerardem, w rodzinie nazywanym Maćkiem. Obwiniają go, że ma na Tomka zły wpływ, odciął go od wszystkich, steruje nim.

– Raz zniszczyli mu życie ludzie z wymiaru sprawiedliwości, teraz ludzie z najbliższego otoczenia. Serce nam pęka, ale nie możemy nic zrobić. Jeszcze o nim usłyszymy, bo to dopiero początek jego upadku – mówi Krzysztof, młodszy brat Tomka.

Teresa: – On mnie pochował żywcem. Jeżeli może, niech usunie tatuaż z ręki z napisem „Kocham cię mamó”, bo jest nieprawdziwy i fałszywy. To kłamstwo. Po co ten napis? Przecież ja dla niego już umarłam.

Rozmawiamy niedługo później po tym wywiadzie: – Nie dam złego słowa na Tomka powiedzieć, ale z nim nie wygram, on mnie nie słucha. Wiem, że nie jest szczęśliwy, ale nie mam już nadziei. To koniec, zamknięty rozdział. Muszę zacząć żyć od nowa.

*

Niepokojące wieści o chorobie Tomka i jego relacjach z rodziną dopływały do mnie już od dawna. Nie mieliśmy jednak kontaktu. Minęły już ponad dwa lata, kiedy rozmawialiśmy ostatni raz. Nie przyszedł wtedy na umówione spotkanie. Nigdy później nie odebrał telefonu ani nie odpisał na wiadomości. Wiem, że odmówił też dalszego uczestnictwa w łódzkim śledztwie dotyczącym nieprawidłowości w jego sprawie.

W trakcie afery o alimenty prokuratura poinformowała o jego ustaleniach. Śledztwo trwało już od pięciu lat i doczekało się ponad setki tomów akt. Dziesięć wątków jednak umorzono.

Jednym z nich jest kwestia złożenia fałszywych zeznań przez Dorotę P., sąsiadkę babci Komendy, która twierdziła, że rozpoznała go na portretach pamięciowych. Zeznawała także, że sylwestra

w 1996 roku Tomasz planował właśnie w Miłoszycach. Że miał pożyczać od niej pieniądze na benzynę, chociaż nie miał auta ani nawet prawa jazdy. Dorota P. tłumaczyła jednak, że pokazał jej przez okno audi ciotki. Chociaż było ciemno, a ona miała wadę wzroku, była pewna, że miało „jasny kolor”.

Łódzcy śledczy nie mają wątpliwości, że kobieta kłamała. Kwestia złożenia fałszywych zeznań na początku śledztwa uległa jednak przedawnieniu. Ze względu na śmierć Doroty P. prokuratura musiała umorzyć także wątek dotyczący jej przesłuchania w 2017 roku przez wrocławską prokuraturę.

– Kolejne umorzenia dotyczą niedopełnienia obowiązków przez funkcjonariuszy Komendy Wojewódzkiej Policji we Wrocławiu i komendy w Głogowie podczas pobierania śladu zapachowego – informuje Krzysztof Kopania, rzecznik prokuratury w Łodzi. W tym wypadku również doszło do przedawnienia.

Jak wynika z ustaleń prokuratury, do badań przekazano ślad zapachowy, który nie należał do Komendy. Śledczy nie mają jednak wystarczających dowodów, by ostatecznie rozstrzygnąć tę kwestię, dlatego postępowanie wobec policjantów także umorzono.

Prokuratura uznała za prawdopodobne, że policjanci przemocą zmusili Tomasza Komendę do złożenia obciążających zeznań. Ale zadziałało przedawnienie.

Badano również sprawę złożenia fałszywych zeznań przez współosadzonych z Tomaszem Komendą. Mówili, że faktycznie był tamtej nocy w Miłoszycach, ale nie był sprawcą zbrodni. Prokuratura ustaliła, że chcieli w ten sposób pomóc koledze. Ten wątek umorzono więc ze względu na brak znamion przestępstwa.

Prokuraturze nie udało się także pociągnąć do odpowiedzialności biegłych od śladów ugryzień. To ich analiza była koronnym

dowodem przeciwko Tomaszowi Komendzie, co doprowadziło do jego skazania. Po latach się okazało, że ekspertyzy były błędne.

– Nie ma wystarczających dowodów, że biegli celowo wydali fałszywe opinie, dlatego ten wątek również umorzono – informuje Kopania.

Rzecznik Prokuratury Okręgowej w Łodzi podkreśla, że prawo nie działa wstecz, dlatego musieli się opierać na stanie prawnym obowiązującym w momencie popełnienia tych czynów. I tak na przykład przed laty za fałszywe składanie zeznań obowiązywała maksymalna kara trzech lat więzienia, więc po pięciu ulegały one przedawnieniu.

Najpóźniej, bo w 2015 roku, przedawnieniu uległo stosowanie przemocy przez funkcjonariuszy policji.

– To postępowanie i tak należało prowadzić, bo nie można było wykluczyć, że ktoś jednak poniesie odpowiedzialność. Dlatego też rozbiliśmy śledztwo na poszczególne czyny, by była możliwość ścigania za konkretne wątki – tłumaczy Kopania.

Śledztwo nadal trwa. Wciąż do odpowiedzialności mogą zostać pociągnięci prokuratorzy i sędziowie, którzy doprowadzili do skazania Tomasza Komendy. Tylko nie Stanisław Ozimina, który stawiał mu zarzuty. Zmarł w kwietniu 2022 roku.

Półtora roku wcześniej prawomocnie skazano go za korupcję. Jako prokurator przyjmował łapówki za zwolnienie z aresztu czy zwrócenie dowodów. W sumie udowodniono mu osiem zarzutów.

Drugi z prowadzących śledztwo – Tomasz F. – też nie pracuje już w zawodzie. W maju 2021 roku został wydalony przez Izbę Dyscyplinarną za jazdę po pijaku. Jego nazwisko pojawiało się także w tych samych sprawach co Oziminy. Obydwaj bywali w agencji towarzyskiej na Semaforowej we Wrocławiu, gdzie gangsterzy spotykali się z przedstawicielami wymiaru

sprawiedliwości. Policjanci i prokuratorzy mogli się tam za darmo napić i skorzystać z usług seksualnych, po wszystkim odwożono ich jeszcze do domu.

F. nigdy jednak nie usłyszał korupcyjnych zarzutów.

Ozimina przyznał się do brania łapówek, ale zarzekał jednocześnie, że za Komendę nikt mu nie zapłacił.

*

Na początku kwietnia 2023 roku wybieram jeszcze raz numer Tomka, nie bardzo wierząc, że tym razem odbierze. Zamiast nagrania: „Siemadereczko, nie mogę teraz rozmawiać, zostaw wiadomość”, odzywa się jednak on sam.

– Chciałem dobrze, a wyszło jak zwykle, pod górkę. Niepotrzebnie się zgodziłem na tą wypowiedź do „Super Expressu”. Tyle czasu byłem nieaktywny i nie wiem, co mi teraz odbiło – mówi. – Boję się, że ludzie będą pluli mi pod nogi, bo bardziej wierzą internetowi niż mnie. A ja już mam za dużo na głowie, żeby jeszcze opowiadać, co mam na głowie. Leczę się, jestem na chemii, włosy już mi odrosły. Żyję z tym, że był rak, teraz nie ma, ale nie wiadomo, czy znowu nie wróci. Do operacji się nie nadawał. Ciężko mam, ciekawe, kiedy zrzucę w końcu ten krzyż, już należałoby mi się trochę spokoju.

Sprawa z rodziną to nie rozmowa na telefon. Umawiamy się na spotkanie. Tomek w ostatniej chwili je jednak przekłada, zapomniał, że ma umówioną chemioterapię.

Później już nie odbiera. Wysyła mi tylko SMS: „Przepraszam, ale nie. Ja z tym wszystkim już skończyłem. Chcę normalnie, spokojnie żyć i kropka”

*

Próbuję się dodzwonić do rodziców Małgosi, ale nie odbierają. Wiem, że wyprowadzili się już z Jelcza, mieszkają teraz u córki, ale nie znam adresu, zresztą nie jestem przekonana, czy życzyliby sobie moich odwiedzin.

Przekazuję ich mecenasowi prośbę o kontakt, ale oni zrywają z nim współpracę. Niedługo później dowiaduję się, że wycofali z sądu wnioski o odszkodowanie od Norberta. Na początku kwietnia 2023 roku Jadwiga wysyła mi wiadomość, że mam zamieścić sprostowanie na pierwszej stronie gazety: „Rodzice nigdy nie domagali się zadośćuczynienia od mordercy Basiury”. Na moje pytanie, dlaczego rezygnują, bo przecież wniosek był złożony, nie dostaję już odpowiedzi.

Od Jadwigi mam jeszcze tylko jedną wiadomość: „A diabeł gra w karty”.

Choć sami wcześniej zwracali się do mnie, żebym opisała ich zmagania z wymiarem sprawiedliwości, boję się ich reakcji. Moją wiadomość, że powstaje książka, jak wszystkie inne zbyli milczeniem.

Odsłuchuję kolejne godziny nagrań, sprawdzam notatki, chociaż tak naprawdę słowa Krzysztofa utkwiły mi w głowie. Powtarzał je wielokrotnie, chciał, żebym o nich pamiętała. I żeby wszyscy w końcu zrozumieli.

– To Małgosia jest najważniejsza.

POST SCRIPTUM

O zbrodni miłoszyckiej zaczęłam pisać w marcu 2018 roku (artykuły, których fragmenty wykorzystałam w książce, były publikowane na łamach „Gazety Wyborczej” i „Dużego Formatu”). Od tego czasu wielokrotnie rozmawiałam z bohaterami i bohaterkami tej historii – rodzicami Małgosi, a przede wszystkim jej ojcem Krzysztofem, mecenas Ewą Szymecką, policjantem Remigiuszem Korejwą, Tomaszem Komendą, jego mamą Teresą Klemańską, Norbertem Basiurą, jego żoną Kamilą, adwokatką Renatą Kopczyk, Ireneuszem M. i jego mamą Romualdą. O sprawę pytałam też mieszkańców Miłoszyc, Jelcza-Laskowic oraz Ratowic. Informacji udzielali mi dziennikarze, którzy opisywali tę historię – przede wszystkim Jerzy Kamiński i Marcin Rybak, ale nie tylko. Rozmawiałam ze śledczymi, którzy przed laty zajmowali się tą sprawą, ale były to bardzo lakoniczne wypowiedzi. Wywiadu udzielił mecenas Michał Kelm, dawny adwokat Tomasza Komendy. Udało mi się też porozmawiać z Dorotą, która na niego wskazała. O niej opowiadali mi były kochanek i sąsiedzi.

Opis badań DNA konsultowałam z prof. Tadeuszem Doboszem.

Prowadziłam również nieoficjalne rozmowy, czasem informacje docierały do mnie pokrętnymi kanałami. Wiele osób pomogło mi przy tej sprawie. Czasem dodając zdanie, myśl. Za wszystkie rozmowy bardzo dziękuję.

Byłam też na większości rozpraw, gdzie spotkałam wszystkie strony procesu m.in. świadków, obrońców (w przypadku Irka najpierw Marcina Kostkę, później Tomasza Stykałę), pełnomocnika rodziców Wojciecha Mrozka i prokuratora Dariusza Sobieskiego. Po posiedzeniach zawsze była okazja do zadania pytań. Na początku o sprawie informował też naczelnik Robert Tomankiewicz.

O postępowaniach dotyczących Tomasza Komendy mówił mi jego pełnomocnik prof. Zbigniew Ćwiąkałski. O śledztwie w sprawie nieprawidłowości – prokurator Krzysztof Kopania.

Kilka rozpraw, na których nie mogłam być ze względów rodzinnych, obserwowała Joanna Urbańska-Jaworska. Poszła też za mnie na sprawę policjanta Bogusława R. i zadała mu pytania o Komendę.

Sfotografowałam i wielokrotnie czytałam akta – zarówno archiwalne, jak i obecne. Obejmowały one również wszystkie sprawy Ireneusza M. (imiona jego ofiar zmieniłam). Przeczytałam także akta dotyczące zgwałcenia dziewczyny w Jelczu, za które również oskarżono Komendę, ale ostatecznie uniewinniono. Zabezpieczono tam taki sam kod genetyczny (badany Polymarkerem) jak w sprawie Miłoszyc. Niestety dowody zniszczono, nie da się już z nikim powiązać tego gwałtu.

Odwiedzałam opisywane miejsca, a informacji o interesujących mnie osobach szukałam też w internecie, m.in. w mediach społecznościowych.

Opierałam się również na archiwalnych publikacjach – przeczytałam wszystkie numery „Wiadomości Oławskich”, całe szczęście Jeleniogórskie Centrum Informacji i Edukacji Regionalnej ma pełną cyfrową kolekcję. Przesłuchałam też dostępne na stronie Radia Wrocław (prw.pl) audycje o Miłoszycach. Oglądałam

programy Grzegorza Głuszaka emitowane w TVN – zarówno ten zrobiony w 2007 roku, jak i obecne.

Klimat tamtych lat oddawałam na podstawie rozmów ze starszymi kolegami i archiwalnych artykułów – głównie z „Wyborczej” i „Polityki”. Czasem informację znajdowałam na specjalistycznych stronach internetowych, np. Mafia.pl (online-mafia.pl). Cytowałam też publikacje o sprawie innych redakcji (np. Onetu).

Sprawdzałam informacje w każdy sposób, który przyszedł mi do głowy. Czasem wystając godzinami na klatkach schodowych, innym razem spędzając noc na przeczesywaniu archiwalnych gazet telewizyjnych i oglądaniu emitowanych wtedy programów, by sprawdzić, czy Dorota P. mogła zobaczyć portrety pamięciowe i rozpoznać Komendę. Zresztą wiele nocy spędziłam nad tą historią, próbując zrozumieć, co naprawdę się wydarzyło.

– W tej sprawie jest coś takiego, że jak się w nią wejdzie, to trudno już się uwolnić – powiedziała mi kiedyś Joanna Podwin, pracowniczka biura prasowego sądu, która regularnie przychodziła na rozprawy. Ja też nie umiałam.

Starałam się, jak najlepiej odtworzyć tamtą sylwestrową noc i kolejne wydarzenia. Czasem musiałam wybierać spośród różnych wersji. Przed laty świadkowie zeznawali po kilka razy, za każdym razem odrobinę inaczej, teraz mówili jeszcze co innego. Czasem tę samą sytuację jej uczestnicy relacjonowali odmiennie. Część zeznań przeredagowywałam z języka urzędowego na strawny dla czytelnika.

Nie pracowałam przy tej sprawie od samego początku. Miałam siedem lat, kiedy zamordowano Małgosię. Tak naprawdę usłyszałam o tej historii dopiero wtedy, gdy znów zrobiło się o niej głośno.

Niektóre dialogi i myśli są zlepkiem zeznań z akt, wypowiedzi z sali sądowej, rozmów, relacji.

Czasem sceny sklejałam ze strzępków informacji. Znajoma wspomniała, że ojciec Małgosi nie chciał, by zakładała na dyskotekę sukienkę, przyjaciółka wymieniła, jaką nosiła biżuterię, mama na przesłuchaniu narzekała na starszych chłopaków...

Nie wszystkie wątki mogłam szczegółowo rozwinąć. Samych świadków było kilkuset, czytelnik dawno by się pogubił. Wybrałam te elementy historii, które uznałam za kluczowe. Choć przyznaję, że cały czas się zastanawiam, czy czegoś ważnego nie pominęłam. Mój redaktor dla kolejnych pojawiających się wątków był jednak bezlitosny.

Ta historia wciąż nie ma zakończenia. Może kiedyś dopiszę ciąg dalszy.

PODZIĘKOWANIA

Przede wszystkim chcę podziękować za wszystkie rozmowy, bo opowiedzenie tej historii bez jej bohaterów i bohaterek nie byłoby możliwe. Dużo osób pomogło mi przy tej sprawie, także koleżanek i kolegów dziennikarzy. Za dyskusje o śledztwie, wymianę informacji, pomoc przy zbieraniu materiału – serdecznie dziękuję.

Dziękuję też Joannie Dzikowskiej, która od samego początku po przyjacielsku i redaktorsku wspierała moje pisanie. I godzinami mnie wysłuchiwała. Szefowi Leszkowi Frelichowi za zaufanie, że poradzę sobie z tym tematem, i czas, żebym mogła się nim zająć. Pawłowi Goźlińskiemu, że od razu uwierzył w tę historię oraz za cenne redaktorskie uwagi. Moim przyjaciołom – Ewie Mazur, Idze Szczudło, Martynie Szpiech, Tomkowi Szuchcie, Karolinie Szypute i Asi Urbańskiej-Jaworskiej – za wsparcie, kiedy go potrzebuję. Cioci Gosi dziękuję za dobre słowa. Tacie, bo ledwo nauczyłam się czytać, a podsuwał mi kryminalne historie. Mamie za to, że zawsze we mnie wierzyła. Bez Was ta książka, by się nie wydarzyła.